



DZIEDZICE MYŚLI



283762

MARJA DUNIN-KOZICKA

PRZEORANE
SZLAKI

II.

DZIEDZICE MYŚLI

154/1

29



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1930

822856 dopis 283.762

MARJA DUNIN-KOZICKA

DZIEDZICE MYŚLI

OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z 12 ILUSTRACJAMI

Rok 1312

*Droga ziemia ta!
Myśl ją moja zna!
Tam najpierwsze szczęście moje,
Tam najpierwsze niepokoje,
Tam — najpierwsza tza!*

Maurycy Gostawski.



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1930

283762



Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego

K. 1404/63

I.

Z DYMEM POŻARÓW.

Bezleśny i stepowy o lekkim czarnoziemie od strony Wołynia, posiadał lityński powiat o wiele cięższą i bogatszą, podobniejszą do naddniestrzańskiej, glebę w południowej swej części. Nad brzegami przecinających go rzek, Bohu, Sniwody i Zharu, obfite sianozęci, piękne młyny i przedzielone globami malownicze stawy. Owocowe sady w wielkiej ilości. Lasy zawierające grabinę, lipinę, jawor, klon, a na mokrych obszarach olszynę i łozinę. Sławiły się ongi lasy winnikowieckie Czesława Stempowskiego, dziś, po stu latach władania, znacznie przetrzebione. W Chmielniku nad Bohem był dawniej zamek obronny. W 1795 roku starostwo lityńskie zostało podarowane „najwyższym ukazem“ kanclerzowi państwa, księciu Aleksandrowi Bezborodce, inne zaś starostwa, jak: horbowieckie, berezneńskie i czudynowieckie trzymali wówczas prawem emfiteutycznym okoliczni polscy ziemianie od obdarowanych niemi bez obowiązku płacenia „kwarty“ różnych faworyzowanych, rosyjskich grafów i admi-

rałów, żyjących na swoje szczęście w porozbiorowej dla „Polszy“ dobie.

W ostatnich latach powiat lityński zamieszkały był przez dawną szlachtę polską i przez nowych nabywców wielu folwarków i dóbr polskich — Rosjan, jako też przez włościan Rusinów. Spotykało się tu również po wsiach często skupienia Mazurów lub zaściankowej szlachty, obejmujące po dwadzieścia i więcej zagród z dziesięciomorgowym przeciętnie kawałem pola. Szlachta, dumna ze swego pochodzenia, nie łączyła się z włościanstwem ruskiem, które wzamian nazywało ich butnie, a może nawet niechętnie: „Laszki! Ce Laszok!"; siedzieli oni w zagrodach, mających cechy większej kultury i zachowujących swoisty charakter. Niektórzy z nich wskutek skasowania unji religijnej, lub też jako wynik małżeństw mieszanych, stali się z musu „prawosławnymi Polakami“. Zachowali jednak poczucie narodowej odrębności, czego nieraz dawali dowody, chociażby wtedy, gdy ze śpiewem: „Jeszcze nie zginęła“ odprowadzali w Kumanowcach swoich rezerwistów, branych na wojnę w 1914 roku. W Radziejowcach mieszkali tylko Radziejowscy, prawosławni i katolicy, a od przodków poszczególnych gałęzi rodu brali obyczajowe swe miana: od Konstantego — Kostenki, od Piotra — Petrenki i dziwacznie się zwący — Negryły, jakby przystosowani do ukraińskiego gruntu. Obok zapadli Wołkowińscy — zagubieni w przepastnych, otaczających Wołkowińce lasach, gdzie było kilkaset osiedli i małych futorów.

Policja nie zapuszczała się nigdy w te knieje, które stały się czasem, po rewolucji, znakomitym terenem dla ukrywających się bandytów i ukraińskich powstańców. Znany był również zaścianek Lechno-Wasiutyńskich — Wasiutyńce i drugi: Petranie, przez Ilnickich gęsto zaludniony, gdzie włoskie topole przy dworkach wskazywały na szlacheckie mieszkańców pochodzenie, albowiem obce te drzewa przybyły do Polski wraz z Boną i tylko przez dworskie stosunki szlachta herbowa mogła je otrzymywać. Popowce i tereszpolskie futory były zarówno pepinierą licznie rozsianej w lityńskim powiecie owej drobnej, zagrodowej szlachty polskiej, jak i Skarzyńce, Torczyn, Pustowójty, Hryszki, Kłopotowce, Kożuchów, Rękaw, Ossolinka, Owsianiki, Kumanowce, Cymbalówka, Jabłonówka i inne, zamieszkałe przez rody Kalinowskich, Myszkowskich, Poniatowskich, Drohomireckich, Czarneckich, Czernelowskich, Mroczków, Branekich, Odyńców, Lewiturskich, Studzińskich, Lipskich, Kuleszów, Różyckich, Cerklewiczów i wielu innych, posiadających nieraz nadania królewskie i dokumenty na pergaminie, co nie przeszkodziło jednak rządowi rosyjskiemu zaliczyć ich w swoim czasie do gminy chłopskiej. Dżakowce, Josypowce, Kożuchów i Wasiutyńce były ongi dobrami, które polscy królowie nadali rodzinom Dyakowskich Kożuchowskich i Wasiutyńskich za bojowe zasługi z obowiązkiem stawania w potrzebie zbrojno i konno wraz z mniejszym lub większym pocztem.

Dziewięćdziesiąt pięć tysięcy morgów należało

w powiecie lityńskim do tak zwanej „większej własności polskiej“, obejmując folwarki i dobra ponad sto ośmdziesiąt morgów obszaru. Oczywiście — nie był to już w roku 1917 ów dawny, zwarty polski stan posiadania. Wskutek konfiskat, praw wyjątkowych, przymusowych, a niekiedy (choć nadzwyczaj rzadko) dobrowolnych sprzedaży, wdarli się tu rosyjscy nabywcy ławą, uszczuplając polskie władanie. Wprawdzie — korzystając z tolerancji religijnej, zawarowanej carskim ukazem w roku 1905 — przechodzili masowo „prawosławni Polacy“ na katolicyzm, ale niedługo to trwało: rząd uląkł się tego gremjalnego odpadania od cerkwi bezprawnie przywłaszczonych owieczek i śledząc każdy krok księży, wytaczał im procesy za chrzczenie dzieci z małżeństw mieszanych, tamując wbrew ukazowi cały ten ruch żywiłowy.

Cudowna jesień owego pamiętnego po wieki 1917 roku zastała wszystkich przy rolnych, przedzimowych pracach. Siano, młócono, zwożono z całym rozędem i ochoczością rolników, przywykłych do dawania i do odbierania gorączkowo naturze hojnych jej plonów, gdy nagle — gruchnęła wieść straszna, że z pod Kamieńca ruszył w głąb kraju zbolszewiczały II korpus gwardji i „robi porządki“ z napotkanymi po drodze gorzelniami.

Już od pierwszych dni wojny światowej Kamieniec Podolski jął odegrywać wybitną rolę, jako ważny punkt strategiczny. W chwili ogłoszenia mobilizacji Kamieniecczyzna ogłocona była z wojska,

odbywającego w tym czasie letnie ćwiczenia w obozie pod Międzyborzem. To też słaba straż pograniczna opuściła pośpiesznie całą linię Zbrucza, a władze gubernjalne wyjechały z miasta, dążąc przez Dunajowce w stronę Letniowiec (Nowej Uszycy) i szerząc ogólną panikę widokiem swych naładowanych „czemodanami“ (kuferkami) powozów i jawnej dla wszystkich dezercji. Dopiero w Letniowcach ówczesny powiatowy marszałek szlachty, Paton — zwróciwszy uwagę „prewoschoditelstwa“, że jego najważniejszym obowiązkiem jest raczej uspokoić ludność, zamiast wzbudzać w niej niepotrzebną trwogę — owe szalone tempo ucieczki zahamować potrafił. Wróciły więc po tygodniu impulsywne władze rosyjskie do opuszczonego przez siebie tak lekko-myślnie Kamieńca, dowiadując się ze zdziwieniem, że zdążył on już być w ciągu dni paru w ręku Austriaków. W myśl zaś wydanego poprzednio nakazu, aby w razie wybuchu wojny z zabruczańskim sąsiadem, zostawiać za sobą tylko popioły i pustkę, odstępująca straż pograniczna, mijając nietknięte folwarki i dobra czarnosecinnych rosyjskich działaczy, jak: Rakowicza, Aleksandrowa, Petalasa, Kryżanowskiego, ks. Chiłkowej — podpałała sumiennie sterty i zbiory w majątkach polskich.

W miarę rozwoju akcji wojennej, Kamieniec militaryzował się coraz bardziej (przeprowadzano nowe kolejowe tory) i stał się wkrótce główną kwaterą sztabu generała Brusilowa. Propaganda rozkładowa w armji rosyjskiej, na tyłach rozlokowanej, stawała

się z tygodniem każdym jawniejszą, już po pierwszej porażce Moskali pod Gorlicami. W połowie 1915 roku, licznie skupieni na linii szosy Kamieniec — Płoskirów, żołnierze tak zwanych marszowych oddziałów, ktorými po krótkim ich przeszkoleniu kompletowano następnie szeregi frontowe, przechwalali się niemal jawnie, że strzelali z tyłu do prowadzących ich do ataku oficerów, aby tem łatwiej oddać się do niewoli niemieckim wojskom. Zdumiewały „tabuny“ udekorowanych nieraz krzyżami św. Jerzego, a otoczonych teraz kozacką eskortą — dezertersów z frontu. Wszystkie okoliczne dwory zajęte zostały przez szpitale polowe lub też przez różne sztaby korpusów i armij.

Z „zarekwirowaniami“ na użytek tych instytucyj domowemi sprzętami nie ceremonjowano się zbytnio, rąbając drwa na przepysznych posadzkach, albo rozpalając ogień nóżkami i poręczami czcigodnych mahoni i starych czeczotów, przyczem i właściciele przyfrontowych, podolskich siedzib ulegali również przykreemu lekceważeniu. Wobec zwycięskiej ofensywy Mackensena i wyparcia Moskali z Karpat, zaczęto już w lipcu przynaglać do jak najrychlejszego ukończenia zbiorów, wobec konieczności ewakuacji i obrony Podola.

Zapanował tedy okrutny chaos. Na folwark wpadał podczas młocki urzadznik z rozkazem: „Wywozić natychmiast lokomobile!“ „Zdjąć aparaty w gorzelniach!“ „Maszyneryje po młynach!“ „Na wozy! W głąb kraju! Podalsze od fronta!“ — Ukazały się

obwieszczenia władz, nakazujące służbie folwarcznej obowiązkowy wyjazd na wschód z właścicielem majątku i jego dobytkiem. Jednocześnie zaczęto kopać i wzmacniać całe linje okopów, budować przy nich schrony podziemne i przygotowywać betonowe platformy pod wymagające mocnej podstawy ciężkie działa. Nadzbruczańska zwłaszcza połąć Podola zaroiła się masami przypędzonej z głębi Rosji ludności, zajętej owemi ziemnymi robotami, budową nowych mostów na Bohu i Dniestrze, jak również wzmacnianiem dawnych. Wytężone te prace przeciągnęły się do początku 1917 roku i dopiero rewolucja marcowa wstrzymała dalszy ich bieg.

Po wyparciu wojsk rosyjskich w lipcu 1917 roku z Galicji za Zbrucz, cały pas pograniczny poza Kamieńcem czterdzieści niemal wiorst szerokości mający, przedstawiał olbrzymie obozowisko wojskowe. Przez Kamieniec przewaliła cała prawie nawała cofającego się z Galicji frontu. Artylerja austriacka zasypywała szrapnelami nadbrzeżne pozycje, folwarki i dwory, które płonęły jaskrawym ogniem wśród wycia psów, zieleni parków i pachnących upajająco kwiatowych klombów. Dowództwo rewolucyjnej armji nie miało zamiaru stawiać oporu wrogowi, wywieziono więc z miasta wszystkie instytucje rządowe, a Kamieniec oddano pod opiekę czarnomorskim kozakom.

Wobec kursującej po mieście pogłoski, iż stojące na czarnokozinieckim odcinku frontu, tureckie wojska otrzymały pozwolenie zajęcia Kamieńca — do-

wództwo rosyjskie poruczyło opiekunom miasta — kozakom, wysadzenie w ostatniej chwili w powietrze mostów i nieuratowanych zapasów wojennych, usuwając się przytem z niezliczonemi żołnierskimi masami nieco dalej, w głąb kraju. Ale kilkoletnie przez wielomiljonowe rzesze przekraczanie przykazań: „Nie kradnij!“ i „Nie zabijaj!“ nagradzanie krzyżami za rzeź śpiących lub w popłochu zaskoczonych nieprzyjacielskich żołnierzy; przykład własnych oficerów, rabujących w Galicji opuszczone polskie siedziby, ładujących całe pociągi nakradzionemi tamże pięknymi meblami, obrazami, rzuconemi w pośpiechu ucieczki klejnotami, wysyłanemi do Rosji, jako „podarki“ dla pozostałych rodzin; łącznie z nieustającą agitacją i słynnym rozkazem N. 1, znoszącym karę śmierci — wydały wreszcie potworny swój plon. Trujące owoce dojrzały. Zbrodnicze jednostki, zmazane posoką niewysychającej krwi ludzkiej — wybiły się — zostały prowodyrami mas. Paroletnie lekceważenie, deptanie życia przeciwnika zaszczerpiło w duszach potworną chęć zniszczenia, miażdżenia życia tych, którzy w błogości niezachwianego dobrobytu nie zaznali wcale wojennej grozy. Nie zaznali męki głodu, ni chłodu. Nie odczuli bólu śmiertelnych ran. Nie przytrzymałi rozpaczliwie obu rękami, wymykających się z rozplatanego żywota trzewi, nie szli nigdy za zwycięskim oficerem artylerji, gdy po zmieceniu z powierzchni ludnej, kwitnącej osady, obchodził nazajutrz z notesem w ręku to, starte w proch, wdeptane w ziemię sie-

dlisko ludzkich mozołów, radości i pracy, stwierdzając z zadowoleniem udatny wynik matematycznych obliczeń. Nie! Oni tego wszystkiego nie zaznali, ci nienasyчени szczęściem burzują. Ci — bogacący się przelaną krwią proletariatu — tchórze, wybrańcy, krzywdziciele. Czerwone kąkole agitacji rozrosły się wielmożnie, wybujały nadmiernie, głusząc resztki nikłego posiewu pierwszych bezkrwawych dni. Błysk nienawiści z oczu żołnierza, gdy mu kiedyś w Galicji oficer dał w twarz, błysk zwielokrotniały, powtórzony przez wielomiljonowe masy, był w owym czasie pierwszą błyskawicą, rozświetlającą mroki nieznanej przyszłości.

Ośmnastego września ruszył II korpus gwardji z pod Kamieńca — dwudziestego drugiego niszczył Brailówkę Krassowskich, a dwudziestego siódmego już stał pod Litynem. Za nim — wyciągnął się aż do Kamieńca, przez lityński, mohylowski i uszycki powiaty — czarny szlak Hunnów. Szczęły na nim kipiące życiem i twórczą pracą folwarki i gospodarstwa — sterczały jeno ruiny a pogorzeliiska, niby stawiane przez śmierć pomniki. Tak leży w gruzach w kamienieckim powiecie i uszyckim — Rachnówka, Krzywczyk, Brailówka, Cywkowce Kleniewskiego, Karaczyjowce Obniskiego, Howory Tyszkiewicza, Osłamów Szmita (zniszczony słynny ogród i szkółki drzew), Malejowce Orłowskiego z pałacem, o którym pisał na początku XIX wieku poeta polski Rajmund Korsak: „O aedes! fausta es Nato, charissima amicis!“ (O budowlo! Szczęśliwaś urodzeniem — przyjaciołom droga!), nie przeczuwając wów-

czas, że kultura marmurów i kamieni, kultura pendzla i sztuki — w proch może tu runąć z łatwością, skoro nie idzie obok niej równorzędnie kultura ciemnych, ujarzmionych pozornie mas. Runęły zburzone podobnie Pilipkowce Tyszkiewicza i Łomaczyńce Brzozowskiego. W Daszkowcach zrabowano nawet należące do włościan bydło, chłopskie wycięto ogrody.

Rozbito trzy młyny, gorzelnię i cegielnię w Hołozubińcach Wiktora Skibniewskiego, które ongi wraz z Dunajowcami, Iwańkowcami, Muszkutyńcami i Raczyńcami należały do możnego rodu Herburtów de Fulstin.

Tuż za Barem rozwidła się zachłannie i mściwie ów posępny szlak najemników zniszczenia. Na prawym brzegu Rowu ucierpiały — Hołodki Dacenka — Sarneckich dawniej siedziba, skąd cztery powiaty wzrokiem można ogarnąć: w mohylowskim Bar, Czemerisy, Szersznie — w winnickim Kudyjowce — w laticzowskim Harmaki, Szyjińce, Karaczyńce, a w Lityńskim Komorowce, Iwanowce, Stodulce, o kilka mil nieraz odległe. Gleba tu pyszna, browar, gorzelnia, a stawy rybne na Rowie, a lasy dębowe i czarne, a sianożęci obfite, aż dziwnem się zdaje, że wieś ta ma wszystkiego do zbytku. Rozbite Mańkowce (gorzelnia), Tokarówka Lwowa, Sewerynowka Sokolowskiego. Zrabowano tu folwark doszczętnie, rzucając się potem na fabrykę win owocowych i miodosytnie, należące do pani Marji Olszewskiej, wywołując znaczne zapasy cukru. Na lewym brzegu Rowu ocalał chwilowo wąski pas — na północ zato szerokim pędem buchnęła pożoga: Serbinowce So-

kołowskiego, Słobódka Meżyrowska Szczeniowskiego, Hubertów Tadeusza Stempowskiego, (wszystkie zabudowania folwarczne) Huta Czernelowiecka Stanisława Stempowskiego, Czernelowce Kazimierza Stempowskiego, Ewelina Ewy de Krauze, Winnikowce Stanisława Stempowskiego, folwark Grabkowa Marjana Stempowskiego, Hryszki Rallowej, odlewnia żelaza przy Łuce Barskiej Frenkiela, Komarowce Meyendorfa, Zarudzie pod Radziejowcami, dzierżawca Podhorodecki, Nowosielica, Załużna, Borków, Majdan Borkowski — leżą w perzynie, ostremi, nastroszonymi kikutami pogruchotanych murów i ścian, wykazując cały swój martwy bezwład.

Na spotkanie tej gniewnej fali z południowo-zachodniej strony ruszyła od północy, z latyczowskiego powiatu druga zachłanno-burzycielska falanga zapasowych pułków, zderzając się z sobą w lityńskim powiecie, który też najbardziej ucierpiał w miejscowościach, gdzie doszło do wywołanych w ten sposób katastroficznych wybuchów. W Hubertowie — kilkotysięczna żołnierska tłuszcza, rozjuszona wódką z miejscowej, rozbitej w mgnieniu oka gorzelni, upojona dziełem zniszczenia, dając salwy wgórze, przy odgłosie bomb, podniecając się wzajem okrzykami: Hurra! szalała na widok płomieni wzniesionego pożaru, który ogarnął i pochłonął wszystkie gospodarskie zabudowania. W Sewerynowce — nie zwracali żołnierze najmniejszej uwagi na obecność w pałacu dowódcy i sztabu korpusu — kąpiąc się wprost w alkoholu. Padła ofiarą zasobna piwnica

i dziewięćdziesiąt beczek starego miodu. Gęsto został zasłany ciałami folwark, gdyż nieprzytomni z przepicia „towariszcz” ułożyli się na wygodny spoczynek w pobliskim, olbrzymim stogu siana, a gdy go języki ognia z jednego boku liznęły — spłonęli wszyscy, nie mając siły uciec od śmierci. Inni znów padali na ziemię, rycząc w pijackim uniesieniu:

— Propała matuszka Rassieja! Cudze dobro tak grabią! Sto lat gromadził — w pół godziny postradał! Propała Rassieja! Ech — tiiii!

Rozszerzają się i mnożą szlaki nowożytnych Hunów. Już i część miejscowej ludności wiejskiej, szalem tego bestjałskiego pochodu dotknięta, łączy się z wyuzdanem żołdactwem przy niszczeniu ognisk kultury i dotychczasowego ich zarobku. Zasmakowali już w rabunku cudzej własności, gdyż towarzyszczi prowodyrzy, na trzeźwo zyski obliczający, zapędzają po kilkaset chłopów z furmankami na „obrabiany” teren, aby pod osłoną wyjącej i pijanej gawiedzi żołdackiej wywozić cenniejsze rzeczy, jak pasy fabryczne, tysiące pudów cukru, zboże, nasiona i t. d.

Więc ginie w latyczowskim powiecie zburzona Warynka Strunkiego, Holeniszczów Mańkowskiego, Swiczna Gdowskiego, Buhłaje, Wojtowce.

W drobnych gospodarstwach po wsiach bez folwarków jak Radziejowce, Łuka Barska, Hołowczyńce, Dubowa, Petranie — szerzą się również bezprawia, gwałty, bezkarny rozbój. Z punktu widzenia dynamiki poniszczonych, sprawnych gospodarstw — stała się dla kraju krzywda olbrzymia, niepowetowana

nieleddie. Jakichże syzyfowych wysiłków potrzeba, aby podnieść z upadku, przywrócić życie tym pogruchotanym dźwigarom wielkiej ekonomicznej maszyny!

Czarny szlak idzie dalej. Zapelnia się nowymi stratami czarna księga Podola, albowiem gwardyjcy przechwalają się zuchwale:

— Chcą Ukraińcy mieć swoją „samostijną“ (niezawistą) — będą ją mieli, ale spustoszoną docna!

Natychmiast po ukończonym pogromie zjawiają się na miejscu tego dzikiego przestępstwa komisje, złożone z przedstawicieli zreformowanego już ziemstwa, wojska i grabieżców danego pułku, oceniając i spisując w obecności poszkodowanego właściciela, poniesione przezeń straty. Wręczano mu odpis ułożonego w ten sposób protokołu, jako wiekopomny dokument dziwnego splotu bezsilności władz i jakiejś cynicznej chęci ulegalizowania dokonanego bezprawia, gdy „szynel soldata“ zapewnia bezkarność. Zaczynają już tedy okoliczni włościanie w ten sposób przebierać się, idąc na rabunek do osaczonego dworu lub do pańskiego lasu. Tem jaskrawiej przedstawia się cała groza niszczyielskiego kataklizmu, że już oddawna właściciele gorzelń w przyfrontowym pasie Podola ślali rozpaczliwe podania i prośby do władz o pozwolenie wylania z cystern, należącego do rządu, jako jego monopol — alkoholu. Wyraźny zakaz takiego postępku jedyną był wciąż odpowiedzią.

Dwudziestego trzeciego października zawsze owego straszego 1917 roku zamordowanym został w Sła-

wucie 85-letni książę Roman Sanguszko. Przepiękną była śmierć jego. Nic to — że rozbestwieni żołnierze 264 pułku piechoty, pod pozorem protestu przeciwko ochranianiu przez kozaków lasów sławuckich — rzucili się na piękny pałac, burząc i rabując, co tylko się dało. Nic to — że spłonęły rzadkie książki, rękopisy, obrazy, jedwabiste dywany, namiot króla Jana III, przechowywany jako narodowa relikwja, że barbarzyński tłum młócił kolbami zbiór najcenniejszej porcelany europejskiej, że rabunek przybrał charakter żywiołowy, bestjalski, niepoahamowany. I nic to — że wniesiono nazajutrz księcia w trumnie do grobów przodków w grubej, szpitalnej bieliźnie, bez obuwia, w podziurawionem bagnetami odzieniu; albowiem ten odarty ze wszystkich dóbr ziemskich człowiek stanął przed Bogiem w purpurze męczeńskiej krwi i blasku odwagi i spokoju przed śmiercią.

Ostrzeżony w przejeździe przez miasteczko (dokąd się udał dla obejrzenia grobu, murowanego dla kanonika Gromadzkiego) o przygotowywaniu napadu na jego starą siedzibę, nie posłuchał życzliwych rad i „dla zasady“ powrócił do siebie. W chwilę już później żołnierski tłum, niby płynąca lawa wtargnął do pałacu. Wywleczono księcia na nasyp, niedaleko zamkowych wrót. Żołdacy otoczyli go, urągając wrzaskliwie :

— Gotuj się na śmierć, „świeciejszj kniaź!“

— Uderzcie w dzwony! Chcę, aby mnie sądził i wydał na mnie wyrok lud, wśród którego żyłem!

— My teper sami narod! — uderzył go któryś

kolbą w głowę. Starzec tak był mocny, że pomimo to nie upadł. Pchnął go drugi bagnetem w plecy.

— Pozwólcie mi się pomodlić... — jęknął i na ziemię się zwałił.

— Isz ty, kakoj bohomolec! — z głośnym śmiechem wpakował mu bagnet w piersi.

Kalecząc sobie palce wyciągał księżę ostrze stali z rany:

— Księżda... szepnął — księdzabym chciał zobaczyć...

— Okoliejesz (zdechniesz) i tak! — warknęli wszyscy, bijąc kolbami i kłójąc leżącego na ziemi. Pastwili się jeszcze nad martwym ciałem, zadając mu trzydzieści ran i skaleczeń. Na tle rozszalałego piekła zniszczenia — leżał księżę już martwy, bez ruchu. Ogniste kipiela wylatywały z podpalanego pałacu, oficyn i stajni, konie araby, ze słynnego stada Sanguszków cwałowały po parku z rozwianymi grzywami, a jeden z podżegaczy, siedząc na wyniesionym z pałacu fotelu, zachwycał się tym malowanym płomieniami i śmiercią obrazem, wykrzykując do towarzyszy:

— Gdyby nie ja — żyłby z pewnością stary książ i nie mielibyście takiego wspaniałego widowiska!

Dreszcz przerażenia i zgrozy przeleciał przez ziemie kresowe na wieść o zbrodni sławuckiej. Czyżby to miał być dla wszystkich dzwon, bijący na wieczny spoczynek?! Lekka kara, wymierzona mordercom, zdaje się potwierdzać słuszność ogólnego poglądu.

Płoskirowszczyzna ugina się pod falą zbolszewiczającą, rabującej armji. W dawnych tradycjach rodzin-

nych, w starych rękopiśmiennych księgach (*silva rerum*) — pozostały wspomnienia i zapiski o przylatującej dawniej perjodycznie do tego powiatu szarańczy. Przesąd jakiś powstrzymywał od wygubienia wroga. Dopiero w 1820 roku zebrali się wszyscy mieszkańcy i zadali cios ostateczny nieprzyjacielowi, który odtąd przestał być zgubnym.

Do tego zwycięskiego, zapomnianego już nalotu szarańczy, porównać można to, przez co przechodziła dotychczas, nękana bliskością frontu, Płoskirowszczyzna. Teraz zaś wrzynać się w nią zaczynają szlaki okrutnej zagłady. Anarchja rozwija się szalonym, niepohamowanym tempem. Już trzydzieści trzy folwarki padły rozgromione, unicestwione, a zrównani posiadacze przepelniają zajęty przez wojskowe oddziały Płoskirów. Andrejkowce Wacława Skibniewskiego wprost starte z powierzchni ziemi, gdyż żołnierze finlandzkiego korpusu, miotając bomby w folwarczne budynki, poszarpali je na wskroś, a chłopci miejscowi rozebrali resztki docna. Dwór zaś po zupełnem ograbieniu, napełniwszy słomą, podpalili „towariszci“. Wzorowe gospodarstwo przestało istnieć — jak było zasobnem, świadczy fakt, iż spłonęło w tym dzikim pogromie buraczanych nasion za sto tysięcy rubli.

Leżą rozbite, w ruinie piękne Wodyczki Zaleskiego i Niemierzyńce Czuwasza, Słobódka i Hołodryńce spadkobierców A. Orzechowskiej i Chmielówka Modzelewskiego i Moskałówka Korsaka. Nie uszła od złej doli i Bałamutówka Rosjanina Ancyfe-

rowa i Bujwołowce Iwanowych, Dachnowka Pleśniewiczów, przy bronieniu której raniony został Petrazyski, brat pani domu, i Klimaszówka Dunin-Borkowskich. Niekiedy — jakieś prześliczne, niespodziewane uczucie zakwitnie pod stopami tych ludzi, gonionych z własnych warsztatów pracy, uczucie żalu nad ich dolą, wdeptane jak fiołek w narosłe warstwy szarych mchów.

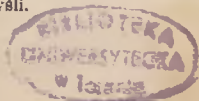
Dziewięcioletni Iwaś siedzi na progu swej chaty w Klimaszówce i wypatruje ciekawie, co to się dzieje dookoła. Październikowy dzień, choć przy końcu miesiąca, nie chłodny jeszcze, tylko wczesnie ciemność przychodzić zwykła. Jest na co patrzeć. Do wsi przyszedł od paru tygodni zbuntowany pułk dońskich kozaków z frontu, tacy źli ludzie, aż dziw. Tylko wciąż słychać krzyki, a groźby, że spalą dwór, że wyrzną burżujów. Ot i teraz stoją gromadki, to tu, to tam — między chatami, na drodze, a wrzeszczą i rękami machają, jakby się na prazniku popili. Wtem Iwaś podnosi się żywo, na piętach przykuca i patrzy uważnie w głąb wsi.

— Bacz! Ce pani idut! — zrywa się i jak kulka do niej podlata:

— Prosze pani. Taj czomuż wy szlajeteś tak po noczi?!

Pani Marja Borkowska, wysoka brunetka, o energicznych ruchach, zatrzymuje się i spogląda na dzieciaka z uśmiechem:

— Wracam od małej Sofijki. Matka z płaczem przyleciała do dworu, prosi mnie, po rękach całuje: — Ne-



chaj pani iduť do mojej detyny chutko. Zasľabľa duze, a bez pani nijak ne poradymo!

Iwaś stoi na małych nożynach, prościutki jak trzcinka, a głowę do góry, ku pani zadziera:

— Wže teper temno. Ci kozaki taki łychi! Ony szcze paniu ubjut'! Ja was provedu, teper nebezpečno — wsuwa łapinę w dłoń pani Marji i tak we dwoje idą przez wieś. Wysypują się z chat kozacy, z pod oka patrzą na przechodzących — nienawiść we wzroku ustępuje miejsca zdziwieniu — zamierają na ustach złe słowa. Juź dwór. Chłopczyzna — bęc panią w rękę i jak strzała pędzi zpowrotem.

Byłżebyś Iwasiu, tym może, którego opiewa młody poeta — Rusin, z naszych, najmilszych ukraińskich stron? Czy z tobą może — gdy przyjdą lata — zaświta owa, upragniona przez Pawła Tyczyneń zorza?

— Błahosłowlaju, synku, na woroha —

A win: — Matusiu moja!

Nemaje — każe — woroha

taj ne buło.

Tilky j jest u nas woroh —

nasze serce.

Błahosłowit, mamu, szukaty zilla,

Szukaty zilla na ludzkie bożewilla.

Zweła ja ruki do chresta,

aż koło mene nikoho nema.

Tycho. Łysz woron: krja, krja...

Praworucz — sonce

liworucz — misiać

A tak — zorza."

(— Błogosławię cię, synku, na wroga —

A on: — Matusiu moja!

Niema — powiada — wroga
i nie było.

Tylko jeden u nas jest wróg —
serce nasze.

Błogosław, matko, na szukanie ziela

Od ludzkiej złej woli, co ludzi rozdziela —

Ręce do krzyża wznoszę ja,
aż tu koło mnie nikogo niema.

Cicho. Kruk tylko: kra, kra...

Na prawo — słońce

na lewo — księżyc

a tak — to zorza“.)

Tymczasem jednak nie zorza kołta znużone, nierówną wobec przemocy walką, serca i oczy, ale oślepiła je rdzawa i nienasyconie płonąca luna nad ziemiami Podola.

Już zdewastowana i Sołonna Bogdanowej Załeskiej i Dzielińcze Wiktorji Zaleskiej, zmarły Chomińce. Pani Józefowa Starorypińska zdołała uratować część rzeczy, mąż jej, zgnębiony dzikim pogromem świetnie zagospodarowanego folwarku — nie wierzy w możliwość powrotu.

Wyjeżdża w dzień, powozem, wśród pogrzebowej ciszy, pani Jadwiga Zaleska z odziedziczonych po najbliższym krewnym, Władysławie Markowskim Skaziniec. Tłumy chłopstwa otaczają starą, rodową siedzibę. Tak są podburzeni i zbuntowani przez trzystu stojących we wsi żołnierzy, że grożą bombami i podpalaniem, czego zainstalowany we dworze kapitan obawia się więcej, niż właścicielka. Radzi jej uciekać

w nocy. Patrzy nań z oburzeniem: — Muszę ulec przemocy. Wyjadę — ale kryć się z tem nie będę!

Pogrom wybuchnął 13 listopada, niszcząc część niezmiernie cennego archiwum, spokrewnionych z Jarmolińskimi rodzin: testamenty i działy Czółhańskich, Chocimirskich, Dawidowskich, Kalinowskich, Korsaków, Potockich, Lanckorońskich i innych, mińkowieckie druki, sztychy Norblina, albumy Kielesińskiego, albumy ze zbiorów Hołowińskiego, ciekawe korespondencje. Piękne mahonie ozdobiły wraz z portretami przodków klub bolszewicki w Jarmolińcach.

Strapiony, zapłakany — zjawia się o świcie w Płoskirowie rządca Pawłowski z Ostapkowiec. Chciał uchronić od rozbicia powierzony mu majątek — wezwał na pomoc kilkunastu kozaków, za co mszcząc się chłopci wpadli hurmą na folwark, szukając go wszędzie i wygrażając ostro:

— Gdzie on się schował, ten pies?! Pociągnąć go trzeba po murze, gdzie wmurowane szkło! Bude maty pamiatku do smerti!

Ratuje go od męczarni poczciwy kozak Oksenty, przez mur ogrodowy przesadza. Las blisko. Leżą w nim jak długie, kręte biczyska, okopy. Wpada w nie człowiek, goniony jak zwierz, twarzą do ziemi się tuli, dech w sobie tai, aż noc mu czapkę-niewidkę nasuwa.

W Bokijówce — chłopci znieprawieni ciąglą agitacją, zmusićby chcieli obie panie Żeromskie do jak

najszybszego wyjazdu, aby wszystko w swe ręce zagarnąć.

Leczyła ich z całym zamiłowaniem i wiedzą panna Natalja Żeromska doktor medycyny po studjach w Genewie, szpitalik we dworze urządziła wygodny, chorych sama najstaranniej doglądała, karmiła. Zapomniane to wszystko. Wielki żywiołowy okrzyk tętni bez przerwy, kędyś z dna głębokiego tej strasznej, wicherzącej się burzy — krzyk pożądania i radości tych chłopskich mas, które wreszcie doczekały się ziszczenia tajonych pragnień:

— Bude narizka! (nadział).

W Bębnówce wre. Tam — wyjątkowo — nie zbolszewiczali żołnierze, ale miejscowy zbój, Hryć Lipikasza, do pogromu i zemsty nad „burżujami“ całe chłopstwo podnieca. Olbrzymi drab, o ponurem wejrzeniu, oddawna już z panem Janem Jodko osobiste porachunki mający. I dlaczegoż — to oni, ci jaśni panowie, w tym białym dworze, w „rozkoszach mieszkający“ — jego rodzoniutkiego brata do szkół w „Adesie“, a potem do „Pietierburha“ na naukę za własne „hroszy“ posyłali? Że on — ten Wasyl — węglem na ścianie chaty jakieś ptaszki smarował, a „pany“ nad nim głowami kręcili z wielkiego podziwu, to dlatego on, Hryć, już nic nie był wart? To można tak: jednego brata pomeż anhelamy posadyty, a drugiego — w pekle ostawiyty?! I wy myślicie, jaśni panowie, że to tak można? — wyrzucał nieraz groźnym półszepem Hryć Lipikasza

bezlądne wymówki, gdy stojąc zdała, za ogrodzeniem parkowem, przyglądał się godzinami z pałacą zawiścią jak brat jego, Wasyl, uczeń Akademji Sztuk Pięknych nad Newą — a potem już malarz wstawiony — po wspólnym z Jodkami obiedzie, jak równy z równymi, po parku z nimi przechadzał się często, a oczy i pani i pana i panienek z taką przyjaźnią na wychowanka tego patrzyły. — Pomeż anhelamy jeho posadyły! — Hryć zaciskał pięści na to wspomnienie, znienawidził brata i okradł tak zręcznie dwór bębnowiecki z klejnotów, sreber i kosztowności, że pomimo wszystkich poszlak nie zdolano mu tego udowodnić na sądzie, a skradzione rzeczy wpadły jak w wodę. Potem przyszły inne kradzieże i zbrodnie i Hryć Lipikasza powędrował na Sybir, w katorgę. Zato teraz — rewolucja uczyniła zeń odrazu wielkiego człowieka. Wraz z towarzyszem Kapką i Zacharowym należy do Wojenno-Rewolucyjnego Komitetu w Płoskirowie i do niego muszą się zwracać „panowie“, błagając o uratowanie z pogromu przynajmniej jakiejś cząsteczki swych skarbów. Jodkowie jeszcze mieszkają we dworze, ale krucho już z nimi, a Hryć śmieje się nieraz okrutnie i mściwie na myśl, że jeśli nie dziś, to jutro, pojutrze — dojrzeją jego nauki i rady w tłum chłopów miejscowych codziennie rzucając i ten biały, zaciszny dwór istnieć przestanie, a „starzy“ pójdą w świat, na tułaczą wędrownkę. — Poszedł ja na Sybir, idźcie i wy do czorta! — Dzień pogromu już naznaczony. Jeszcze folwark i zabudowania nietknięte,

a już wokoło nich wznoszą się płomienie, zażgniętej przez Hrycia nienawiści. Przez zasłony przy oknach, przez znakomicie dostosowane drzwi, przez mury domu, zda się tak wybornie od burz wszelkich dotychczas chroniące — przepływają niby woda z roztopionego lodu przez grugą kotarę — prądy wrogości:

— Baczysz?! Ce bomba dla Jodki, Musimy go zabić, bo inaczej nie dostaniemy ziemi! — Można i tak — a możeby łuczsze było priamo jeho zakototy! (możeby lepiej zakłuć go).

Po Wodyczkach — na czarnej liście zniszczenia wpisana Bębnówka.

Rzekłbyś — ziemia drży pod stopami, a w rozwierające się szczeliny lecą jedne za drugimi, niby zruszone piargi, wzorowo funkcjonujące, gospodarskie warsztaty. Od czasu do czasu huraganowy ogień w stronie Wołoczysk zwiększa jeszcze wrażenie chaosu, przewalającego się nad ziemiami Podola.

Wyjeżdżają z domu do Płoskirowa na stałe Janowie Jodkowie. Póki czas. Sześćdziesiąt pięć lat przeżył w spokoju, dostatku i szczęściu pan Jan w tym domu rodzinnym i teraz strzelać do swoich włościan, nawet w obronie własnego życia nie chce. Listopadowy dzień szary i smutny. Błoto klapie z pod końskich kopyt. Ciężkie myśli leżą ołowiem na sercu, jak w chwili, gdy ktoś najbliższy i drogi skazany na śmierć nieodwołalnie... Umiera dom — i już go więcej nie zobaczą. W jaskrawym rzucie przesuwa się cała przeszłość przed ich oczami. — Zanadto przywiązywaliśmy się do rzeczy doczesnych —

rozmyśla jadąc pan Jan. — Gromadziliśmy wokoło siebie przedmioty zbytku i piękna, a niedość zajmowaliśmy się obowiązkami społecznymi. Takie Seminarjum w Żytomierzu, szpitale, inne instytucje krajowe. Nie myśleliśmy o nich wcale! Podróżowaliśmy — zbieraliśmy cacka! Dopiero w ostatnich czasach, za przykładem innych, wspieraliśmy szkoły, ochronki. Bóg nas słusznie dotyka.

Niech wola Jego będzie święta! Na usprawiedliwienie nasze cóż można powiedzieć? Zięć artysta-malarz zamiłowanie do sztuki w nas pogłębił. Winia jako artystka podniecała również to ukochanie piękna. I wychowańcy nasi, Wasyl Lipikasza i Anatazy Oparenjuk niemało do tego lubowania się w artyźmie otoczenia dorzucili własnej zachęty. Lekko schodziło mi życie. Krasusio (rządca) — anhelskij czołowik — jak o nim mawiali chłopci, myślał o wszystkim. Taki rozumny, pracowity, zapobiegliwy. Cześć jego zacnej pamięci! A Gludunio?

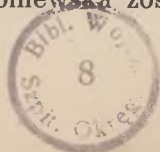
Inny to był zupełnie typ. Pełen smaku architekt, z Węgier przed laty przybyły.

Kiedyś do Bębnowki z kuferkami zajechał, no — i dopiero po kilkunastu latach wprost na cmentarz czarno-ostrowski, gdzie mu piękny pomnik postawił, się, przeniósł. A teraz — czy nas, tułaczy, przytuli ktokolwiek tak gościnnie?... I co to będzie?... Biedna Winia! — i pan Jan rzucił z za szkieł krótkie, badawcze spojrzenie na żonę.

Siedziała w głębi powozu, spokojna napozór, ale i w niej sprzeczne uczucia targały myślami, aż do

fizycznego niemal bólu. Oto latami całemi leczyła tych chłopów w Bębnowce, gdy przychodzili co rana do jej ambulatorjum, niektórzy przy niej wyrosli, a ona nie szczędziła im nigdy najlepszej swej woli, opatrywała nieraz wstrętne rany, doprowadzała do zdrowia. I teraz ci oto, błogosławiący ją przedtem ludzie, grożą jej mężowi okrutną śmiercią, skazują ich na wygnanie, chcą dachu pozbawić. Uczucie jakieś, do nienawiści podobne, wkrada się do jej serca, a jednocześnie wie, że im te winy odpuścić powinna, wierzy głęboko, więc zmagą się z sobą w milczeniu, bez słów i wyrzekań, w tej decydującej chwili, kiedy przeszłość staje się tylko wspomnieniem, kiedy „droga do szczęścia“ urywa się nagle nad przepaścią.

Trzyma się jeszcze w swoich Popowcach i długo przetrwa na stanowisku — pani Marja Bogumiłowa Skibniewska, ogromnego hartu i zasług działaczka społeczna. Postać promienna, pełna mądrej dobroci. Ona — to w 1905 roku, kiedy zaświtał wąty promyczek swobody czynu — pierwsza ziemianki powiatu płoskirowskiego i kamienieckiego dla pracy nad ludem polskim zorganizowała, duszą i inicjatorką ich kół była, słowem i czynem — sama w szkołkach i ochronkach pracując — do przewycięzania trudności zagrzewała. Ta matka-Polka pięciu synów do Polski wyprawia — przekradają się piechotą, w przebraniu. Córka jej Halka, od chwili powstania korpusu Dowbór-Muśnickiego, jest tam siostrą Czerwonego Krzyża. Pani Skibniewska zostaje w Popow-



cach z najmłodszą tylko córką: — Idźcie. Dla Polski pracujcie i walczcie — ja przetrwam tu wszystko. — Dom jej otwarty dla bezdomnych, z gniazd wyrzuczonych — daje im dach, opiekę, chlebem z tymi się dzieli, co go już nie mają.

Płoskirów już tak rozbitkami przepelniony, że trudno o kąć najlichszy. Ściany niektórych domów upstrzone sążniowemi drukami: Uniwersał Rady Centralnej, oddający chłopom ziemie dworskie bez żadnej zapłaty, ze złożonych zaś w bankach kapitałów maksimum po pięć tysięcy należy do dawnych właścicieli, pozostałe sumy przechodzą na rzecz ukraińskiego rządu. Obok obwieszczenie Lenina, mianujące chłopów władcami wszystkich majątków wraz z martwemi i żywemi inwentarzami, które winni natychmiast objąć w swe posiadanie i bezzwłocznie się nimi podzielić. Dwa rządy — oficjalny po październikowym przewrocie — bolszewicko-rosyjski i nowopowstały miejscowy prześcigają się we wprowadzeniu radykalnych reform, niezbędnych dla pociągnięcia za sobą tłumów. Na rogach ulic rozlepione plakaty, głoszące, iż państwa koalicyjne, a więc Francja, Anglja, Włochy, i t. d. wzbraniają Rosji zawierania odrębnego przymierza, a nawet zawieszenia broni z Niemcami.

Wobec tej anarchji, rwącej ku zgubie cały kraj, powtarzają się nawet w miasteczku napady zbrojne w celach rabunku. Hryć Lipikasza, na trzy gminy wybrany komisarz, rozjeżdża po Płoskirowie, zabranemi już w Bębnowce cugantami i wykwinnym po-

wozem, wypoczywając po trudach rządzenia w elegancko urządzonym apartamencie. Uzbrojone bandy żołnierzy z finlandzkiego pułku napadają na Zalesie Jodków, wyjąc: — Dawaj pieniądze — lub wszystkim śmierć! — Żona dzielnego rządcy Jaworskiego chora na tyfus. Parobcy i dziewczęta błagają wprost opryszków, aby odeszli wobec ciężkiej choroby w domu. Umazani sadzą bandyci wyłamują drzwi, biją szyby, strzelają, żądają oddania kasy. Jaworski dobywa z ukrycia własny, zaoszczędzony grosz:

— Biercie. Więcej nic nie mam. — Jeszcze bieliznę i odzież wynoszą grabieżcy i wreszcie uchodzą, zostawiając za sobą w wyziębionym i pustym pokoju śmiertelnie chorą kobietę. Setki podwód wywożą codziennie z Bębnówki sadzony las, zawierający wprowadzane z Podzamcza jako sadzonki — klony jesionolistne, modrzewiowe jodły, srebrzyste świerki, korkowe brzozy, czerwone dębezaki... Barbarzyński gwałt i bezprawie rujnuje zarówno bogatych jak i ubogich. Bandy rabusiów napadają na drobne gospodarstwa szlacheckie, turbując rezerwistki, których mężowie służą w korpusie polskim, zabierają bydło, chlewnię, ostrzeliwiają większe dwory, w których po rozgromieniu wybucha często płacz dzieci wiejskich, gdy znajdują podarte szkolne kajety i książki.

Gorąca dyskusja wre w sali Szkoły Polskiej, gdzie na zgromadzeniu rozbitków oficerowie Polacy z oddziału Jaworskiego, ofiarowują swe usługi dla obrony Płoskirowa i całego powiatu. Zdeterminowani, dzielni chłopcy, wśród których wyróżnia się wzro-

stem olbrzymi Stanisław Kownacki z Kołybań, przybyli tu z Antonin na czele konnego oddziału. W głowach im się pali — krew młoda kipi chęcią pomśczenia strasznych krzywd, zadanych polskości: — Krew za krew! Za ruinę — ruina! I my potrafimy zostawić za sobą dymy pożarów!

Porywają się ze swych miejsc na to inni — protestują, przedstawiają, opamiętać pragną szaleńców:

— Garstką jesteście! Zginiecie w tem morzu zbuntowanego ludu! W zasadzkę wpadniecie — śladu po was nie pozostanie! Taki nieliczny oddział wzbudzi tylko nienawiść! Skoncentrujcie się w Płoskirowie, po ulicach codziennie w szyku bojowym przejdźcie — wówczas istotnie powstrzymać będziecie w stanie bandy dezertarów i zbójów, przygotowujących być może pogrom miasta i rzeź tych rozbitków, którzy się tu schronili!

Wśród tego dziwnego życia, uwieszonego jak gdyby na zrębie śmiertelnej przepaści — rozplómienia się światło polskiego szkolnictwa. Rada szkolna skupia w sobie najżywotniejsze siły przebywających w Płoskirowie stale inteligentów miejskich i napływowych z musu, rolników. Waclawowie Skibniewscy oczywiście należą do niej, a tak są zapobiegliwi, tak sprawom szkół oddani, że zdawałoby się, iż najzupełniejsza ruina nie ich dotknęła. Pani Waclawowa jest nauczycielką w Szkole Ludowej imienia Kościuszki, pani Marja Borkowska podjęła się niebezpiecznej w tych czasach roboty:

Jest lustratorką szkółek w całym powiecie, a wszyscy wierzą, że dzielność jej sprostą temu ciężkiemu zadaniu. Dziewiętnastoletni Włodzimierz Dunin-Borkowski wykłada w szkołach Płoskirowa nauki przyrodnicze, tablice rysuje, aż mazurskie dzieciaki, zapatrzone w te dziwy, usta z zaciekawienia otwierają szeroko. Syn Waclawa Skibniewskiego, Włodzimierz, zaledwo w roku ubiegłym gimnazjum skończył, już teraz historję narodu polskiego dzieciom szkolnym przystępnie opowiada. Jan Jodko, kurator i prezes Rady Szkolnej po kilka godzin codziennie w szkole przebywa, ciesząc się postępami dziatwy, której na wykłady do 600 się zbiera ochoczo.

Gimnazjum siedmio-klasowe, im. H. Sienkiewicza powstało dzięki zabiegom niestrudzonej doktorowej Tarnopolskiej, aptekarz miejscowy Derwojed z synem i córką — patrjoci, wierni narodowej idei, nie mało się przyczynili wraz z adwokatem Belke, dyrektorem Banku Kanigowskim, dr-stwem Stawińskimi, dr. Prószyńskim do rozwoju polskich ochronek i szkół. Zresztą wobec braku funduszków i opornego traktowania tych spraw przez rząd ukraiński, jedynie za pomocą went, koncertów, przedstawień podtrzymywało się jakoś, drogie wszystkim instytucje. Ksiądz Nosalewski urządził trupę teatralną ze swoich kochanych Mazurów. Warto było widzieć jak dziewczęta i chłopcy grali Łobzowian, z jakim zacięciem tańczyli, jak chóry ich pięknie śpiewały, jak przygrywała orkiestra, aż nogi się same zrywały do tańca.

W owym straszliwym czasie, kiedy to Lenin, Moskal-rewolucjonista, wstrząsnąwszy niby nowy Samson, gmachem państwowym — zasypał całą Rosję i kresy raniąciami odłamkami pogruchotanych kolumn — tu, w tem małym, podolskiem miasteczku huczały w miejskim teatrze oklaski na cześć ludu polskiego, rozpinano orła białego nad gmachem uczelni narodowej, płynęły hojnie składki — niemal ostatnie zasoby — od wygnanych i zniszczonych Pułaskich, Żurakowskich, Biskupskich, Kownackich, Zalesskich, Kleczyńskich, Szaszkiewiczów, Kosseckich, Starorypińskich, Skibniewskich, Jodków — sprzedawano dywany, kandelabry, uratowane resztki dawnego mienia, dla prowadzenia ochron i szkół. Jeszcze nie wypędzeni, ale już zagrożeni w swym bycie inteligenci miejscy, urzędnicy, kolejowcy Polacy — śpieszyli razem z tamtymi — złożyć kaganek z rozpalonym płomieniem ducha polskiego w ręce tych małych, tych szarych, tych drobnych, którzy na pewno ostać się mieli. Chwilo przedziwna! Tyś ziarnem z którego wyrośnie cud-drzewo!

W sali Szkoły Polskiej ukryte tętno całego życia. Tu się odbywają wszystkie narady i posiedzenia, więc i przedwyborcze, dzielnicowe. Uniwersał bowiem Ukraińskiej Rady, odbierając ziemię Polakom, zezwała im jednocześnie na „autonomję personalną“, t. j. prawo samodzielnego zarządzania swego życia narodowego, przy pomocy organów Związku Narodowościowego. Uchwały zaś, dotyczące zakresu kompetencji onego — podlegają rozpatrzeniu i za-

twierdzeniu przez Zgromadzenie Ustawodawcze Ukraińskiej Republiki Ludowej lub też przez jej parlament.

Powstaje nawet Ministerstwo Spraw Polskich w Kijowie, mające na celu obronę praw obywatelskich, ekonomicznych i kulturalnych ludności polskiej na Ukrainie. Ministrem w niem jest prawnik z zawodu, Mieczysław Mickiewicz, wiceministrem Walery Rudnicki, przedtem członek Rady Centralnej, świetnie władający językiem ruskim. Gdy jednak Ministerstwo to (acz szczerze demokratyczne) wystąpiło w obronie, pokrzywdzonych przy pogromach, osiadłych na roli Polaków kresowych — ściągnęło na siebie zarzut ze strony ukraińskiego rządu, że jest reakcyjnym organem. Pozwalają mu na protesty, które nie dają żadnych wyników, gdyż demagogiczny rząd toleruje nadużywanie władzy przez komitety rolne i samowolę chłopstwa.

Sala przepełniona. Jako obrońca praw ludu i rzecznik skrajnych socjalistów przemawia pan Ciechan, milicjant.

W nieudolnej, przewlekłej mowie, oskarża szlachtę o ucisk ludu, o ciemnienie, o wyzysk. Szlachta to zgubiła, sprzedała Polskę. Socjaliści ją zbawią. Wreszcie — stawia kandydaturę listy Nr. 14, której leaderem jest skrajny rosyjski socjał — Skobelew.

Publiczność, składająca się w znaczniejszej części z Mazurów i Mazurek, w czasie przemówienia tupie nogami, hałasuje, rzuca wyzwiska na mówcę, który stara się ją przekrzyczeć. Książd Nosalewski, jako

przewodniczący dzwoni co chwila, prosi o spokój ale powstrzymać żywiołowego protestu nie jest w możności. Pan Ciechan zmieszany i zły opuszcza mównicę, a po drodze spotyka pogardliwe pytania: Jakiej narodowości?! Co?!

Za drzwiami dopędza go jeszcze Włodzimierz Skibniewski i słychać zdala gwałtowną utarczkę słowną, która wreszcie na schodach zamiera.

Na mównicę wychodzi śpiesznie profesor Opióła. Daje świetną wprost replikę, a przedewszystkiem uprzedza obecnych, że jest synem włościańskim, a wobec tego dobro ludności robotniczej i wiejskiej jest dlań najświętszym celem.

Nie pora na waśnie. Wobec pogromów i klęsk — łączmy się wszyscy. W tem siła i moc. Maluje dodatnio rolę szlachty i inteligencji na kresach, podkreślając, że przecież wszyscy za czasów caratu byli niewolnikami i prace społeczne przodującym warstwom były zakazane. Do niższych — nie dochodziły z umysłu promienie oświaty. A jednak — potajemne usiłowania nauki polskiej nie ustawały, jak wiecie. Stąd i terażniejszy wspaniały rozkwit szkolnictwa naszego na Rusi. Mowa jest barwna i doskonale przez lud przyjęta, przyczem niemało mu to pochlebia, iż „pan profesor“, syn chłopca tak pięknie przemawia. Rzęsiście oklaski brzmiały w całej sali.

Jan Jodko jest również wśród obecnych, gdyż teraz nie opuściłby w żadnym wypadku możności współpracy ze swem społeczeństwem. Oburzał się na Ciechana, wysłuchał z zajęciem mowy Opióły, ale

w przerwach czuje nieznośny ból w piersi i ciężką ma głowę. Od rana grabią folwark i dwór bębnowiecki...

Przed samem zebraniem doszła doń taka piorunująca, choć spodziewana wieść. Ośmnaście budynków, krytych blachą lub dachówką znika z powierzchni ziemi. Hryć Lipikasza cenniejsze rzeczy powoli wywoził, a potem wieś całą do pogromu zapędził, krzycząc i podniecając grabiących: — „A teper, chłopci, hrabit, łomajte! Ale szczobyście ani cełłynki ne ostawły! Bo do toj cełły wernetsia „staryj“! — Tylko bębnowiecka, drobna szlachta nie bierze żadnego udziału w tem barbarzyńskim zniszczeniu. Więc czuje dla niej zgnębiony pan Jan wdzięczność bez granic. — Gdyby tak wrócić! — myśli. — Kościółek — bym dla nich wystawił, dzieci ich do kultu przeszłości nakłaniał. Schłopiałą szlachtę, zmienić powoli w drobnych, kulturalnych rolników-Polaków. To cel, cel dopiero teraz zrozumiany! Warto dlań żyć i męczyć się teraz!

Głośniejsze jakieś słowa znów go od smutnych rozmyślań odrywają. Podnosi głowę. Na mównicy oficer polski. W krótkich, jakby rąbanych, a przekonywających słowach, przedstawia rozpaczliwą nieraz pozycję żołnierzy Polaków, którzy przez Półskirów wciąż przeciągają, dążąc do formującego się korpusu polskiego. Bolszewickie teerje wywierają i na nich zgubny swój wpływ. — Jeśli pomimo to chcą iść pod polskie sztandary — obowiązkiem jest naszym i waszym ułatwić im drogę. Otoczyć opieką. —

Niech nie żałują, że w bolszewickich szeregach rabunkowych dostatków mieliby dość! Ratować duszę polskiego żołnierza — oto cel pierwszy. Stworzyć zeń wzorowe bojowe jednostki — oto cel drugi. My — żołnierze w politykę się nie bawimy. Każdy najeźdźca jest zły. Wypędzić go z ziem polskich, ot, tą szablą przy boku — i kwita!

Wymownie przemawia Wacław Skibniewski, nawołując do założenia Związku Opieki nad Żołnierzem Polskim. Jego wynędzniała, wskutek ostatnich ciosów i zmartwień twarz, zdaje się być natchniona. Polska wolna i niepodległa, wywojowana ofiarnem męczeństwem przodowników narodu, powstaniem, spiskami, a teraz krwią i życiem żołnierza naszego — przesuwa się przed oczyma zasłuchanego zgromadzenia, jak miraż, łudzący swą możebnością. Cała istota duchowa Jodki objęta jest entuzjastycznym płomieniem. Zapomina o tem, że jest ograbionym tułaczem, że dziś liczyć się musi z każdym wydatkiem, bo nie wie, co mu przyniesie jutro. Dziś — kiedy stopniała jego fortuna — on chce pomagać, ofiary składać, tę Polskę dźwignąć, chociażby za cenę własnej niedoli.

Szparko do przydyjnego stołu podchodzi — ty sięc rubli na nim składa: — To na rzecz polskiego żołnierza. Panowie! W chwili, kiedy tu stoję przed wami, zbałamucony lud ruski i zbrodniarze w moskiewskich szynelach niszczą moje gniazdo rodzinne, depcą pamiątki, wydzierają mi wszystko, ale serca polskiego nawet oni z mej piersi wyrzucić nie są

zdolni! Bezdomny obecnie, powrócę kiedyś do tej ziemi, którą kochamy wszyscy. Nas tu trzymają groby i kości naszych pradziadów. Wierny do śmierci placówce mojej na kresach — wznoszę okrzyk: „Niech żyje Polska!“.

II.

„EGZULE“.

Po parogodzinnem przespaniu się i obiedzie, sporządzonym przez wdowę po weterynarzu, w której dworku upatrzona już była oddawna na wszelki wypadek „przykmeta“ (punkt oparcia) — wyszedł Rożański na miasto. W Litynie był względny spokój — stał tu bowiem niezbuntowany pułk czugujewski, podczas gdy w odległych o kilkanaście wiorst od miasteczka Bahrynówcach, bolszewickie pikiety odgradzały spory szmat kraju — okupowane przez korpus gwardyjski państwo.

Do idącego pana Stefana wyskoczył nagle ze sklepu znajomy Żyd, kupiec:

— I pan już tu?! Dobry dzień panu. Nu, jaki wun dobry? Wun zły — i wczoraj i jutro! Proszę zachodzić do sklepu. Nie na handel, ja wim, co nie! A tak — pogadać sobi. Proszę, proszę, tu jest krzesło, niech pan sobi usiońdzi — i Michel Funt, okurzywszy szybko połą chałata drewniane krzesło, okrążył ladę, schylił się nad nią i podparł łokciami, zbliżając twarz niemal do ucha siadającego z drugiej strony zaproszonego przybysza:

— Pan także rozbity?! Co?!

— Nie. Chcieli tylko mnie zabić.

— Ale pan żywy jest — to lepiej nie wspominać takie paskudne słowo! Ta rewolucje wostre rogi ma! Wona jest cały byk! A my wszyscy z poczontku myśleli, co wona beńdzie łagodna, jak ciele. Ot durne, przepraszam pana — (Rożański się zaśmiał i głową kiwnął przytakująco). Tu wszystkie panowie, naokoło, jak jest — rozbite. Pani Michałowska i pani Nykowa z mężem już do Winnicy stont pojechali. I pan Stanisław Stempowski tu był i do mnie zachodził katankie mieszczańskie kupić i kaszkiet z takim, ogromnym daszkiem. Pan wi? jak wun na siebie to wciongoł, tak ja głowo pokrecił: — Z pleców — to pan jak kacap z naszego Zarzeczca, tylko głowa — to feler. Nie zmieni pan głowy i każdy pozna odrazu, że pan — to puryc! U nas, w miasteczku, panowie — jak ta pszenica w prosie. Odrazu widać. — „Pan Kopf ma, panie Michel, powiedział mi Stempowski, dobrze pan mówi“. — Wun także do Winnicy pojechał. I pański brat, ten od stryjka, pan Piotr — razem z nim, także w katance, na kłakach, bajo w kraty podszyta. Jego furman przedtem na taki garnitur by plunoł. A jak teraz tak trzeba, to co?! To droga głowa, pan Piotr! Wun tam w Winnicy bendzie majstrował, majstrował, aż coś takiego wyдума, że nu!

— Wątpię. Poszliśmy wszyscy pod lód, panie Michel, i nie wiem, czy wypłyniemy z tej przerebli. Wrócimy do siebie. To pewne — ale tylko do ziemi

i do nieba. Wszystkie folwarki zburzone. Skądże brać te miliony na odbudowę?

— Nu, żeby tylko panowie na swoje doszli. A ryby, a lasy! Tu złoto leży na każdym miejscu, tylko ręki wyciongaj i bierz! Ajjjjii! Żeby ja tyle lat jeszcze szczęśliwo przeżył, ile mój syn z panami na-handlował się rybo! A pan wi? Pan Kożuchowski Władysław przyjechał tu powozem i czwórko koni, a żeby kto jego zaczepił po drodze! Ani ni! Nad warjatami jest dobry Pan Bóg! Tam jemu w majontku pułk zapasowy z Chmielnika bombami się bawi, jakby groch z palców wypuskał, a wun jeszcze nie wi, że to gwałt, że to sondny dzień! Wun wszystkim w Litynie gada: — Co te sobacze deputaty (to niby „sołdackie“) mnie zrobią?! Pięćset lat — mówi — był Kożuchów w naszej rodzinie i będzie znowu, a z nich tylko gnój zostanie! — A pani Maraźłowa także tu jest. Wona już dawno się tu przeniosła, jeszcze takiego bezhołowia nie było. Chłopi jej wszystko wozami zwieźli, aż nima gdzie w tych pokojach krokiem postompić. Tam zawsze zbierajo się różne panowie i zawsze do nich ten „dieduszka“ (dziadek) przychodzi. Ajjji! Czy to nie grzech?!

— To nie grzech, tylko spirytyzm — sprostował Rożański i zaśmiał się nagle na widok wytrzeszczonych ze zdziwienia oczu Michela. — Nie, nie! Oni spirytusu nie piją. To taka nauka.

— Kiepska nauka, kiedy do niej potrzeba ciemnego pokoju. Ja wszystko wim! A jeszcze tu jest

w zajezdzie, u Josia, panna Ewusia i panna Stasia Stempowska.

— Panna Ewusia czterdzieści lat temu wyszła za mąż, a panna Stasia ma także srebrne włosy na głowie — uśmiechnął się lekko pan Stefan.

— Ja ich dzieckami obydwie znał, to wone dla mnie zawsze panna Ewusia i panna Stasia. A jakie wone bidne! Ajjji! Z takiego bogactwa, z takiego wszystkiego! A teraz! Rozbiły ich te dranie sołdackie, jakby ta Osikowa, to pieprz był w mózdzirzu! Wone w białych spódnicach i w kaftanikach rannych tu przyjechały, aż serce bolało z tego patrzenia! Na moje sumienie ja prawdę mówie!

Rożański wstał żywo:

— Pójdę do nich zaraz. I ja tam u nich niemało się nahulałem! Żegnajcie, panie Michel. Dziękuję za wszystkie nowiny i za dobre słowo o moich najbliższych, bo choć Stempowscy nie moi krewni, ale więcej, niż krewni. — Zabierał się już do wyjścia, gdy Michel dodał kusząco:

— Ale i panu wart-by takie katankie kupić. Ten kożuszek, to za bardzo burżujski na te paskudne czasy. Dowidzenia sie panu. Może pan jeszcze zajdzie tu kiedy do starego Michela.

Rożański szedł szybko w stronę zajazdu. Ostatnie słowa starego kupca wywołały w nim nawał wspomnień, które jakgdyby olbrzymiejący zwid przetoczyły się przed jego oczyma. Widział siostrę panny Stanisławy Stempowskiej, Ewę de Krauze, w pałacu z gotyckimi wieżami, wybudowanym w Łuce Bar-

skiej przez jej męża, który lubił rzeźbić i pisywać utwory muzyczne. Dzieci nie mieli, więc cała dobroć „cioci Moluni“, jak ją niewiadomo dlaczego nazywała rodzina, promieniała na wszystkie strony, obdarzając łagodnym ciepłem krewnych, służbę, dziadów, idących przez Łukę do Latyczowa na odpust, dzieci obcych i bliskich. Najbardziej zaś lubiła swatanie. Stąd właśnie wynikały owe częste zabawy w Łuce Barskiej, kiedy to pani Ewa była w swoim żywiole, obserwując w milczeniu ciskane strzały Amora. Niejedna para się tu skojarzyła, pomimo że małomówna pani domu nie wywoływała nigdy poufnych zwierzeń „mających się ku sobie“ młodych, poprzestając na roli opatrznicościowej. Od czasu śmierci matki siostry zawsze razem mieszkały. Z początku w Łuce, później po owdowieniu pani de Krauze w Ewelinie, nie rozłączały się wcale. Ewelin również wrzał życiem. Pełno tu było młodzieży, krewnych, znajomych, a między tą rozbawioną i hałaśliwą gromadą krzątały się z uśmiechem dwie staruszki, myślące tylko o tem, jak wszystkim dogodzić, komu pomóc, albo którego z wychowanców wyekwipować.

A wychowanców miały dwie siostry przez całe życie, aż do ostatniej nieledwie chwili. Zawsze jakies sieroty z rodziny cieszyły się macierzyńską opieką tych, które same dzieci nie miały. Panna Stanisława, będąc głęboko religijną i wielką patriotką, wpajała też same zasady w młodociane dusze i serca swych wychowanców. Umiała wejrzeć w najdrobniejsze szczegóły ich zabaw, nauki, codziennego życia i we

wszystkich sprawach była instancją decydującą. Oczytana, interesująca się sprawami społecznymi, lubiąca muzykę, wszystkie chwile wolne od trosk o „swych rozhukanych łobuzów“ (trzech synów zmarłego brata) i o karniejsze nieco siostrzenice, spędzała przy pracy w ogrodzie i pasiece lub z książką w ręku. Fortepian bywał też często powiernikiem jej wzniosłych uczuć i myśli. Pani de Krauze nie posiadała tych zamiłowań. Treścią jej życia zato był wieczny niepokój, czy jej kochani mają to, czego im trzeba, czy są szczęśliwi, zadowoleni?! Drobniotka, cicha, krzątała się od rana do późnej nocy po swem domowym gospodarstwie, oszczędna i skromna w swych wymaganiach, przypominając sobie o swych dochodach tylko wtedy, gdy ktoś z bliskich potrzebował pomocy.

Wyobraźnia idącego teraz przez rynek lityński pana Stefana odtworzyła mu nagle tak wyraziście chwile jego własnej młodości, że ujrzał, jakby na jawie, rój kolorowych, powiewnych sukienek, roziskrzone oczy zebranych i chór dla muzyki w sali balowej. Orkiestra z okolicznych Żydków rznęła od ucha mazury i melancholijne walce, prawdziwie aż „do siódmego potu“, taki był zapał tańczących.

— To tu — rzekł półgłosem, ujrawszy przez niewielkie okno w zajeździe osiwiął, a niegdyś jasno-blond głowę „cioci Moluni“, pochyloną snadź nad jakąś robotą. Zapukał do drzwi i po chwili wszedł, usłyszawszy zezwalające: — Proszę.

Obie szyjące kobiety wykrzyknęły naraz: — Pan

Stefan! — i panna Stanisława Stempowska, wysoka, o pięknych czarnych oczach, do Georges Sand nieco podobna, elokwentna i, jak ona, lubiąca literaturę — porwała się z krzesła i wyciągnęła obie ręce do wchodzącego:

— I pan tu, kochany panie Stefanie! Czyżby tak bezdomny, jak my?

Rożański całował ręce dawnych, wiernych przyjaciółek:

— Prawie tak samo, bo choć mój dom stoi, ale powrócić doń nie mogę. Jakże mię to boli, że w tak ciężkiej sytuacji drogie panie tu widzę.

— Żydzi z miasteczka przynieśli nam ciepłe ubrania i za nic pieniędzy nie chcieli wziąć — wtrąciła „ciocia Molunia“ i zaraz umilkła.

— Niechże pan siada, panie Stefanie kochany — mówiła z ożywieniem panna Stanisława. — Jak to miło teraz zobaczyć kogoś swojego! Żle z nami, ale to minie. „Wierzę — przeciw nadziei“ razem z Konopnicką. Contra spem — spero. Nieprawdaż? Czy pana ominęła ta fala zniszczenia, skoro pan w Szamrajówce nie został zburzony?

— Tak. Nie dotarli do mnie w swym ogniowym pochodzie gwardyjcy, ponieważ mieszkam na samym południu powiatu, a oni szli górą. Miałem zato odwiedziny jakichś samozwańczych rycerzy śmierci, od których uciekać musiałem. Chłopi zbudzili mnie w nocy, wszystko potajemnie przygotowali i do Lityna przywieźli. Wyratowałem jeszcze trzech oficerów rosyjskich. Ciekawi ludzie. Przez całą drogę

usta się nam nie zamykały, a było o czem pogadać.

— Więc pan swoje ocalenie chłopom zawdzięcza? Taby się dopiero brat pana, pan Piotr, ucieszył! W Ojczenaszówce podobnie, jak u pana, tragedia się rozpoczęła. Pukanie do okna zbudziło pana Piotra w nocy...

— Pierwej opowiedz o naszych przejściach — westchnęła pani Ewa cichutko.

— Dobrze. Zachowajmy chronologiczny porządek. Pan wie, że mieszkaliśmy na polu. Nowy folwark w Osikowej wzniesiono po śmierci męża Ewusi. Dwudziestego szóstego września, raniutko — byliśmy jeszcze w rannych, białych negliżach — bandy żołnierzy wchodzi niespodziewanie do dworu. Bluzy — bez pasków. Dopiero potem dowiedzialiśmy się, że zdjęcie paska oznacza, iż żołnierz przestaje być w regularnej armji, nie jest na służbie, ale idzie spełniać „Boże dzieło sprawiedliwości“. Wówczas jednak nie orjentowałyśmy się w tem zupełnie. Tylko to nas nad wyraz zdziwiło, że jeden z dwóch, maszerujących na czele bandy żołnierzy — miał na sobie frak, w ręku — słój z konfiturami, — a drugi — kapelusz z welonem Rafałowej. Pamięta pan? Ów sławny, widny już zdala kapelusz? Nieraz bratowa była jeszcze w powozie na Winnikowieckiej Górze, a już nasz Francuz poczciwy ogłaszał wszystkim donośnie: — Madame Raphaël arrive! — panna Stanisława zaśmiała się mimowoli do dawnych, teńących się spokojem i ciepłem zachodzącego słońca wspomnień.

Zawtórował jej Rożański, a twarz „cioci Moluni“ rozjaśniła się dziecięcą pogodą.

— Oczywiście — te stroje pochodziły ze zrabowanego już dworu w Czernelowcach, ale my również pojęcia o tem nie miałyśmy. Pan sobie wyobrazi nasze osłupienie, gdy nagle ta czerń sołdacka rozlała się po wszystkich pokojach, dębowemi kijami wali, tłucze, łamie, gruchoce nasze drogie, miłe, pamiątkowe meble-staruszki. Ośmiokątne szafeczki, oszklone gablotki, mahoniowe półki na misternych kolumienkach, sekretarzyki, biureczka z tajnemi skrytkami — wszystko to, w czem powoli, przez kilka pokoleń dojrzewała „dusza mebla“ — rozpada się w naszych oczach, jakby śmiertelnie ranione. Szkatuleczki, sepeciki, szyldkrety, skrzyneczki z chińskiej laki przez amnestjowanych powstańców 63 roku z Syberji nam przywiezione — wylatywały wgórze, rozsypując się po podłodze na drobne szczątki. Plątałyśmy się wśród tego mordu martwych przedmiotów — oszłomione, zaskoczone tem wszystkiem. Jakiś żołnierz chichotał się głośno w kułak, poczem nagle palnął kijem po ścianie. Spadł nam nieledwie pod nogi stary srebrny krucyfiks. Ewusia pochyliła się, chcąc po podnieść. Żołnierz do niej przyskoczył.

— Krzyknął mi nad uchem: — Broś! Eto narodnoje dobro! Nie twojo! — zacytowała jakimś żalnym głosem, wsłuchana w opowiadanie siostry, ciocia Molunia.

— A czy pan wie, co w takiej chwili najbardziej boli, co wzbudza największy protest? Oto — po-

gwałcenie moich praw osobistych. Jakto?! Więc ktoś zupełnie obcy rozporządza się pod moim dachem wbrew mojej woli?! Kiedy przeminie pierwsze zdumienie — jakżeby się chciało rzucić rozkazująco tej wstrętnej hałastrze: — Precz stąd! — i panna Stanisława pięknym wyrzutem ręki uczyniła odpowiedni gest, a jej szlachetne rysy przyoblekły się w surową pogardę.

— Tymczasem — schowałyśmy się obie do kurnika — wyznała nieśmiało pani de Krauze.

— Tak. Schowałyśmy się do kurnika — potwierdziła odważnie panna Stanisława. — Chodziłyśmy bowiem jak błędne wśród rozhukanego żołdactwa po całym folwarku. Ewusia, choć taka cicha, nie odstąpiła mnie ani na krok, bo trzeba panu wiedzieć, panie Stefanie, że to pozostanie w Ewelinie było decyzją nie moją, ale Ewusi! Marjan (bratanek) ostrzegwał nas, że bliskim jest dzień, kiedy dzicz sołdacka do spółki z chłopskimi szumowinami zacznie gromić nasze sadyby. Tam w sztabie poinformowani są dobrze o nastrojach w armji, tylko nie mają siły przeciwdziałać takim masom. Wszystkie prośby Marjana, abyśmy wyjeżdżały, rozbiły się o stanowczą odmowę mojej siostry, która w tym wyjątkowym wypadku nie usłuchała mego zdania. Proponowała mi, że zostanie sama, bo nie boi się wcale chłopów, nigdy im zła nie wyrządziła, więc nie ma powodu do uciezki! Naturalnie odrzuciłam z oburzeniem taki plan niemożliwy! Ach, panie Stefanie! Dopiero teraz odczułam, jakgdyby dotykalnie, wielkość poświęcenia naszych

poprzedników, chociażby naszego przodka, Leona Stempowskiego, którego portret z goloną przez pół głową, brodą i jednym wąsem — wisiał w salonie, w Grabkowej. Za rok 31 na katorgę zesłany. Przepiękne dobra w uszyckim powiecie: Wielka Struga, Strużka, Szczerbowiec — skonfiskowane. Marszałek uszyckiego powiatu z Sulatycką żonaty — przed wyruszeniem partji ma przemowę do swoich włościan. Uwalnia ich od poddaństwa. Partję jego rozbito pod Zamiechowem Stanisława Starzyńskiego poety (Stach z Zamiechowa) i przyjaciela dziada Leona. Tu więc w przebraniu ukrywa się czas jakiś w pasiece, ale zdradza go kuczek. Moskale do Kamieńca wywożą, a potem — w głąb Rosji, po drodze na Sybir. W trop za nimi jedzie Trankwilon Romanowski, kapucyn z kaplicy w ogrodzie marszałka. Tak, jak ksiądz Robak, poczyna sobie z dopędzoną na jakimś popasie eskortą więźnia. Udaje księdza rubachę. Przywiezionym antalkiem wódki spaja straż do utraty zmysłów. Rozpiłowuje kajdany dziada Leona. Uciekają wózkami kapucyna, gubiąc na rozstajnych drogach dla niepoznaki rozliczne rzeczy. Tak docierają szczęśliwie do granicy „Europy“, pieszo już dostają się do Paryża. „Pomoc dajcie mi rodacy!“ — układa po drodze dziad nasz piosenkę ze znanymi rodzinie warjantami. Ksiądz wkrótce umiera, a były marszałek uszycki zarabia jako introligator na paryskim bruku, biorąc przytem czynny udział w życiu emigracji. Tak przeżył i przetrwał do 1854 roku. Właściwie — poco to wszystko panu mówię? Przecież pan

zna tę historję doskonale. To ja — potrzebowałam wprost w obecnem rozbiciu skąpać się w atmosferze takiego bohaterstwa. Nas wypędzają, rabują, niszczą — a jakże ciężko nam odejść z ukochanych, rodzinnych domów! A oni — szli dobrowolnie. Opuszczali kwitnące mienia, pozostawiali żony, dzieci, — w nierówny bój nieśli ochotnie własne życia — a wszystko dla Polski! Jacyż to ludzie byli! Stawiali stopę na losie: — Musisz nam ulec, bo nas tylko śmierć skruszyć potrafi! — panna Stanisława urwała — wzruszona.

Rożański wpatrywał się w nią z gorącą przyjaźnią:

— Słucham panią z najżywszem zajęciem, jak zwykle. I dalszego ciągu jestem niezmiernie ciekawy, chociaż temat taki bolesny.

— Zaraz opowiem. Tylko jeszcze coś sobie przypomniałam o dziadku Leonie, coś tak pięknego. Był w przyjaźni z Lelewelem i kiedyś, bawiąc chwilowo w Brukseli, już na wygnaniu — oczywiście — polecał mu najgoręcej prostego, biednego Żydka, Icka z Letniowiec, jako godnego szczerego poparcia, ponieważ poszedł na emigrację za powstanie 31 roku. Wszędzie szukał człowieka — i tylko człowieka! To też nie dziwnego, że kiedy wyszła we Francji książka: „La vie des cent Polonais célèbres“ i jego życiorys tam się znajdował.

Dobrze mi zrobiły te drogie wspomnienia. Tego nam nikt nie zabierze. Już mogę panu opowiadać z całym spokojem, w jaki sposób znalazłyśmy się w tym ubogim, zajezdnym pokoju.

Więc — mówiłam już, że błąkałyśmy się po niszczonej i grabionym folwarku, a że to było na polu, tedy ciągnęły obok, drogą, jakieś baby z rządowej wsi, Kłopotowiec. Jedna z nich do nas podeszła:

— Ta szczo wy tut robyte? Ne bojitiesia pomeż tymy żołdatamy? Schowajtesia! Wony was ubjut'! I cyt! Mołczit'!

Poszłyśmy wówczas do tego kurniczka, siadłyśmy tam i doczekałyśmy do zmroku. A wtedy polami sunęłyśmy cicho — dwie białe postacie, bo zawsze w tych rannych negliżach — doprawdy, jakby jakieś dwie „osmętnice“. Do Kłopotowiec takeśmy doszły. Tu — żołnierz poił konie przy studni. Spojrzał na nas ze współczuciem: — Chodźcie do chaty, tam są oficerowie. — Byli to saperzy, jechali do Lityna nazajutrz — zabrali nas i tu przywieźli, a przez całą noc paliły się naokoło folwarki. Jechałyśmy przez Winnikowce, gdzie był stary, kochany dwór. Baby nas zobaczyły, zaraz się zbiegły do wozu, aż saperzy konie zatrzymać musieli.

— Panna Stasia i panna Ewusia! Hospody! Hospody! Bidni pany naszi! Znajete?! Stanisława ubyły!

Nowy cios. Aż zadrżałyśmy z bólu. Taki zacny człowiek ten nasz siostrzeniec, tyle dobrego zawsze tym chłopom czynił, i za co on padł?!

Zdumienie w pierwszej chwili odjęło Rożańskiemu mowę:

— Stanisław zabity?! A dlaczegoż, przed godziną

najwyżej słyszałem od Michela, że przychodził do niego po kurtkę i kaszkiet, dla niepoznaki widocznie, w tych strasznych czasach?!

— Fałszywa wieść, — przemówiła krótko, lecz śpiesznie, ciocia Molunia.

— Fałszywa. Oczywiście. — Stanisław żyje. Już po jego wyjeździe z Winnikowiec, przyleciał konno, z drugiego folwarku pobereźnik „wseńkij w krowi“! (cały we krwi) — tak opowiadały baby ze szlochom i załamywaniem rąk. A to był poprostu — wiśniak, po pogromie piwnicy. Jakiś żołnierz palnął kolbą szklanny butel i lepka, czerwona ciecz zlała obecnego tam pobereźnika. Oto jak „le tragique touche au comique!“ — uśmiechnęła się leciutko panna Stanisława.

— Mów o panu Piotrze od początku, — podszeptała pani Ewa i znowu umilkła.

— Zaraz, Ewusiu. Ale przedtem powiem panu Stefanowi, jak się to wszystko odbyło w Czernelowcach. Pan z pewnością o niczem nie wie, bo teraz każda wieś ma swoją odrębną historję. Tam był pogrom wprost nadzwyczajny, bo udział w nim brali jadowici i źli chłopci miejscowi. Kazimierz Stempowski, głuchy, trochę dziwak, jak go pan dobrze zna, nie pojmował zupełnie, co się to dzieje. Jakaś dziwna rekwizycja! Konie ciągnęli na wszystkie strony, uwieszeni prawie na uzdach wiejscy proletariusze. A było tam uprzęży i koni w bród, zwyczajnie, jak po bałagulskich dworach. Pianino stryjenki Rafałowej rozpiłowali na połowę — jeden zabiera bas, a drugi wiolin na plecy zarzuca. Na

to — stryj Rafał z fermy nadjeżdża. Patrzy — wozy, naładowane worami, stoją. Myśli też, że to nowa, setna już „tam do diabła!“ rekwizycja. Ale raptem uderza go zapach nafty. Żołnierze chodzą z butlami i polewają ogradzające folwark okopy.

— Co wy robicie? — Palit' budiem, — odpowiadają mu pogardliwie. Kazimierz płacze się między żołdaciskami. Popychają go, nie zwracają nań żadnej uwagi, pochłonięci przygotowaniami do zaświecenia „czerwonego koguta“. Wreszcie — w ferworze pogromu — rozbierają go i bez butów, w syberyńskiej bundzie matki — wyrzucają ze dworu.

— Jak to dobrze, że ona nie żyje, — przemówiła smutnie pani de Krauze.

— A w Ojczenaszówce zaczęło się tak: W nocy — ktoś puka do okna w pokoju pana Piotra. Ten wyskakuje z łóżka, jakoś tam się ogarnia i odrazu wychodzi przed dwór. Noc ciemna — mży — chmury nawisły nisko. Nikogo nie widać. Pan Piotr huk: — Hej tam! Jest kto?! Odezwij się! — Jest! — słychać w pobliżu znużony, stary głos. — Wienieski! — poznaje brat pana i podąża w tę stronę. Na murku siedzi chuda, mała postać i ciężko dysze. — Czegoż wy tu? W nocy?! A gdzież wasz koń? — kładzie mu rękę na ramieniu: — A to co?! Czegożeście tacy w błocie, mokrzy?! — A stary półkrąg ręką zatacza: — Niech pan patrzy! — Pan Piotr odwraca się we wskazanym kierunku. Na horyzoncie, spodem, olbrzymia rudawa chmura, ogniem prześwietlona, mruga i drży. Chwilami wyrwie się kędyś od

dołu słup jaskrawego płomienia — w górę tę rudzizną podbije i znika, a chmura zaraz się zwiera i znowu opada — mruga i drży. — Co to?! — A stary wylicza: „Huta, Osikowa, Czernelowce, Markarów — pali się wszystko! W Hucie pogrom! Niech pan ucieka! — W Hucie pogrom, a wy tu?! Opuściliście folwark?! — Pan tam nie był. Pan nie wie. Żołnierze w kilka furmanek zajechali przed magazyn, wrzeszczą: — He! He! Dawaj klucze! Ja dubeltówkę wziął, konie zaprząc kazał, żonie powiedział: — Bądź gotowa! — i poszedł na folwark. A oni już kłódki poroztrzaskiwali, bramy od stodoły i magazynu powywalali i nabierają na wozy gotowe ziarno. Podłożyli dynamit w budynki. Podpalili. Eternitem kryte — rwało się wszystko i z trzaskiem leciało do góry. Piekło. Ja do pana. Piechotą. Ślizgał się, w błoto padał. Niech pan ucieka — oni tu przyjdą i pana zabiją! — Bratu pana żal się zrobiło starego. — Dlaczego piechotą tu przywaliliście, a nie końmi? — Pan nie widział. Tam ich już setki znalazło. Ktoby im tam pod oczy się darł. — Gdzież żona? — A tam została. Stara — nic jej nie będzie. Da sobie radę. — Chodźcież do dworu, Wienieski. Wysuszycie się i odpoczniecie, a z rana pojedziemy razem do Huty. — Stary idzie za Stanisławem i mruczy: — „Pojedziemy: Aha! Pan tam nie był!“

— Straszne! Aż dreszcz chodzi po plecach! Że też ja tego uniknąłem! Cud jakiś. Ależ pani świetnie opowiada!

— To nie ja — tylko pan Piotr. Mam dobrą pa-

mieć, a te obrazy, jakgdyby po malarsku słowami jego kreślone — wywarły na mnie takie wrażenie, że powtarzam je panu niemal dosłownie. Wchodzą więc z Wienieskim do dworu. Pan Piotr budzi Marynię: — W Hucie pogrom. Niewiadomo, jak długo tu jeszcze będziemy. Zapakuj najważniejsze rzeczy. Ja kufry do jadalni przyciągnę, a sam z dokumentami i z kasą zrobię porządek. — Pozapalali światła. Brat pana poszedł do gabinetu swego, zasiadł przy biurku, odkłada co weźmie, a co zostawi. Kwity od rządu, wypłaty dla służby, pieniądze na drogę, dokumenty rodzinne, złote monety w woreczku, trochę pamiątek... Wreszcie — skończone. Zajęło to parę godzin.

Wraca do jadalnego pokoju. Kuzynka żony siedzi przy oknie naościęz otwartem, wpatrzona gdzieś w dal, a kufry — puste.

— Maryniu! Zlituj się! Czas uchodzi, a ty nie przygotowałaś! Może my już nigdy tu nie wrócimy!

— Ja sama nie wiem, co brać! Ty mówisz: najważniejsze. Kiedy wszystko tu ważne. Lepiej już nie. Chodź do mnie. Wychył się przez to okno. Spójrz i posłuchaj. Oderwać się nie mogę od tego obrazu. My jesteśmy w samym mózgu historii!

Przez okno słyhać było trzask kulomiotów. Nie w morderczych jednak zamiarach gnały przed siebie hen, tam — daleko, wstęgi kul. Były to, jak się później już dowiedziano, salwy braterstwa i zgody. W Latyczowie stały dwa najpodlejsze zapasowe

pułki: 23 i 43. Czyhały już one oddawna na gorzelnię w Hubertowie, strzelając tymczasem do danieli w tamtejszym zwierzyńcu. Nagle — zjawiała się w tych stronach gwardja aż z pod Kamieńca i czterdziestopięcioletni korpus zajął całą tę połączoną krają. Na stację w Komarowcach natychmiast pognął konno „towariszcz“ z pułku, chcąc zawiadomić o tych nowych, „czort pobieri!“ pretendencjach do alkoholu swoje dowództwo, które pośpieszyło wysłać do Hubertowa żołnierzy pułkowych z kulomiotami dla rabowania gorzelni i dworu. Ale i tamci z gwardji, których zastali nowoprzybyli — niedługo dali się kusić rzeczową przemową oratora „z zapasu“ i, postanowiwszy jednomyślnie pogrom spornej gorzelni, wzniesli do góry lufy kulomiotów, w czem naśladowali ich drudzy i tak walili bez przerwy w powietrze, świętując oryginalne braterstwo broni.

Z za lasu, w rządowej wsi, Owsianikach, gdzie przebywał sztab II pułku strzelców, grała hucznie orkiestra pułkowa, albowiem był to świąteczny dzień — Iwana Bohosłowa. Wietrzyk niósł chwilami, jakgdyby na jakiejś dłuższej fali, te grzmiące dźwięki, które dochodziły uszu dwojga stojących w oknie ludzi — jako przytłumiona i miła melodia.

— Ta-ta-ta-ta-ta! — strzelały kulomioty niepomowianie i szybko. — HUUU! — HUUU! — rozsadał dynamit dwór w Hubertowie. I w tem z oddali — nadpływała krótkotrwała nuta wojskowego marsza. — HUUU! — znów wybuch dynamitowy, po którym piętrzyły się tam musiały zwalone mury i rumowiska.

— Już dość! — powiedział pan Piotr, odchodząc od okna. — Już dość. — Był jakgdyby pijany tym chaotycznym koncertem, w którym brały udział nie rozpiętane siły natury, ale szalejące bestjalstwo ludzkie.

Wśród ciemności — jaskrawiły się tu i tam, niby olbrzymie grzebienie, podłożonych przez żołnierzy „czerwonych kogutów“ — ognisto-rdzawe łuny, płonące na niewidzialnem obliczu nieba.

— Pakujmy, Maryniu! — zwrócił się do ciotecznej siostry żony, która patrzyła wciąż na te straszne pożary, myśląc, ile za niemi kryje się ruiny, bezdomności i łez zniszczonych właścicieli i wypędzonych oficjalistów.

Nie obudzili służby i tak przy robocie zastał ich świt. Rozwidnia się coraz bardziej. Brat pana daje do pakowania dwóch jeńców, a sam z Wienieskim wsiada do powoziku i jedzie do Huty. Wdali — wszystko dymem zasłane. Niebo zapłakane. Przejeżdżają przez Makarów Straussa. Tu — wyskakuje z chaty nauczyciel Rotliński. Wznosi obie ręce do góry, krzyczy:

— Dokąd pan jedzie?! Tam pogrom! Na miły Bóg! Niech pan wraca! — Po grobli pędzi wóz na spotkanie — co koń wyskoczy. Na nim — jeden z jeńców, pracujących w Hucie. Wstrzymuje konie z najwyższym trudem:

— Dokąd pan jedzie?! W Hucie wszystko rozbite. Sołdаты ponapijali się. Szukają pana Wienieskiego. Zabić chcą. Kazali nam wozić zboże. Nie

pilnują. Uciekłem. Straszno tam, jakby w piekle. Niech pan nawraca!

— Mówilem... — mruczy Wienieski. — Mówilem. Pan nie wierzył...

Oczywiście powracają do Ojczenaszówki. Furmanki wyjeżdżają jedna za drugą z rzeczami do Lityna. Jest już około dziesiątej rano, gdy Katra wpada do jadalni, blada z przerażenia.

— Katra! — rzekł żywo Rożański. — To ta już starsza dziewczyna, która tyle lat była w ogrodzie, a potem, kiedy wzięto ogrodnika na wojnę, zastąpiła go tak wyśmienicie? Pamiętam ją dobrze.

— Jak ona róże pielęgnowała! — uśmiechnęła się do miłego wspomnienia pani de Krauze.

— Właśnie. Ta sama. To jest najpiękniejsza dusza Rusinki, jaką w mem życiu spotkałam. Wbiega wtedy, nawpół żywa z przestachu:

— Proszu pana. Idut' żołdaty!

Brat pana spojrział przez okno. Podwórze pełne róż, a od bramy z folwarku idzie dziesięciu żołnierzy w bluzach bez pasków i każdy niesie w rękę ogromny kół. Wychodzi do nich przed dwór.

— Czego tu przyszliście?

— My głodnyje! — obstępują go dookoła.

— Chodźcie za mną do izby czeladnej. Każę wam dać jeść. A poco te kije?

— Sobak bit', — uśmiecha się rudy żołnierz, przyczem błyskają mu ostre zęby.

— Nie mam takich złych psów. Wystarczy jeden kij. Pocóż aż tyle? — wyjmuje im koły z rąk. Ocią-

gając się, idą za nim do piekarni. A tu — druga gromada z kołami, jakby jakie forpoczty wojenne, napływa. I trzecia — i czwarta, a wszyscy — bez pasków. Pan Piotr przed dworem znów stoi i czeka na chłopów, po których już posłał. Nareszcie wałą ławą w ciemnych świtkach ode wsi, kooperatystów wśród nich wielu, a naprzód idzie Ołeksa — ten nad wyraz utalentowany chłop. — Jakby ja był hramotnyj, ta uczonyj, to my — by z panom ciłyj świt kruhom palcia obmotały! — Tak nieraz nam się zwierzał. Na folwark ściągają kupami żołnierze, a Ołeksa swoich też gromadnie prowadzi. Jedni i drudzy wiedzą, co to ma być i rozgrywa się między nimi partja, w której zgóry wiadomo, że dynamit i bomby silniejsze są od nieuzbrojonych rąk. Ale tu chodzi o czas. Pan Piotr wchodzi zpowrotem do domu. Już Katra przebrała Marynię w swoją spódnicę i chustkę i wyprawiła daleko za ogród, nad staw.

— Katra. Masz klucze od wszystkiego, co tylko jest w domu. Ty będziesz teraz „chadziajka“. Co zdążycie jeszcze zapakować — do Lityna odeślij. Tu będzie pogrom. Zaopiekuj się Anastazją. Dobrze? To dla niej pieniądze. Weź! A teraz — wybieraj sobie, co chcesz na pamiątkę.

Katra powiodła okiem po meblach, dywanach, portretach i rzekła naiwnie:

— A meni ono na szczo, prosze pana! — Już wiem, co ci sprawi przyjemność. — Brat pana zdjął ze ściany ogromny barometr w mosiężnej, pięknej oprawie. — Weź to. Ty jesteś ogrodniczka, to będziesz

wiedziała, kiedy deszcz, kiedy pogoda. (Za oknami żołnierze huczą — zbliżają się do dworu.) Tu francuskie napisy, nie zrozumiesz, więc zapamiętaj: na prawo strzałka... Tłumaczy jej najdokładniej. — Bierz. — Dziewczyna wzięła do ręki barometr i dopiero wówczas, gdy uczuła zimno metalu, pojęła z plastyczną rzeczywistością, że zginie ten dwór i ten ogród, te wykochane przez nią kwiaty i róże, że nie będzie pewno jutro ani do kogo, ani do czego tu przyjść i z barometrem przytulonym do piersi, wybiegła z pokoju, szlochając na głos. Pan Piotr wyszedł do chłopów: — Dzieńdobry, panowie! Baczycie, szczo tut tworytsia?! Zostawiam wam wszystko. Tu macie klucze. Jak wrócę — to wam podziękuję, a jeśli nie — taki mój los!

Tymczasem — ze trzystu już żołnierzy rabuje mleczarnię, śpiżarnię. Służba, parobcy wałęsają się jak błędne owce. Anastazja modli się i płacze.

Magazyn otwarty. Przed dworem stoją zaprzężone konie. — Burzuj! Dawaj pieniądze! Przeklęty krwio pijca! — takie okrzyki wrywają się z ciżby zwyrodniałego żołdactwa. — Ołeksa! Chciałbym jeszcze trochę w tym domu pobyc. Może nigdy już tu nie wrócę. Wymyśl, co chcesz. — Dobre. Niechaj pan spokojno wertajutsia na pokoji. — Biegnie nieledwie na folwark, już beczkę olbrzymią toczy, dnem ją do góry wywraca, zwołuje żołnierzy ku sobie. Za chwilę ów rudy „towariszcz“, któremu zęby błyskają w uśmiechu, jak ostre kły — wskakuje na beczkę, gestykuluje, przemawia, ciska słowami pioruny. Meeting.

Brat pana wchodzi do domu. Drzwi za sobą na klucz zamyka. Po wszystkich pokojach się snuje — wchłania w siebie wspomnienia. Ostatni raz.

— Widzę go — powiedział ze wzruszeniem Rożański. Wysoki, szczupły, z tą swoją piękną głową i czarnymi, głębokimi oczyma — ręce z tyłu skrzyżował i dom od kąta do kąta obchodzi, żegna. Jaka pani blada!

(Ciocia Molunia nieznacznie łzy z oczu ociera.)

— On był bledszy, kiedy mi to wszystko spokojnie opowiadał. Ołekska wali pięściami do drzwi! — Wychodźte, pane, bo wże ne strymaju! — Zaraz, — browning do kieszeni, woreczek ze złotem — do drugiej. Wskakuje do powoziku: — Jedź, Kaczor! — Konie lecą jak wiatr przez dziedziniec. — Jakie prześliczne róże! — miga jeszcze w jego umyśle ostatnie wrażenie. Już są za bramą. — Nad staw, po panią! — Wyjmuje zegarek: pierwsza po południu.

— Więc cztery godziny nie wiedział, czy wyjdzie cało z tej piekielnej gmatwaniny! — zakrzyknął pan Stefan.

— Tak. Przez cały ten czas jego hartowna wola hamowała pęd zbydlęconego tłumu. Nad stawem siedzi Marynia, przebrana przez Katrę tak, że mijający ją chłopci, rzucają jej: dzieńdobry, titko! Jadą już razem przez tę rozciągniętą szeroko Ojczenaszówkę. Zabiega im drogę Tanaska: — Stereżitsia, bo na drozi na was zasily! — Diakuju! dobre! — Brat pana wyjmuje z kieszeni browning. — Wio, Kaczor! A koni nie żałujcie!

— W oddali — Grabkowa. Wysoka wieża pałacu Marjana Stempowskiego płonęła niby olbrzymia gromnica. Dym słał się, opasując mrocznym welonem tę w dziwnym stylu budowlę, przed którą z początku chłopci nieraz zdejmowali czapki i żegnali się trzy razy, nie wiedząc, czy pan nie buduje tu przypadkiem jakiejś świątyni Pańskiej. Już kończy się wieś. Równa i wąska droga — wzdłuż niej rów i wierzby. Tu będzie zasadzka — myśli pan Piotr, ścisła mocno browning w rękę. Z za wierzby wybiega żołnierz i chowa się w rów, zpowrotem. Już został za nimi, tak konie cwałują. Czterech żołnierzy obok, na polu, rzucają ciężki, dźwigany kufer i za uciekającymi gonią.

— Zrabowali Wienieskiego, którego naprzód wysłałem z rzeczami. To nam ocali życie — mówi brat pana. Marynia milczy. Trzyma się mocno unoszonego w szalonym tempie przez konie powoziku i myśli tylko nad tem, aby nie wypaść przy jakimś gwałtownym zakręcie. Odsadzili się spory szmat drogi od biegnących za nimi z wrzaskiem żołnierzy. I nagle — Wienieski, szaraban i koło, leżące na ziemi. — Już niema kufra i „zakoleśnik“ djabli gdzieś wzięli! — narzeka stary. — Stańcie, Kaczor! Trzeba dopomóc. — Stanisław już skoczył ze stopnia, koło na oś w mig nakładają. — Ot wasz zakoleśnik! — podnosi z ziemi, w oś wtyka. Już jest w powozie: wio, Kaczor! — Ruszają pędem w chwili, gdy głowy doganiających żołnierzy, wyłaniają się z jaru. Wyjechali na wzgórze. Za nimi — pusto.

Marynia powiedziała prosząco:

— Stąd jak na dłoni widać Ojczenaszówkę. Przyjrzyjmy się, bo może już nigdy jej nie zobaczymy! — Panna Stanisława mocowała się czas jakiś z upartem drzeniem ust, poczem skończyła już pogodnie:

— Dzięki Bogu — dojechali szczęśliwie do Lityna.

— A dwór? — spytał Rożański po dłuższem, ogólnem milczeniu. — Co się z nim stało?

— Z początku ocalał. Chłopi bronili, prosili żołnierzy, aby poprzestali na pogromie folwarku i nie palili dworu. Potem, w jakieś parę tygodni Katra przyjechała do Lityna, do pana Piotra ze wszystkiem, co zdołała im uratować, wynosząc nocami ubrania i bieliznę. Wrzucała je pomiędzy pędy dzikich, kłujących róż. Raniła sobie ręce i nogi. Już wówczas chłopi wynieśli z dworu meble i rozciągnęli po chatach. Zebrało się w nocy kilku. Miało to być „dla dobra pana“, żeby przechodzące bandy nie poniszczyły sprzętów. Potem — przybywało ich coraz więcej, tak, że do świtu dwór opustoszał. Ktoś przyniósł wódkę i zaczęła się najzwyczajsza grabież. — Ja perelakałasia, zapłakała i utikła! — opowiadała Katra. — Szczoż ce zrobiłasia?! Ceż moi braty, a wony tak pereminyłasia!

— Co za cios dla mego brata! On tak nad nimi pracował!

A Katra! A Ołekska! — ujęła się za nieobecnyimi ciocia Molunia.

Nie wszyscy we wsi byli kooperatystami — osą-

dziła bezstronnie panna Stanisława, a przytem praca kilkunastu lat nie może zetrzeć ciemnoty wieków, tylko ją nieco zhebluje. I jeszcze jedna zbanalizowana psychologiczna prawda: że nawet tłum profesorów — byłby tłumem! Zresztą — rewolucja!

— Tak — przyznał Rożański. Rewolucja, która ściiera jednych, wynosi na widownię innych. Taka Katra, na przykład! Albo taki Danileczuk! Chłop z mojej wsi. Szary proch! A jak on dziś w nocy wyczuł znakomicie wszystko, co było dobrego, a nawet wzniosłego w słowach tych dwóch młodych zapaleńców, idealistów rosyjskich! Albo tego arystokraty, grafa Wielikoborskiego! Mnie to wszystko otwiera oczy na jakiś zupełnie inny świat!

— Panie Stefanie! Przyznajmy się szczerze: nie weszło nam tak w krew i w umiłowania hasło: „Ratujmy od ciemnoty lud ruski, od wynarodowienia lud polski“ — jak to inne, ogólne naprawdę i święte: „Ratujmy podstawę narodu — ziemię!“ Bezsprzecznie — wielu wśród nas — pracowało potajemnie nad uświadamianiem polskości w drobnej szlachcie i Mazurach, ale kto myślał o umoralnieniu chłopu ruskiego?! Jednostki! Przecież Stanisława Stempowskiego nazywano dziwakiem!

— Pani zapomina, że było nam to zakazane przez rząd carski! Żona mego kolegi szkolnego, Kazimierza Przeclawskiego, założyła u siebie, w Lubczy szkołkę dla dzieci miejscowych Rusinów. I co? Przyjechał w parę dni przystaw i powiedział Kazimierzowi w cztery oczy: — Wy to natychmiast zamknij-

cie, bo inaczej będę zmuszony wysłać wysokouważajemu paniu Przeclawskuju w dalsze gubernje i to administratiwnym porjadkom! (bez sądu i obrony). A na urządzane przez nią tajnie szkółki polskie — spoglądał jednak pobłażliwie przez palce, a raczej przez „katarzynki“! (storublówki).

— Prawda. Była przecież i do ludu ruskiego tajna droga — przez kooperatywy, na które rząd pozwalał. Dawaliśmy im zarobki, leczylimy chętnie ciało — o duszę kto dbał?! Może jestem stronna?... Nie. Tak myślę naprawdę.

Rożański milczał czas jakiś, zagłębiając się w przeszłość.

— Pani ma słuszność. Niema co! I ja miałem siebie za „dobrego pana“. Żyłem dobrze z chłopami. Płaciłem akuratnie, co do grosza i nie wyzyskiwałem nigdy. Dawałem drzewo pogorzelcom. Opłacałem doktora i lekarstwa. Pracowałem w tych rewolucyjnych komitetach, choć porządnie mi to „oczortowało“.

A jednak... jednak... Hop! Trzeba się przyznać: myślałem sobie nieraz: niech hulają! Tem rychlej przyjdą do mnie na robotę! Także swoisty konflikt kapitału z pracą! Bo panie dobrze wiedzą, że nasz chłop Rusin, skoro poczuje w kieszeni grosz, to w braku innych kulturalnych potrzeb, nic go nie zdoła wygonić na dniówkę! A pole nie czeka!

Ciocia Molunia spojrzała na mówiącego, zaskoczona i nawet zgorszona tem niekorzystnem wyznaniem.

— Panie Stefanie kochany! — oczy panny Stanisławy, rozjaśnione wewnętrzną radością, rzucały

ciepłe promienie. — Jak ja się cieszę, że pan miał odwagę głośno to wypowiedzieć! To wielki krok naprzód! Brat pana twierdzi, że długo będzie się tu kotłowało i że jeszcze przeleje się morze krwi nie tylko po wsiach, ale i po miastach. Wierzę mu. On zna wyśmienicie tutejsze stosunki. Ale zobaczy pan, że z tych pogruchootanych forwarków, z krzywdy poniszczonych ziemian i dzierżawców, z łez wypędzonych oficjalistów, z męczeńsko przelanej krwi wielkich i małych i ze współczucia takich wybranych dusz Rusinów miejscowych, jak ojczenaszowiecka ogrodniczka, jak ten chłop, o którym pan wspominał i jak wielu z pewnością innych — narodzi się zczasem coś niezwykle pięknego! Jakiś nowy, nieokreślony jeszcze system społeczny! Jakieś ustosunkowanie pracy do kapitału i kapitału do pracy takie — że wszędzie będzie szedł człowiek z człowiekiem! I będzie mówił — nie „pan z chłopem“, albo „kapitalista z robotnikiem“, ale człowiek z człowiekiem! Bogatszy z uboższym, bo to leży w naszej naturze, ale jeden i drugi będzie znał swoje prawa i swoje obowiązki.

— Coś podobnego powiedział dziś w nocy ten arystokrata rosyjski. Ale pani odkryła również swoje powołanie. — Rożański patrzył na entuzjastkę o srebrnych włosach z serdecznym uznaniem. Powinna pani być apostołką piękna i dobra wśród nas — w te różniejszych, przygnębiających czasach!

* * *

Pomimo iż w Litynie, tak jak i w innych większych miasteczkach i miastach Podola, był Komitet Walki z Anarchją, ale rola jego upodobniała się coraz bardziej do zalewanego przez przybywającą wodę, wierzbowego płotu. Pułk czugujewski rozpierzchał się powoli, a zczasem dojsć miało do tego, że został zeń tylko pułkownik, który nocami sypiał na zwiniętym sztandarze, broniąc w ten sposób opuszczonej idei pułkowego honoru. Na krańcach Lityna, na tak zwanem Zarzeczu, męty kacapskie, żywioł niepewny, z upodobań — koniokrady, a z przekonania antysemitki przycichli nieco na początku rewolucji, teraz, za ukraińskich rządów zorganizowali ochoczo żydowski pogrom. Bez krwi wszelako — czysto — w ciągu kilku godzin, w biały dzień rabowali żydowskie sklepy, wyrzucając przez okna, niby fontanny, rozliczne towary, wdeptując je następnie z lubością w błoto.

Przeciągały też przez miasteczko rozzuchwalone, zapasowe pułki, luźne, a uzbrojone bandy, kacapi na Zarzeczu coraz groźniejsze rzucali zapowiedzi jakowejś zemsty, czyli też rozboju tym — którzy w najistotniejszym znaczeniu słowa „wykurzeni“ ze swych siedzib zostali. Wiedziano również od dowódcy czugujewskiego pułku, że resztki żołnierzy, jakie się jeszcze przy nim utrzymały, są neutralne i bronić miasta nie będą.

Oficerowie przechodzących oddziałów wybrali sobie bierną rolę „obserwatorów“. Niektórzy brali

nawet „pamiętki“ z rabowanych dworów, a wszyscy wogóle twierdzili obojętnie: — Was spala — a my idziemy do domu. Na Don — bolszewików nie puścimy. Tu — niech sobie robią, co chcą.

Bezbronność tedy była zupełna — groza położenia — straszliwa. Tulili się po zajazdach, w ciasnocie i zaduchu zrujnowani wygnańcy, nietylko właściciele poniszczonych folwarków, ale i dzierżawcy, ekonomowie, oficjaliści. Ziemią podtrzymywała myśl i otucha, że mogą powrócić zczasem do niespalonych pól. Zato przygnębienie i rozpacz dzierżawców i pracowników rolnych, którzy z ludzi jeszcze wczoraj dostatnich, zabezpieczonych przed jutrem, stali się nagle wprost nędzarzami bez dachu — nie miały granic.

Na tle bujnej anarchji i rozluźnienia tego wszystkiego, co kiedyś stanowiło tak silne prawo — nad wyraz pięknie odbijało postępowanie okolicznej drobnej szlachty polskiej. Za zrujnowanymi gospodarzami nadjeżdżały wozy z uratowanymi rzeczami. Z Huty, Grabkowej, Hubertowa i innych wsi — pędzili konno uciekający przed bolszewikami jeńcy wojenni, rozłokowani wszędzie, jako parobcy, stróże, dozorczy folwarczni. Wreszcie nazbierało się w tej małej miejscinie koni bezliku i postanowiono je sprzedawać za bezcen wobec braku furaju i stajen.

W kilka dni po przejściu nowożytnych Hunnów, kiedy wieść o dokonanych pogromach rozeszła się w okolicy — zjawia się w Litynie u jednego ze zni-

szczonych ziemian, dwóch drobnej szlachty z ogromnej, ciągnącej się przeszło pięć wiorst, wsi Dżakowiec.

— Czy to pan będzie pan Stempowski?

Odpowiedź lapidarna: — Ja.

— I to prawda, panie, że tak wszystko rozgromili? Toż krzywda, panie! Słysząc, że panowie chcą konie sprzedawać. A nie szkoda to? — prawil jeden, zaś drugi — z wyglądu zarówno jak i towarzyszy do chłopca podobny, z obowiązkową tylko kamizelą na koszuli — złapał za rękę Stempowskiego i publicznie (rzecz działa się przed zajazdem) ją pocałował, chcąc w ten sposób wyrazić całe współczucie dla poszkodowanego i dotkniętego człowieka, poczem mówili znów jeden przez drugiego:

— To panowie sprzedawać będą tę swoją chudobę?! I kto za to co da?! Możeby my wzięli do siebie? Będą się pasły!

Stempowski zastanowił się chwilę:

— Mam jeńców. Co z nimi zrobię?

— My i jeńców weźmiemy! A czy pan pozwoli temi końmi pracować?!

— A może pan boją się za te konie? — zapytał któryś z widoczną przykrością.

Przyszli znów inni, chodackkowa szlachta z Terespolskich Futorów, po radę.

— Nas dużo na tych futorach. Mamy już polską szkołę. Ale trzeba chatę najmować, a my chcieli zbudować swoją szkołę — żeby została raz na zawsze. Tylko bieda, że drzewa nie mamy. To coby nam pan poradził?

— Przecież teraz Rada zabrała obywatelom wszystkie lasy. Wiecie sami, ile furmanek kręci się wśród młodych zapustów, a i stare drzewa ścinają chłopi. Jedźcie i wy do jakiegoś dawniej „pańskiego“ lasu i nabierzecie budulcu, ile wam tylko potrzeba.

A oni wypatrzyli na mówiącego ośłupiałe wprost oczy:

— To jak pan radzi?!... Z kradzionego drzewa — szkołę polską zbudować?!...

Pod temi prostemi kamizelami przytaił się tedy, zwalony z piedestału ideał etyczny, ale pobyt w Litynie wśród kotłujących mętów stawał się z dnia na dzień niebezpieczniejszym i wielu już bogatszych ludzi zeń wyjechało, chroniąc się do większych miast Podola i Ukrainy.

Tylko pani Maraźli postanowiła tu zostać quand même i malgré tout, zachęcana do tego i podtrzymywana na duchu przez owego zaświatowego „dieduszkę“, o którym z taką zgrozą wspominał prostoduszny Michel.

W rozparcelowanych pomiędzy chłopów Mikulińcach, starej, ongi do Mikulińskich należącej wsi z ogromnemi stawami, wybudowała pośród pięknego parku letni pałacyk, oświetlony elektrycznością — właścicielka młyna i stawu, żona konsula greckiego z Odesy — znanego tam powszechnie bogacza Maraźli. Była to Rosjanka, lat około czterdziestu licząca, dość tęga brunetka, średniego wzrostu, miła i kulturalna osoba, należąca ze stosunków do arystokracji rosyjskiej. Podczas wojny zapisała się do Czer-

wonego Krzyża, teraz nosiła się jak mniszka, w czarnej sukni, w dużym, koronkowym kołnierzu, z krzyżem na piersi, wyglądając niezmiernie oryginalnie.

Wkrótce po przewrocie marcowym, najęła domek w Litynie i zwiozła doń artystyczne mahonie, lustra, kinkiety, co stworzyło istne muzeum. Obawiała się snadź większych rozruchów, chociaż Mikułińce leżały za stawami, za lasami, w ostępach i grabiąca armja do nich nie doszła.

Ów muzealny domek stał się jednocześnie przybytkiem ciekawych, spirytystycznych posiedzeń, gdzie znakomitem wprost medjum była prosta, dobra kobieta, Kwaskowa. Zdolności jej medjumiczne kontrolowali niejednorodnie profesorowie z Odesy i Piotrogradu, przekonując, że zła wola i podstęp są tu bezsprzecznie wykluczone. Miała ona, jak każde medjum, ducha, pośredniczącego pomiędzy światem zmysłowym, dotykalmym, a tem, co Francuzi określają tak subtelnie: „l' au delà“. Duchem tym był ów „dieduszka“, który materjalizował się jako mnich z długą, siwą brodą i sprowadzał niekiedy inne, pomniejszych duchy.

Seansy odbywały się w ciemnym pokoju. Drzwi do drugiego, były wszelako otwarte, więc wypływająca stamtąd smuga światła leżała na posadzce, jak wydłużony jaśniejący w mroku prostokąt. Wszyscy obecni, siedząc przy sobie, trzymali się za ręce i śpiewali półgłosem jakąś pieśń dla wytworzenia nastroju. Hen, w kącie — pokazuje się lekka, puszysta mgielka, kołyszce, przedłuża, rośnie i sunie —

a kiedy wejdzie w świetlaną smugę — czarnieje, tak, jakgdyby stawiała opór przenikającym promieniom jasności. Powoli wydłuża się kształt, przybiera postać człowieka — odzywa się starczy głos, rozmowy wie dzie, doradza, pociesza, a gdy go o przyszłość wyraźną nagląco pytają: — Nie wolno nam! — odpowiada.

Był tam na paru seansach ze znajomymi pan Stefan, a choć go stary mnich po głowie muskał i pocieszał: — Wszystko na świecie mija! — ale ten przezorny i energiczny człowiek wolał nie czekać na wzbierające niebezpieczeństwo i postanowił zniknąć z Lityna na jakiś czas.

Poszedł więc do Michela, kupił łódkę, kaszkiet, przybrał się w nie, a że zapuścił już niewielki zarost, pewien był, że wygląda jak w swojej skórce, nie w maskaradowym kostjumie.

— No i co, panie Michel! — wziął się pod boki z triumfem.

Żyd go oglądął i skrzywił się niedwuznacznie:

— Szlecht! Teraz czasy kiepskiejsze, jak wtedy, kiedy pan Stanisław Stempowski i pan Piotr w te katankie paradowali! Teraz, to już pan musi wytać się na mojej podłodze, ot tu, żeby wona swój nowy glanc straciła!

Tak też uczynił bez chwili namysłu Rożański, poczem brudny i zakurzony wyszedł ze sklepu starego kupca i zwykłym, szparkim krokiem podążył do swego mieszkania, skręcając w jedną z bocznych ulic Lityna. Jak na rozbitka urządził się tu wcale

niezgorzej, dzięki swej praktyczności i pomocy oddanych mu chłopów. Skromne drewniane meble, przywiezione tu jeszcze latem z Szamrajówki, godziły się wyśmienicie z niskimi ścianami i małym dworkiem lityńskiej mieszczki. Śpiżarnia była zaopatrzona — wisiały w niej nawet na sznurach, przysłane przez gospodynię, świńskie uszy, przysmak „Stefana“, a w kuchni uwijała się ochoczo czarnoka, o kruczych pod chustką włosach Nastasia, pokrzykując niekiedy na płaczącego się okok niej bębna. Stożek siana piętrzył się na podwórku, zaś w śmiesznie ciasnej stajence stały przed żłobem dwa „Bakłarzany“, jak niegdyś — w chwili dobrego humoru — ochrzcił pan Stefan tę parę niezwyklej dobroci kasztanów: wałacha i kubek w kubek — podobną do niego klacz. Nie znały one narowów, albo oporu przed ciężką pracą — niezmordowanie i równo ciągnęły za sobą pług ogrodowy, brnąc równie wytrwale po rozgrzanej, gliniastej drodze, kiedy wkładano na nie szleje od szarabanu, w czasach najgorszych, nie do przebycia nieledwie dróg. Ostrość ich kłusa i natężenie sił były tak świetnie dobrane, że śmiano się nieraz pośród koniarzy, życząc, aby niejedno małżeństwo brało przykład z tej wzorowej pary czworonogich przyjaciół, które miały dawniej stałe swe miejsce w stajni cugowej, a zależały wyłącznie od pomocnika Mykoły, jasnookiego Staśka.

— Staśkó! — wołali na niego rodzice, zanim go odumarli w czasie jakiejś zaraźliwej gorączki, wygarniającej dziesiątkami całymi szamrajowieckich

chłopów z obrębu życia. Napróżno pan Stefan przemawiał, tłumaczył, zaklinał, aby wieś piła przegotowaną tylko wodę. Po chatach się śmiano: — Pańskie wydumki! — a tyfus coraz nowe ofiary wywlekał na cmentarz wiejski.

Zabrał Rożański do dworu owego Staśką sierotę, który według urzędowej metryki prawosławnym był chłopem i zwał się Kawieckij. Skąd wzięło się wśród ogólnego typu czarnookich brunetów to jasnoblond chłopię o polskiem imieniu? Skąd wśród nich ci liczni płowowłosi, greckiego wyznania, w księgach urzędowych rosyjskich jak Tkaczuki, Kołodziejewy, Kulisze, Pieredborowy — zapisani? I któżby tak łącno domyślić się mógł w tych wyzutych z dawnej narodowości i wiary, przeinaczonych mocą powolnego, wytkniętego celowo działania carskich systemów — owych pocziwych, polskich Tkaczyków i Kołodziejów, albo rycerskich ongi Przedborów, szlacheckich Kuleszów?!

Był jakiś Kawiecki i to między możniejszą szlachtą, gdy opuszczała Podole po upadku Kamieńca, a imię „Staśkó“, chociaż już z miejscowym akcentem na ostatniej literze, nakazane było tradycją w tej prawosławnej rodzinie. Staśkó skończył szkołę cerkiewną, po rosyjsku czytał i pisał dość wprawnie, miał chatę „po bałkach“, dwa morgi pola i własne dwa zdania: — Ne bude z Iwana pana! — i: — Nasz pan, kudy ne kiń — to kozàk! Takie były wytyczne jego światopoglądu, pomiędzy którymi na honorowem miejscu stał — koń. Staśkó kochał konia i ro-

zumiał go tak, jakgdyby to nie mówiące zwierzę miało jakąś swoistą duszę, zażyłe i po przyjacielsku z chłopakiem zbrataną. Może tak przejawiało się owo dawne, rycerskie umiłowanie wiernego towarzysza bojów i zwycięstw, który niejednokrotnie rżał żałośnie nad powalonym z siodła, nieruchomym w śmiertelnym bezwładzie, swym panem.

Teraz, po całych dniach, nudząc się przymusowem bezrobociem w małej mieścinie, szczotkował, i czyścił Bakłarzany z takim zapalem, że już po tygodniu przypominały gładkością i blaskiem szerści — dwa miedziane rondle. Skoczył też często na wesołą pogadankę do hożej Nastasi, oceniając coraz goręcej jej wszystkie zalety. Niejeden chłop w Szamrajówce był tego samego zdania i kilka razy swaty chodziły do niej, ale odpowiadała uparcie, acz układnie: — Poczekaju szcze na Pyłypa. Niechaj dziecko ma swego ojca! — Ten Pyłyp zaś, od pierwszych chwil mobilizacji zabrany został do wojska tak gwałtownie i niespodziewanie, jak niespodziewanie wybuchła wojna. Dobry był chłopak i syn gospodarski, ale że wedle zwyczaju, mając zamiar ożenić się z Nastasią, chadzał do niej w zaloty „na noc“ — więc wypłynęła dziewczyna na morze macierzyństwa równie pośpiesznie, jak owe, sypane naraz przez wszystkie, waśniące się państwa ultimata i mobilizacyjne nakazy. Za panem Stefanem poszłaby Nastasia do piekła chyba, gdyż to on ją zabrał do kuchni, na miejsce wezwanego do wojska kucharza — on doktora sprowadził do ciężkich rodów, on — ją pocieszał: — Niech

tylko wróci ten szelma! Za uszy go do cerkwi pociągnę! Musi się bestja ożenić!

I teraz zatem, gdy „pan“, okurzony i brudny wszedł do kuchenki z podwórza, Nastasia plasnęła w dłonie ze zgrozą, a i Staśko porwał się z ławy, jakby piorunem rażony:

— Hospody! A ce szczo?! Napały na pana kacy?!

— Ale nie. Widzicie, teraz tak trzeba! A będzie gorzej! Żydzi to mówią, a Żyd wie wszystko. Słuchajcie. Obmyśliłem co i jak należy teraz zrobić. Więc najprzód: Staśku — masz list. Do Szamrajówki pojedziesz i Danilczukowi go dasz. Przeczytaj, powoli — na głos. A ja ci jeszcze zaraz ustnie wyjaśnię. Krowy, jałownik, woły — rozdać na przechowanie chłopom. Konie, jakie tylko „smiertonoscy“ z sobą nie zabrali — tak samo. Meble ze dworu — roznieść po chatach. W stodole niema już nic. Drzwi wszędzie, broń Chryste, na klucz zamykać. Może ocaleje coś w taki sposób! Brońcie! Wrócę — od dacie, mi, a jeśli nie — szkołę lepiej we dworze urządźcie dla waszych dzieci. Już wszystko, co najważniejsze. Ty — we wsi zostań. Chata twoja w porządku i ziemi masz okruszynę, ale twoje, nie cudze. A Bakłarzany — także dla ciebie, czy wrócę, czy nie. Będziesz miał po mnie pamiątkę, a najlepiej żen się z Nastasią!

— Ja jeszcze na Pyłypa poczekaju! — zaznaczyła dość miękko Nastasia, zerkając przychylnie na dorodnego parobka, w którego oczach zalśnił błysk

szczęścia, kiedy posłyszał, że te dwa „złote“ konie mają być jego własnością. Rzucił się do rąk pana Stefana, przeplatając pocałunki słowami głębokiej radości.

— A ty, Nastasiu, zostaniesz tu. Śpizarnia pełna i Staśko do ciebie na pewno się dowie. Te meble twoje i rzeczy twoje, tak będziesz mówiła, jakby ktoś czepiać się chciał, a nasza wdowa — dobra, nie wyda. Doczekasz się mnie zpowrotem, tem lepiej, a jeżeli mnie gdzieś zakatrupią, to bierz „na chadziajstwo“. A teraz, dajże mi coś przekąsić, a ty Staśku, wóz wymość i do drogi się szykuj. Powieziesz mnie do Winnicy. Tylko nie dajże sobie wydrzeć w powrocie koni!

Nagła srogość buchnęła z twarzy chłopaka, a jasne oczy stały się zawzięte i zimne jak stal.

— Ja im-by dał! — mruknął i wyszedł śpiesznie z pokoju.

III.

NAD WODAMI BOHU.

„Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje“ i opływa z trzech stron półwysep, na którym rozłożyło się pięknie jedno z najznacniejszych miast Podola, Winnica. Broniły jej ongi dwa zameczki: jeden na wyspie, którą Boh na stronie wschodniej swem korytem otacza, drugi — za Bohem, na Starem Mieście wzniesiony, lecz obydwóch — śladu dawno już nie masz! Rozpadły się w proch i nicość dzieła rąk ludzkich, pozostały wszelako jak przed laty śliczne, skaliste, poszarpane w malownicze zazębienia brzegi szafirowej rzeki, po której rozlewnych wodach mknęły często łodzie mieszkańców Winnicy, zdążając do ulubionego Sabarowa. Niewielki to był majątek, ale tak cudnie położony nad rozkosznie szemrzącym Bohem, że właściciel jego, adwokat Niedzielski, miał założyć tam miasto-ogród. W miejscach publicznych Winnicy wywieszony już był w czasie wojny plan szczegółowy i sprzedawano nawet place.

Im bliżej przytyka powiat winnicki do mohylowskiego i jampolskiego, tem bardziej powierzchnia



jego pagórkowatą się staje. Na spadziściach jary głębokie ją krają, a wśród chaosu skał puszą się szmaragdową zielenią brzegi Bohu, którego dopływy i rzeczki pobliskie doliny zajmują. Były tu dawniej olbrzymie lasy dębowe, obecnie zaś słynął powiat winnicki z ogrodów i sadów.

Początkowe dzieje Winnicy giną w pomroce wieków. Ponoś wielki książę litewski, Olgierd, po zdobyciu ziem podolskich na Tatarach, oddał je w 1331 roku w zarząd synowcom swym Korjatowiczom, którzy zamek pierwsi tu zbudowali i miasto założyli. Pomimo opieki królów polskich dzwignąć się ono jednak i rozkwitnąć nie mogło wobec nieustannych napadów tatarskich i zdzierstw starostów. Król Aleksander nadał miastu prawo magdeburskie, słynny starosta barski, Bernard Pretficz, na głowę Tatarów tu pobił, a jeńców w jasyr wziętych wyswobodził szczęśliwie. Nie poprawiło to jednak ciężkiej, wobec bliskości zachłannych krzyża św. nieprzyjaciół, doli Winnicy.

Wzrost Winnicy rozpoczyna się od upadku Braclawia, który jako najbardziej na południe ku Dzikim Polom wysunięty i jeszcze częstszym napadom tatarskim podlegający, wzbudził słuszne zaniepokojenie szlachty miejscowej o całość aktów ziemskich, tam przechowywanych. Proszono tedy jednomyślnie na sejmie w roku 1598 o przeniesienie grodu w głąb kraju do Winnicy, która w ten sposób stała się stolicą, należącego wówczas do Wołynia, województwa braclawskiego.

Nie porastał jednak trawą czarny szlak tatarski, więc kiedy nowe łuny przez pohańców wzniecone, spopieliły zamek winnicki, odrodziła się jak feniks z popiołów warownia, sumptem własnym starosty winnickiego, Wal. Aleks. Klinowskiego postawiona.

Pod mądrą opieką króla Władysława IV Winnica szybko rozkwitać zaczyna, lecz niszczą ją znowu wojny kozackie (gdyż z rąk do rąk wówczas przechodzi, a jak słabo pulsowało w 1664 roku istnienie miasta świadczy zeznanie pisarza ziemskiego, iż przy objęciu w owym czasie urzędowania „nie zastał w kancelarji ani pióra i kałamarza, ani księgi, ni aktów podczas rebelji kozackiej spalonych“). Na mocy traktatu buczackiego dostaje się Turkom, ale odwołuje ją Jan Sobieski i znów pod rządami starosty Ludwika Kalinowskiego do dawnego rozwoju podążać zaczyna. Nie zlega w dosyć młody starosta, jeno tradycją rodu wiedziony, poprawia oba zamki, przebudowuje kolegium, wreszcie kościół i klasztor ks. kapucynów na chwałę Bożą funduje.

Po rozbiorach ukaz Pawła I, w 1796 roku przyłączył Winnicę z powiatem do gubernji podolskiej, ukazem zaś z 1806 roku podarowano starostwo winnickie sukcesorom Murawjewa.

W 1814 otworzono gimnazjum w Winnicy pod kierownictwem Uniwersytetu wileńskiego. Na dyrektora powołano pijara, ks. Michała Maciejowskiego, kanonika kamienieckiego, który niepospolitą energją i inicjatywą osobistą cudów dokonał, wciągając ogół do współpracy, doprowadzając przy pomocy ofiar pie-

niężnych budynki pojezuickie do porządku, zakładając bibliotekę, gabinety naukowe i ogród botaniczny. Pod kierunkiem kuratora Szczeniowskiego, przy odpowiednim doborze nauczycieli, szkoły w Winnicy stały wówczas świetnie i posiadały znaczną ilość uczniów.

Po 63 roku starano się młodzież kształcić zagranicą, a przynajmniej w Rydze i Dorpacie dla uniknięcia szkół rosyjskich. W latach osmdziesiątych wyrobiło się przekonanie, bynajmniej nie ze względów ugodowych, raczej wprost przeciwnie, że jest to dla żywiołu polskiego szkodliwem. Po powrocie ze studjów w obcych krajach musiał młody „poddany rosyjski“ strawić jeszcze dość czasu na przystosowanie się do warunków miejscowych, a prztem nie mógł zająć odpowiedniego stanowiska w wolnych zawodach, jako lekarz, prawnik, inżynier, gdyż prawo rosyjskie zagranicznych dyplomów nie uznawało. Wytwarzały się więc często tak dziwaczne sytuacje, że np. młodzieniec, który ukończył chlubnie gimnazjum w Toruniu, a akademię handlową w Berlinie, obowiązany był odbyć czteroletnią powinność wojskową, jako „niegramotnyj“ (niepiśmienny, bo nie znał języka rosyjskiego) szeregowiec.

Młodzież polska w szkołach i wyższych uczelniach rosyjskich miała swoje związki tajne, kółka samokształcenia, prywatne lekcje polskiego i historii, a dom każdy, oddając dzieci do szkół rosyjskich, wpajał w nie od maleństwa poczucie polskości tak mocno, że obawy przed rusyfikacją być nawet nie

mogło. Długie wakacje przyczyniały się również do przyswojenia sobie literatury i historii ojczyzny, wyodrębnianiu się zaś uczniów Polaków w szkole rosyjskiej na Rusi dopomagały zawiązywane w ostatnich już czasach tow. gimnastyczne, przyrodnicze, korporacje, zbiorowe krajoznawcze wycieczki i t. d.

W dziewięćdziesiątych latach przeszłego stulecia powstały w Winnicy dwie instytucje, które zogniskowały w sobie ówczesne nastroje. Pierwszą z nich założył dla okolicznych włościan Stanisław hr. Grocholski z Pietniczan, nadając jej nazwę „Banku Zaliczkowo-Oszczędnościowego“. Należało doń 10.000 chłopów, a obroty roczne dosięgły zczasem poważnej cyfry półtora miliona rubli. Stanisław Grocholski, ożeniony z Zamoyską, rozumny, a przytem łatwy, przystępny, umiejący zrozumieć i pomówić zarówno z najwytworniejszym człowiekiem ze swego towarzystwa, jak i z najuboższym chłopem, miał ogólny mir i uznanie.

Wyrazem bujnego rozkwitu rolnictwa i związanego z nim przemysłu rolnego było zorganizowane również w owych latach „Podolskie Towarzystwo Rolnicze“, którego prezesami byli wybierani ze względów politycznych Rosjanie jak: Czichaczew, Dymitr hr. Heyden — pierwszym zaś wiceprezesem Tadeusz hr. Grocholski ze Strzyżawki. Instytucja ta posiadała liczne sekcje, a mianowicie: sekcję oceny nasion i laboratorium, sekcję hodowli koni, bydła, drobiu, sekcję przemysłu drobnego i gorzelaną, zorganizowaną w 1910 roku.

Podolskie Towarzystwo Rolnicze jednoczyło szerokie koła ziemian, dzierżawców i pracowników polskich na Rusi, wpływając dodatnio na rolnictwo, szczególnie na hodowlę, a liczne, choć oficjalne zjazdy szlachty z różnych zakątków kraju, wzmagaly niezmiernie tętno samopoczucia narodowego. Wystawy winnicke ściagały tysiące ludzi. Otucha wstępowała we wszystkie serca na widok tyłu razem zgromadzonych Polaków — rosyjskiego języka słyhać nigdzie nie było. Winnica ożywiała się i europeizowała w czasie takiego napływu najkulturalniejszych jeśli nie „przewódców“, to bezwarunkowo „przywódców“ ruchu ekonomicznego i umysłowego po miastach i wsiach całej Rusi. Obraz posiadane go tu bogactwa i kultury wyłaniał się każdorocznie z pawilonów i budynków zgrupowanych na terenie placu wystawowego w tem malowniczym mieście nad Bohem. Świadomość, że Polacy oparą się o ziemię i wiedzę fachową stoją tu mocną stopą, wywoływała radosne, żywotne nastroje. Zabawy towarzyskie, bale, konkursy hipiczne przesuwaly się jedne za drugimi, niczem karnawały w Krakowie i Warszawie. Inteligencja polska po miastach cieszyła się zasłużonym uznaniem wśród swoich i między obcymi, ale nie należy sądzić, iżby przykra legenda o najgłupszym synu-rolniku miała tu swe zastosowanie. Trafiali się, oczywiście, ludzie, do których trudnoby było przykleić epitet: — Mędrzec — albo filozof! — Tem niemniej w ostatnich czasach większość młodego pokolenia kończyła politechnikę w Rydze, lub też

studjowała w Dublanach, w Puławach, w Petro-Razumowskiej Akademji, na uniwersytecie w Kijowie, w Warszawie. Kultura umysłowa u kobiet stała zawsze wyżej na kresach, aniżeli u mężczyzn. Obejmowały one krągi szersze i ogólniejsze, nie specjalizując się w jakiejś gałęzi, nabierając wszelako polotu i rozszerzając horyzont myśli przez studia w najbliższych miastach Galicji — Lwowie i Krakowie, jak również nierzadko w Dreźnie, Genewie, Paryżu. Słowem — miano o czem pomówić w niejednym dworze kresowym! Krążyły w bibliotekach latających najnowsze książki, dyskutowano rzeczowo najżywoźniejsze, bieżące kwestje i choć zbierali się „hreczkosieje“, widzieli oni i one coś więcej na świecie od swojej „hreczki“ nawet na szczerzej prowincji o kilkanaście wiorst od stacji kolei i od najbliższej fabryki cukru.

Po roku 1905 zaczęto pogadywać o konstytucji, wyborach do Dumy w stolicy Rosji, nawet o autonomji Polski. Wynik to był przegranej wojny japońskiej i zmobilizowanych po raz pierwszy w ogólny strajk kolejowy, wiernych dotychczas szerokich warstw rosyjskiej ludności. Coraz mocniej w społeczeństwie polkiem na Rusi przemawiać jęto za niewyrzekaniem się ofiarowywanych praw i współudziału w rządach. Coraz więcej podnosiło się głosów by — przeciwnie — starać się o cenzus naukowy bierny i czynny, kształcić się fachowo i obejmować wszystkie możliwe stanowiska, nawet wojskowe, aby przyszłe wybory i zmiany zastały wszędzie Polaków,

jeśli nie u steru, to przynajmniej przy wiosłach, wyćwiczonych fachowo. W tygodniku petersburskim „Kraj“ toczyła się na ten temat długa polemika Orzeszkowej z różnymi publicystami, a był też on przedmiotem dyskusyj w czasie wielu zebrań sąsiedzkich.

Cukrownie, któremi Podole tak gęsto było usiane, były jeśli nie wyłącznie, to w ogromnej większości polskimi siłami obsadzone. Koncentrowało się w nich intelektualne życie polskie: nauka, odczyty, książki, zabawy, filantropja. Wzorowo pod tym względem stały zakłady selekcji nasion Buszczyńskiego w Niemierczu, z fabryk zaś w szczególności Gniewań, Uładówka, Kapuściany i wiele innych. Liczną tedy klasę stanowili oficjaliści i urzędnicy fabryczni Polacy na wszystkich stopniach. Rząd cesarski nie dopuszczał ich (ze względu na polskie „pochodzenie“) do obejmowania nawet najmniejszych stanowisk rządowych na Rusi, ojcowizna, o ile ją który posiadał, nie wystarczała dla kilku synów. Przyrośli jednak zdawna do ziemi, rzemiosła się nie imali, obejmowali więc wszystkie posady po dworach i fabrykach, butnie nosząc swoje szlachectwo i polskość.

Stosunki sąsiedzkie były w tych okolicach częste i serdeczne. Niekiedy — w okresie gorących robót na buraczanych plantacjach, panowie srożyli się wzajem na siebie o konkurencję w zdobywaniu tak upragnionej „main d'oeuvre“ wśród miejscowej ludności, ale po skończonym sezonie jesiennych robót

rozpraszały się szybko te drobne niesnaski, a święta, imieniny, lub jakaś rodzinna okazja gromadziły przed dworem podolskim śliczne zaprzęgi, czwórki wyhodowanych najczęściej przez siebie koni i kilkadziesiąt osób z bliskiego sąsiedztwa. Oczywiście — zmieniali się ludzie. Tam — ktoś umierał, osiadał natomiast zięć, owdzie — nowa synowa nieco inny kierek staremu dworowi nadawała, albo wyjeżdżano dla wychowania dzieci do miasta. Domy jednak trwały, następcy się w nich osiedlali, a choć z biegiem czasu jedni się znów żenili, inne wychodziły zamąż daleko, nie było to wcale nieprzyzwyczajoną przeszkodą. Konie były dobre, futra ciepłe. Po skończonych robotach polnych jechał brat szlachcic, tu się pośmiał, tam czegoś nauczył, owdzie pięknej posłuchał muzyki, tam znów — owionął go prąd z szerszego, europejskiego świata. U tych dalekich teraz, dawnych sąsiadów, albo panien ze dworów podolskich, przerzuconych nieraz na Wołyń lub Ukrainę poznawało się ich sąsiedztwo i tak ciągnął się łańcuch polskośći przez całe kresy. A każdy dom to muzeum zabytków, pamiątek, antyków, mebli, obrazów, bibliotek, dewocjonalja prababek.

* * *

W ostatnich czasach, przed rewolucją, stała się Winnica ośrodkiem przemysłowym Podola, a w tym jej rozkwicie nie mały udział brali Polacy. Prócz Tow. Rol. założyli tu oni Syndykat Rolniczy. Prócz tych polskich placówek był jeszcze w Winnicy szereg

polskich zakładów przemysłowych oraz czytelnia polska. W czasie wojny powstał Dom Polski, przy nim kółko amatorskie, restauracja, zaczątki czytelnia, zebrania. Wstęp mieli doń wszyscy, a prowadzony był w duchu narodowo-demokratycznym.

Dyrektorem Banku Zaliczkowo-Oszczędnościowego założonego przez Stanisława hr. Grocholskiego, był od chwili jego powstania K. Padlewski, a żona jego i dwie jej siostry — Podhorska i Peszyńska były prawdziwem Towarzystwem Dobroczynności, choć istniało ono oficjalnie i posiadało daleko więcej członków. Z dobroczynności też cichej i serdecznej znane były trzy siostry wdowy: Makowiecka, Serbinowiczowa i Łazowska (Morgulcówny z domu). Mieszkały razem, a dom ich był Opatrznością.

Prawo i medycyna miały w Winnicy wybitnych i cenionych przedstawicieli. Z adwokatów znani byli ogólnie: Jan Ołtarzewski, Giżycki, Klinger. Przeważnymi ludźmi byli drstwo Topczewscy. Pani pochodziła z zamożnego domu, więc mąż jej, nie potrzebując dbać o dochody, dawał folgę głosowi serca, stał się „doktorem biednych“, na każde skinienie biegł na przedmieścia, wciskając często do ręki chorego własne pieniądze na lekarstwo. Dom otwarty prowadzili drstwo Nowińscy. On — zamiłowany i wybitny w swym fachu lekarz doszedł pracą do znacznego dobrobytu. Wybudował wspaniały dom nad Bohem i otoczył go ładnym istotnie ogrodem, zakładając w nim zwierzyniec.

Wojna dała i tu upust tłumionej z musu żądzы szerszego, społecznego czynu. Pierwszą organizacją polską był szpital polski, założony i prowadzony kosztem dwunastu pań, z okolicy i z miasta. Kształtują się myśli w kierunku jak najwydatniejszego ulżenia skutkom grozy wojennej — powstał zatem Komitet Pomocy Ofiarom Wojny, którego prezesem był Zdzisław Grocholski, a skarbnikiem i duszą towarzystwa — Ludwik Jełowicki z Czerniejowiec. Urządzone zostaje sklep na Pocztovej, gdzie dyżurują kolejno różne kresowe niewiasty, wydając uchodźcom z Kongresówki odzież i obuwie, dobierając dla nich z pieczołowitością siostrzaną ubrania męskie, kobiece, dziecięce, wyszukując posady, kąt jakiś nad biedną, bezdomną głową, użalając się nad ich losem tułaczym z całą gorącością kresowych natur, mających już we krwi tradycję przymusowego wygnania, odczuwających przeto najmocniej ciężki los uchodźcy z pod własnego, ukochanego dachu.

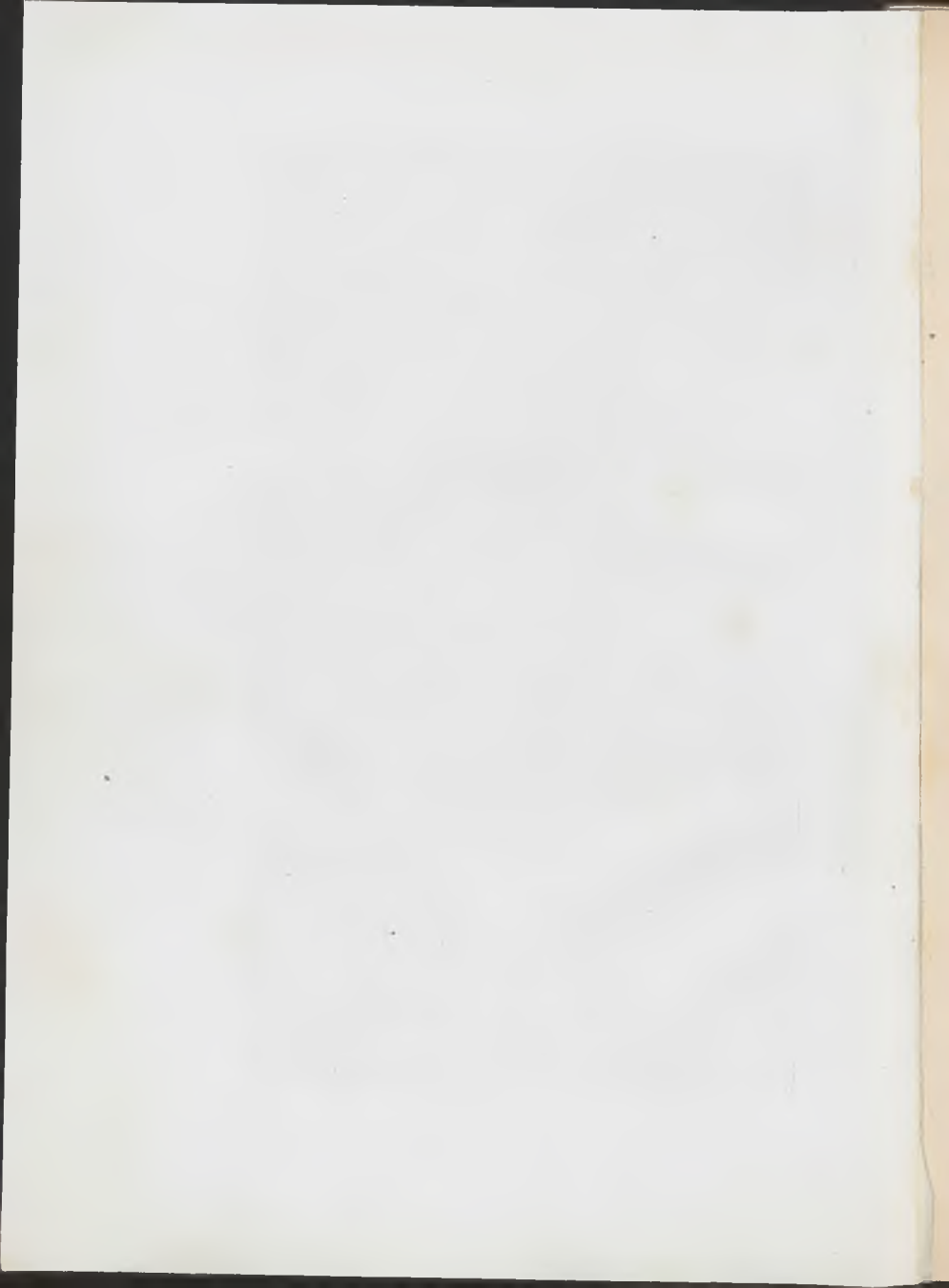
Mnożą się szybko ochronki dla dziatwy: Warszawska, Lwowska, Pomocy Ofiarom Wojny, Nowa ochronka C. K. O., a wszędzie opiekuje się temi pokrzywdzonymi młodemi latoroślami społeczeństwo polskie w Winnicy i w jej okolicach. Wyrasta jakby z pod ziemi, zorganizowana przez Marję z Jełowickich Orsetti „Tania Kuchnia“ dla uchodźców, w kościelnym domu swe locum mająca. Ziemiaństwo podolskie śle dla niej zapasy żywności, dyrektor Syndykatu, Wacław Roszkowski zdobywa dla tegoż celu różne produkty po niskiej cenie w Urzędzie Żywnościowym

miejskim, panie z inteligencji usługują i roznoszą gościom obiady, które wskutek minimalnych wydatków kosztują zaledwie 10 kopiejek. Pracują tu między innymi inż. Jankowska (rozstrzelane później przez bolszewików) z córkami i synową. Gorliwość jej w służeniu dobrej sprawie i wysoki patriotyzm cechują wszystkie jej poczynania. Znają ją i kochają zarówno dzieci w ochronkach, jak i ci których ściga niedola tułactwa.

Wybucha w Petrogradzie rewolucja, pada tron carów, świta zorza cudownych istotnie nadziei, z pąka długo tłumionego utęsknienia za pogrzebaną niepodległością wystrzela kwiat jaskrawej, bujnej radości. Obchód Trzeciego Maja na wolnej już od przymusowego „obrusienia“ podolskiej ziemi łączy w entuzjastycznym porywie wszystkie istotnie stany. Zjeżdżają nań tłumnie chłopcy polscy i drobna szlachta zagonowa ze wsi okolicznych: z Pietniczan, Jakuszyniec, z Sabarowa, z Majdanów i Telepenek, z niedalekiego Brahiłowa. Defiluje przez ulice miasta imponujący pochód Polaków, prowadzony przez komisarza ziemi podolskiej, Zdzisława Grocholskiego, a młodzież dzierży wysoko sztandar z hasłem braterstwa: — Za naszą i waszą wolność! — Tak w pierwszych chwilach po opadnięciu kajdan, ci byli niewolnicy caratu wskrzeszają myśl wielkich poetów i przerzucają złoty most ideału aż do wrogiej im doniedawna stolicy nad Newą, gdzie owa złota wolność już musuje, niestety, złowieszczo-potężnym zakwasem anarchji. Wraz z całym ziemiaństwem i in-



Wolnościowy pochód w Winnicy w maju 1917 r.



teligencją miejską wypromieniowują z siebie te tłumy polskie tyle podniosłego zapału, iż w niebo bijący, chóralny śpiew: „Boże, coś Polskę“ zda się być elektryzującym fluidem z tysięcy piersi. Pod pieściwemi dotykami wiosennego słońca powiewają sztandary — suną naprzód jak tyraljerska linja zwycięzców, a jeden z nich drży i trzepoce się na łagodnym ciągu wietrzyka, w ręku weterana z 63 roku Ryszarda Zielińskiego.

Dziwne objawy towarzyszyły temu przeglądowi polskości w Winnicy. Dzień był pochmurny i bladej dysku słońca przesłonięty był jakgdyby mgiełną przepaską, tylko wokoło niego lśniła na lekkich chmurach przedziwna, kolorowa tęcza. Nad pochodem zjawił się nagle jasny orzeł i rozpostarłszy szeroko skrzydła, latał nad nim, jakgdyby był wyuczony, albo jak symbol odradzającej się nie na ziemi ale jeszcze w obłokach — niepodległości narodu. Liczni Rosjanie, zamieszkujący Winnicę i przyglądający się temu żywiołowemu przepływowi „inorodców“ szeptali pomiędzy sobą:

— Na pewno ta „Polsza“ będzie, kiedy takie są niepojęte znaki na niebie!

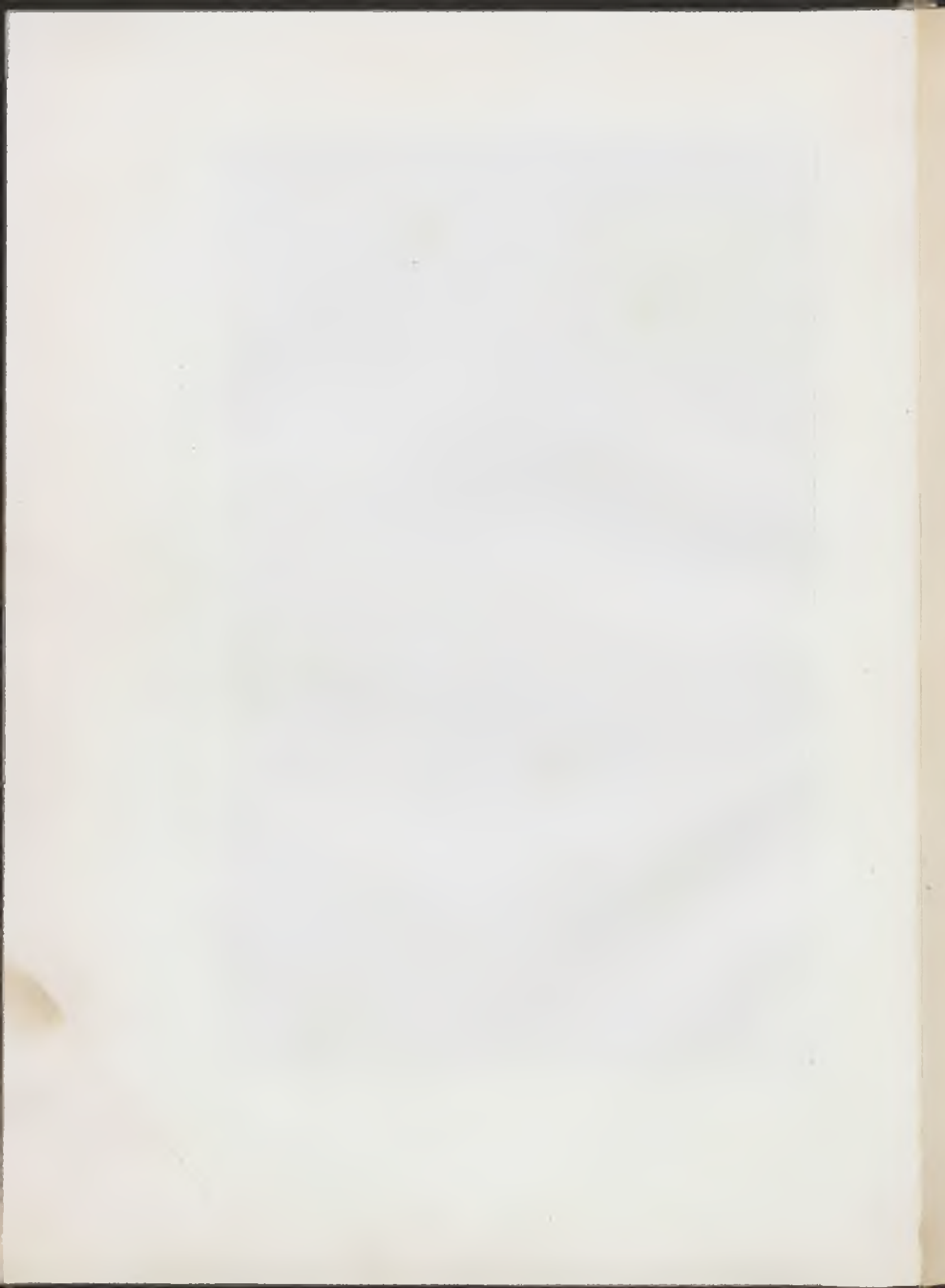
Sztandary, orły i wojsko polskie — fascynujące ongi miraż, dziś stają się czemś rzeczywistem i jak pnące zakwitającej nadziei owijają się dookoła serc polskich. Zawiazuje się w Winnicy 1 sierpnia 1917 roku Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza Polskiego z prezesową Janiną Roszkowską, wiceprezesową Heleną Grocholską, sekretarką Jadwigą Trzciniąską na czele.

Zaciemnia się jednak stopniowo ten czysty lazur chwil szybkobieżnych, niezapomnianych dni! Już możność wydatnej pracy — omiatana szalejącym wichrem agitacji. Jeden za drugim, nagłe wypadły anarchji. Zamglone chmurami przyszłości światło. Leci sztorm nad posepnem bojowiskiem, a wszędy widnieją dymiące grzywy podpalanych siedzib polskości. Tłum czuje złowieszczy posmak potęgi. Ósmego października „towaryszczki“ ostrzeliwiają Aleksiejówkę Jakóba Rokickiego, który wraz z rodziną przenosi się wobec żywiołowych zaburzeń do Winnicy na stałe. Za nim podążają z musu inni ziemianie. Zjeżdżają tedy kolejno: Wacław Jełowicki z Charpaczki, były poseł do Rady Państwa, wiele dobrego w swych majątkach czyniący, gdzie jako stary kawaler sam gospodarzył. Kumanowscy z Kumanowiec od czterystu lat w ich władaniu pozostających, niezwykłe pobożni i trzymający się ściśle tradycji, przybywają Feliksowie Zdziechowscy z Czerepaszyniec, gdzie były zebrane przez ojca właściciela, ś. p. Adama istne skarby malarstwa i sztuki, gdzie ongi rządziła nieżyjąca już wówczas pani Oktawja z Podhorskich, piękna, chłodna i sztywna z pozoru — dzielna, pracowita, dbająca o swych podwładnych w istocie.

Opuszcza swe ukochane Lulińce i nabywa dom w Winnicy Marja ze Starorypińskich Starża-Jakubowska, niezmordowana przez całe życie działaczka społeczna, znająca z imienia i charakteru każde dziecko w swych posiadłościach, filozofka, umiejąca się zdobyć z wyrozumiałym uśmiechem pomimo



Wolnościowy pochód w Winnicy w maju 1917 r.



ruiny i wypędzenia z pięknego dworu na takie określenie przeżywanej epoki:

— Panowaliśmy my — dość długo! Teraz — im się zachciało panować!

Edwardowie Starża-Jakubowscy (mąż pani Marji umarł przed wojną) byli istotnie wzorowymi obywatelami kraju. Na długo przed założeniem Tow. Rol. sprowadzali wszystkie nowości hodowlane i techniczne, spraszając większych i mniejszych rolników na pokazy funkcjonowania i zastosowania narzędzi. Mawiali nieraz: — Nie kupujcie na ślepo! Nam łatwiej przetrzymać w razie zawodu. — Założyli u siebie Bank Włociański, gdzie wydawali chłopom pożyczki, spłacane w 20-kopiejkowych, tygodniowych ratach. W wychowaniu kilkorga dzieci mądrzy byli i przewidujący. W czasie każdych wakacyj brali coraz to inną specjalistkę: do gotowania, prasowania, szycia, w tym celu, aby dziewczęta w każdym położeniu umiały dać sobie radę. Syn ich, wysoki, przystojny, czarnooki młodzieniec, posiadający jako jedynak uprzywilejowane wedle praw rosyjskich stanowisko co do poboru wojskowego, zaciągnął się pomimo to dobrowolnie do armji po odezwie wielkiego księcia Mikołaja „dla Polski“! jak twierdził i tak się gdzieś w jakimś boju zawieruszył, że nie pozostawił po sobie wyraźnego śladu ani życia, ani śmierci. Wpadł niby kamień do wody, a kochająca go nad wyraz matka nosiła ten kamień w swem sercu — do zgonu.

Rewolucja i obudzona żądza niszczenia przybie-

rają wprost cyklopiczne rozmiary, przyjeżdżają tedy do Winnicy jedni za drugimi ograbieni przez żołdatów, z udziałem wsi niekiedy, ziemianie i dzierżawcy z dalszych i bliższych okolic. Zjawili się na bruku miejskim Janowie i Józefowie Mańkowscy, Adamowie Sobańscy, Leon Rakowski, Mazarakowie, Grzybowscy, Derseville'owie, Franciszkowie Jaro-szyńscy, Tadeuszowie Grocholscy, Aleksandrowie Dobrowolscy, Russanowcy, Krasiccy, Urbańscy, Ołdakowscy, Michał Regulski z rodziną i matką staruszką, „panią sędzią“, Kazimierz Jełowicki, brat Wacława i tylu innych, że wolny kął stał się wkrótce mityczną baśnią, uroczem nieprawdopodobieństwem wśród ścian drewnianych i murów, tego wrzącego życiem polskiem, miasta nad szafirowym Bohem.

IV.

POLKA NA RUSI.

Grudniowy dzień rześki był i pogodny. Promienie słońca ogrzewały ulice Winnicy tak łagodnie, jakgdyby ktoś niewidzialny kładł na wszystkim, co go otacza, miękkie i ciepłe dłonie. Rzekłbyś, iż kula słoneczna odwróciła się swem pałajacem, ongi lipcowem obliczem od ziemi podolskiej i tam kędyś, w nieznanej stronie, zije piekącym żarem. Liczni przechodnie kręcili się żwawo po mieście, zdążając widocznie do określonych terminowo celów, a pośród nich zjawiali się tu i owdzie wyrzuceni już ze swych warsztatów pracy gospodarze wiejscy, idący wolnym krokiem z miną, świadczącą o przekonaniu, że te przymusowe wakacje nie zmienią się w chroniczną bezdomność.

Główną ulicą miasta, Pocztową, szedł Stefan Rożański. Po obydwóch stronach ulicy rosły cztery rzędy nadwiślańskich topoli. Po drodze spotykał wielu znajomych, przystawał, witał się z nimi, zamieniał kilka zdań, których treść była zawsze jednaka: — Ruina. Zniszczenie. Kiedyż wrócimy?!

Dopiero od wczoraj znajdował się pan Stefan

w Winnicy, ale już wiedział o wszystkim, co się tam działo, i naszkicował w swoim umyśle obraz katastrofy ogólnej. Zajechał odrazu do stryjecznego brata, Piotra, który, mając i dawniej wysokie poczucie ludzkości dla wydziedziczonych, przyjął go z otwartymi ramionami w swym jedynym, ale obszernym, wynajętym pokoju. Turecka sofa — stała się wygodnym legowiskiem dla gościa. Dotychczas rozumieli się bracia bez zbytecznego „wałkowania“ każdej, omawianej kwestji, więc i w chwili powitania powiedział pan Stefan donośnie:

— Czysta robota! Co?! — na co rzucił mu stryjeczny z przekonaniem:

— Żyjące trupy! — i zamilkł.

— Uhum! — mruknął drugi, zajęty rozpakowywaniem rzeczy, wnoszonych do pokoju przez Staśka. Pomimo jednak pozornej zgody na takie określenie, każdy z nich miał zgoła co innego na myśli. Wieczór cały spędzili na opowiadaniach o własnej i cudzej doli i niedoli, a na drugi dzień z rana wyruszył pan Stefan na miasto. Pomimo że bolszewicy byli już wówczas partją rządzącą, ale pierwsze podmuchy są zawsze mniej groźne od taranów istotnej zawiei, więc chociaż chodziły po mieszkaniach procesje krasnoarmiejców, których ręce zagrzebywały się w bieliznie i ubraniach „burżujów“, choć nakładano na nich niepomierne kontrybucje pieniężne, odbierano zapasy żywności, chwytano łączywie znalezione przy dziesiątkach rewizyj złoto, ale ręce tych przywódców ludu, ubielone rekwizowaną prywatnie

mąką, nie były jednak zmazane jeszcze krwią ofiar nowego systemu.

Tu pan Stefan przerwał swe rozmyślanie, zdjął czapkę z głowy i wyciągnął rękę na powitanie zbliżającego się doń szybkim, zamaszystym krokiem Eligjusza Małachowskiego. Ożeniony, jak większość tej rodziny, z jedną z kuzynek — Gertrudą Kołyszkową — wyzbył się przed pięciu laty majątku swego, Czabanki, nad brzegami Czarnego morza (tak mu „dopiekła“ owa częsta, posuszna spiekota tamtych stron!) i kupił na Starem Mieście w Winnicy willę, którą — jako wyraz tendencji całego życia, przewali oboje z żoną: „Zgoda“. Mieszkała przy nich matka staruszka, wnuczka w prostej linii owego sławnego podolskiego „Reduksa“, władcy mińkowieckiego, despoty i reformatora w jednej osobie, która przed laty, jako młodzianka i bardzo przystojna panna Wiktorja, wyszła za Benedykta Kołyszkę, stryjecznego wnuka generała — dowódcy podolskiego powstania w 31 roku. Ponieważ Eligjuszowie vel „Lilkowie“, jak ich nazywano w rodzinie, dzieci nie mieli, więc za wspólnem porozumieniem wzięli za córkę dziewięcioletnią Krzysię Małachowską.

— Coś nietęgo trzymacie się w siadle, wy obszarnicy! — powiedział ze szczerem współczuciem Małachowski, ściskając dłoń pana Stefana, z którym poznał się kiedyś w Syndykacie Rolniczym. — Nie mogę dość się nacieszyć, że sprzedałem większy majątek. Ładniebym teraz wyglądał! A mojej „Zgody“ nikt mi zazdrościć, ani zabrać nie może. Dwie dzie-

sięciny ogrodu, 10.000 krzaków truskawek, 500 porzeczkowych krzewów, 500 krzaków malin, trochę róż, sałaty i kalafjorów — na to nawet Lenin pozwala! — i pan Eligjusz parsknął krótkim, szczerym śmiechem z pod rozczapierzonych, żółtych wąsików.

— Przemiele się — mąka będzie! — odparł pogodnie Rożański. — Czy pan sobie wyobraża, że z nami wszystkimi kaput! Przecież to tylko wojenne ekscesy. Twardą mamy skórę — zniesiemy i to. Porządek i prawo muszą zczasem zatriumfować.

Małachowski wpatrzył się z za złotych okularów oczyma krótkowidza w pana Stefana:

— Pan tego pewny? Ja — nie. Panie! Trzeba znać ten naród tak, jak ja go poznałem, nie z górnego piętra, z terasów, z pałaców, ale przy wspólnej pracy. Spójrz pan na moje ręce. Wypieszczone, co?! Odciski, jak orzechy, prawda?! Sam przeprowadzałem u siebie, w „Zgodzie“, kanalizację, sam kopałem rowy na rury, heblowałem sztachety, sam ciąłem stare drzewa w ogrodzie i połamałem wszystkie łopaty, taki grunt gliniasty i twardy, do djabła! Naokoło mnie w chatach chłopi, poczytujący się za mieszczan, sadzili tylko kartofle, zdumiewali się moim uporem w uprawie, twierdząc, że tu nic innego nie wyrośnie. A teraz co?! Wszyscy sąsiedzi nasi mają truskawki, maliny, warzywa, ciągną świetne korzyści ze swych poletek pod miastem. Nauczyłem ich, panie, sam, własnym przykładem. I wie pan, co wzbudziło ich szacunek i życzliwość dla mnie? To — że i ja umiem pracować. A kiedy

przed kilku laty wnosiłem się do tej zaniedbanej rudery, kiedy wjechało auto, fortepian, karetą, podrwili między sobą ukradkiem: — Bacz! Jakijś panók tu zajechał! — bo „panók“ albo „pan“, to u nich symbol — pożądanego może — próżniactwa!

— Pod tym względem ma pan słusność zupełną. Zazdrość klasowa jest w tem żywiołowym niszczeniu potężną dźwignią. Dużo wody upłynie, zanim zrozumiemy wszyscy, po wielu doświadczeniach, co i jak zmienić należy w dotychczasowym społecznym systemie.

— Oby tylko ta woda do uszu się nam nie nalała! — zaśmiał się znów Małachowski, w którego każdym słowie znać było pewność i optymizm człowieka, zahartowanego w ciężkiej walce z życiem.

— Ale już muszę pożegnać pana. Wybrano mię w marcu, za Kiereńskiego, do zarządu aprowizacji miasta, zawiadywałem mąką i zbożem, a i teraz kupę mam z tem kłopotów. Proszę nas odwiedzić w „Zgodzie“. Zobaczysz pan, jakie cacko zrobiliśmy z tej obdrapanej budowli. Więc dowidzenia! — i szparkim krokiem, machając z pośpiechu przy każdym ruchu rękami, poszedł w przeciwnym kierunku.

— Dobrze mówi, — myślał Rożański, dążąc znów dalej przed siebie. — Dobrze mówi i w obecnych, warjackich warunkach ma słusność. Ale czyż podobna zaprząć wszystkich do fizycznej li tylko pracy? Tołstojowskie teorie, a życie wymaga gamy kolorów, składających się na blask słonecznego widma. Chciał-

bym zobaczyć społeczeństwo bez intelektu i ducha. Potworne! Choć ten Małachowski wszystko to godzi, bo studja kończył w Paryżu i wykształcony fachowo inżynier-technik, a przytem gra na pięćdziesięciu pięciu instrumentach, jak mówił mi Wacław Roszkowski, i to wali z nut odrazu, bez przygotowania, najtrudniejsze nawet partycje. Muszę się do nich wybrać. Posłucham przynajmniej pięknej muzyki, gdyż i ona wybornie gra na fortepianie. Ile tu jednak miłych domów polskich w Winnicy! — Pan Stefan posuwał się zwykłemi sobie, energicznemi ruchami, szedł, rozmyślając potroszę o wszystkim, czego się w tak krótkim czasie nasłuchał.

Wiedział już od znajomych, że pani Wanda z Jurkowskich Świdarska pracuje w Macierzy Szkolnej, a że była to siostra dawnego kolegi z Puław, uczył nagle tak nieodpartą chęć pomówienia z nią, jakgdyby sam widok osoby z tamtej drogiej, młodzieńczej epoki mógł przybliżyć na chwilę oddalające się wizje przeszłości.

Bywał często w Czepielach Jurkowskich dawniej, za czasów studenckich feryj i później, w ostatnich latach, po śmierci Kazimierza, którego lubiano ogólnie, gdyż był usłużny, serdeczny, a dla kompanji dałby się chętnie powiesić. Rzutkim dosięgiem myśli pan Stefan zagarniał teraz w sieć wspomnień barwny obraz tej okolicy lityńskiego powiatu, kędy leżały Czepiele.

Pan Stefan podniósł głowę do góry, spojrzął na liczbę domu. — No, nie tak bardzo! — mruknął z zadowoleniem. — Zrozumiałem teraz, czem jest

psi instynkt! — zawrócił na miejscu i zbliżył się do dwupiętrowej kamienicy, stojącej w głównym punkcie Pocztowej, gdyż naprzeciw niej była „Duma“ miejska (ratusz), a w lewo, o parę domów, największy, bo czteropiętrowy gmach Winnicy, hotel „Savoy“. Choć tedy ulica nie była tu rozszerzoną, nazywało się to miejsce „Plac przed Dumą“ i tu zaczynały się lub kończyły wszystkie parady, obchody, przemowy, tu się odbywały koncerty muzyki wojskowej, a jakby dla nieprzerywania dawnej tradycji co do posiadania domów w Winnicy przez Żydów — hotel „Savoy“ i dwupiętrowa kamienica, w której ulokowała się Macierz Szkolna, należały do synów tego przedsiębiorczego narodu.

Rożański spojrział na białą-czerwoną tablicę nad drzwiami od ulicy z napisem: „Centrala P. M. S. na Podolu“ i po marmurowych schodach wszedł na I piętro, gdzie powitał go identyczny znów napis na drzwiach od mieszkania, więc otworzył je szybko i znalazł się w przedpokoju. Ludzi było pełno, a choć pan Stefan był nielada majstrem w uskrzydłaniu swych oczu, nie mógł w pierwszej chwili dojrzeć pani Świderskiej, która siedziała przy mahoniowem, uratowanem z pogromu biurku, w pokoju na lewo, otoczona chmurą interesantów. Słyszał tylko tak dobrze znany jej głos, dający różne wyjaśnienia zebranym, więc wszedł do pokoju i stanął tuż za gromadą męskich postaci. Rzucił okiem dokoła. Od stojącego tu drugiego, wysokiego, gdańskiego biurka z otwieranym blatem i kilku krzeseł powiało nań

miłem wspomnieniem domu w Bucuhanówce, gdzie je lat tyle u państwa Świderskich widywałem.

— Jak to dobrze, że ma przy sobie tych starych, choć niemych przyjaciół! — ucieszył się szczerze.

— Proszę pani! — opowiadał w tej chwili jeden z interesantów. — Z nas smijutsia, szo my „krokwi składajemo!“ (chodzi o gest przy modlitwie) — złożył ręce, zaciskając przytem palce, jak do modlitwy. — Szoż z toho?! My Polaki, a nasi dity, sława Bohu, howorjat' wże po polski!

— I wy będziecie mówili! — pocieszała go serdecznie pani Wanda. — Widzicie, dawniej rząd cesarski nie pozwalał na szkoły polskie, więc trudno nam było pokryjomu wszędzie się wcisnąć. Zato teraz — od szkół tak się roi, jak od pszczoł koło ula. Dzieci nauczą starszych!

— Proszę pani! — przemawiał z zapalem jakiś „Mazur“ z waszecia. — My już mamy u siebie po chatach i królów polskich i Sobieskiego i Kościuszkę na koniu w oczy nam patrzy i księżę Józef do tej tam rzeki się rzuca! Bóg zapłać, że dla nas to wszystko panowie zrobić kazali! Ale — mnie teraz nasi wysłali do miasta: — Idźta tam! — powiada jeden z drugim — do tej tam pani Macierzy i prośta, niech nam obrazik króla polskiego sprzedadzo! Tego króla, co to u nas teraz w Polsce panuje, bo bez niego i tamtym wszystkim nijak wisieć na ścianie!

— Kiedyż my nie mamy króla, tylko Radę Regencyjną, rządzącą znaczy, rozumiecie, moi kochani?

Gospodarz w kapocie nachylił się konfidencjonalnie do ucha pani Świderskiej:

— My zapłacimy więcej, tylko dajta nam króla naszego! — szepnął niby przyciszonym, a w istocie tubalnym głosem, aż się rozległo po całym pokoju.

— Mówię wam prawdę, wierzcie mi. To jest taka mała Polska, bez króla.

— A my słyszeliśwa, że jest król polski, — upierał się zafrasowany, siermiężny patrijota. — I żeby tak nijakiej fotografii nie było?!

— Ustąpta sie, kumie! Jak nie — to nie! — pra-wił z żalem, a nawet z rozgoryczeniem jakiś chłop polski. — Myby ta pary z ust nie puścili, a jak nam nie wierzyta, to nie!

— Prosze pani! — przeciskał się przez gromadę nowy interesant. — Ja do tamtej pani Macierzy przyszedł — wskazywał ręką w stronę następnego pokoju, gdzie przy drzwiach balkonowych stał stolik towarzyszki pracy i pomocnicy pani Wandy, pani Jadwigi Trzcіńskiej, zajmującej się rozdawnictwem książek i podręczników szkolnych. Wysoka jej postać i wyprostowana dość majestatycznie figura wywoływały w wielu Mazurach przekonanie, że to jest właśnie owa rzeczywista pani Macierz, imponująca im swą postawą. Naraz pani Wanda dojrzała stojącego za wszystkimi Rożańskiego. Żałosne zdumienie przemknęło po jej wyrazistej twarzy, błysnęły szkła osadzonego na nosie pince-nez, gdy się porwała żywo od biurka:

— Rozstąpcie się, moi kochani! Panie Stefanie! —

Wyciągnęła doń obie ręce. — Więc i pan już bez dachu nad głową?!

— Dlaczegoż miałbym być gorszym lub lepszym od innych? — zapytał napozór swobodnie, całując jej ręce, Rożański. — Ojciec pani przechodził cięższe daleko chwile — dla Polski!

— Właśnie — dla Polski! To jedno nas podtrzymuje na duchu! Może z tego świtu, szarego od dymów pożogi i wilgotnego od naszych łez, wyłoni się jutrzienka niepodległości Polski?! Wojna przeżarła dotychczasowe okowy, a te nieprawdopodobne rozkołychy Rosji dopomogą do ugruntowania naszej młodej, państwowej wolności. Że przytem padną nasze mienia i życia?! Ha, trudno! Będzie to synowska danina dla matki! A tu, w tej Macierzy Polskiej, ileż mamy radości! Czy słyszał pan nasze rozmowy?

— Słuchałem z zachwytem. Ale ja teraz zawadzam pani? Nieprawdaż?

— Pan się nie pogniewa, skoro powiem otwarcie: Tak! Proszę przyjść wieczorem na długą, długą pogadankę. Mamy samowar i primus, dostanie pan dobrą herbatkę i coś tam jeszcze do niej się znajdzie. Do widzenia, kochany panie Stefanie! To potworne, co powiem, ale pomimo wszystko strasznie się cieszę, że pana tu widzę! Opowiemy panu ciekawe rzeczy o naszej pracy w Macierzy. Ach! Jaka szkoda, że naszej przeski, pani Letty Jaroszyńskiej, niema w Winnicy. Pojechała do Kijowa w ważnych interesach. Taby dopiero pana poinform-

mowała o wszystkim! No, już proszę iść, bo nie skończymy nigdy tej plecionki podsuwających się myśli! Już wam służę! — zwróciła się do oczekującej gromadki.

Rożański wyszedł na ulicę i jął iść przed siebie, bez żadnego określonego celu. Myśli jego biegły po jakiejś ideowej orbicie, której przyciągającym centrem była, wrodzonu Polakowi, miłość ojczyzny.

— Przecież to jasne, jak Boży dzień, — zatapiał się w rozumowaniach, — że ci ludzie, ci chłopci, których proste dusze miałem przed chwilą jakoby w ręku — dumni są ze swej polskości. Co za poczucie przynależności państwowej! Pyszny był ten ze swoim królem! Albo tamten, obrażony, że mu nie ufają! I skąd wykwitła w szerokich masach magja tego słowa: „Polska“? Czyżby z rzucanych tam i sam ziarn rozpleniła się tak bogata ruń? Cóż za różnica z moimi szamrajowczanami, którym tylko „zemelka“ w głowie. Materjaliści — a ci, dalibóg, mają jakieś ideowe tendencje! Może słusznie wspominał Kaszczuk: — Nie pracowaliście nad tamtymi! — Ba! Jakże można było pracować, kiedy to pachło Sybirem?! Stanisław Stempowski mówił mi po sejmie w Kijowie, gdy poruszałem z nim tę sprawę: — To trzeba było iść na Sybir! — Dziękuję! Za polskość — zgoda! Ale za budzenie intelektu i ducha chłopca Rusina — absurd! Szaleństwo! A jednak — jacy oni zdolni, jakie bogate natury! Rzutkości i poezji więcej, niż u chłopca polskiego, tylko ten posiada głębszy podkład kultury. Chłop Rusin ma cześć dla

ziemi, źródła władzy i zawartej w niej rozrodczej twórczości, od Boga danej. Chłop polski ma sprawiedliwe poszanowanie dla pracy, a chociaż w duszy każdego chłopskiego tłumu tai się pożądanie zwiększonego, naturalnego warsztatu dorobku, ale chłop Rusin nie sięga wzrokiem poza obręb swej wsi, swego folwarku. „Pańskie“ grunta winny być przydzielone mieszkańcom li tylko danego majątku, czy wioski. Parobkom (fornalom), bezrolnym, dworskim, z innego powiatu nieraz przywiezionym — nie należy się nic! Ani kłapcia tej upragnionej „Bożej“ ziemi, bo to ludzie „cudzy“, z „cudzego sioła“, „nie swoi“. A jak na to patrzy chłop polski?! Oto uznaje, że w pierwszej mierze należy obdzielić ziemią dworską bezrolnych fornali, albowiem za znój swej pracy zasługują na taką nagrodę. — Pan Stefan stanął na miejscu, zdjął czapkę i przetarł ręką czoło:

— Niech mię jasny piorun zatrzśnie, jeśli ja się nie zmieniam w społecznego działacza! — zawyrokował ze zdumieniem i, nacisnąwszy mocno czapkę na głowę, jakgdyby chciał przytłumić na chwilę nawal kłębiących się myśli, pewnym, równym krokiem poszedł do „Savoyu“ na obiad.

UKRYTE PERŁY.

Schludnie ubrana służąca otworzyła drzwi Rożańskiego, gdy zadzwonił o wieczornej godzinie do zamkniętego o tej porze biura Macierzy. Wśląd za nią wyszła do przedpokoju pani Świderska, szczupła, niska blondynka, o nieco ostrym wyrazie twarzy w pincez, z nieodstępnym papierosem w ustach:

— Nie mogłam się pana doczekać! Już dawno skończyłyśmy nasze zajęcia. Pani Trzczińska poszła w odwiedziny do swoich braterstwa, Waclawostwa Roszkowskich, ale niebawem powróci. Tymczasem pokażę panu nasze królestwo. Proszę za mną. — Szła naprzód żwawo, przystając w każdym pokoju i lekkimi gestami dopełniając wypowiedane słowa:

— Ten pokój już pan zna. Tu zaś, w następnym, mieści się główne biuro. Przy tem amerykańskiem biurku siaduje pani Jaroszyńska, tam — stolik pani Trzczińskiej, ta szafa zawiera różne papiery i dokumenty, w rogu stół buchalterki.

— To „biuro“ nie sprawia na mnie wrażenia poważnego urzędu. W oknach firanki, na balkonie kwiaty, posadzka błyszczą jak lustro, tylko te portrety królów

i tablice poglądowe na ścianach, przypominają o zawartym w tych murach pakcie z oświatą ludu polskiego.

— Wszyscy nam mówią toż samo, twierdząc, że jest to raczej miłe „chez soi“. A te kanapy! Iluż robotkom służyły one za nocleg! Nauczycielki, czekające na furmanki, „chłopaki“, nie mogący meldować się w hotelu, uchodźcy z pogromionych majątków — poznali niejednokrotnie miękkość tych sprężyn. Same jesteśmy wygnankami z pod własnego dachu, więc chętnie udzielamy schronienia; często i podłogi zasłane są materacami. A tu, widzi pan, drzwi do trzeciego pokoju, ciemnego, niestety. Skład książek i pomocy szkolnych — szafy, wysokie stopy podręczników — wieczny krąg zajęć pani Trzczińskiej. Tam dalej — moje dwa osobiste pokoje i kuchnia. Siadajmy teraz wygodnie i pogadankę naszą zaczniemy od mego szczerzego wyznania: Jak pan się zmienił, panie Stefanie!

— Pani to wyczuła? — spytał z półuśmiechem Rożański.

— W mgnieniu oka. Skoro się ma do czynienia z tyłu różnorodnymi duszami ludzkimi, jak my, to się tylko z początku płacze w tym duchowym chaosie, później zaś zygzakowate sylwetki poszczególnych indywidualności wyprostowują się w wyraźnie nakreślone linje takich lub innych charakterów. Pan teraz dostosowuje swój światopogląd do jakiejś doskonalszej symetrii klasowej. Pan poszukuje nowych dróg. Nie trzeba być czarodziejką, aby to odgadnąć. W każ-

dym z nas, mniej więcej, te straszne przejścia wyobrały takie pokłady duchowe, o jakich może nam się ongi nie śniło! Wie pan, nie poruszajmy w tej chwili żadnych bolesnych wspomnień! Nie chcę płakać nad panem, nie chcę żalić się nad sobą! Pan z takim wyrazem oczu powiedział mi dziś z rana: „Zachwycałem się waszemi rozmowami!“, że — pewna jestem — dziwi się pan właściwie, co pobudziło ten ruch żywiołowy, to rzucenie się ludu polskiego do narodowej oświaty z takim serdecznym rozpędem? — (Rożański skinął głową potakująco, albowiem z dawnych czasów pamiętał, że pani Wanda nie lubiła, gdy jej przerywano, skoro była w ferworze.)

— Otóż, widzi pan, nie mam, niestety, pod ręką dokładnych danych o całokształcie tajnej za caratu pracy nad ludem naszym na Rusi, ale przedstawię panu kartę ostatnich dziejów Kijowa i Winnicy, kartę, której połyskujące litery rozjaśniają wiele zdumiewających napozór wyników, tem bardziej — dodała, spoglądając na gościa nieco przekornie — że dawniej nie przeciążał pan zbyt swego umysłu podobnemi sprawami, chociaż jako znawca warunków ekonomicznych był pan poprostu nieprześcigniony!

— Niechże mi pani tego nie przypomina! — zawołał porywczo Rożański.

— No już zgoda, zgoda! — zaśmiała się przyjacielsko — zapiszmy tę kwestję herbatą. Wniesiono ją właśnie przed chwilą, siadajmy przy tym okrągłym stole, gdzie się odbywają ważniejsze narady, zebrania Zarządu, gdzie zapadają uchwały, ale gdzie i na-

sze posiedzenie gorszem w intencji nie będzie. Proszę, kochany panie Stefanie! Niech się pan posila — wędliny winnicke smaczne — a ja przeniosę się myślą w to zaczarowane koło podziemnej, tajnej pracy dla idei polskości, w którym czułyśmy się wszystkie pożyteczne, niezbędne wobec postawionego sobie zgóry, wielkiego celu.

Usiedli oboje przy stole, a choć pan Stefan trochę się jeszcze chmurzył z powodu drażniącej go przymówki gospodyni domu, ale po krótkim czasie dał się porwać, tętniącemu wewnętrznym zapałem i mocą, opowiadaniu. Płynął na fali przesuwanych obrazów, zasłuchany w te wspomnienia o pracy kobiety polskiej na Rusi. Pani Wanda przymknęła oczy, skupiła się w swej istocie duchowej, ściągając jakoby z oddali przeszłości pobrzmiewające w niej tony, wydmuchnęła z ust kilka kółeczek dymu z dogasającego już papierosa, poczem, obejmując pogodnym spojrzeniem miłego dla się gościa, tak mówić jąła:

— Przypomina pan sobie z pewnością dokładnie nastroje po 1905 roku? Wołyń, Ukraina, Podole zadrzały pod technieniem wiosny. Stopniały lodowe okowy „praw wyjątkowych“. Poruszyły się wówczas umysły i serca. Z siłą dawno powstrzymywanego żywiołu, jęły się tworzyć w Kongresówce — związki, placówki, organizacje narodowo-społeczne. W „trzech zabranych prowincjach“, gdzie tak żywo i boleśnie tkwiła tradycja 63 roku i krzywd po nim doznanych, echa tego ruchu w rdzennej Polsce, a ra-

czej w „priwislinskim kraju“ (!) obudziły gorące zainteresowanie. Wieści o wzmożeniu działalności narodowej dochodziły do nas ze wszystkich stron, a choć niewystarczające w pismach i listach z powodu ostrej cenzury, ale...

— Umieliśmy czytać między wierszami! — prze-rwał zapalczywie Rożański.

— Bezwątpienia. I domyślaliśmy się więcej, niż cenzor mógł nawet przypuścić! Korzystając jednak z licznego, dorocznego zjazdu na kontrakty kijowskie, grono pań rozpowszechniło myśl, aby przysłano kogoś z Warszawy do nas, abyśmy usłyszeli odeń żywe słowa, co i jak poczynają kobiety w Kongresówce. Przyjechała, najmiłsza nam sercem, bo sama kresowianka, Eugenia Żmijewska i z gorącą a barwną prostotą opowiedziała zespołowi, rwących się do czynu słuchaczek, o początkach, celach i rozwoju stowarzyszeń kobiecych w Warszawie. Zaraz też powstało w Kijowie Koło Kobiet Polek, które rozwinęło się świetnie, objęło różne dziedziny życia społecznego i pracowało długie lata bardzo gorliwie. Zarząd nasz składał się: z prezeski, Gabrijeli Knolowej, której takt, umiejętność lawirowania wśród ustaw i praw, gorące serce dla każdej społecznej sprawy, a na zebraniach nieporównany humor, nadawały całemu towarzystwu rozpęd i siłę, chroniąc je, dzięki tym wszystkim zaletom przewodniczącej, od patrzących na nas z pod oka władz rosyjskich. Mąż jej, Lucjan, wysoce ceniony prawnik kijowski,

pochodził z Małych Żerebek na Wołyniu. Dwa jego zdania wystarczą, aby odtworzyć duchową sylwetkę zgasłego, niestety, człowieka:

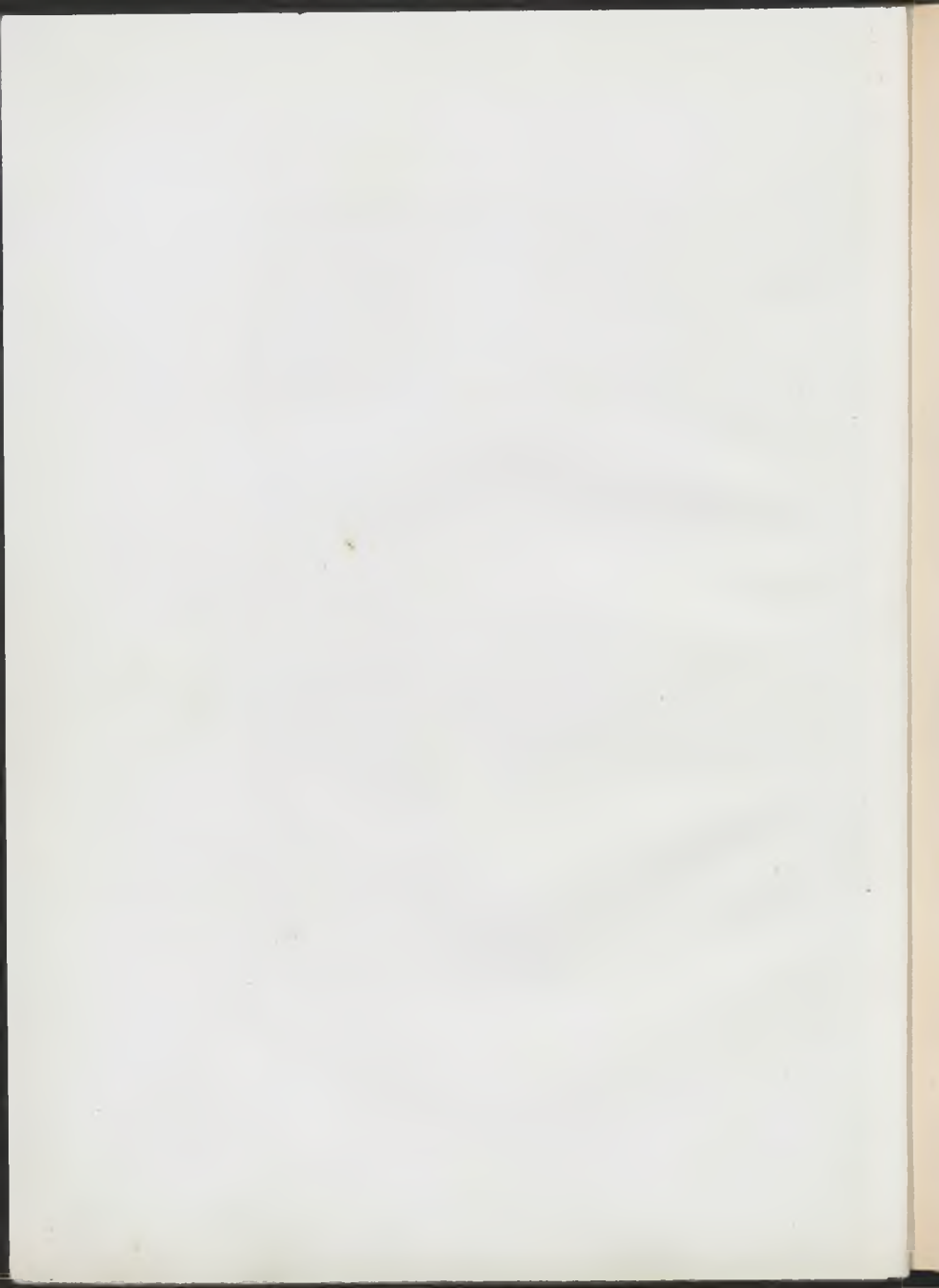
— Oddałbym chętnie moje Żerebki, byleby syn mój, Roman, mógł pracować wydatnie dla dobra wolnej i niepodległej Polski! — Kiedy zaś, po 1905 roku, mowa była na jakimś zebraniu o proponowanej przez „kadetów“ rosyjskich reformie rolnej i jedni z obecnych oburzali się na przymusowe wywłaszczanie gruntów, inni znów biadali nad upośledzeniem chłopu ruskiego, mającego na wyżywienie rodziny tylko wąski sznur ziemi, pan Lucjan tak się odezwał z przejęciem:

— Ich prawdziwym nieszczęściem nie jest brak ziemi, ale ta przerażająca głębia ciemnoty, w jakiej są zanurzeni!

Ale na czemże stanęłam? Tak. Mówiliśmy o naszej prezescie. Inne panie były niemniej oddane sprawie i pożyteczne, każda w swoim zakresie. Pani Janina z Krzyżanowskich Orłowska z pod Żytomierza, przewodnicząca sekcji samokształcenia, gotowa zawsze do ofiar, przestrzegająca pilnie zewnętrznej powagi, statutu i opinii Koła. U niej to, co parę tygodni, zbierał się Zarząd, do którego i ja miałam zaszczyt należeć. Pani Julja z Rutkowskich Bilińska, z powodu podeszłego wieku mało osobiście udziału w naszej pracy biorąca, typ dawnej matrony, ukochana „babunia“ licznie po kresach rozsianych wnuków, wpływem swym przyczyniała się wydatnie do rozwoju naszych instytucyj. Jedna z jej wnuczek,



Dwór w Turbijówce Połockich



Maryla Potocka, stworzyła Tanią Kuchnię Koła Kobiet Polek, mającą głównie na celu dostarczanie studentom Polakom taniego i zdrowego pożywienia. Kuchnia ta stała się powoli ogniskiem życia młodzieży polskiej. W „Ogniwie“ znów, w błękitnym salonie urządzano „wtorkowe herbatki“ dla wszystkich członkiń Koła i ich gości. Tu — omawiano różne aktualne sprawy, miewano pogadanki, stąd to wychodziły okolicznościowe hasła. Nad wyraz miłe bywały te zebrania. Zbierało się niekiedy kilkadziesiąt osób i przy szklance chińskiego nektaru wrzały rozmowy i dysputy, o wszystkim, co tylko życia polskiego dotyczyło. Na owe posiedzenia zjawiała się zawsze z paczką płótna, które rozdawała do szycia paniom, chętnym do takiej roboty, pani Alina ze Zwolińskich Czachórska z Podola, przewodnicząca sekcji miejskiej Koła Kobiet, stwarzająca z niczego ochrony dzienne i stałe, szwalnie, przytułki, niewyczerpana w pracy i przedsiębiorczości. Ileż to razy niemiłosierne cyfry dowodziły wszystkim na zebraniu, że fundusze nasze nie wystarczają na utrzymanie, ubranie i naukę tylu dzieci. Pani Czachórska płakała nad pustą kasą Koła, a potem — wyszukiwała po zaułkach biedotę polską, tuliła, karmiła. Nic jej nie zrażało i jakoś środki się znajdowały. Ta nasza złota pani Alina była niepoprawną. Organizowała też szwaczki Polki, urządzała dla nich pogadanki, zabawy, przedstawienia amatorskie i wbrew wszelkiej buchalterji przygarniała do siebie potrzebujących.

Na czele sekcji wiejskiej stała pani Romualda

z Hulewiczów Chojecka, właścielka Hollak pod Fastowem. Sekcja ta zajmowała się popieraniem przemysłu i kooperatyw na prowincji, mając — jak i cała działalność Koła — zawsze cel główny na względzie: budzenie ducha i uświadamianie narodowe. Wreszcie — pani Helena z Dynowskich Bernatowiczowa była przez szereg lat sekretarką Koła, wkładając w tę pracę wielki zasób inteligencji i szczerą gorliwości. Koło nasze było zalegalizowane przez rząd rosyjski, musiałyśmy tedy lawirować kunsztownie, aby — nie wychodząc z dozwolonych ramek, zadanie swe jak najszerzej wykonać. Na odbywających się parę razy do roku w Ogniwie Polskiem w Kijowie zebraniach ogólnych, gromadzących naraz po pięćset Polek kresowych, bywał tylko jeden mężczyzna — żandarm rosyjski.

Udało się nam założyć w Kijowie ochronkę dla dzieci od 3—7 lat, rodzaj „przedszkola“, letnisko dla przepracowanych kobiet na wsi, w Izabelinie pod Czarnorudką, gdzie pani Żmigrodzka ofiarowywała nam co roku najchętniej piękną swą rezydencję, a z inicjatywy pani Klementyny z Dunin-Karwickich Stadnickiej Ognisko dla Kobiet. Piękną ideowo instytucją była „sala zajęć dla dziewcząt“, zainicjowana przez panie: Jadwigę Dobrowolską i Marię Hanicką, w której uczono kroju i szycia, a gdzie wpływ duchowy roztaczała pani Jadwiga z Witkowskich Kulikowska, która po upływie półtora roku od chwili powstania Koła, zajęła miejsce przewodniczącej sekcji samokształcenia po pani Orłowskiej.

Niestychanie skromna, wielkiego serca i zapału, urządziła odczyty i pogadanki, porywając swoje słuchaczki wiarą w najwyższe ideały i bezgranicznym patriotyzmem w czynach.

Tu pani Świdarska złożyła nagle splecione ręce na kolanach i wybuchnęła z żalem: — Ach, panie Stefanie! Kiedy sobie pomyślę i uprzytomnię, jak znikoma garstka ludzi przechodzi przez życie z chęcią pracy dla ogółu, to nic się nie dziwię, że trudno nam stawić czoło wstrząsom społecznym. Chociażby pan! Taki rozumny, taki dzielny i pełen inicjatywy, a czyż się pan kiedykolwiek zainteresował tem, czemu się pan teraz z takim zajęciem przysłuchuje? Ekonomiczne sprawy, bogactwo kraju były dla pana alfą i omegą istnienia. Pan się bije w piersi! Mea culpa! Słusznie.

— Niech pani mówi dalej, — powiedział Rożański poważnie z uprzejmą wymówką, — jest zawsze czas na poprawę, skoro się weszło na odpowiednie tory. Nie zabiłem jednak w sobie doszczętnie owego niecnego ekonomisty, bo i w tej chwili niepokoi mię pytanie: skąd brały panie na to wszystko pieniądze?

— O to wolno panu się troszczyć, bo pamiętam dobrze hojny gest pana na każde wezwanie (pan Stefan machnął ręką lekceważąco). Oczywiście, prócz składek członkowskich ofiarność publiczna zajmowała niemałe miejsce w naszym budżecie i tu ważną rolę odgrywała sekcja dochodów niestałych Koła, a przede wszystkim pomysłowość i dar organizacyjny naszej prezeski. Zabawy i przedstawienia Koła Kobiet

w czasie kontraktów kijowskich bywały zawsze istotną atrakcją dla miejscowych i zjeżdżających się licznie z Podola, Wołynia, Kijowszczyzny Polaków, a wszyscy widzowie, rozchodząc się już do domów z jarzącej światłami sali Resursy Kupieckiej, pytali siebie wzajem ciekawie: „I co nam pani Gabrijela wymyśli na przyszły luty, skoro wszystkie dotychczasowe zabawy tak były stylowe i pełne artyzmu?“!

Pan sobie przypomina niechybnie ów raut napoleoński, kiedy to część sali zmieniono w przepyszny salon z meblami w stylu „empire“ z klawikordem, gdzie w odpowiednich strojach zasiedli sproszeni goście, stał ks. Józef, tu i tam damy dworu, ułani polscy, a skoro wszedł Napoleon, oznajmiony poprzednio słowem: L'empereur! — porwali się wszyscy ze swych miejsc, tak jak to nam przekazała historia? (Rożański cały czas zapamiętane potakiwał ruchami głowy, lecz wierny słowu, ust nie otwierał.) Albo ten menuet, „passe pied“, stylowe stroje, licujące z charakterem epoki zaproszenia na kartach? Albo „portrety“, arcydzieła mistrzów XVIII wieku? Pantomina japońska?! A deklamacje i piosenki, z żółkłych nieraz nut skwapliwie przez naszą prezeskę wyszperane, odczytywane, a z tak cudownym, przejmującym rozrzewnieniem przez całą salę w interpretacji amatorów wysłuchiwane? I co najważniejsze w tem Kole naszym: żadnych antagonizmów, natomiast karność i zgoda.

W 1908 roku Koło kijowskie zorganizowało tajny zjazd przedstawicieli wszystkich kół Kijowszczyzny,

Wołynia, Podola, Litwy i kolonij polskich w Rosji. Miałyśmy więc delegatki z Mińska, Wilna, Grodna, Odesy, Charkowa i t. d., a nasze posiedzenia były prawdziwą ucztą dla serc nie poddających się niewoli. W ciągu trzech dni słuchałyśmy wówczas po kilka godzin w mieszkaniu pani Orłowskiej różnych sprawozdań, ciesząc się, że życie polskie wszędzie silnie tętni, udzielając sobie wzajem rad i wskazówek, a rozumiwałyśmy się wszystkie, jak jedna, wielka rodzina. Koło nasze rozszerzało swe wpływy coraz bardziej, a chociaż Kijów koncentrował w owych czasach całe kresy, Koło było zalegalizowane tylko w Kijowszczyźnie wraz z filją w Białej Cerkwi, postanowiłyśmy więc, zaczerpnąwszy tam ducha, działać w innych miejscowościach na własną rękę.

Pani Wanda umilkła na chwilę, przeżywając znać wewnątrz ten nowy etap pielgrzymki ku postawionemu przez dzielne kobiety celowi, ale Rożański nie zmącił tej ciszy żadnem pytaniem. Nurt czasu mknął koło nich bezszelestnie. Pani domu wypila duszkiem zimną już prawie herbatę, przytknęła zapalną do nowego papierosika, zaciągnęła się dymem z rozkoszą i ciągnęła dalej swoją opowieść:

— Praca na Podolu inaczej się zapowiadała, niż w Kijowie. Inteligenci rozsypani tu byli po wsiach, z których znaczna ilość miała ludność polską, a właścicielami byli dawno osiadli, zamożni Polacy, mający również udział w gęsto rozsianych fabrykach cukru, obsadzonych przeważnie funkcjonariuszami polskimi. Tak się przedstawiały te ważne dla nas

narodowe placówki. Tu — należało wzorować się raczej na warszawskich „ziemiankach“, a stosować program sekcji wiejskiej statutu kijowskiego. Winnica najbardziej nadawała się na centrum całej działalności, tu więc odbywać się jęły zjazdy i narady. Po chwilowym triumfie „małej rewolucji“ zaczynała się już reakcja, nie mogliśmy się tedy ani przyłączyć jako filja do Koła kijowskiego, ani otrzymać zezwolenia na nowy statut. Próżne były wszystkie starania, próżne wysiłki adwokatów, usiłujących napisać najniewinniej dla ucha moskiewskiego brzmiący statut. Podanie nasze, przedstawiające handlowo-przemysłowy cel stowarzyszenia, zostało nam zwrócone z nadpisem: — Otkazať (odmówić) — i z osobno zredagowanym umotywowaniem:

— Pod jakimkolwiek pretekstem zbiorą się kobiety Polki, zawsze działać będą na szkodę państwa rosyjskiego — (podpis i urzędowa pieczęć) — tu pan Stefan złożył ręce do niegłośnego, lecz wymownego poklasku.

Zawrzało na Podolu. Zakrzętnęły się nasze kobiety, postanawiając okazać się godnemi wystawionego im świadectwa. Mężczyźni szczerze nas wspierali, określając to żartem jako „figurę mazurową“: panie kóleczek, panowie koszyczek, bo za każdą z nas stał mąż, brat, syn, — wszystkich wciągałyśmy do roboty. Tajnie więc, każda w najbliższej swej okolicy, starałyśmy się tak postępować, by, nie wchodząc w zatarg z władzami, osiągnąć cel nasz główny: nauczać po polsku. Duszą wszystkiego była pani

Letta Jaroszyńska. Gorącym zapalem do czynu pobudzała inne działaczki, umiała trafić do serca każdej, prowadziła tak nasze zebrania, że każdej здаwać się mogło, iż ona to właśnie jest filarem Koła, umiała dostrzec w każdej słabą strunę i w nią uderzywszy — wywołać dźwięk niezbędny do wspólnego akordu. Ten akord stawał się przeto coraz silniejszym i szerszym, choć stłumiony sklepieniem starego, kapucyńskiego klasztoru w Winnicy, gdzie odbywały się nasze ogólne zebrania. A zbierało się nas niekiedy około stu i księża mieli dużo kłopotu z wyprawieniem „konspirujących“ Polek różnemi korytarzami i przejściami, aby nie zwrócić uwagi policji.

Zarząd Główny zbierał się co miesiąc w Winnicy, w żydowskim zajeździe. Czuliśmy się tu bezpieczniejsze, aniżeli w hotelu, gdzie łatwiej można było napotkać jakiegoś urzędnika, lub szpiega. Do Zarządu należały: Przewodnicząca pani Letta z Rudnickich Jaroszyńska z Dzwonichy, łącząca w sobie rozagę i silną wolę matki Szwedki z gorącym patriotyzmem ojca emigranta, w którego ślady iść zapragnęła, pracując dla jego kraju. Przedstawicielkami kół prowincjonalnych były panie: sędzina Teresa z Bernartowiczów Skowrońska z Krzywoszyi, Marja ze Starorypińskich Starża-Jakubowska z Luliniec, Leokadja z Mikulskich Olszańska z Gniewania, Stefanja z Siemaszków Bobowska z Buszynki, Marja z Bogdaszewskich Zieleńska z Wasylówki, Wanda z Niepokojczyckich Długołęcka z Winnicy i ja jako sekretarka. Po jakich my drogach i słotach jeździ-

łyśmy nieraz! Niektóre — przebywać musiały po 60 i więcej wiorst, a każda stawiała się zawsze na oznaczony dzień i godzinę. Tak łatwem i naturalnem nam się to wtedy zdawało!

Nauczanie wogóle, a szczególnie po polsku było nam surowo wzbronione, trzeba więc było pozorować je jakąś robotą, albo rzemiosłem. Tak powstały w Winnicy: „Koszykarnia“, którą opiekowała się pani Długolecka, „Szwalnia Sióstr Marji“ pod skrzydłem pani Otoliny z Męcińskich Burzyńskiej, odbywały się pogadanki i zebrania niedzielne u panny Marji Prümenger, córki Niemca i Francuzki, a gorącej polskiej patrijotki. W Gniewaniu, polskiej osadzie fabrycznej, zorganizowano kursy nauki haftów i robót od najzwyczajniejszego szycia począwszy, aż do weneckich koronek. Kierowały tem miejscowe panie: Olszańska i Bobowska, a wyroby owe tak były piękne, że na wystawach winnickich wzbudzały ogólny podziw, zapewniając przytem poważny zarobek kilkudziesięciu dziewczętom wiejskim. Do kolonji czysto polskiej w Tarabanówce sprowadziłyśmy ze Żmudzi umiejętną tkaczkę i dostarczałyśmy pracownikom wełny i lnu, a otrzymywane materiały kostjumowe, tenisowe, płótna i t. d., tak starannie były wykonane, że trudno je było odróżnić od fabrycznych. W Krasnem u państwa Stankiewiczów istniała koszykarnia, prócz tego formalna, tajna szkoła z kilkudziesięciu dziećmi, w Białym Rękawie u pani Łychowskiej — szkołka, z której wysyłało uczennice do szkół dla gospodyń wiejskich, w Dżurynie hr. Bniń-

ska, w Teleżnicach — pani Dora z Radziwińskich Dorożyńska brały praktykantki na naukę wzorowego gospodarstwa...

Niech pan osądzi, jak był silnym impuls i potrzeba zjednoczenia się w tej naszej przedrewolucyjnej pracy, kiedy, pomimo żeśmy były rozsiane po rozległym Podolu, a robota nasza była tajna i niebezpieczna, stworzyłyśmy jeszcze tak zwane „gniazda“ Sióstr Marji, ubranych cywilnie zakonnic, które pod pozorem szwalni prowadziły zakłady wychowawcze, wspierane przez społeczeństwo. Trudno wyliczyć mi wszystkie większe placówki. Wszystko robiło się tajnie, cicho, a teraz, po tych ogropanych pogromach, nie mamy, niestety, spisu, z którego czerpaćby można szczegółowe dane. Nauka szła, a pod pretekstem zabaw dla dzieci urządziło się choinki, majówki, na których mogłyśmy zbliżyć się bezpośrednio do starszych. Z jakimże triumfem powitałyśmy na jednym z posiedzeń babinę w chusteczce, przedstawicielkę Koła Kobiet Polek wsi Witawy! Przecież to właśnie było naszym dążeniem, na którego ziszczenie czekałyśmy lata całe, a oto zjawia się przed nami pani Bartoszowa i opowiada, jak to ona zaczęła od zebrania wszystkich kobiet we wsi do wspólnego odmawiania godzinek, jak później kupiły sobie na wspólnkę świnki rasowe, a jeszcze potem — przyrzędy do przędzenia lnu i tak się to Koło zaczęło rozwijać. Były też działaczki, które chodząc od wsi do wsi, kolejno po chatach uczyły dzieci czytania i modlitw — przyłapywano je czasem, więziono po parę miesięcy —

wypuszczane, wracały do przerwanej roboty tem skuteczniejszej, że z cechą bohaterstwa. Szedł tak ten ruch, przygasając, to znów wybuchając jaśniejszym płomieniem, aż do roku rewolucji, 1917.

Korzystając z pierwszej chwili swobody, zwołała pani Jaroszyńska do Winnicy pierwszy jawny, głośny zjazd kobiet Polek. Na nim to postanowiono jednomyślnie poświęcić wszystkie siły oświacie ludowej. Zbyt poważna jednak, zbyt święta była to sprawa, by stanowić mogła dział tylko pracy Koła kobiet — należało tedy stworzyć osobną instytucję: Macierz Szkolną. Po raz drugi zwołano więc w dniu 15 maja 1917 roku wielki zjazd Polaków i w zapelnionej rozentuzjasmowaną publicznością sali magistratu, wybrano Zarząd Macierzy Polskiej. Prezeską została, jako inicjatorka, pani Letta Jaroszyńska, a do Zarządu weszli Zdzisław hr. Grocholski, Edward Boniecki, Wacław Skibniewski, adwokat Jan Ołtarzewski z Winnicy, robotnik Aleksander Radosz, wieśniak Kazimierz Lipiński, z Telepenek, prof. Wiktor Warzański, kanonik Kazimierz Nosalewski z Płoskirowa, prezes Komitetu Wykonawczego w Kijowie, Tomasz Michałowski, Jan Mańkowski, Bieńkowski z pod Kamieńca, Tadeusz hr. Grocholski, Marja z Grocholskich Sobańska, pan Thomas, dyrektor gimnazjum w Winnicy.

Mnie — wojna zapędziła aż na Krym, wyczytawszy jednak w gazetach o utworzeniu Macierzy Połdolskiej, pośpieszyłam do Winnicy i zostałam sekretarką pani Jaroszyńskiej. Mieszkanie obecne już było

wynajęte, a pani Letta rozpromieniona nadzieją i ważnością roboty, ale i przejęta włożonem na nią brzemieniem odpowiedzialności. Członkowie Zarządu rozjechali się bowiem, składając wszystko w jej ręce. Pożyczoną miotłą doprowadziłyśmy do porządku mieszkanie i zabrałyśmy się do przeglądania podstaw przyszłej Macierzy. Mieściły się one w jednej kopcercie, zawierającej protokół pierwszego zebrania, kilka tysięcy rubli i jedyny na Podolu, udzielony łaskawie przez pana Bienkowskiego, statut Macierzy Warszawskiej...

Przeciagate brzęczenie dzwonka u drzwi wejściowych wdarło się w opowiadanie pani Świdorskiej, niby wyrastająca z nienacka tama.

— To nie ja dzwonię i nie ja przerywam! — usprawiedliwiał się z udaną skruchą pan Stefan, spoglądając na dawną swą znajomą z przekornym uśmiechem z pod puszystych, małych wąsików.

W tej chwili weszła do pokoju wysoka, dość tęga, o siwiejących włosach osoba, w której jasnych oczach tlił płomień łagodnego, lubo nieustępliwego smutku. Była to pani Jadwiga Trzcńska, która od chwili wybuchu wielkiej wojny pracowała w Warszawie jako sanitariuszka wraz z dwiema córkami przy Polskiej Kom. Pom. Sanitarnej i parę lat temu straciła na tyfus starszą, Natalję. Nie wytrzymało wysokiej gorączki to serce, przepracowane nieustannemi dyżurami nocnymi w szpitalu, a kiedy matka w obawie przed ciężką tą pracą, błagała ją, by oszczędzała nieco swe siły, młoda dziewczyna tak ją

przekonywała: Pradziad mój padł w bitwie pod Ostrołęką, a trzej wujowie zginęli w powstaniu w 63 roku, więc choć jestem dziewczyną — też sama krew i we mnie płynie!

Druga córka przydzielona została do polskiego szpitala przy Polskim Dywizjonie Strzelców Konnych w Felisynie, Berezaniu koło Kijowa. Z ofensywą Brusilowa odbyły sanitariuszki galicyjską kampanję, a gdy wojska rosyjskie cofać się zaczęły i lekarz naczelnny, dr. Mroczek pojechał naprzód, aby znaleźć kwaterę dla rannych, Hanka Trzecińska i Halka Skibniewska stanęły wedle jego rozkazu przed taborem szpitalnym i uratowały sto wozów z rannymi od bezładnej ucieczki i dezorganizacji. Napróżno mknący chyżo na koniach kozacy krzyczeli do nich:

— Udirajcie! Niemcy наступajut! — (Uciekajcie! Niemcy następują!) Te dwie Podolanki, wierne subordynacji wojskowej, stojąc przed końmi swego taboru, wołały odważnie: — Ani się ruszcie! Chyba po naszych trupach przejedziecie! — Za ten czyn męstwa dostały później krzyże wojskowe.

Pan Stefan wiedział już od wspólnych znajomych o tej smutnej i chlubnej przeszłości, więc skłonił się przed nowoprzybyłą z głębokim szacunkiem, gdy pani Wanda wykrzyknęła na jej widok:

— Moja kochana towarzyszka pracy! Dlaczegoż tak się pani spóźniła, pani Jadwigo? Przedstawiam pani kolegę mego brata i uczestnika wielu młodzieńczych radości i sporów! Dobrze nam z panią Jadwigą, gdyż ideowo też same mamy cele, a dole na-

sze jako matek w tem do siebie podobne, że każda z nas ma córkę w roli siostry miłosierdzia przy formujących się polskich oddziałach, i synów na wojnie. Mój Władysław i porucznik Józef Trzciniński znajdują się obecnie w tworzącym się w Pietniczanach i Dzwoniszce pułku polskich ułanów.

Pani Jadwiga podała uprzejmie dłoń gościowi:

— Witam pana pod dachem naszej kochanej Macierzy. Tyle się o panu nasłuchałam dziś przy obiedzie od pani Wandy, że wydaje mi się, jakobym i ja brała udział w tych jazdach konnych, polowaniach, pieszych wycieczkach i marzeniach, pełnych nadziei odbudowania Polski! Przecież i my tak nieraz szliśmy do lasu i wyciągnawszy się na mchu pod nierówną kolumnadą drzew, słuchałyśmy z upojeniem czytanych na głos, „zakazanych“ wierszy... Serca były do wtóru tym cudownym melodjom natchnienia, a myśl wykuwała postanowienie: — Do ostatniej kropli krwi — dla Ciebie, Polsko, dla Ciebie!

— Mówcie sobie co chcecie, moi państwo, ale ja twierdzę, że w nas, Polakach kresowych, tkwi więcej daleko gorącości uczucia dla idei odbudowania ojczyzny, niż w Królewianach, którzy udając nieświadomych co do stosunków naszych, twierdzą naprzykład: — Przecież tam u was, na tej „Ukrainie“ niema prawie Polaków! Sami Moskale i garść obszarników polskich. — Ależ to nie jest ignorancja, to jest — arogancja! (Oczy pani Wandy rzucały przy tych słowach błyski oburzenia, a nagły rumieniec na twarzy był wręcz bojowy.) Jeśli chcą tak obcinać

mapę Polski, to niechże wytną zarazem wiele kart z historii, mówiących o Kościuszcze, Pułaskim, Traugucie i innych — z literatury o Mickiewiczu (Litwa — to również nie Polska!) Słowackim, Goszczyńskim, Gosławskim, Zaleskim, Kraszewskim, Korzeniowskim, Orzeszkowej i t. d. A sławny „Conrad“, którego Anglicy stawiają narówni z największymi pisarzami świata, skądże pochodził, jeśli nie z „Ukrainy“?! Wiem, że przed wojną wielu profesorów na Uniwersytecie Krakowskim i na kursach Baranieckiego pochodziło z tych „kresów“ właśnie: Dubiecki, Janczewski, Tretiak i wielu innych, dziś już ich nie wyliczę, a moja biblioteka poszła z dymem! A „Baraneum“ w Krakowie kto stworzył? Stoi przecież jeszcze w Jarmolińcach dom i pomnik doktora Adrjana Baranieckiego! Szli oni do Krakowa, bo na kresach nie pozwalano im w duchu polskim pracować, ale tam byli pierwszymi. W obecnej wojnie nie Warszawa dała Hallera, Muśnickiego, Paderewskiego i — Piłsudskiego! Cóż wzamian za to Mazowsze przedstawia? Sienkiewicz pochodził z Sandomierskiego, to prawda, ale genealogji jego nie znam dokładnie, a kilka spotykanych przeze mnie rodzin tego nazwiska wywodziło się z Wilna, lub jego okolic. Powiadają, że Mazurzy ślepi się rodzą, ale to pewne, że i potem niedaleko widzą! — Tu pani Wanda zerwała się z krzesła i prędko, drobnymi krokami, chodzić jęła wzdłuż po pokoju, wypuszczając co chwila smużkę szarego dymu z nieodzownego papierosika, w potrzebie jakgdyby wyładowa-

nia z nią razem nadmiaru wewnętrznego wzburzenia.

— W nich! W nich! pani Wando! — przytakiwał, śmiejąc się Rożański. — A niechże wiedzą — choć słyszeć, co prawda, nie mogą — że w nas krew płynie ognista, nie woda!

— Czy to nie jest czasem zbyt silne wyrażenie o tych „ślepych Mazurach“? — powściągała łagodnie energiczne rozpędy słowne swej koleżanki rozważna, taktowna pani Trzcińska — Ponosi panią zapał, jak zwykle, kochana pani!

— Oto jest nasz równoważnik, wcielony w tę czcigodną niewiastę! — prawiała spokojniej już nieco pani Świdarska, zwracając się w stronę słuchacza — Myślę o pani Jaroszyńskiej i o mej mizernej osobie. Ileż to razy oczy naszej towarzyszki pracy zdają się nakładać na nas takie skryty, uprzejmy hamulec: — Wolniej, wolniej, łaskawe panie!

— To pożyteczne! — zawyrokował z udaną powagą pan Stefan — pożyteczne — w stosunku do pani, pani Wando, której tempo życiowe zawsze było: Presto! Znam panią Lettę, ale przelotnie. Spotykaliśmy się na naszych „zielonych karnawałach“ w czasie wystaw w Winnicy. Bardzo przystojna. Oryginalne ma oczy: pod tak czarnemi łukami brwi powinnyby i oczy być tegoż samego koloru! A te są siwe, choć niezmiernie bystre. Akcent ma zlekka cudzoziemski.

— Nic dziwnego. Dziecięce lata spędziła w Szwecji, a kończyła studia w Paryżu. Czy pan wie, że

w tem kółku prowincjonalnej arystokracji, do którego weszła przez swe zamążpójście, miała opinię „lewicującej“, chociaż była bardzo pobożna i wielka patrijotka. Może dlatego tak o niej mawiano, że lubiła podśmiewać się z zaciętrzewienia endeków?! Co do mnie, to mam dla niej najgorętsze uznanie. Taka subtelna, żywa, wesoła, serdeczna, artystka w duszy! Nie pragnęła wcale być prezeską Macierzy, bojąc się takiej odpowiedzialności. Przecież wówczas na sali w magistracie winnickim rozplakała się, nie chcąc przyjąć jednogłośniego wyboru pięciuset osób. Nic nie pomogło. Usilnie więc stara się teraz o wytrawnego dyrektora dla P. M. S. i w tym celu pojechała do Kijowa przedwczoraj. Kłopotów mamy dość. Zarząd rzadko się zbiera, a nas ta oświata wybuchowo porwała i niesie. Może czasem zblądziemy?! Pięćset szkół czeka nieraz na jakąś decyzję, teraz naprzykład wpłynęło podanie od chłopów Rusinów o przyjmowanie ich dzieci do szkół polskich. To rzecz szerszej polityki, komunikacja pocztowa coraz bardziej się rwie, tak że wiceprezes, pan Wacław Skibniewski, nie może tak szybko odpowiadać na nasze pytania, musi tedy decydować sama. Inna rzecz, że skoro pan Wacław do Winnicy na zebrania Macierzy przyjeżdża, to perły sypią mu się z ust. Niezwykły dar krasomówstwa. Porywa wszystkich, kreśląc szerokie plany oświaty, zapalającej się w niezliczonych punktach naszego kraju, jak te światełka w naftowem osiedlu, rzucone hojną dłonią, rozbłyśkujące na czarnem tle nocy i świadczące, że tam

wre nieustanna, gorączkowa praca! Tymczasem na nas deszcz róż nie spada! O nie! Są zawistni mówiący: — Arystokratka wzięła się nie do swoich rzeczy! Niech sama radzi!

— Radzi sobie jednak dobrze, skoro widzimy takie wyniki. Pani Wando! Zaoponować muszę przeciw jednemu twierdzeniu pani: Oto te ziemie kresowe nie były Polską, ale należały do Polski i duch lechicki, zachodni, łańciński przyćmiewał pierwotnego ducha Rusinów. Dziś — naród ten budzi się, a raczej budzą go gwałtownie do samoistności. Role się zmieniły i dziś my, Polacy, mając odwieczne prawo do bytowania w tym kraju, możemy żądać, żądać powtarzam — równorzędności, cofając się dobrowolnie natomiast z twierdzy tradycji o nadrzędności polskiej w tych trzech prowincjach.

— Dla mnie to Polska — odparła z żalem pani Świdzka. — A nawet pan, twierdząc inaczej, używa jednak dawnego naszego zwrotu: „trzy prowincje“. Trzy zabrane prowincje, a komu? Polsce. Punkt i kropka.

— Będziemy i tu Polakami, pracując dla Polski. Pani Wando! „Z żywymi naprzód trzeba iść!“ Przyszedł czas, o jakim marzyli nasi przywódcy: Powstanie wolna Polska, wolna Ruś, wolna Litwa, — zaginie dawne znamię panowania na dłoni jednego z tych narodów. Sojusz wolnych z wolnymi dla chwały wszystkich! Oto jak wyobrażam sobie powojenne, rewolucyjne wyniki tego straszego trzęsienia świata. Ale niech nas nikt nie próbuje wyrzucić jak niepotrzebne śmiecie z tej ziemi kresowej, gdzieśmy krwią

i sercem wrosli! Bo wrócimy do niej, na kolanach się przyczołgamy, jeśli stopy o kamienie zedrzymy! Wrócimy — i niech panie nie myślą, że chodzi mi tylko o nasze obszary dworskie! Nurt czasu niesie na fali reformę rolną. To trudno, — ulec temu musimy. Ale tu jest mój kraj, mój dom, moja ojcowizna. Tu żyć, tu pracować i umierać pragnę. I mam do tego prawo, mam — jakem Stefan Rożański!

Twarz pani Wandy płonęła chęcią dysputy, ale pani Trzcńska, wyjmując zegarek, spojrzała nań i przywołała wszystkich do rozsądku:

— Już późno. Proszę mi darować to spostrzeżenie, na jakieby sobie w normalnych warunkach nie pozwoliła, ale wątpię, by nasz gość miał ochotę spotkać się z „towarzyszami“ na wyludnionych ulicach Winnicy. Pugilares na pewno by się ulotnił, nie mówiąc o innych, nieprzewidzianych przykrościach i zaczepkach. Jutro niedziela. Zaraz po mszy św. proszę do nas tu zajrzeć, a pogadamy spokojnie na temat przyszłości, lub też opowiemy panu nadzwyczaj ciekawe szczegóły o początkach Macierzy Podolskiej. Czy zgoda? — zwróciła się do obojga.

Pan Stefan już wstał i jął się żegnać z kobietami:

— Szanowna pani jest istotnie nieocenionym doradcą. Nie takie to czasy, by można było dowolnie nastawiać plecy pod tę lawinę anarchji. Dobranoc tedy, a jutro, jeśli panie pozwolą, zapraszam je po naszej rozmowie do Savoyu na obiad. Hotel żydowski, ale dzierżawca Polak, Grzyb, dobrze karmi i wcale nie truje.

— Dziękujemy panu serdecznie. Jutro niepodobna. Jesteśmy zaproszone do Wacławostwa Roszkowskich i zawodu zrobić im nie możemy. Niech to będzie kiedy indziej. Dobrze?

— Doskonale — zgodził się Rożański uprzejmie i ucałował ręce obu pracowniczek Macierzy, wyszedł na ogołoconą z przechodniów Pocztową. Posuwał się szybko i zwinnie, aż wreszcie sylwetka jego zniknęła na zakręcie ulicy, a stukanie obcasów dolatywało coraz ciszej z mrocznej oddali.

MACIERZ I LUD.

— Nie, panie Stefanie! — ucięła krótko pani Świdierska, gdy nazajutrz z rana Rożański, znalazłszy się wedle umowy w biurze Macierzy, napomknął zlekka o wczorajszej rozbieżności w poglądach. — Nie! Żadnej dyskusji, która nas niepotrzebnie rozdrażni, a nie doprowadzi do celu. My tu — przytłoczmy zaraz pana faktami, tak, mój panie — faktami, wskazującymi jak mocnym jest duch polskości we wszystkich warstwach na tem drogiem naszym Podolu! A przedewszystkiem niech pan zechce odgadnąć, kto był u nas przed chwilą? Ktoś z ludu polskiego, dygnitarz, pionier kultury! No — czekam!

Rożański wznosił oczy do góry, wpatrzył się w sufit, poczem rozłożył bezradnie ręce:

— Telepatja zawiodła mię najzupełniej. Marne ze mnie medjum, jak widzę, więc — proszę — niech mnie panie nie dręczą i raczą wyjaśnić tę ponad moje duchowe siły zagadkę!

— Prezes Koła Wiejskiego! — rzuciła trjumnfująco pani Wanda i z poprawionego na nosie pince-nez,

wpatrzyła się tak przeszywająco w siedzącego na krześle gościa, jakgdyby postanowiła nanizac go na promienie swych argumentów.

— Ależ, pani Wando — wtrąciła się do rozmowy z półuśmiechem pani Trzcńska — skądże pan Stefan może wiedzieć o roli, a nawet o istnieniu prezesów kół wiejskich polskich? Ludności polskiej w Szamrajówce nie było, a jako prezes tego okropnego Ispołkomu miał pan dość targaniny i pochłaniających kłopotów. Widzę zdziwienie na twarzy pana, że jesteśmy tak dokładnie o jego ostatnich przejściach poinformowane. Świat jest mały — Podole jeszcze mniejsze. Mam znajomych w Meżyrowie i ci mi o pana działalności pisali. Pani Wanda osądziła odrazu: Niepotrzebny eksperyment! — Ja zaś ufałam, że może — może, nie osiędzie pan na mieliźnie! Aby pan pojął, w jaki sposób doszliśmy do owych „pionierów“ oświaty polskiej wśród ludu naszego, musimy zawrócić wstecz i opowiedzieć panu o pierwszych krokach Macierzy Podolskiej, która z tradycji Koła Kobiet zwróciła głównie i prawie jedynie uwagę na szkoły ludowe. Chodziło przede wszystkim o rozbudzenie i wzmocnienie ducha narodowego — trzeba zatem było rozpocząć od zaznajomienia się dokładnego z etnograficznym rozkładem Podola. Pani Jaroszyńska rozesłała więc ankietę do wszystkich proboszczów podolskich, z prośbą o wiadomości, ile wsi należy do danej parafji, ile każda posiada katolików i czy istnieją w której z nich szkoły polskie? Zapytania były odbite na szapiro-

grafie, dołączano do nich drukowane odezwy o założeniu Macierzy Podolskiej z centralą w Winnicy.

Odpowiedzi zaczęły napływać niebawem i wkrótce miałyśmy dane o faktycznym stanie rozmieszczenia naszej ludności. Okazało się, że były szkółki parafjalne w miasteczkach i przy fabrykach. W niektórych parafjach, jak Woronowica, Tywrów, Latyczów byli nauczyciele wędrowni, sami umiejący niewiele, ale poświęceni sprawie oświaty, zgromadzający działkę kolejno po chatach, odsiadujący za to nieraz więzienie. Uwolnieni — wracali do swej ukochanej pracy. Wedle tych wskazówek zaczęłyśmy rozsyłać blankiety: „Akt przystąpienia Koła... do Macierzy“. Akta te skierowywałyśmy znów do proboszczów, w ilości, odpowiadającej liczbie wsi w każdej parafji, z prośbą o wytłumaczenie ludowi znaczenia i zamierzeń Macierzy. Z wielu względów chodziło o to, by każda większa wieś zawiązała u siebie samodzielne Koło Macierzy.

— Czy pamięta pani — przerwała mówiącej z drgającą nutą żalu w głosie pani Wanda — ile zarzutów i trudności zwalczyć musiała nasza prezeska, zanim na swoim postawić zdołała?! Trudności piętrzyły się różne. Księża nie chcieli się zgodzić, żeby ich szkoły przestały nosić nazwę „parafjalnych“, żeby szły pod kontrolę centrali i stosować się miały do ogólnego programu. Wielu ziemian również dęba stawało przeciw propozycji wyrzeczenia się tytułu kierownika i założyciela nowej szkoły. Przedstawiano, że ludność polska, mało świadomości

narodowej posiadająca, nie może wobec tego brać czynnego udziału w zakładaniu szkół. Przepraszam, pani Jadwigo! musiałam to z siebie wyrzucić! niech pani dalej prowadzi swój wykład tym przekonywającym, spokojnem głosem.

— I ja nie mogę się powstrzymać od króciutkiego zaznaczenia — zaśmiał się mimowoli Rożański, patrząc na towarzyszkę młodości — że wiem, jak pani Wanda wyglądałaby w roli Tantalą w piekle! Miraże lejących papierosów dokoła, a ręka ująć nie może! Ale — wracajmy do tej, nad wszelki wyraz interesującej mię sprawy rozwijania się wpływów Macierzy.

— Otóż Zarządowi właśnie zależało na tem najbardziej — rozpoczęła pani Trzczińska wymownie i płynnie swoją opowieść — aby, po pierwsze:

Rozbudzić w ludności samopoczucie narodowe, co było koniecznem wobec oczekiwanych wyborów, lub plebiscytu. Po drugie: Zainteresować starszyznę wiejską własną szkołą i w ten sposób stworzyć na miejscu opiekę dla szkoły i nauczycielki. Po trzecie: Zjednoczyć i wyrobić społecznie wieś. Po czwarte: Wobec zmiany kierunków ówczesnego rządu, narzucające przez Macierz szkoły mogły łatwo ulec prześladowaniu, podczas gdy samorzutnie tworzone i oddające się pod opiekę Macierzy, były zupełnie lojalne. Statut Macierzy został prawie bez zmiany wzięty z P. M. S. warszawskiej — pani Jaroszyńska uzupełniła go jednak dodatkowym statutem dla szkół wiejskich, którego podstawą było to, że każda wieś

stanowiła osobne Koło Macierzy z własnym zarządem, to jest prezesem, sekretarzem i skarbnikiem na czele. Każdy zarząd otrzymał statut kół wiejskich i numerowany i stemplowany kwitarjusz Macierzy, który trzeba było przedstawiać centrali dla kontroli. Składki zostawały na miejscu do ich rozporządzenia. Okazało się to znakomitem w skutkach. Wieś nabrała odrazu zaufania do instytucji, niczego od niej nie żądającej, a dającej natomiast pomoc, radę, nauczycielkę i książkę.

— Posypały się nam te wypełnione akta! — wpadła żywo, z wrodzoną sobie żywością odczuwania, pani Wanda w tok wspomnień swej towarzyszki. — Każda poczta przynosiła ich pliki! Podpisany na nich był zarząd i jako członkowie kilkanaście zwykle, a niekiedy i kilkadziesiąt nazwisk. Więc byli tam Tarnowscy, Potoccy, Poniatowscy i „Stepan Żułkebeckij“¹ i już „towariszcz“ Sobieskij! Czasem otrzymywałyśmy listy, nad którymi płakałyśmy z rozrzewnienia i radości, że działalność nasza wywołała taki odzew i zrozumienie wśród ludu naszego, zdawało się, tak nieświadomionemu! Pisał do nas stary chłop Pasławski z pod Mohylowa: „Czy prawda, że szkoła polska przestanie być mojem sennem marzeniem?“ Pisał chłop z Dolinian: „Wszystko poświęcimy dla utrzymania we wsi pierwszej szkoły polskiej“. Na ulicy zatrzymywano nas. Jakaś staruszka chłopka rozplakała się ze szczęścia, iż widziała już

¹ *b* polskie — *w* rosyjskie, *c* polskie — *s* rosyjskie.

szkolę swoją. Jeden chłop z Wasylówki powiadał: „Ja ne umiju howoryty po polski, ale ja wże tu Ukrainu w kościach maju! Nechaj choť dity moi ne propadajut!“ — Na miejscu zaś, we wsi, dbali o te swoje szkoły, opiekowali się nauczycielkami, skupywali książki, utrzymując z nami stały, przyjacielski kontakt.

— Do nauczycielek przychodziły nawet starsze kobiety, Polki, prosząc je o wieczorowe wykłady — uzupełniła ten obraz jarzącej się polskości pani Jadwiga. — Przyjeżdżano po nie wozami, z koźuchem, aby nie zziębły, sadzano w chacie na honorowym miejscu, zapraszając z gościnnością najszczerzą: — „Weczera hotowa. Sidajte z nami, jedzcie na zdrowie!“ — tak się babiny garnęły do wszystkiego, co polskie.

— W przeciągu paru miesięcy powstało na Podolu prawie pięćset szkół polskich! Czy pan słyszy, panie Stefanie?! — konstatowała z radością w oczach pani Świdarska. — Pięćset szkół! To nie fraszka! I tylko z ofiarności prywatnej, bo choć kołatałyśmy o subsydjum do rządu ukraińskiego, opierając się na szeroko głoszonych prawach mniejszości narodowych, do których zaliczono Polaków, ale dotychczas kazano nam tylko sporządzić wykazy i przedstawić takowe do Wydziału Oświaty w Kijowie. A teraz — jeszcze jedna strzała, ale o najwspanialszem ostrzu: Rusini płacą składkę, byleby ich dzieci przyjęto do szkoły ludowej polskiej! Oczywiście, Macierz, jako instytucja, powinna unikać zarzutu polonizowania tych pana „autochtonów“ — wyznając jednak, że my osobiście widzimy to chętnem okiem, a Zarząd po-

stanowił nie zamykać drzwi polskiej szkoły przed Rusinami, lecz dla ostrożności wymagał prośby podpisanej przez rodziców. A co?! Może to nie jest tradycyjalne przepojenie kulturą polską?! Już pan otwiera usta, aby wystąpić w obronie jakiejś nowej polityki swojej! Nic z tego! Proszę wysłuchać do końca! W początkach października Zarząd wystosował do wszystkich kół wiejskich odezwę, zachęcającą do uczczenia pamięci Tadeusza Kościuszki, do przerwania w dniach uroczystych obchodów zajęć szkolnych i do zaznaczenia w ten sposób tej ideowej łączności, jaka nas wszystkich wiąże. Odezwa ta znalazła oddźwięk u ludu polskiego, który z żywym zainteresowaniem brał udział w kościuszkowskich uroczystościach. Prezesi kół wiejskich byli wspaniali. Trzeba było widzieć, z jaką dumą ten chłop, który do naszego biura wszedł przed godziną, zaprezentował się nam jako prezes, a przyjęty z odpowiednimi honorami, ze szczerym szacunkiem tak nam opowiadał o swojej szkole:

— Oto ja jestem bratczykiem (Członek Bractwa religijnego), to zapowiedziałem, że kto dzieci do naszej szkoły posyłać nie będzie i składki nie da, to mu chorongwi na pogrzeb nie pozwolę! — a potem, zdając nam relację o szkołach w najbliższych wioskach, wychwalał pod niebiosy prezeskę jednej z nich, babę Józkę.

— Bo to, prosze panstwa, zajechał tam żydek jakowyś, „agitator“, jak to teraz przezwali i pyta, rozglonda się, za najpierwszo osobo w gromadzie. Masz ci pierwszo osobe — idzie z mietliskiem w rękę

baba Józka, prezeska Koła. — Żadnych nam tu nowych porzondków nie potrza! — powiada i tak tem mietliskiem pod nosem żydkowi wywija, że zmykał, jakby go wszystkie sobaki we wsi za łydki zemboma chyciły!

— Tegoby żaden delegat centrali bezkarnie uczynić nie mógł! — stwierdziła wśród ogólnego śmiechu pani Trzczińska. — Zadaniem centrali było: czuwać nad jednolitością szkół i czynnością poszczególnych Zarządów, dostarczać podręczników, nauczycieli i popierać finansowo.

Programu nie mieliśmy żadnego. Warszawa i Galicja były odcięte, w tajnych, egzystujących dotychczas szkołach, uczył każdy czego i jak mógł. Uproszony członek Zarządu, nauczyciel winnickiego gimnazjum, Wiktor Warzański, z kilku, znalezionych przypadkiem u różnych osób programów, stworzył program sześcioddziałowej szkoły ludowej, zastosowanej do naszych warunków.

— Odbito to zaraz w kilkuset egzemplarzach i rozesłano szkołom — pochwyliła tok opowiadania pani Wanda, której wrodzona żywość nie pozwalała zostawać długo biernym tylko słuchaczem. — Oczywiście, trudno było o jednolitość szkół! Różny bowiem był stopień zrozumienia i różna możność wykonania zamieszczonych w statucie i w programie warunków! Dla zaradzenia temu podzielono Podole na okręgi, odpowiadające powiatom, których było dwanaście. W jednych — zarządy okręgowe funkcjonowały świetnie, w innych słabo, albo wcale nie

przejawiały swej działalności. Próbowaliśmy tedy wysłać delegatów objazdowych, co się nam od początku z trudnością udawało, wkrótce zaś stało się niemożliwym z powodu — wobec zbliżającego się bolszewizmu — przeszkód w komunikacji i dużych kosztów. Musieliśmy się przeto zadowalać nadsyłanymi sprawozdaniami i relacjami osobistymi proboszczów albo prezesów kół wiejskich, a te były wzruszająco bogate i wiarogodne! Naprzykład przysłał nam ksiądz Kurowski szczegółowy rezultat egzaminów dziewięciu szkół swojej parafji z podpisami zarządów, nauczycieli, zaproszonych osób i z własnoręcznym dopiskiem: „Słowem kapłańskim ręczę i pieczęcią parafjalną stwierdzam“. Urzędowej statystyce nie wierzylibyśmy więcej. Kłopot mieliśmy prawdziwy ze zwalczaniem chęci zakładania gimnazjów. Każda większa osada, każde miasteczko, nazywało swoją szkołę: „gimnazjum“ i pnąc się do ich utrzymania, nie zdawała sobie częstokroć sprawy, jaka różnica i jakie jest zadanie szkoły ludowej, a jaki znów cel i program zakreśla gimnazjum. Chodziło nieraz tylko o język francuski, albo o samą imponującą nazwę, tam — gdzie trudno było przeprowadzić w całości nasz zwykły sześcioddziałowy program. Utrzymało się jednak początkowo około sześciu gimnazjów, szkoły zawodowe odkładano z konieczności na później.

— Przejdę do tego, co nas boli tak mocno w obecnej chwili — poczęła ze smutkiem pani Jadwiga. — Gdy się jesienią rozszalał masowy odwrót wojsk

z frontu, wraz z nim spadła na nas, niestety, epoka rozruchów i pogromów. Chwila ta była niewypowiedzianie groźną dla egzystencji i przyszłości Macierzy, wobec szeroko rozgałęzionej przeciw jej szkołom agitacji. I tu dopiero wyszła na jaw wartość etyczna ludu polskiego i jego przywiązanie do szkolnych placówek, które ocalały dzięki powadze autonomicznych kół wiejskich i ich zarządów, jak również dzięki czynnej interwencji duchowieństwa naszego, a w niektórych miejscowościach wobec energicznego przeciwdziałania destrukcyjnym zapędom ze strony drobnej szlachty, wiernie i gorąco sprawie szkół polskich oddanej. Napadów na szkoły było niewiele usuwano je wszelako pośrednio, niszcząc i burząc dwory, w których miały swe siedlisko. Wówczas to lud polski ratował w czasie pogromu książki i inwentarz szkolny, przenosząc do chat, gdzie dalej nauka się odbywała. Wszystkie zaś podręczniki mają dla nas wartość bezmierną, bo tak trudno się w nie zaopatrzyć. Przy organizowaniu Macierzy hr. Zdzisław Grocholski zakupił w Kijowie kilka tysięcy niezbędnych egzemplarzy. Macierz nie miała jeszcze ani szaf, ani półek, więc układałyśmy je stosami na podłodze, ciesząc się z tak wielkiego zapasu. Tymczasem w przeciągu paru zaledwo tygodni rozchwytały go szkoły, tak że trzeba było sprowadzać jeszcze i jeszcze! Hrabia Grocholski kupił również w Winnicy drukarnię, z której Macierz czerpała pełnemi rękoma. Tam drukowały się nasze odezwy i blankiety, a przytem — o ile można było nadażyć —

książki, pogadanki ludowe, Polak i katolik, Skąd się wzięli Polacy na Rusi, dziełko Wandy Studnickiej, przystępne, jasne, treściwe i drogie sercu każdego kresowca.

— Tak! — wybuchnął Rożański. — Coraz bardziej pojmuję, jak uderzająca różnica tkwi w psychologii tych ciemnych, podburzonych Rusinów, a naszym polskim tajemnie, ukradkiem, ale jednak oświecanym potroszę ludem! Tak, moje panie! Przychodzi mi w tej chwili pyszne porównanie do głowy! Jeździło się dawniej często, skoro zaszła tego potrzeba, w takie czarne, atramentowe noce, kiedy to drzewa przydrożne i jary i pola i sama droga zlewały się w wichrem wyjąca ciemność. I nagle, ni stąd ni zowąd, wwiercają się w oczy dwie rzeki światła z dwóch reflektorów nadlatującego z owej głębiny auta. Zmienia się w mig dekoracja — widnieje droga, jakby na dłoni, i drzewa stoją jak przewodnicy i wiesz już, człeczko, że cię zawiodą prościutko do domu twego! Czyż nie jest podobnie i teraz?! Wychyństwo światło z ciemności i człowiek ujrzał tę drogę, która dotąd...

— Zachodzi tylko wielkie pytanie — przerwała te wynurzenia pani Wanda — jak ujrzał tę drogę? W świetle cudownej wolności, czyli też w łunie rabunkowych pożarów?! Przyszłości nikt nie odgadnie i my się na to nie silmy! A co się tyczy chłopca polskiego, to czy pan uwierzy, że po te, skąpo pomiędzy szkoły dzielone elementarze, przekradali się niektórzy piechotą w czasie tych strasznych pogro-

mów. Raz zdarzyło mi się nawet, iż z pod Kamieńca, to jest około dwustu wiorst, przyszedł do nas pieszo prezes wiejski, aby zabrać na plecach cały wór książek dla swojej wsi. Pan Piotrowski z Gniewania napisał — w rodzaju wierszyka Bełzy: „Kto ty jesteś?” krótkie zapytania i odpowiedzi, prowadzące do tego, że kto ze krwi polskiej pochodzi — bądź co bądź jest Polakiem, chociażby tego sam nie zeznawał. Drukarnia winnicka wydrukowała to na ćwiartce papieru z małym orzełkiem na czerwonym tle. Ogromnie spodobało się to chłopom naszym, wzięli to sobie za symbol i hasło, na ścianach wyklejali, tak że trzeba było wydać cały nowy nakład na wielkim arkuszu z odpowiednio powiększonym orłem. Stanowiło to dla nich rodzaj legitymacji, a okazało swą wartość w owych trudniejszych czasach dostawiania książek szkolnych, przy powstającej stąd emulacji: — Szczę win za Polak?! — powiada jeden o drugim — U niego nawet horłyka w chati nema! — Rozchodzili się też te „horłyki“ (orzełki) tysiącami.

Z naucielstwem miałyśmy również kłopot nielada. Zabór rosyjski, szczególnież kresy, nie posiadał wcale nauczycieli ludowych polskich. Podole, odcięte od Kongresówki, nie mówiąc o kordonie galicyjskim, musiało jednak dostarczyć do tysiąca personelu nauczycielskiego. Ratowała nas wielka ilość uchodźców z różnych stron Polski i ci stanęli istotnie do pracy często bardzo więcej dla idei, niż dla chleba. Jedną z pierwszych czynności Macierzy było zorganizowanie kursów nauczycielskich w Winnicy, Zin-

kowie i Latyczowie. Mieliśmy zatem najrozmaitsze typy, najmniej tylko — fachowców. Znajdowali się ludzie z dyplomami uniwersyteckimi, a jednocześnie trafiały się osoby, które nigdy w żadnej szkole nie były. Mieliśmy zbiegłych jeńców wojennych, którym trzeba było wyrabiać jakie takie papiery. Do Macierzy szli wszyscy z ufnością, spowiadali się od progu, że są zbiegami, oddawali na przechowanie swoje prawdziwe legitymacje — ukrywałyśmy ich wysyłałyśmy w zapadłe kąty, gdzie najwięcej zależało na gorącości ducha, a gdzie im było bezpiecznie. Każdej kategorii stawiałyśmy jeden, ale najważniejszy warunek: Przedewszystkiem staraj się, żeby dzieci pokochały ciebie i szkołę polską! — Na dzień umówiony zjawiał się pan prezes, oddawałyśmy mu nauczycielkę, zalecając troskliwą opiekę nad nią i w rzadkich tylko wypadkach zdarzały się skargi z jednej lub drugiej strony. Wogóle nasze nauczycielstwo było wyrocznią dla ludu polskiego — wpływ też jego na wsi zaznaczył się wprost nadzwyczajnie: Pod Uładówką naprzykład szesnastoletnia nauczycielka, Anna Skrodzka, wstrzymała całą gromadę, idącą rabować folwark.

Wspomagać szkoły mógł Zarząd Główny niezmiernie słabo. Każde koło łożyło, ile tylko mogło, zarządy miejscowe i okręgowe urządzały składki, zabawy, loterje dla zebrania środków, nawet miasto Winnica (lewicowo nastrojone) stanowiło osobny okrąg i zbierało na swoje gimnazjum i cztery elementarne szkoły. Serce nam rosło, patrząc na tę

emulację, ale do centrali nic z tego nie przybywało. Czasem otrzymywaliśmy większy dar, który naturalnie topniał natychmiast w naszych rękach. Koła obowiązane były wedle statutu wносить do kasy Głównego Zarządu 10% swoich dochodów, ale ktoby się tam o to dopominał, kiedy i tak trzeba im było nieraz pomagać. Skarbnikiem naszym był hr. Zdzisław Grocholski i jakoś działał się tak cudownie, że złożona w jego ręce niewielka suma z najpierwszych składek nie wyczerpywała się wcale. Zapytany przez prezeskę przed jakimś znaczniejszym, jednorazowym wydatkiem o stan kasy, odpowiedział stanowczo:

— Niech pani nie rachuje, bo stracę swój rozmach. Proszę tak postępować, jak pani serce i intuicja dyktują. Dopóki jestem skarbnikiem — pieniędzy wystarczy.

Zarząd się zbierał, jak już mówiłam, rzadko, ze względu na te okropne, obecne warunki, cała więc odpowiedzialność spadała na panią Jaroszyńską, a ta zasiadała od rana przy biurku, przyjmowała interesantów, rachowała, projektowała. Pomagamy z całych sił naszej kochanej prezesce, starając się o ile możliwości nadażyć za jej zapalem, pracujemy szczęśliwie, mając pełne ręce tego, co jest i dla nas „senem marzeniem“. Żartują z nas życzliwi, że jesteśmy jedyną instytucją w świecie, otwartą w dzień i w nocy. Rzeczywiście nigdy nie opuszczamy wszystkie razem naszego biura, nawet w niedzielę chodzimy do kościoła na zmianę. Dopiero popołudnie niedzielne mamy zupełnie swobodne. Pomaga nam jeszcze w pi-

saniu na maszynie Zofja Pieńkowska, a buchalterją zajęła się Alina Mysłowska, ale — wzięwszy pod uwagę, że cała ta praca jest nowością nie tylko dla nas, lecz i dla kraju całego — można sobie wyobrazić, ile odbywa się narad przed rozpoczęciem każdej nowo wprowadzanej rubryki, lub rozstrzygnięciem jakiejś fachowej trudności! Byłyśmy też dumne naprawdę, gdy delegacja Komitetu Wykonawczego z Kijowa przyznała, iż nie spotkała nigdzie biura, tak wzorowo prowadzonego, jak nasze. Toż samo osądziła i nasza komisja rewizyjna. Wesoło więc idzie nam praca, a że jesteśmy w środku miasta, chętnie zachodzi tu każdy na pogadankę, co irytuje niezmiernie naszą prezeskę, wywieszającą na ścianach wymowne napisy:

„Czas to pieniądz!“ albo: „Załatw interes i wychodź!“ — Niewiele to jednak pomaga! — pani Wanda machnęła energicznie ręką i dodała z zadowoleniem: — Cóż na to poradzić, że centrala Macierzy stała się nad wyraz popularną? Pani Jadwigo, proszę rozjaśniać dalej temu panu horyzont, bo ja już zachryłam!

— Kończmy nasze chwilowe posłannictwo — ozwała się żartobliwie wezwana do głosu — albowiem powiedzianem jest zaiste, że wśród tych dwojga zapamiętałych entuzjastów ja jedna piastuję rolę rozsądnej Marty. Obawiam się, że późno przyjdziemy na obiad do Waławostwa, którzy znowu nie uznają życia bez zegarka, więc streszczam się krótko: Zyskaliśmy tyle zaufania u ludu, że udało nam się

zrobić dokładne spisy ludności polskiej na Podolu. Było to niesłychanie trudnem. Próbował tego Komitet Wykonawczy, ale napotykał opór po wsiach: ludność obawiała się tego, tłumacząc to sobie chęcią wznowienia pańszczyzny, nałożenia nowych podatków i t. d. Macierz potrafiła jednak przekonać wszystkich, że jest to niezbędné dla procentowego obliczenia Polaków podolskich przy staraniach o zdobycie pieniędzy na szkoły i mandatów w razie obiecanych wyborów — rozesała pocztą swoje blankiety do wypełnienia i nasi prezesi nieśli nam bez obawy najdokładniejsze spisy z imionami i nazwiskami od dzieci kilkudniowych począwszy, aż do starców stu-letnich. Wierzyli, że Macierz nie zawiedzie ich głębokiej ufności. Ludności polskiej okazało się na Podolu 400 tysięcy! Dzieci zaś w wieku szkolnym około 40 tysięcy! Na tem zakończmy, kochani państwo, nasze patriotyczne gawędy, bo doprawdy — za przestały obiad wszystko na mnie się skrupi! Do jutra więc, panie Stefanie! Wychodzi pan od nas oszołomiony nawałem tylu niespodziewanych oświeleń, bez prawa głosu w dodatku, zahukany przez dwie kresowe niewiasty!

— Jutro się zemszczę! — zapowiedział pan Stefan zuchwale. — Jutro ja będę mówił bez przerwy, a panie będą słuchały tak pilnie, jak ja to dziś z radością prawdziwą czyniłem! Proszę mi wierzyć, że wychodzę oczarowany tą cudowną, szczerą bezpośredniością, jaka tryskała ze wszystkich słów i obrazów przez łaskawe panie tak pięknie przede mną, profa-

nem, odtwarzanych. Jakże się cieszę, że mogę powiedzieć z całą pewnością:

— Do widzenia! Do prędkiego — bo jutro! Tymczasem — tu Rożański skoczył nagle przed zdumionemi tym zwrotem kobietami do przedpokoju, odpruł tam błyskawicznie część podszewki sławnej „katanki“ i wydobywszy ukryte w wacie, rozłożone napłasko „Piotry“ (500 rublówki), wręczył je pracowniczkom Macierzy: — To na szkoły polskie! Zmińcie się, panie! Pocóż ten grad podziękowań?! Jestem egoista. Drugie tyle zatrzymuję dla siebie. A teraz już prawdę: Do jutra! — i zbiegł szybko po schodach.

VII.

DWA PRĄDY.

Wynurzywszy się z pod portalu domu, w którym umieściła się Macierz Podolska, Rożański przystanął na ulicy Pocztowej na chwilę, ogarniając przenikliwym spojrzeniem idących po niej przechodniów. Wyraz zadowolenia rozświetlił mu twarz błyskawicznie, gdyż dojrzał zdale, dążącego w jego kierunku, stryjecznego brata. Dotychczas gawędy obydwu braci ograniczyły się do owej najpierwszej i bolesnej, w dniu przyjazdu pana Stefana, potem zaś — brakło im zawsze czasu. Pan Piotr cierpiał oddawna na chorobę sercową, wystrzegać się tedy musiał wszelkiego zmęczenia, wywołującego — po ostatnich przejściach szczególnie — coraz silniejsze ataki. Zdrowie pana Stefana natomiast było, jak zawsze, wyższe ponad dosięgi okrutnej zmienności losów, więc gdy późnym wieczorem, oblatawszy różnych znajomych, powracał na swoją „turecką sofę“ — zastawał zwykle gospodarza pokoju drzemiącego już w łóżku. Nie pora to była na długie rozmowy — kilka słów z jednej i drugiej strony poprzedzało zdmuchnięcie świecy przed ciszą snu. W dzień również miał każdy z braci swoje

zajęcia i sprawy, z których nie zdawali sobie wzajem relacyj. Prócz powszechnego i osobistego, ciężkiego stanu rzeczy, męczyła jeszcze pana Piotra troska o żonę i dzieci, które, wyjechawszy pod opieką matki do Warszawy na studia szkolne, zostały wskutek okupacji niemieckiej odcięte od kraju i od pieniędzy, co gorsza. Wobec rosnącej bowiem rewolucyjnej zawieruchy, banki zaczęły już odmawiać przesyłania pieniężnych przekazów drogą okrężną via Sztokholm — do Polski i pan Piotr nie był w możności zaspokajania potrzeb życiowych rodziny, którą kochał głęboko. Pojmował jednak, że z powodu narastających groźnie trudności, życie jego staje się tem bardziej niezbędnem dla drogich i bliskich, zebrał tedy w cugle swoją wolę, opanowując w ten sposób zbytnią pobudliwość chorego serca. Wysoka, prosta i szczupła postać pana Piotra zbliżyła się już o tyle do stojącego na miejscu brata, że zupełnie wyraźną stała się twarz o czysto rzeźbionych rysach, siwiejący, niewielki zarost około wąsko zarysowanych ust i piękne czarne oczy, których płomienna głębia świadczyła o niezwyklej intensywności wewnętrznego, duchowego życia.

— Bywaj, włóczęgo! — zawołał przyjaźnie, ujrawszy nagle podchodzącego ku niemu pana Stefana. — Skąd bogi prowadzą?

— To długa historia — odpowiedział stryjeczny, będący jeszcze pod nieostygłym urokiem cyklopicznych zamiarów przetworzenia ludu polskiego w światłych obywateli-patriotów. — Nie możemy się nigdy

na dobre rozgadać, ale pewno masz teraz wolne popołudnie? Czy chcesz przejść się trochę przed obiadowym obrokiem?

— Chętnie. Wyszedłem prawie w tym celu. Jeśli ci to dogadza, pójdziemy w bok od Pocztowej, na Sadki. Dzielnica to cicha, ładna, siedlisko emerytów, wdów, wille w ogrodach, powietrze czyste, ruch niewielki i nikt nam przeszkadzać nie będzie.

— Zgoda — powiedział pan Stefan i szedł jakiś czas obok brata w milczeniu. Dopiero gdy zostawili za sobą ruchliwą część miasta, dał ujście nagromadzonym wrażeniom: — Pytałeś, gdzie byłem? W biurze Macierzy Podolskiej. Jakaż tam wre wspaniała praca! Jak lud polski garnie się do narodowej oświaty! Iluż mieliśmy cichych, wytrwałych siewców, ile kobiet kresowych, sypiących tajemnie, w nieurodzajną napozór glebę, ziarna oświaty! A teraz! Ilu się bierze otwarcie do pracy, ziemianki, ziemianie idą do tego ludu z jarzaniem światłem w rękę! Pośród lawiny kłopotów i ciosów jakaż zapał bije z ich wszystkich poczynań!

— Żyjące trupy! — wyrzekł pan Piotr powoli.

Uderzony tem słowem, jakgdyby biczem — zadrzął się cały pan Stefan, chwycił brata gwałtownie za rękaw ciepłego okrycia, a głos jego buchnął jak strzał z rewolweru:

— Piotrze!

Tamten szedł naprzód, przed siebie, spokojnie i wolno, a rysy jego nie przejawiały najłżejszego podwyższenia temperatury uczuć. Pan Stefan się

opamiętał — choroba brata była dlań owem „tabu“, które miał zawsze na względzie. Hamującym się tonem, wracając jednak wewnątrz, rzucał szybko gorący protest:

— To ty i wtedy — kiedym przyjechał — o nich myślałeś?! O nich?! A raczej... co mówię? O nas! Więc my jesteśmy „żyjące trupy“?! Dlaczego, Piotrze?! Kto w sobie niesie twórcze wysiłki, ten najwidoczniej nie do mogiły, ale do życia zdalny! Śmierć, to rozkład, zgnilizna i próchno! Sądziłem wtedy, że o rewolucji rosyjskiej tak mówisz! To trup już teraz i trupem cuchnie! Ale nie ci, którym wszystko wydarto, a oni znaleźli w sobie dość mocy, by radość tworzyć w nieszczęściu! Jakiem prawem rzucasz im, Piotrze, taką obelgę?!

— Bo nasza rola tu, na tych ziemiach skończona (pan Stefan skoczył w bok, jak koń narowisty). To ziemie ruskie, „Ruś“, do Rusinów należą. My zaś możemy zapakować manatki i odejść do Polski. Tam cele nasze, tam praca. Wstająca Polska! Cud, o jakim marzyli, płonąć natchnieniem, wielcy duchem w narodzie! A my — zwyczajni — dożyliśmy tego szczęścia, że na własne oczy oglądać to mamy. Więc tam budujemy, u siebie w domu, ale nie tu, w obcym kraju.

— I ty to mówisz?! Ty — który siedzisz w Ojczyźnie?! To — obcy kraj?! — Głos pana Stefana miał rozpaczliwe poprostu akcenty. — Ty się tak łatwo wyzbywasz tradycji, pracy całych pokoleń, praw do pozostania tam, gdzie przed wiekami

ludzie z twego narodu, twoi współbracia, twoi rodacy — stawali z siekierą w dłoni przed ścianą puszczy, gdzie wśród mozołów wydzierali dzikości skibę po skibie, gdzie czyhał na nich co chwila nie wilk rozjuszony, ale stokroć od niego groźniejszy łupieżca — Tatarzyn!

— Zwykła dola kolonizatorów. Woleli tłuste, ukraińskie ziemie od lichych piaseczków Mazowsza, więc szli.

— Piotrze! Ja ciebie wprost nie poznaję! Jakież szalony przewrót wywołał w tobie ten ruch niszczycki, to nasze smutne wygnanie!

— To prawda. W tej zuchwałej determinacji tłumów, w tem oświeceniu jaskrawych faktów — nową ujrzałem drogę.

— Czy w łunie pożarów ujrzałeś ją, Piotrze?

— Chociażby.

— Końby się z tego uśmieł! — pan Stefan przygryzał wąsy niecierpliwie i z trudem powściągał pasję. — Ty walisz mnie naodlew z lewa, a tamte dwie — z prawa! I pocóż to mówią, że środek jest złoty?!

— Jakie dwie? — zainteresował się pan Piotr i rzucił spojrzenie na brata.

— No, Wanda Świdowska — Jurkowska z Czepiel, pamiętasz? Nie bywałeś tam, aleś u mnie nieraz spotykał jej brata. A druga — pani Trzecińska, pracowniczkę Macierzy. Na kawałki się dadzą porąbać, że ten kraj winien iść pod skrzydła orła białego. Sfukały mnie obie za moje poglądy: Równi z rów-

nymi — Rusini z Polakami i unja z Polską. A ty nas zupełnie wyrzucasz z kulbaki! Jeśli w ten sposób zapatrujesz się na kolonizatorów całego świata, to postaw kwestję jasno: skoro Brazylijczykom będzie ciasno na niezaludnionych dotychczas przestrzeniach, niechże wypędzą na złamanie karku tych wszystkich emigrantów naszych, którzy teraz karczują jej puszczę, własnym oddechem osuszają jej bagna, mrą od malarji i tropikalnych upałów! Wspaniale! My jesteśmy tylko pognojem dla „autochtonów“ tej głupiej kuli ziemskiej! Albo wiesz, jeszcze lepiej! Precz z Amerykanami! To ziemia Indjan i do nich niech wraca! Kultura, rozmach, przedsiębiorczość, miasta, fabryki, osady, handel, przemysł, intelekt — wszystko to furda! Autochtoni — górą!

— Niebezpieczne wygłaszasz teorie. Oczywiście, nie co do Indjan, bo tego nie biorę nawet na serjo. Wymierające szczepy, niezdolne wobec wymogów kulturalnego życia do nadażenia mu w tempie. Słabszy ginie w wielkiej walce o byt — to prawo natury. Ale skoro tak gorąco przemawiasz za pionierami kultury, to jakże ma być ze Śląskiem w razie powstania niepodległej istotnie Polski? Co? Bo, że Niemcy tam zbudowali owe fabryki i doprowadzili kraj do rozkwitu, to chyba bezsprzecznie się zgodzisz? Więc jak?! Mamy im oddać Śląsk?

— Nie — pan Stefan ostygł i tężał w uporczywej chęci zawrócenia brata z fałszywej — w jego pojęciu — drogi. — Nie! Śląska nie damy, ale korzystać z płodów ich pracy zezwolimy Niemcom na

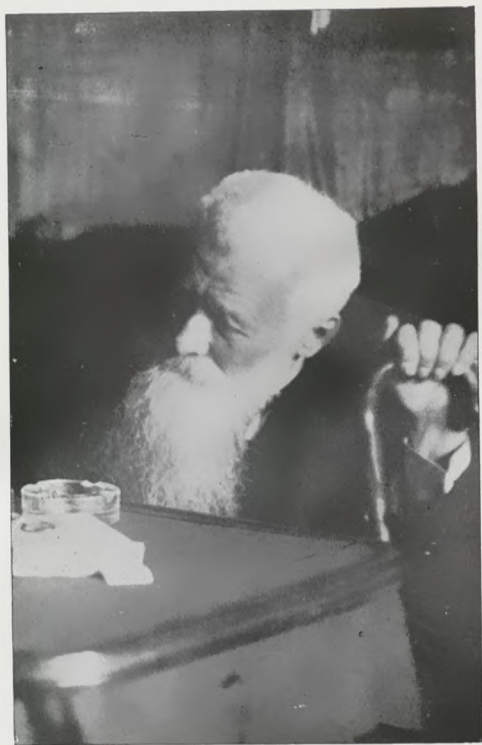
pewno! I ziemie ruskie — niech Rusią będą, ale my — także autochtonami na nich jesteśmy i przed trybunałem świata całego, ulegając przemocy dzisiejszej, obwoływać jako wygnańcy będziemy to nasze dawne i drogie: Non cedo! i na pniu ciężkiej krzywdy zaszczerpione, krzepiące: Contra spem spero! Tak, bracie, wierzę przeciw nadziei, że będziemy kiedyś w przyszłości dźwigali z upadku wspólnymi siłami gmach odrodzodzenia ziem ukraińskich! Że stępią się ostrza wyroków Centralnej Rady!

— Zakochani nie mają rozsądku. Rzecz znana i jasna. A ty tak mówisz o całej tej sprawie, jak rozkochany do szaleństwa młodzieniec. Tymczasem pomyśl: dwa razy zebrano śmietankę z ludu ruskiego. Raz — my, Polacy wzięliśmy mu szlachtę. Nieprawdaż? Toż ci Ostrogscy, Wiśniowieccy, Czartoryscy, Zbarazcy, Szaszkiewicz, Tyszkiewicz, Chodkiewicz, Denyskowie-Mokosije, Koreccy, Czetwertyńscy, Jełowiccy — wszystko to przecież stare rody ruskie, które dobrowolnie stały się polskimi i nowej swej ojczyźnie tylu sławnych dały mężów. A po raz wtóry, „matuszka“ Rosja ściągnęła gładko czoło inteligencji Rusinów. Wszak Gogol i Korolenko i Niemirowicz-Danczenko, a nawet koryfeusze „ukraińskiej literatury, naprzykład Kulisz, Kostomarow pisali po rosyjsku. I sławny Szewczenko posługiwał się w znacznej mierze tym językiem, a niektóre z jego po rosyjsku pisanych utworów jak: „Kapitansza“, „Trizna“ — posiadają wysoce artystyczną wartość. A przecież ci mistrze pióra, to „Małorosy“ ze

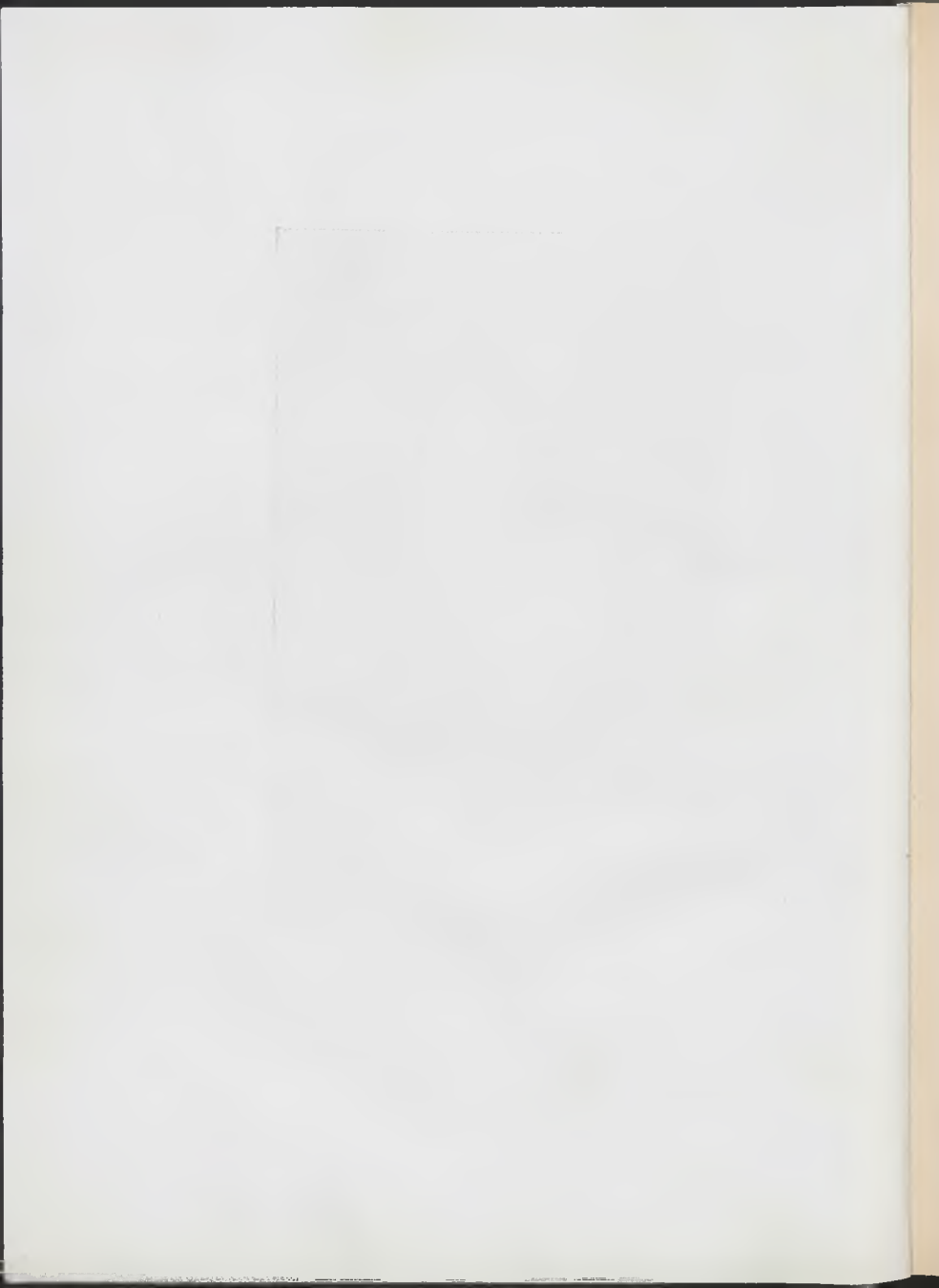
krwi i kości. Dwa razy stracić najwyższe warstwy i dziś po raz trzeci wyłonić z siebie własnych już twórców-pisarzy, poetów, jak Łesia Ukrainka, Chwyłowyj, Kożan, Stefanyk, nad pogłębianiem i harmonją języka ruskiego pracujących gorliwie — to wcale chwalebnie! Jak myślisz? Niezła alchemja rasy, mogącej na takie wysiłki się zdobyć! I jakże sądzisz? Czy mogą oni nam za to być wdzięczni?

— Zapominasz widocznie o tem, że w naszych dziejach przymusu nigdy nie było. Działał potężnie urok polskiej kultury i liberalny ustrój Rzeczypospolitej: „S w o b o d n e k r ó l e s t w o osadzone przez cnych Polaków w polach otworzystych!“

— Tu na cię czekam z nastawionym rapierem. Broń się, mój bracie! Ten urok zgasł już oddawna i nic go rozświetlić nie zdoła. A sami temu winni jesteśmy. Odwrócenie od przyszłości, żyliśmy od chwili rozbiorów, wpatrzeni we wsiąkające poza horyzont słońce przeszłości naszej. Łzami zachodziły nam oczy, gorąco tętniło serce i pierś dumą wzbierała, gdyśmy tak dosyta spijali wspomnienia „Polski od morza do morza“, wygładzając z umysłu wszystkie szczyrby i rysy w tym, świętością owianym obrazie. Wokoło nas życie waliło rzeką, dojrzewały pokryjomu jak dolne ziarna w winogronowej kiści, różne, niedopuszczone do samoistności państwowej, żyjące obok nas narody, a my tym wszystkim, wchodzącym w skład dawnej Rzeczypospolitej, wskazywaliśmy cel — nie, świecący przed nimi ogniami postępu, ale ów dawny, rzucający wstecz obumarłe blaski.



Zygmunt Luba-Radzimiński



Zraziliśmy do siebie wszystkich dawnych sprzymierzeńców naszych, bo „minionych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia! „Więc — kapitalny to błąd: w wawrzynu zeszcły liść z uporem stroić głowę!“ I to jeszcze ci powiem: Żle uczynili Jagiellonowie, nie polonizując tego kraju do samej głębi. Wówczas było to łatwem i dla idei państwowej pożytecznem, a my — obecnie stalibyśmy wobec faktu dokonanego, bo terażniejszość rozstrzyga.

— Terażniejszość rozstrzyga, ale tradycja obowiązuje. Wszakże od Polaków zależy, by terażniejszość stanęła po stronie tradycji. Od Polaków rządzących oczywiście, kiedyś, zczasem, w wolnej, niepodległej Polsce, bo i jakież my teraz układy proponować możemy?! A tradycja zapuściła tu mocne korzenie i nie da się tak łatwo wygarnąć! Pamiętasz te nasze chłopięce czasy — pan Stefan wsunął przyjacielsko rękę pod ramię stryjecznego brata — kiedy to nasz kochany pan Zygmunt Luba-Radzimiński przyjeżdżał na dłuższy pobyt do mego ojca? A te „wieczory pod lipą“, które nam, śmiejąc się, codziennie przy kominku urządzał? I ci rycerze przeszłości, w jego opowiadaniu jak żywi przed naszymi dziecięcymi oczyma z moglił wstający? Ci rycerze, których język był: „męski chropawy, rubaszny, twardy jak zbroja, grzmiący jak róg myśliwski, nieugłaskany jak rumak rzeźwy, daleki pieszczoł jak szlachcic o szorstkiej dłoni“! Pamiętasz, jak wkuwaliśmy z rozkoszą popularną pieśń z 1618 roku o ksiąźęciu Samuelu Koreckim?

Maż to jest wtóry, co lwa zwlókł ze skóry,
 Co bił ogromne wieprze, byki, smoki
 I skrzepł mu olbrzym, gdy go wziął za boki!

Czy który z nas się wtedy zapytał, jakiej nardo-
 dowości był ów bohater?! Do głowyby to żadnemu
 nie przyszło! On był „nasz“ i wielbiliśmy go pło-
 miennie za wszystkie jego czyny i męstwo. Pamię-
 tasz pana Zygmunta, tego typowego męża kresowego
 z jakichś lat dawnych, o wypukłym, wysokim czole,
 o medaljonowym, orlim profilu, z długą, jasną brodą
 niby Jan Kochanowski, z błyskającym zapalem nie-
 bieskim okiem, gdy zagłębiony w staroświeckim fo-
 telu przy naszym kominku, zachęcając nas — kilku
 chłopiąt do czerpania z krynicy dziejów ojczystych
 najczystszej eliksiru życia — tak nam cytował
 z pamięci wiersz Z. N. Kamińskiego o potędze słowa,
 umiejącego zawrzeć w sobie istnienie zgasłych po-
 koleń:

Jak trawka z pieńka wszędzie w każdej wiośnie,
 Bo życie nasze w słowie wnuków rośnie!
 Biada — gdy kiedy pójdzie w oniemienie...
 Grób nas nie puści — zgaśnie pokolenie!

— Pamiętam nawet co do słowa „Dumę powiatową“
 Wojciecha Rakowskiego, z czasów Zygmunta III —
 oczy pana Piotra były przy tych wspomnieniach tak
 przejrzyste łagodne, jak zwierciadlana toń pięknego
 jeziora:

Często pohańcy złote kraje płóczą, szlachtę podolską w łykach
 [do hord włóczą,

Popiołem włości wszystkie przyrzucając,
Plon niezliczony w horde zagarniając.

Stadami panny szlacheckiego domu idą jak owce pod nóż bez
[sromu.

Ojciec, brat, matka, siostra nie ratuje, gdy psi pohaniec nad
[nią się zbytkuje!

Wyobrażałem sobie wówczas (mój Boże, jakże to dawno było!), że Długosz i nasz kochany pan Zygmunt muszą identycznie wyglądać i długi czas w nieznośnej byłem rozterce, gdym ujrzał podobiznę Długosza.

— A ten znakomity, niepokonany do czasu, Frąc Goślicki, na wzgórzu podolskiem przez nawałę tatarską obstatpiony zniecka, na drobne niemal okrucy rozsiekany, w ziemię wdeptany, aż wzgórze owe, krwią jego nasiąkłe, „Mogilą Goślickiego“ przewano! A ci wszyscy Sieniawscy, Starzechowscy, Jazłowieccy, Strusie, Tarłowie, Secygniowscy, którzy mieswali tak często: „wieczere hojne, a noce niespokojne!“, bo jak twierdził Jan Adacy Kmita — Ruś przeczuwała zawsze gotujący się napad hordy: chyłem, borem, czarnym szlakiem!

Stada wron, kawek wróżyły to wcześniej...

Idą sroki świegotne i gębate wrony

I kawek pospolitych stada z każdej strony!

Pan Stefan brnął coraz radośniej w gęstem podzyciu kraju lat dziecinnych, ciągnąc za sobą towarzysza przechadzki. — A ta nasza wiosna podolska! Powiedz sam, Piotrze, czy jest gdzieś na świecie czarodziejka jej równa?!

— Może nie. Kwitną różowo rasty, migają bielą przyłaszczki, drozdy polatują z gałęzi na gałąź, ziemia pachnie, łąki przetkane kwieciami, powietrze jak balsam — głos pana Piotra zmatowany wzruszeniem, stał się nagle mocny i równy. — Może już tego nigdy niezobaczymy. Ha, cóż robić! Mówiłeś o tradycji, o naszej, polskiej tradycji, a ja ci teraz przytoczę jaskrawy przykład innej tradycji naszych współziomków, bo ty tak to określasz. Więc w czasie buntów kozackich, kiedy Polacy dobywali już otoczone zewsząd miasteczko, siedlisko rebelji, żona jednego z przywódców, widząc, że nie ujdzie rąk lackich, usiadła na beczce z wybuchową materją, kazała do niej lont zapalony przyłożyć i wyleciała w powietrze, zanim się bramy przed zwycięzcami rozwarły. Cóż na to powiesz? Miała babina charakter, co? A i Lachów kochała, nieprawdaż?! Winy przeszłości ciągną się jak smugi nieprzerwanej goryczy przez wszystkie wieki, aż do dni naszych ostatnich. Pracowałem w kooperatywach nad chłopem ruskim, ale któż z was chciał iść za przykładem nas kilku? Teraz za późno. Odejdźmy i niech sami tworzą swe państwo. — (Pan Stefan strzepnął beznadziejnie rękami).

— Zobaczymy, czy stworzą? Powstaje Polska, okrojona, słaba, pod władzą okupantów i wyrasta Ukraina, bogata, wielka, już uwolniona z pod przemocy zdeorganizowanej obecnie, rewolucyjnej Rosji. Czas nas przekona, który z tych dwóch narodów ma więcej w sobie zmysłu państwowości. Gotów jestem założyć się z tobą, że Polska. Widzimy to jasno w hi-

storji tych ziem. Ile razy kozactwo brało tu górę — następował okres zniszczenia, pożogi i pustki. Kiedy zaś Polska wracała do rządów, kwitł handel, wyrosły z pod ziemi miasteczka, osady, sioła, utrwałała się obronność kraju, stawały wszędy jak tamy przeciw napadom — warowne zameczki. To nasze prawo do...

— W tych kupach kamieni?! — przerwał, nie podnosząc głosu pan Piotr.

— A niech cię parada!! — zakrzyknął pan Stefan tak desperacko, że mijający ich w tej chwili jeden z nielicznych przechodniów, oglądając ze zdumieniem dziwnego człowieka, który, nie żegnając się wcale ze swym towarzyszem, zawrócił ostro na miejscu i jął biec nieledwie, oddalając się od niewzruszonego w stoicznym spokoju pana Piotra,

— Stefanie! — dogoniła go łagodna fala dźwiękowa.

Odwrócił głowę, posłuszny nagle mu w poświadości lękowi o zdrowie brata. Pan Piotr uśmiechał doń przyjaźnie i kiwał ręką zdaleka:

— Warjacie! Nie będziemy już nigdy o tej kwestji mówili. A wracaj wieczorem na swoją sofę! Pamiętaj, bo przykreść wyrządziłbyś mi prawdziwą! No, bywaj, mój drogi, bywaj! — i uczyniwszy zwrot w prawo, poszedł wolnym, lecz równym krokiem.

Pan Stefan patrzył długą chwilę za odchodzącym bratem. Jego wysoka i wytworna postać poruszała się tak rozważnie i miarowo, jakgdyby ożywiał ją jakiś misterny mechanizm:

— Gdyby tylko miał siły, przerzuciłby sobie przez plecy cały lud polski, na tem Podolu osiadłby, szkołoby wziął pod pachę i poszedłby takim równym krokiem do Polski, aby tam, dla idei życie oddać. Ale tu nie, tu — już nie, bo tak sobie gruntownie rozważył! Pomyliłeś się panie Michelu! Niczego „mądrego“ pan Piotr nie „wydumał“! Teoretyk i basta! Kiedyś to się samo rozwikła. Najlepsza tymczasem pieczęć milczenia! — wykręcił się na obcasie i ruszył przed siebie, z włożonemi w kieszenie brzydkiej „katanki“ rękami, ze spuszczoną głową, daleki od wszystkiego, co go otaczało, nie widząc białych domków dokoła, ani szarawobiałego, postrzępionego nieba nad sobą — nie słysząc zgiełkliwego oddechu Winnicy. Tęsknotą i myślą — był w Szamrajówce.

VIII.

POTOMKOWIE „DUXA I REDUXA“.

Ponieważ Eligjusz Małachowski wymawiał już parę razy panu Stefanowi zwłokę w przybyciu „na koncert“, wybrał się wreszcie Rożański w czasie świąt Bożego Narodzenia do „Zgody“ na cały wieczór. Ogródek przed willą, choć zasypyany miejscami śniegiem, sprawił na nim wrażenie czegoś minjaturowego, ale niezmiernie starannie w porze letniej utrzymywanego. Znać to było po omiecionych wichrem tu i owdzie zgrabnych klombikach i przysypanych ziemią sztamowych różach. Wnętrze willi odznaczało się ową japońską niemal czystością i estetyką przy niewielkich rozmiarach pokoi, przepelnionych staroświeckimi meblami, z większego dworu ze stepów czarnomorskich tu wtłoczonemi. Z jadalni szły kręte schodki na górę, do pokoiów gościnnych, gdzie, pomimo ciasnoty przestrzeni, widniała na każdym kroku miła troska o wygodę zajeżdżających do „Zgody“ przyjaciół. Ściany saloniku obwieszane były obrazami w złożonych ramach, a wszystkie przedstawiały — widoki morskie. Morze pogodne, rozświetlone tak, że zdawało się nieodzownem

przyłożyć rękę do oczu, by znaleźć ochronę przed rażącymi blaskami — to znów, w innym miejscu — wygięte w olbrzymie łuki, spienione fale, roztrzaskujące się wśród mgławicy wodnego pyłu o skały nadbrzeżne — statek tonący, grzebany przez ponurych, a nieświadomych swej siły, grzywaczy morskich, a dla odmiany, tuż obok, niebieskie wody, liżące piaski szerokiej plaży. Znajomość i ukochanie morza było z tych płócien, których twórcą był gospodarz domu, zapalony w młodości marynarz.

— Ależ pan ma zdolności w każdym kierunku! — dziwił się szczerze Rożański, gdy po przywitaniu wprowadził go pan Eligjusz do salonu i pokazywał swe malowidła.

— Aż, panie! — machnął tenże ręką dość pogardliwie. — To żadna sztuka. Niech pan weźmie pendzel, wpatrzy się uważnie w to, co pan widzi przed sobą i maluje poprostu i szczerze: co szare, to szare, a co niebieskie, to nie fioletowe, jak chcą futuryści, kubiści i różni powarjowani eksperymetyści!

Gość poklepał go delikatnie po ramieniu:

— No, no! Bez tej fałszywej skromności! Niechże pan mnie taki pendzel wpakuje do garści i obieca cały świat za wymalowanie któregośkolwiek z tych obrazów! Napaćkałbym coś bezwątpienia, ale wołałbym sam na to nie patrzeć! — Obaj parsknęli śmiechem, czując rosnącą do siebie sympatię.

W tej chwili weszły do pokoju trzy, różnych wieków, niewieście postacie: najpierw ukazała się niska,

dość otyła pani Wiktorja Kołyszkowa, matka gospodyni, o siwiutkich, na dwie strony rozczesanych włosach i czarnym czepeczku na głowie, o rysach, noszących wyraźne ślady wielkiej urody. W jasnych jej oczach kryła się za pozorną pogodą cicha i smutna rezygnacja — straciła bowiem w swem życiu męża, dwóch ukochanych synów i najzacieńszego zięcia, Zygmunta Małachowskiego, którego zabrała z tego świata przedwcześnie owa niepokonana plaga ludzkości — gruźlica płuc. Tuż za nią zarysowała się na tle ciemnej portjery wysoka, o kameowym profilu i szlachetności w całej postawie — pani domu, Gertruda, trzymająca za rękę dziewięcioletnią, śliczną, w żalobnej sukience dziewczynkę. Było coś grottgerowskiego w tych dwóch kształtach kobiecych i w wyrazie ich twarzy, co natychmiast uderzyło obserwujący wzrok Rożańskiego, wywołując przypływ ojcowskiej jakgdyby tkliwości dla małej sierotki. Atmosfera prostoty i ujmującej serdeczności owionęła pana Stefana przy pierwszych zamienianych słowach i przywitaniu.

— Miło nam nareszcie poznać pana! — ładnie zarysowane usta „babci“ wygięły się w dobrotliwym uśmiechu, rozjaśniającym jej twarz od wewnątrz. — Tyle nam Lilka mówił o pana energii i nieupadaniu na duchu, a ja całe życie tego samego wszystkie moje dzieci uczyłam. Więc cieszy mię to spotkanie z „pokrewnym duchem“. Tak dawniej mówiono za czasów mojej młodości. Teraz — młodzi inaczej się wyrażają!

Pani Gertruda podała uprzejmie dłoń gościowi i rzuciwszy wesoło pytanie: — Ale dlaczego stoimy? Proszę — siadajcie, moi państwo! — wsunęła się w wysoki fotel i zwróciła się do nie odchodzącej od niej dziewczynki:

— Krzyśka! Ukłoń się ładnie! Tak, dobrze. A teraz siadaj na tej poręczy, tuż przy mnie, — objęła ją ramieniem. — To najmłodsza córeczka naszego biednego Zygmunta, a obecnie — nasza. Prawda, maleńka?

— Prawda, ciotulko! — głębokie oczy dziecka, patrzące na wszystkich spokojnie z pod wdzięcznie i mocno zarysowanych brwi, spoczęły na mówiącej z cichą ufnością. Twarzyczka jej wszakże nie drgnęła w uśmiechu i pozostała dalej nad wiek poważną, snadź była z natury skupioną i nie rozpraszącą się w słowach.

— Zupełny Zygmunt! — powiedział pan Eli-gjusz. — Niedużo papele, ale dużo myśli! — obrzucił jasnowłosą „córeczkę“ serdecznem spojrzeniem, na które odpowiedziała mu pełna wdzięku wymowa ciemnych źrenic, odbijających niezwykle przy jasnej, uciętej nad czołem czuprynce.

— Chociaż nie znaleźmy się dotychczas, — zabrała głos pani domu, — ale i my w pewnej mierze jesteśmy Podolakami. Ów sławny Dux i Redux, właściciel Mińkowiec, urządzający pogańskie święta Cerery, dbały o dobrobyt swych poddanych, uwłaszczający ich wreszcie na długi czas przed zniesieniem pańszczyzny — to dziad mojej matki. Dziwak

i demokrata zarazem, to też te dwie zasadnicze cechy przeblyskują silniej lub słabiej w rodzinach Marchockich i Małachowskich.

— Zdaje mi się, że ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych. — Małachowski porwał się z miejsca i zamaszystemi krokami wypadł przez jadalnię do przedpokoju.

— Przyszli zapewne nasi artyści, amatorzy, z którymi stworzyliśmy zespół muzyczny, — wytłumaczyła nagle ucieczkę męża pani Gertruda. — Zaraz ich panu wyliczę i opiszę: Przystojny, miły brunet z dużemi wąsami, to Józef Plisowski, ożeniony z Opoczyńską, mistrz w grze na skrzypcach. Wysoki, ze strzyżonym wąsem — doktor Wiliński — drugie skrzypce. Szpakowaty, zgarbiony, poczciwy mistrz altówki — to zegarmistrz, Kazimierz Szlelejn. Za chwilę osądzi pan, czy dobrze jesteśmy zgrani.

— Ach, ten Lilka! — gderała dobrotliwie babcia. — Zawsze jak ogień! Szurum, burum! jak u nas mówili na stepach! Jakże można tak prędko biegać? Na tem się skończy, że kiedyś sam się przewróci na tej woskowanej posadzce i moją biedną psinę rozdepce!

— Psinę babciuni zamknęłam w pokoju. Śpi na łóżku — zabrzmiał uspokajająco dźwięczny głosik Krzysi.

— Tak?! Chodźże tu do mnie, niech cię pocałuję — i pani Kołyszkowa wyciągnęła do wnuczki obie ręce z wielką czułością. — Widzisz, już stryjcio

wraca z tymi panami. A ty lubisz muzykę? Co? — głąskała jej złote włosy.

— Lubię, babciu. Ale teraz cicho, sza, — szep-tała, zaciskając paluszkami na chwilę różowe, zgrabnie wykrojone usta, — bo stryjecio okropnie się gniewa... — urwała, albowiem pan Eligjusz, stro-jąc już wiolonczelę, uciszył ją wzrokiem. Pani domu zapoznała Rożańskiego z nowoprzybyłymi, gdyż jej mężowi wyleciało to najzupełniej z głowy wobec bliskości spodziewanej rozkoszy muzycznej i zasiadła do fortepianu — inni zajęli również swe miejsca i rozpoczął się koncert.

Natchnione tony uwertury Beethovena popłynęły ze strun instrumentów niby odradzająca się w tych melodjach myśl genialnego twórcy. Religijna niemal cześć dla odtwarzanego piękna łączyła wszystkich wykonawców w jedną potężną całość. Entuzjazm bił z ich twarzy — zasłuchiwali się, grając, w śpiewa-jące pod ich palcami i smyczkami — muzyczne fra-zesy. Wchłaniali — czającą się w każdej nucie siłę geniuszu. Akord końcowy rozebrzmiał najwyższem napięciem, a gospodarz domu otarł ręką łzy, spły-wające mu po policzkach. Rożański spojrział nań ze zdziwieniem, ale wszyscy zebrani byli widocznie do tego przyzwyczajeni, gdyż nie zwróciło to ni-czyjej uwagi, tylko żona, okręciwszy się na rucho-mym taborecie przed fortepianem, dostrzegła wyraz oczu panu Stefana i zawołała natychmiast z ży-wością:

— Widzisz, Lilko! Pan Stefan bierze ciebie za beksę i nie pojmuje przyczyny twego rozczulenia.

Małachowski tłumaczył się z uśmiechem, prześwietlającym mu oczy, niby promień słońca po deszczu:

— Nie mogę zapanować nad sobą! Tak mię ta boska muzyka do głębi porusza, że — pomimo mej woli — cisną się łzy do oczu!

— W domu to drobiazg i nic nikomu nie szkodzi, — dowodziła wesoło żona, — ale, niech pan sobie wystawi, takie szlochanie na publicznym koncercie! Byliśmy kiedyś w Karlsbadzie. Orkiestra symfoniczna tam znakomita istotnie. Poszliśmy na koncert do jakiegoś ogrodu i nagle — pan widzi moje przerażenie — Lilka wznosi ręce do góry, jako wyraz ostrego entuzjazmu i zaczyna łkać na cały głos. Śliczne widowisko, nieprawdaż? Wszyscy ci piwosze i Niemki, machające spokojnie drutami przy włóczkowych robotach, popatrywali na mnie podejrzliwie, sądząc, że to ja zrobiłam jakąś cichą awanturę biednemu męczennikowi! A to jest poprostu — artysta w duchu!

— Grajmy dalej! — niecierpliwił się obgadywany „artysta“, który, pochwycawszy już wiolonczelę, wodził leciutko smyczkiem, rozsmakowując się w po-brzmiewającej melodji.

Buchnęła znów fala dźwięków i rozplonęła natechnieniem Szopena. Niewielki pokój stał się nagle jakimś sanktuarjum, w którym nieśmiertelna sub-

telność polskiego muzyka promieniowała z martwych nut na papierze niby żywy duch jego. Pan Eiigjusz grał z pamięci — zasnuł wzruszeniem oczy nut nie widziały. Rożański pławiał się w tej powodzi rozelkanych, marzących dźwięków i nigdy jeszcze nie czuł się tak opuszczonym, tak samotnym, jak tego wieczoru. Uginał się wprost pod tem brzemieniem i z całą mocą odpędzał od siebie sunące ku niemu natarczywie widma ubiegłej młodości.

— Co mi jest, do djaska?! — gardził sobą chwilami. — Ejże! Trzymaj się, panie Stefanie, bo zdasz się czuć nogę w strzemienu! Nie uciekniesz od własnej doli! Nie i nie! Nie ożeniłem się, bo nie chciałem. Basta. — Przyszedł mu na myśl znany koncept: — Kawaler żyje jak król, a umiera jak pies! Zato żonaty żyje jak pies, ale umiera jak król! — i odrzucił go gniewnie za nieudany cynizm. — Czyżby widok tej kochającej się rodziny tak mną wstrząsnął głęboko?! Nie! Widywałem przecież tyle szczęśliwych domów przed wojną i rewolucją. Więc nie to jest powodem tego dziwnego stanu. Tułaczka, niepewna przyszłość, niedola. Oto jest chwila, kiedy rozumie się istotną wartość zdania: — Żle jest człowiekowi samemu na świecie!

Cisza otrzeźwiła pana Stefana. Wyrwał się przymocą z jakiejś przepastnej melancholji i spojrzął dookoła. Amatorzy wstali już z krzeseł i wkładali cenne swe instrumenty do pudeł, tłumacząc się przed zapraszającą ich na herbatę panią domu różnemi, ważnemi, nie pozwalającemi im na tę przyjemność im-

pedimentami. Oczywiście — żony grały w tem wszystkim decydującą rolę, albowiem: — Cóż znaczy „słaba“ mężczyzna?! — Wśród śmiechów i żartów ułożono następne spotkanie i pan Eligjusz wprowadził najmilszych swych kompanów do przedpokoju, omawiając tam jeszcze z nimi wykonanie dzisiejszego programu i utwory, które mieli za parę dni odegrać.

Tymczasem pozostali przeszli do jadalni i zasiedli przy stole. Podano herbatę. Kobiety jęły rozpytywać o ostatnie przeżycia gościa, użalając się nad nim i wogóle nad okrucieństwem losu, wymierzonego kresowcom.

— Coraz jest ciężiej i gorzej! — westchnęła babcia. — Mój Boże! Czy nam się kiedy śniło o zbrojnych napadach na dwory?! A teraz, co się działo w Sumówce Sobańskich?! Serce we mnie zamiera, gdy sobie o nich pomyślę!

Rożański zatrzymał w powietrzu rękę z łyżeczką herbaty, tak go ta nagła wieść zadziwiła:

— Nic o tem nie wiem! Kiedyż to było?!

— Na parę dni przed wigilją. Czytałam list pani Sobańskiej, do krewnych w Winnicy przysłany, więc z najlepszego źródła mogę pana o tej niesłychanej, jakgdyby sienkiewiczowskiej historii, poinformować. Dzielni ludzie! — mówiła z zapalem pani Gertruda. — Nie ulękli się i odpędzili napastników! Pani Sobańska chce wysłać do „Dziennika Kijowskiego“ opis tego ich przejścia, nawołując wszystkich do podobnej obrony swoich placówek.

Gospodarz domu, który już zamknął drzwi za odchodzącymi amatorami i zajął zwykle swe miejsce przy stole, podniósł znieczeka tak wysoko brwi, że czoło sfałdowało się mu kilkakrotnie, a oczy stały się niemal okrągłe:

— Przepyszna rada! — wybuchnął. — Jabym także poradził okrętowi, by trzymał się mocno w czasie tajfunu! Dla kobiet niema niepodobieństwa, szczególnie, kiedy wchodzi w grę ich „widzimi się“!

— Ten Lilka — to ogień prawdziwy! — babcia wzruszyła ramionami, z uśmiechem. — Trzeba nad sobą panować. Prawda, panie Stefanie!

— Ależ, moja mamó, jakże można tak nie doceniać ogromu rewolucyjnej fali?! Żywioły się rozhuwały, chłopci całą tę ziemię uważają za swoją, bo im ten wcielony djabeł, Lenin, taką myśl wrzucił w głębi mózgów! Ze wszystkich czynów zgangrenowanej armji bucha nienawiść do klas uprzywilejowanych tak pierwotna, tak otchłanna, że ciarki przechodzą po skórze! A tu nagle — jedna warstwa ziemiańska ma temu straszemu naporowi stawić czoło! Proszę się lepiej zapytać, dlaczego inteligentni Rosjanie nie zwalczają takiej anarchji?!

— Co mnie oni obchodzi! Ja wiem tylko tyle, że powinniśmy tworzyć własne wojsko i nie pozwolić na zmarnowanie naszej pracy i naszej kultury w tym cudownym kraju! A tak! — stawiała się hardo „babcia“ ognistemu zięciowi.

— Masz tobie! Ja do Sasa, a mama do lasa! —

śmiał się udobruchany już pan Eligjusz, którego częste wybuchy podobne były z krótkości trwania do płomienia zapalki. — Niestety! Żle jakoś i niedołącznie tworzą się na Podolu formacje polskie. Brak jednolitości myśli w społeczeństwie naszym pod tym względem, co — oczywiście, nie pomaga.

— A czy pan sądzi, — zagadnął pośpiesznie Rożański, — że sprawa ta nie natrafiała na opór dowódców rosyjskich! Wiem od wiarygodnego świadka, że skoro kierownik komisji wojskowej dla formowania oddziałów polskich przy sztabie rosyjskim, generał Osiński, pojechał do Brusilowa, chcąc przyśpieszyć wyodrębnienie żołnierzy Polaków, to usłyszał odeń: — Z kimże zostanę, jeśli żądacie oddania wam sześciuset oficerów Polaków?! — Takt i to, co Francuzi nazywają „tenacité“, ze strony generała Osińskiego, oddały wielkie usługi w całej tej sprawie, gdyż dopomagały mu stale przy wydobywaniu ze sztabu generalnego rosyjskiego rozporządzeń na korzyść powstających naszych oddziałów. Porewulucyjny szef sztabu Aleksiejew proponował generałowi Osińskiemu stanowisko dowódcy I korpusu polskiego, ale ten się na to nie zgodził, popierając natomiast kandydaturę Dowbora, ze względu na zaufanie, jakie pokładał w jego wyrobieniu strategicznem! Dziękuję miłej panienczce, — Rożański wziął z rąk Krzyski szklankę herbaty, którą mu podawała z ogromną uwagą. Przytrzymał małą rączkę i nachylał już głowę, by dotknąć jej ustami, lecz dziewczynka wyrwała ją śpiesznie i pomknęła do swego krzesła przy

stole. — Nieświadoma sobie kobiecość broni się przed atakami jakiegoś obcego pana! — zaśmiał się tak wesoło, że zawtórowali mu wszyscy, a on ciągnął dalej z wrodzoną swadą: — Pojmowały dobrze władze rosyjskie, że w rosnącym zamęciu jedynie na Polakach opierać się mogą. Przecież w czasie bolszewickiego przewrotu 25 października oddziały polskie ochraniały obce poselstwa, a jeszcze przedtem — generałowie Knox i Niessel chcieli wyeliminować Polaków z rozpadającej się armji rosyjskiej i stworzyć z nich „udarnyje bataljony“ dla przykładu i zachęty. Jakie to dla nas krzepiące! Widocznie destrukcja i gangrena moralna, na jakie stale patrzymy — polskiej duszy nie dosięgają. Przeciwnie — wśród tej anarchji dźwiga się w górę coraz potężniej czyn odbudowy Polski. Naprzykład idea takiego Naczpolu: stworzenie armji polskiej, pod hasłem niepodległości, jako jednego z elementów koalicji! Zwięźle i jasno. Niestety — fermenty bolszewickie utrudniają i nam pracę, bo już w listopadzie następuje aresztowanie Korniłowa, najzupełniejszy upadek jakiegokolwiek praworządności, a Naczpol przenosi się do Mińska Litewskiego, gdzie stanęło dowództwo I korpusu polskiego.

— O tem wiedziałem z gazet, — powiedział Małachowski, — ale tamte różne szczegóły nasuwają myśl, że ktoś je chyba podsłuchał, tak są poufne. Skądże pan posiadał takie wiadomości?!

— Przebywali u mnie oficerowie rosyjscy parę miesięcy. Jeden z nich, pułkownik Wielikoborskij,

przyjechał wprost z Piotrogradu, a bywając przed rewolucją na dworze cesarskim i kręcąc się w najwyższych sferach wojskowych, o wszystkim świetnie był poinformowany. Przewrót bolszewicki i jego wyrzucił na pełne morze. Ciekawy jestem, co z nim się dzieje? — i panu Stefanowi przemknęła przez myśl jazda w ciemną noc do Lityna. Głośno wypowiedziane słowa gospodarza rozwiały momentalnie nasuwający się obraz owej ucieczki.

— Pan wie, z pewnością, że w Pietniczanach stoi obecnie szwadron ułanów?

— Ależ naturalnie. Tam jest wielu kresowców. Wydzielił go z I dywizji kawalerji gwardji rosyjskiej rot. Szuszkiewicz, por.-adjutant Michał hr. Grochol-ski i major Kownacki. Wszakże tak? Ileż liczą tam szabel?

— Oddział składa się z trzydziestu pięciu ułanów i kilku oficerów: Czudowski, dwaj Szuszkiewicze, Szaszkievicz, Głębocki. Mają pięćdziesiąt sześć koni i wozy z amunicją. Ale co za konie, panie! Nie jestem wcale koniarzem, ale tu zachwycać się muszę! Przytem cudowne rynsztunki! Wiemy przecież, czem była dawna gwardja cesarska! Zato moi sąsiedzi chłopci tak mówią o nich zjadliwie: — Ce wse pany-czi! Wonyb chotiły znowu panszczynu zawesty!

Rożański potrząsł z żywością ręką, jakgdyby chciał podkreślić grożące niebezpieczeństwo: — Otóż to! Tej animozji, podsycanej przez ukraińskie władze, śmiertelnie się boję! Rekwizycja żywności przymusowa z powodu braku pieniędzy, wywołać może

krwawy protest ze strony chłopą Rusina. Ciężka jest rola dowódcy tworzącego się III korpusu polskiego na Ukrainie, generała Michaelisa, gdyż podobno — ulegalizowanie stosunku polskich oddziałów z Radą Centralną napotyka na znaczne trudności, bo Ukraińcy obawiają się obcego wojska w swem młodem państwie.

— Jakaś żałobna nuta brzmi w zdaniach pana. Dość tego! — położyła kres wojskowym rozprawom pani Gertruda. — Zamiast szarpać sobie nerwy przypuszczeniami, niech pan lepiej posłucha opisu, hartującego nam wolę! Odbiegliśmy tak daleko od napadu na Sumówkę, a z tego wywiązała się rozmowa panów o kwestjach, na których my się z mamą niebardzo znamy. Słuchajcie teraz z całym skupieniem. Dzwonię na znak ciszy, choć dzwonka nie mam! A więc najpierw „mise en scène“: śliczna jasna noc księżycowa. Drzewa parkowe gołodzią i szronem okryte, jakby w jakiej bajce, a wśród nich piętrowy, duży dwór — (pani domu powiewała lekko wyciągniętymi przed siebie rękami, inscenizując niby rzućane głosem obrazy, gdyż była z natury entuzjastką i lubiła we wszystkim poezję). — W ukryciu, na czatach, uzbrojona milicja, — tu już zwykłym, nie tak uroczystym głosem dodała: — Ostrzegli ich dobrzy ludzie o gotującym się na dwór napadzie, więc od kilku dni właściciele mieli się na baczności i przesiadywali kolejno na czatach do czwartej rano. Więc i tego wieczoru, po wspólnym pacierzu — oni są niezwykle pobożni, to już taka tradycyjalna ce-

cha Grocholskich, bo pani, Grocholska z domu, z Pietniczan — siedzieli na galerji i dwie dziewczynki: Maryś i mała Basia, oddawały rodzicom „dobranoc“, gdy nagle — strzał! Jeden — drugi — trzeci! Porwali się wszyscy na równe nogi. Znaleźli się odrazu, bez zamętu, na umówionych zgóry miejscach. Pan domu z synami i służbą męską stanęli uzbrojeni przy oknach na pierwszym piętrze, a dzieci i kobiety wraz z jedną, ranioną już w głowę, pobiegły tam również po schodach. Wtem — z sute-ren bluznęły wrzaskliwe, triumfujące krzyki: — Hurra! Hurra! — Bandy ci sforsowali drzwi i wpadli na korytarz. Ogrodnik Czech, Singer, wali w nich z karabinu. Stropieni — wyskakują z domu zpowrotem na obszerny dziedziniec, ale przedtem rzucają za siebie bomby, — tu pani Eligjuszowa uczyniła efektowną pauzę. — Huk wystrzału, trzaskanie łamiących się szyb i wstrętny odór oszałamiają na chwilę obłązonych, ale wnet rozpoczyna się strzelanina: napastnicy celują do okien na dole, tamci — rażą ich z góry. Wśród tego rozgorączkowania walką przypomina sobie pani Marja Sobańska, że w kaplicy pozostał Przenajświętszy Sakrament, więc chwytą śpiesznie najmłodszą córeczkę za rękę i biegnie z nią nadół. Kule zagradzają im drogę — cofają się, przez galerję docierają do kaplicy i wśród huku i mroku wracają obie z Basią, tulącą się do matki, ale niosącą spokojnie i mężnie Pana Jezusa. Gro-madka kobiet, skupiona na górze, rozpoczyna głośną, żarliwą modlitwę. Pomiędzy niemi wysoka, szczupła

dziewczynka klęczy i trzyma w ręku złotą puszkę z komunikantami. Błada twarzyczka nie zdradza żadnego wrażenia, prócz niewymownie głębokiej ufności, że bez woli Ojca w niebiosach nikomu z nich włos z głowy nie spadnie! Niebezpieczeństwo się wzmacnia, gdyż część bandytów, rzucając bomby, wtargnęła do stajni. Walczy sam przeciw tej zgrai jeden z milicjantów, z Królestwa rodem, Władysław Lasota, przeszyty kulami, pada na ziemię, rzezi... kona. Z kilku pozostałymi rozprawiają się szybko, arestują i, wiwatując, biegną pod dom. Serce zamiera w kobietach — wyteżają słuch, czy nie doleci ich uszu tupot szalejącej bandy po schodach. Tem goręcej wrywają się z piersi błagania: — Uczyń cud, Panie, nad nami, grzesznymi! Ratuj nas w strasznej chwili! Wszakże tak bezgranicznie wielkiem jest miłosierdzie Twoje! — I zmiłowanie przychodzi. Milicja wymyka się zbójom i ze zdwojoną energią praży ich wraz z obrońcami ze dworu. Dwóch zabito na miejscu, a kilku ciężko raniono, więc po takiej haniebnej porażce zgraja skłębila się do ucieczki, unosząc trupy i wygrażając mściwie, że jeszcze nad ranem powrócą!

Oczy pana Stefana gorzały wojowniczym zapalem. Zacisnął pięści:

— Prażyłbym i ja ich, psubratów! Szkoda, że mnie tam nie było! Krzyśka z pewnością poszłaby także odważnie do kaplicy ratować od zniewagi Pana Jezusa?! Nieprawdaż, dziewczynko?!

— Poszłabym, gdyby ciotulka za rękę mnie

wzięła! — odparła mała, która z jasną główką, opartą na położonych na stole rączkach, przypominała aniołka z obrazu Madonny Sykstyńskiej.

— Ależ Krzysia nieładnie siedzi przy stole! — strofowała ją babcia. — Nie można tak się rozpierać.

— Nieładnie! — mruknął Rożański niby do siebie. — Hm! To mogłoby stać się kwestją sporną, — i rzucił okiem na małą, która, już wyprostowana jak świeczka, powiedziała cichutko:

— Ja się tak zasłuchałam, babciu!

— Wyprowadzacie mnie z nastroju, moi państwo! — zaprotestowała pani Gertruda. — Można było te wszystkie uwagi zostawić na koniec, bo już nie potrafię z takim przejęciem opowiadać. A wydawało mi się naprawdę, że cały czas byłam tam w czasie tego okropnego napadu. Więc krótko powiem, że po jakiejś godzinie zjawili się do dworu chłopci z Kozaryniec i z Sumówki ze słowami współczucia i chęcią obrony, że pozostali we dworze i poszli z rana wraz z całą rodziną na wspólny dziękczynny pacierz do kaplicy, że Sobańscy żyją teraz pod wzmocnioną strażą kilkunastu uzbrojonych ludzi i żołnierza z bagnetem widzi się tam na każdym kroku, ale pomimo to wszystko — Sumówki opuścić nie myślą i nie chcą.

— Szaleństwo! — zakrzyknął pan Eligjusz i znów podniósł brwi wysoko, błysnąwszy złotemi okularami.

— I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu... —

zacytowała żona. — Idea, to wszystko dla wielu ludzi, a oni przecież pracowali społecznie.

— Szczególniej pani Hieronimowa, — przyznał Rożański. — Wiele czyniła dla sprawy szkół polskich. Tak mi mówiono w Macierzy Szkolnej.

— To też i w jej liście znajduje się wzmianka o internacie chłopców i ochronce dla dzieci. Przeniesiono je do gościnnych pokoi we dworze. Stary dwór opustoszał. Rządca i kasjer uciekli, ekonom się wynosi, a wszyscy kraczą: — Niech państwo wyjeżdżają! — A oni tymczasem przygotowują jakies cacka na drzewko, kleją kornety i lalki sztukują z kolorowych gałganków, żeby „nie mieć czasu na myślenie bez sensu“, jak pisze pani Sobańska.

— Herbata skończona, opowieść również — może zatem przejdziemy do salonu? — zaproponowała gospodyni, dając sama przykład.

— A teraz ja zagram coś panu Stefanowi, żeby nie myślał, że tylko wy kochacie muzykę — i pani Kołyszkowa dźwignęła się nieco z trudem z za stołu i drobnymi, żywymi krokami podeszła do fortepianu. — Zagram panu ulubiony mój walc: „Sny młodości“.

Za chwilę rzewna i miła melodia zabrzmiała z pod biegłych jeszcze palców „starszej pani“, pieszcząc słuch Rożańskiego wspomnieniem dziecięcych czasów.

— Dziękuję szanownej pani, — powiedział, całując jedną i drugą rękę sędziwej artystki, gdy po ostatnim akordzie zwróciła się ku niemu z dobrotli-

wym uśmiechem. — Przypomniała mi pani grę mojej matki — chwyciła za serce, podobnie jak ta, którą przed chwilą słyszałem. Tak miły wieczór spędziłem w tej niezrównanej „Zgodzie“, że — jeżeli państwo pozwolą — nie omieszkam powtórzyć odwiedzin, ale tymczasem prosiłbym o sprowadzenie mi tej obiecanej przez pana „dryndulki“. Lepiej teraz się nie opóźniać. Nieprawdaż?

— Zła to gościnność, czynić drugiemu, co tobie niemiło! — zaśmiał się pan Eligjusz. — Tudziu! — zwrócił się do żony. — Poślij po Andreja. On już wie, że ma pana odwieźć do miasta, uprzedziłem go o tem. Tymczasem — niech-no pan siada. Zagramy panu na pożegnanie „Serenadę aniołów“ Brahy. Chodź prędeż, Tudziu! — krzyknął nagląco do drugiego pokoju, gdzie pani domu wydawała odpowiednie zlecenie służącej, a sam, przechyliwszy głowę na ramię, wydobywał ze skrzypiec zapowiadaną melodję.

„Serenada aniołów“ rozmarzyła pana Stefana do reszty. Żegnał się z domownikami z tak szczerą serdecznością, iż podbił ich ostatecznie. Małachowski pochwycił czapkę na głowę i, pomimo protestu babci: — Lilka! Bój się Boga! Taki mróz, a ty bez futerka! — wyprowadził gościa przed willę. „Dryndulka“ stała już na ulicy i jej woźnica, chłop z pobliskiej chaty, przywitał się czule z potomkiem Duxa i Reduxa, podając mu rękę z rubasznem zacięciem.

— Zrozumieliby się wspaniale z Piotrem! —

przemknęło przez myśl Rożańskiego, gdy wskakiwał do małej bryczki i sadowił się koło jej właściciela. — Jeszcze raz dziękuję za dobre chwile! — wołał, odjeżdżając, do pana Eligjusza, który zdjął czapkę i krzyknął, chcąc zagłuszyć turkot swym głosem: — Niechże się pan nie daje długo prosić! Czekamy!

IX.

SNY MŁODOŚCI.

Chociaż jadący spotkali po drodze gromady włóczących się z racji Świąt „towariszczej“, ale dotarli do domu bez przeszkód. W tym z umysłu przygarbionym i ubogo ubranym podróżnym nawet oko żołdata nie wyszukałoby cech znienawidzonego przezeń „burżuja“. Pan Stefan przeszedł na palcach przez pokój brata, który już zasnął widocznie, gdyż nawet się nie poruszył, rozebrał z mysią nieledwie cichością i wsunął pod kołdrę. Księżyc siał swą rozpyloną poświatę przez szyby okna, a Rożański wpatrywał się w nią, leżąc z otwartymi oczyma. „Sny młodości“ nagabywać go jeły z tak uporczywą siłą, że nie mógł się im już opierać. Z ciemnego kąta pokoju sunęły ku niemu widma lat najpiękniejszych, urocze kształty kobiece, twarz z brzoskwiniowym rumieńcem, oczami jak czarne brylanty, gładko zaczesanemi na małej główce, jak skrzydło kruka czar-nemi włosami. Jarzębinowe usta paliły chęcią wtulenia w nie pocałunkiem. Zęby jak perły nęciły nieporównanym wdziękiem w śmiechu pokuśliwym, a dźwięcznym jak żaden w świecie. Przedziwne oczy

umiały patrzeć otwarcie i bystro z pod cienkich brwi. Jedyna, mocna jak śmierć — miłość jego całego życia. Wanda! Ta ukochana, najśodsza, najmilsza, najdoskonalsza na całym świecie i poza światem — dziewczyna.

Rożański westchnął i bezszelestnie niemal podłożył rękę pod głowę. Jakże upojnem zdawało mu się wówczas życie! Płonął niby w ogniu pod lśnięciem spojrzeniem najdroższych oczu. Z piersią wezbraną radością leciał tam, gdzie tylko mógł ją zobaczyć. Pędził na koniu za swoją cudną Dianą-łowczynią na polowaniach par force, stał z nią na stanowisku w lesie bez ruchu, bez słowa, pod nakazem przelotnej z jej strony obawy spłoszenia ruszonej pod strzał zwierzyny i napawał się przejasną otwartością młodzieńczej tej twarzy, wszystkimi ponętami chybkiej jak sarna, gibkiej jak brzoźka, wysportowanej dziewczyny. Podnosił do ust krużę marzenia i pił z niej aż do zachłyśnięcia się czarującą jej treścią, aż do utraty przytomności i zwykłej swej przenikliwości, kiedy głęboki i porywający sopran Wandy rozlatczał przed zebranymi całe bogactwo i artystyczny przepych tej niezwykle obdarowanej istoty. Nie wiedział bowiem, że życie gotuje mu niespodziankę, jak w poemacie Ariosta: I tu i tam — gonią się rozkochane pary w zaczarowanym lesie przeznaczeń. I tu i tam — jedni drugim ofiarowują miłość — bez wzajemności. Wanda kochała, ale nie pana Stefana. Celem jej pragnień dziewczęcych był hrabia Andrzej, umysł niepospolity, wytworny dy-

letant, zbieracz antyków, obrazów, książek, smakosz pod względem literatury i piękna — wykwintny konsument pracy i wszechludzkiej twórczości, wielbiciel kobiet i bezlitosny donżuan zarazem. Nie miał najłżejszego nawet zamiaru żeniaczki, gdyż obrywanie płatków z coraz to innej duszy kobiecej miało dlań czar niezrównany. Ale nieodwzajemniana i szczerą miłość podsunęła zakochanej dziewczynie sposób prosty, a znany od wieków. Spóbowwała grać na strunie zazdrości i powoli dopięła celu, zwracając na siebie rosnącą uwagę i zachwyty hrabiego. Ofiarą tej próby wdzięków był szalejący z pożogi uczuć — Rożański. Miłość nakłada przepaskę na oczy. Zaślepiony pan Stefan ufał swemu bóstwu bez granic, szedł na pasku jej woli, niby jagnię na wstążce jedwabnej i nie zastanawiał się wcale nad przerywaniami kilkakrotnie z jej strony — gorącymi oświadczeniami. Prawdomówność i kojąca prostota Wandy byłyby oczywiście doskonałą gwarancją, gdyby nie przymus Amora, który pchnął ją na drogę przeciwną jej wrodzonej prawości. Nastąpiła wreszcie chwila, gdy Rożański powiedział sobie z energią: — Teraz, lub nigdy! — i pojechał prosić o rękę swej ukochanej, która jako sierota i właścicielka kilku majątków mieszkała w jednym z nich ze swym opiekunem, starym przyjacielem rodziców. W salonie zastał hrabiego Andrzeja. Podali sobie z kurtuazją ręce, ale rozmowa jakoś się nie kleiła. — Czy pan wie, że w moim życiu wielka zachodzi zmiana? — powiedział wreszcie hrabia, wydobywając złoty porte-

cigare i obracając go w delikatnych, wypielegnowanych palcach.

Ostre jak kindżał przecucie przeszło słuchacza nawyloc. Hrabia bawił się dalej artystycznym cackiem, nie podnosząc na pana Stefana oczu.

— Pan domyśla się, oczywiście? Tak. Jesteśmy po słowie z panną Wandą od wczoraj. Czarodziejka! Małżeństwo to wedle mnie — przeżytek! — wyjął papieros i zapalił go ze skoncentrowaną nań uwagą — Ale czasem warto...

Dalsze słowa zginęły w dzikim tumulcie uczuć, rozrywających pierś Rożańskiego. Serce przestało bić nagle, poczem — rzuciwszy się z opętańczą rozpaczą, załzło krwią twarz i oczy. Błysk piorunowy szalejącej w nim burzy rozświetlił przeszłość i jego w niej rolę. Potężny nakaz duchowej samoobrony niby chłodzący strumień zgasił chwilowo płomień. Nadludzkim wysiłkiem woli Rożański się opanował — zdołał urwać na tę chwilę łeb hydrze miłosnego zawodu i w miarę uprzejmym, równym głosem złożył powinszowanie narzeczonemu. Ten — przemknął po nim spojrzeniem, wyrażającym uznanie dla tak wysokiego towarzyskiego taktu. Gdy wkrótce potem gromadka domowych i gości weszła do pokoju, obaj mężczyźni rozmawiali o sprawach potocznych. Rożański wstał, podszedł do Wandy, która jeszcze nigdy tak uroczonie nie wyglądała z rumieńcem zakłopotania na twarzy, i patrząc jej prosto w oczy wygłosił życzenia „trwałego szczęścia“ ze swobodą i salonowem obyciem w najlepszym smaku. Nie omieszkał powtó-

rzyć tych samych, mniej więcej, wyrazów sędziwemu opiekunowi, którego istotnie poważał, i wmieszał się w grono młodzieży. Cały ten wieczór był arcydziełem woli pana Stefana, który jak ów spartański młodzieniec, krył w sobie pod udaną pogodą, rozdzierający ból w trzewiach.

Skończyła się nakoniec nieodzowna jeszcze godzina męki po kolacji i Rożański mógł wreszcie pożegnać zebranych. Wyprowadzili go wszyscy na ganek. Świat był nalany po brzegi gwiazdowego stropu rozplywającym się światłem księżyca. Liljowe grona bzów zwisały w gąszczu rosnących nieopodal dworu krzewów i słowiki zachłystywały się własnymi pieśniami, gdy zawiedziony w swych najdroższych i usprawiedliwionych nadziejach młodzieniec wsiadał do czekającego nań powozu.

— Co za cudowna noc! — powiedział marzącym głosem hrabia Andrzej do narzeczonej, która stała na ganku, wsparta o białą kolumnę. — „To nie skowronek, to jeszcze słowik!“ jak szeptała Julja do swego kochanka. Nie znam namiętniejszego określenia miłości! — i zatonął wzrokiem w przepięknych zalsnieniem głębokiego uczucia oczach dziewczęcia.

— Żegnajcie, państwo! — rzucił odjeżdżający, zdejmując kapelusz z głowy i powiewając nim parę razy w powietrzu. Konie ruszyły, a panna Wanda odwróciła twarz od narzeczonego i przywarła wejrzaniem do oddalającego się zaprzęgu.

— Wiesz, Wandziu, że nigdy nie przypuszczałem

by z tego twego pana Stefana był taki szalony bałamut! Zdawał się kochać ciebie tak szczerze, a tak obojętnie przyjął wiadomość o twych zaręczynach! — odezwał się tonem niemilego zawodu co do wartości człowieka opiekun panny.

Wanda milczała przez chwilę, zwijając w rękach urwany liść dzikiego wina, obtulający kolumny ganku:

— A ja się boję, że temu bałamutowi odebrałam na zawsze wiarę w kobiety!

— Nic mu nie będzie — zaśmiał się lekko hrabia. — To mocny człowiek!

— Trzeba przyznać, że con amore zawracałaś mu głowę, Wandziu! Zemściłaś się na nim za wszystkie ofiary prawdziwych bałamutów, chociażby... i mówiąca to oskarżenie panienka zerknęła figlarnie w stronę zbieracza przygód.

Hrabia Andrzej wzruszył ramionami:

— I one to przeboleją z pewnością. Wyróżnie pani kiedyś, wiośniana Różo, z tak tragicznego ujmowania życia. Tout passe...

Lata szły. Pani Wanda wyjechała po ślubie do majątku męża, w kamienieckim powiecie i dwoje już dzieci chowało się zdrowo, kiedy do opiekuna i przyjaciół jęły dochodzić uporczywie powtarzające się wieści o tajonej przez nią goryczy jej życia. Wytworny dyletant i czarujący esteta znużył się jednostajnością małżeńskiego uczucia i powrócił dyskretnie do przerwanych studjów nad różnorodnością niewieścich temperamentów. Nie zabrakło fałszywych

przyjaciół, a nawet anonimów „otwierających oczy biednej kobiecie“, ale tu pani Wanda wykazała charakter godny rzymskiego kodeksu praw: — Zerwanie zobowiązania przez jedną ze stron, nie upoważnia drugiej do wstępowania w teź ślady. Niktby nie poznał po sposobie, w jaki witała powracającego do domu z jakiejś przydłuższej eskapady męża, jak głęboko czuje się nieszczęśliwą. W rzeźbieniu dusz i usposobień swych dzieci, w tajnej nad ludem polskim oświatowej pracy, w umiejętnem rządzeniu domem i własnymi interesami, które z najwyższą delikatnością, ale stanowczo oddzieliła od mężowskich — czerpała możność względnego spokoju i równowagi. Z panem Stefanem widywali się kilka razy do roku na polowaniach, weselach i różnych większych uroczystościach, łączących znajome im koło. Kiedyś — na wieczorne zaręczynowym owej, krytykującej ongi motylkowatość hrabiego Andrzeja Różyckiej, wciągnięty do mazura pan Stefan przeszedł do oranżerii dla ochłody po zamasztych hołubcach i „odbijanych“. Delikatny zapach werweny, ulubionej perfumy Wandy, owionął go nagle, nasuwając porývające wspomnienie tej, którą obserwował zwykle zdaleka, z poza ramion zgrupowanych we drzwiach tancerzy. Odwrócił się gwałtownie: Przed nim stała Wanda. Matowa jej twarz, już bez owych dziewczęcych brzoskwiniowych rumieńców, jej pyszna, rozkwitnięta kobieca uroda tańczyła w sobie zupełnie nowe ponęty. Różowy marmur odsłoniętych w balowej

sukni ramion podnosił się i opadał szybko w przyśpieszonym oddechu. Ręce zwijały i rozkładały nerwowo subtelnie malowany, gazowy wachlarz.

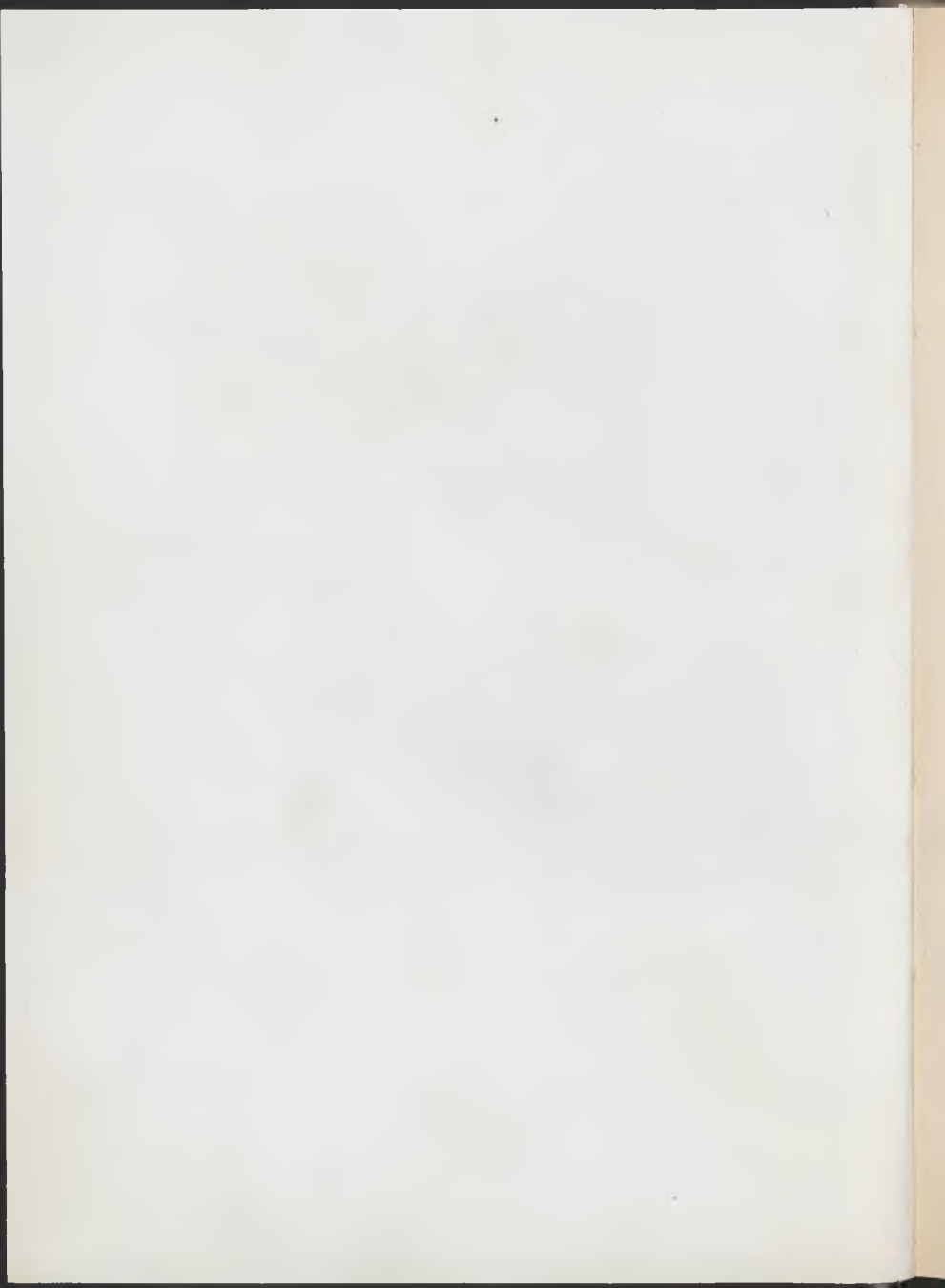
— Już dawno chciałam pomówić z panem na osobności, ale — zawahała się chwilę — brak mi było odwagi. Nareszcie teraz — jestem. — Przedziwne oczy patrzyły tak otwarcie i czysto na stojącego bez tchu Rożańskiego, że przypomniały mu pierwsze czasy ich wzajemnego poznania. — Widzi pan... popełniłam przed paru laty czyn zły, nieetyczny... Pan wie, co mam na myśli?... Więc teraz wszystko, co na mnie spada, wszystko... przyjmuję spokojnie jako karę za tamto... Zło się zemściło.. Czy może mi pan przebaczyć?! — wyciągnęła doń rękę podczas, gdy drugą wachlowała szybko rozpalone po tej spowiedzi policzki.

Pan Stefan przycisnął tę dłoń do ust i milczał; Droga pani! — powiedział wreszcie stłumionym głosem. — Podobno ludzie są najpiękniejsi w chwili, gdy przebaczą, lub kiedy proszą o przebaczenie. Bądźmy zatem i my pięknymi i zapomnijmy o tem, co było! — Jako namiętny, ognisty przeciw własnym słowom protest, zerwało mu się nagle z ust rozpaczliwe: — Szkoda!

Wargi kobiety poruszyły się tak nieznacznie, że Rożański raczej wyczuciem, niż słuchem złowił leciutkie echo rzuconego przed chwilą wyrazu. Odeszła śpiesznie i cicho, jakgdyby ją niosła fala złotawego jedwabiu, tylko zarys ramion i kształtnej główki palił



*Wanda
jedyna miłość Stefana Rożańskiego*



długo wzrok pana Stefana, choć pozostał sam wśród palm i zieleni.

— Koniec! — pomyślał — z moją wyłączną, jednolitą naturą i z tym gwoździem w sercu — nie ożenię się nigdy!

Przeszło jeszcze lat parę i znów błysk gorącego uczucia przeciął drogę życiową samotnika, ale tym razem nie jego rozplonęło serce, lecz miłość przyniosła mu ofiarnie i szczerze mądra i miła dziewczyna. I ta była sierotą — i tej oczy lśniły jak czarne diamenty, a krucze warkoczce, nie przeciążając głowy, zwisały z całą prostotą wzdłuż kształtnej, silnej kibici. Uśmiech ślicznej, kobiecej słodyczy przewijał się często przez pełne, różowe usta. Pogoda ducha i wola były nakształt ruchliwych światła z regularnych rysów tej twarzy, z każdego słowa i czynu. Panna Zofja Zahorowska wróciła do dziedzicznej swej Srebryi po studjach w Krakowie i w Dreźnie, a poznawszy na jakimś wieczorze dwóch braci stryjecznych, Piotra i Stefana Rożańskich, zajęła się mocno tym drugim, podbita jego tężyzną i buchającą zeń werwą życiową. Prostolinijny charakter dziewczyny nie licował z długim wahaniem, a wychowanie na szerszym świecie nawiało już jej do duszy myśl o błahości różnych przesądów, wiedziała przytem o dramacie miłosnym w przeszłości swego wybrańca — zdecydowała się tedy szybko na krok stanowczy. Pewnego wieczoru zajechał pan Piotr przed dwór w Szamrajówce. Pracowita, jesienna pora

siewów i odległość kilkudziesięciowiorstwowa czyniły ten przyjazd dość zagadkowym, więc gospodarz domu natychmiast po powrocie konno z pola wpadł z niepokojem do swej kancelarji:

— Chyba jakieś ważne nowiny, Piotrze? Coś de publicis? Może ktoś „w sferach“ kark skrzył? — wyrzucił jednym tchem, witając się z bratem.

— Nowiny ważne, ale tylko dla ciebie — wymówił pan Piotr z powagą. — Siadaj. Skończymy z tem prędko, gdyż wątpię byś mógł odrzucić — szczęście.

Głos brata wydał się gospodarzowi jakgdyby przyćmionym, ale że twarz jego była jak zwykle uderzająca swym duchowym spokojem, więc pochwycił tylko z żywością: — Aż szczęście! No, no! Mów zatem!

— Pokochała cię dziewczyna jak złoto — panna Zofja Zahorowska. Przysłała mię z tem do ciebie, bo jestem jej najbliższym sąsiadem, bo mi ufa i wierzy, bo jej ojciec był przyjacielem mojego. Oto wszystko. Myślę, że potrafisz ocenić, jak pięknym, jak niepowszednim jest ten jej postępek i zaraz jutro pojedziesz ze mną do Serebryi, by ze czią i wdzięcznością ucałować ręce twej przyszłej żony.

Pan Stefan nie mógł wyjść z osłupienia: — Masz słuszność! Dzielna! Miła! Złota! Ale to nie dla mnie! Osłodźże jej, jak możesz, tę pigułkę.

Pan Piotr zwrócił się nagle całą twarzą ku bratu i zajrzał mu przenikliwie w oczy: — Oszalałeś?! Zawsze ta Wanda?! Czy chcesz być do końca życia błędnym rycerzem, kochającym się w damie, której

prawie nigdy nie widzisz?! Ty masz obowiązek prosto przelać wszystkie twe życiowe wartości we własne dzieci. Pomyśl o swojej matce! Jak ona pragnęła ożenku dla ciebie! Przyznaj, że lepszej i ukończonej synowej nie mogłaby wprost wymarzyć!

Pod wpływem wspomnienia o matce, pan Stefan przysłonił ręką oczy, gdyż uczuł jak mu zachodzą mgłą wzruszenia. Ten mocny człowiek taił w sobie skarby synowskiej pieczołowitości. Niedawna śmierć matki była dlań ciosem, z którym się nie mógł dotychczas uporać, czyniąc sobie nieraz wyrzuty za niedość wysokie — jak mu się teraz pod wpływem bólu zdawało — stawianie przezeń zasług i charakteru matki na piedestale rodzinnym. Sprawdziło się na niej to, o czym tak pięknie mówi poeta niemiecki (Rückert:) Gdy siedzi ptak na gałęzi, drzewo ciężaru nie czuje, lecz zachwieje się gałąź, gdy ptak odlatuje! Krzątającą się po domu cicha, niewielka postać, zajęta wiecznie jakąś „pilną robotą“, promieniejąca czynną dobrocią, wydawała się wszystkim tak naturalną w poglądach i zachowaniu, że — oprócz syna — nie doceniano jej istotnej wartości w rodzinie i pośród sąsiadów. Dopiero z chwilą piorunującej śmierci po kilkudniowym zaledwo zapaleniu płuc — luka jaka powstała nagle po zejściu ze świata tej „starszej pani“ — wykazała niezbitcie, czem w życiu dworu i wsi może być polska, kresowa kobieta. Pan Stefan kazał wmurować w parafjalnym kościele piękną płaskorzeźbę, przedstawiającą śp. jego matkę, śpiącą pogodnie na marmurowym łożu, a obok niej małe

chłopię, budzące ją nadaremnie pocałunkiem na mar-
twiej dłoni. U dołu poleciał artyście wyryc napis :
„Kochała cicho, odeszła spokojnie“ i uczył niejaką
ulgę, oddawszy ten hołd całemu jej życiu. Więc gdy
brat czekał cierpliwie na jego decyzję, młody ze
ściskającym serce wspomnieniem jął wskrzeszać
w myśli postać swej drogiej staruszki, zgłębiając
dno własnych przeznaczeń. I nagle — nie wywoły-
wana wcale świadomą wolą — wyrwała się najaw
z duchowych głębin ostatnia rozmowa z Wandą...
Uczuł ból aż do oszołomienia i pod wpływem siły
niegasnącej tęsknoty, porwał się gwałtownie od
biurka, przy którym siedział, wsparłszy głowę o dło-
nie i stanął przed Piotrem: — Nic z tego! Pojmu-
jesz?! Nie mogę sobie poprostu wyobrazić, by inna
kobieta, niż ona była panią tego domu i moją panią!
Widocznie jestem z jednego kawałka i nie dam się
składać i rozkładać jak byle jaki scyzoryk! Taki
mój los i basta! — Czy to ostateczne twoje posta-
nowienie? — zapytał brat z naciskiem. — Tak! —
słowo to ostro i wyraźnie przecięło powietrze niby
rysa brylantu na szkle. — Więc skoro taka jest
twoja wola, to ja stanę w szranki i może zdobędę
to czyste i gorące serce! — Pan Stefan patrzył na
brata zdumionym wzrokiem, gdyż ten przeistoczył
mu się w oczach. Rzekłbyś, iż zsunął ktoś z tej
pięknej twarzy jakąś mglistą zasłonę, odsłaniając
natomiast głębie promieniejącej radości. — Żadna
kobieta dotychczas nie wywarła na mnie tak bez-
granicznie silnego wrażenia. Kocham ją i muszę

licy uznane jako „idylla z najpiękniejszego lazuru“. Dzieci, z takiej miłości zrodzone, upodobniły się fizycznie i duchowo do tych, którzy im dali życie. W miarę lat i rozwoju umysłowego jęły się w nich zapowiadać indywidualność i zdolności wybitne. Pan Stefan kochał nad życie tego Jurka i Zochnę, pieczęjąc i dogadzając im ponad wszelką miarę, dając w ten sposób folgę niewyzyskanej pieczołowitości swego złotego serca i wszystko szłoby istotnie „najlepiej na tym najlepszym ze światów“, gdyby nie pewne odchylenia się od szlachetnie naogół pojętej linii życiowej owego „stryjcia“, uwielbianego przez swych synowców. Załamanie się duchowe w miłosnym zawodzie i samotność po śmierci matki wpłynęły nań tak fatalnie, że ów solidny przedtem dziędzic jął zrywać bez pardonu, a nawet z pewnem lekceważeniem coraz to inne kwiatki z dziewczęcej szamrajowieckiej gromady, obojętniejąc szybko na taką lub inną urodę i wynagradzając hojnie straconą cnotę. Chaty pod blachą zieleniały nie w jednym już miejscu, a gospodarze miejscowi przyjmowali dość pobłażliwie te zaloty lubionego przez nich istotnie „Stefana“, wobec korzyści, jakie im bezwątpienia niosły i przy wybitnie materialistycznym zapatrywaniu się ich na życie.

Zgoła inaczej jednak patrzyli na to oboje Piostrowo, bolejąc nad rolą brata, który w swej wiosce, opiekując się i ratując szczerze każdą biedotę, psuł jednocześnie swych włościan, podtrzymując utylitarny ich pogląd na sprawy etyczne. Wreszcie po

długiej i przemyślanej naradzie z żoną, której takt i mądrą dobroć cenił pan Piotr z każdym rokiem coraz to wyżej, pojechał starszy brat do młodszego, witany przezeń jak zwykle okrzykiem najszczęśliwszej radości. Na drugi dzień z rana bracia obeszlą gospodarskie budynki i powrócili na długą siostrę do ulubionej, zacisznej kancelarji, gdyż zima rozsypała śnieżyste swe loki na polne warsztaty pracy. Zasiadli obaj przed płonącym kominkiem i po różnych kołowaniach wokoło męczącej go, a nieodzownej treści rozmowy, pan Piotr tak zagaił swoją przemowę:

— Tak miło, dostatnio i mądrze urządziłeś tu wszystko. Jaka to szkoda, że brak gospodyni w tym pięknym majątku! — (Słuchacz narodził się nieco i zerknął podejrzliwie na mówiącego.) — Widzisz, bracie, — ciągnął dalej łagodnym, przekonywującym tonem — społeczeństwo opiera się nie na miłościach, ale na rodzinie. To jest najważniejsza komórka społeczna, stanowiąca o wartości całego gmachu. Czy nie mam słuszności? — Pewno — mruknął tamten niedbale. — Ty nawet nie przypuszczasz, jak nam obojgu na sercu leży ta twoja samotność i brak wiernego serca, przy tobie. — Dziękuję, ale czuję się dobrze. Nie troszczcie się o mnie — zaakcentował gospodarz dość niecierpliwie. — Nietylko o ciebie chodzi, ale o cały stan ziemiański, do którego należysz! — podkreślił już mocniej starszy brat. — Ludzie patrzą na ciebie i dziwią się, dlaczego marnujesz najpiękniejsze lata na igraszki, niegodne do-

prawdy twych zalet i charakteru. Taki prawy, dzielny człowiek jak ty, powinien stworzyć gniazdo rodzinne. Powinien. Rozumiesz, bracie? To także nakaz społeczny, szczególnie wobec naszej niewoli, kiedy odjęto nam prawo do kierowania losami własnego państwa, a cała nieśmiertelna siła narodu może być tylko w czystości rodziny i w literackim słowie. (Pan Piotr nacierał coraz wymowniej.) — Te wszystkie Marijki, Juhynki i Filipinki — to tylko krzywda dla wsi i dla ciebie! Twoje obyczaje są...

— Już dość! — wybuchnął pan Stefan, zrywając się z fotela i patrząc na brata rozplómiennionymi oczyma: — Bramka i zagrodzone! I tak zbyt długo słuchałem tych zbędnych morałów! Jestem pełnoletni i radzę o tem pamiętać! Gwiżdżę na wszystkie obyczaje i na tych, którzy szargają mój honor! Niema tam krzywdy, gdzie jest dobrowolna ugoda! Niechże mnie kto zaczepi, to zajadę mu ostrzem po twarzy, a i lufy pistoletu nie złęknię się wcale! Zresztą przesadzasz! Nie ja jeden tak postępuję!

Pan Piotr zatrzymał się przez chwilę wzrokiem na biegającym po kancelarji z założonemi wtył rękami, z jednego rogu w drugi, wzburzonem gospodarzu, wstał powoli, zbliżył się do dzwonka i nacisnął go, nie mówiąc słowa. Nie upłynęło minuty, gdy zwinne, elastyczne kroki słyszeć się dały i w drzwiach stanął ulubiony służący brata, Lucyk. Był to chłop Rusin z Szamrajówki, o kilka lat młodszy od jej właściciela, imię zaś i jego nazwisko brzmiało poprostu: Łuka Omeljanienko. Podobnie

jednak jak wielu w tym kraju, Łuka-Lucyk stał się zlepem dwóch tradycji i kultur, chociaż posiadał je obie w najpierwotniejszym stopniu. Rozrośnięty w ramionach, kościsty, silny aż do podziwu, pomimo to zgrabny i giętki, z wydatnym nosem i tryskającą zdrowiem twarzą — miał spryt i zdolności odpowiednie do zalet fizycznych. Wyszczotkowane i uczesane „na przedziałek“ ciemne włosy układały się na głowie z niewzruszoną symetrią. Piwne oczy wykrywały bez trudu przyczyny i konsekwencje domowych i wiejskich wydarzeń, na jakie patrzyły. Wrodzona przebiegłość obok lenistwa nakazywały mu ciągnąć korzyści ze stanowiska „faworyta pana“ co też czynił z imponującą blagą, posługując się do utrzymania dworu w porządku „kredensowymi“ chłopcami, pędząc ich do roboty z generalską miną, przyjmując natomiast wszelkie pochwały na swój rachunek. Jurek i Zochna nazwali go nawet z tego powodu „kacyk Lucyk“, co po wytłumaczeniu zostało przezeń uznane za żart bardzo podobny do prawdy. Ideały jego życiowe wyrastały ponad miarę zwykłej u chłopca żądz „rozbohatity“, sięgając o wiele wyżej, gdyż mały synek, Stepanek, miał dobić się czasem „ekonomowania“, nie zaś jakiegoś „lokajstwa“, córeczka, Mania, powinna była skończyć chlubnie gimnazjum, a żona, czarnobrewa i wysmukła Tatjana — jadać codziennie kury i pić z rana „kakawę“ (kakao), zamiast pospolitego barszczu. Wszystko to mogło z pewnością sprawdzić się w nie tak dalekiej przyszłości, albowiem ten żywiołowy „arywista“ umiał —

dzięki swym nadzwyczajnym zdolnościom — stać się wszędzie niezbędnym, a wskutek tego był faworytem nie tylko „pana“, ale i wszystkich, odwiedzających Szamrajówkę, gości i krewnych. Warto było w tych chwilach większych lub mniejszych polowań i zjazdów obserwować zdaleka „kacyka Lucyka“! Ubrany w pysznie zrobiony (u kijowskiego krawca) strój kozacki, z biało-czerwonym, powiewającym, szerokim pasem, w butach tak wyglansowanych, że zdawały się ze szkła być ulane, w śnieżnobiałym kołnierzyku, wyglądającym jak rąbek z pod granatowego ubrania, Lucyk, niby wódz ogarniał sępiem wzrokiem cały jadalny stół, siedzących przy nim gości i przynoszone z kuchni potrawy. Honor domu — był jego honorem. Rzucił nakazujące, wlot ze strachu chwytane spojrzenia, dwom małoletnim pomocnikom, wskazując im oczyma nieodzowne przy stole biesiadnym posługi. Sam zaś, obnosząc długie, srebrny półmisek, wiedział doskonale, jaki kąsek ma polecieć półgłosem temu lub owemu z zaproszonych, kto lubi białe, zimne, a kto znów czerwone, ogrzane wino, kto wódki do ust nie bierze, przepadając natomiast za starem węgierskiem, kto lubi mocną lub słabą herbatę i kto po papierosie ma dostać do łóżka ranne śniadanie, a kto wręcz przeciwnie — musi je mieć u siebie na stole po zlanu się wodą w przygotowanym tubie.

Skoro matka pana Stefana, na kilka lat przed śmiercią, wysłana została na kąpiele morskie do Odesy, Lucyk odwiózł ją sam na miejsce i pomimo waka-

cyjnego przepelnienia w wagonach dokazał tej sztuki, że jadącego na dole wysadził na górne, podnoszone łoże, dwóch podróżnych z teje kanapy usadowił w strasznej ciasnocie na przeciwległej, a „swoją panią“ ulokował wygodnie, ścieląc jej pościel jak w domu, przykrywając kocem i przez całą noc, dowiadując się do jej coupé na palcach, tak że wreszcie wywołał zachwyty wszystkich podróżnych, którzy go uznali za „perłę“ służących. Lucyk mówił doskonale po polsku i tylko w tym języku odzywał się do „panów“, wpadając jednak chętnie w ruszczyznę, jako odpowiedź na życzliwe i poufale żarty w teje mowie z ich strony. Zostawiał również swój język rodowity na osobisty i rodzinny użytek, albo na obronę własnych, będących wytworem bigosu rzeczywistości ze zdolną kompozycją kłamstw, na co mu pan Stefan mawiał ze śmiechem: — Ne breszy, Łucko! — Jej Bohu, prosze pana, co vse prawda! Pan ne chotiat wiryty, to nechaj pan sami perekonajusia! — (przekona się).

Więc i teraz, posłyszawszy dźwięk dzwonka, Lucyk porwał się w okamgnieniu z drewnianego łóżka, na którym mile spoczywał, pilnując jednak srogim spojrzeniem czyszczącego srebra, młodocianego Daniłka i ze zwinnością antylopy pomknął do kancelarji. Stał na progu, wyciągnawszy nieco naprzód szyję, wyrażając tak swą postawą chęć odgadnięcia, w jakim celu został wezwany, że był poprostu wspinały.

— Każ zaprzęgać moje konie — powiedział krótko i chłodno pan Piotr.

Nieźródwany Lucyk się stropił: — Słucham, proszę pana! — poruszyły się machinalnie jego wargi, ale oczy, przebiegające świdrującem wejrzeniem wewnątrz kancelarji, posłały do mózgu odbitkę myśli, że coś złe się tu dzieje. Wiedział bowiem jak wszyscy, że pan Piotr wybrał się do brata na dłużej. Zawrócił w jednej chwili i tym samym szybkim krokiem wpadł do kredensu zpowrotem. Namyślił się przez sekundę: — Poswaryłysia! (Posprzeczali się!) Jej Bohu, poswaryłysia! Ot dywo! — mruknął i poleciał do stajni: — Konie z Ojczenaszówki zaprzęgać! Podjeżdżaj zaraz, bo „tielehrama“ przyszła, że pani zasłała! — huknął co siły w piersiach. Rzucili się wszyscy — pani Zofja była bowiem ogólnie kochana, a ratujący naprężoną, mogącą wywołać plotki wśród służby sytuację, łgarz — przemierzył kilkunastu susami niewielką przestrzeń dzielącą dworska stajnię od domu i wskoczył doń znowu: — Czoho ony poswaryłysia?! — głowił się nadaremnie półgłosem i rzucił nagle ku drzwiom na korytarz. Za chwilę był w gościnnym pokoju i układał do walizki porozrzucane rzeczy „starszego panicza“, a czynił to z tak systematycznym mistrzostwem, jak wogóle wszystko, czego się tylko tknął. Konie wnet zajechały i dzwonek zabrzmiał donośnie, wzywając Lucka, który się zjawił z walizką w ręku. — Moje rzeczy! Dziękuję ci, chłopcze! — powiedział z zadowoleniem pan Piotr i uśmiechnął się zyczliwie

do trzymającego już szeroko rozpostartą dachę „kacyka“. — Żegnaj, bracie! — zwrócił się do pana Stefana, który znacznie już ochłodzony, wyszedł za gościem na korytarz. Podali sobie ręce w krótkim, obojętnym uścisku. Konie ruszyły, unosząc za sobą lekkie na ich rasową fantazję sanie i siedzącego w nich, spokojnego napozór, rozdrażnionego jednak w gruncie mentora.

Jakież było zdumienie państwa Piotrostwa, gdy nazajutrz, około południa, usłyszeli specyficzne, nie dające się z żadnym innym porównać klaskanie z bata Mykoły, a w karbowanych, bałagulskich saniach dojrżeli wysiadającego, uśmiechniętego pana Stefana. Powitał ich tak serdecznie i prosto, że zdawałoby się mogło, iż wczorajsze, przykre zajście jest wytworem jakiejś maligny: — Przyjechałem do was na kilka dni. Mam czas — nagadamy się dowoli. — Niedługo stary dwór w Ojczenaszówce rozbrzmiał okrzykami dzieci i „stryjcia“, który zorganizował przy współudziale wychowywanych przez panią domu sierotek wiejskich — niezmiernie efektowny napad i obronę przed dzikimi Tatarami. Wojownicze wrzaski i rozdzierające krzyki pseudo-więźniów wywoływały porozumiewawcze uśmiechy na twarzach gospodarzy, stwierdzających pocichu: — Zawsze ten sam. Kocha nas, chce być z nami jak najserdeczniej, ale powodować sobą nie da. Szkoda człowieka! Ach, ta Wanda! — dorzuciła niechętnie pani Zofja. — I sobie szczęścia nie zapewniła i jego dolę wypaczyła zupełnie.



Zofja z Zahorowskich Piotrowa Rożańska



Leżąc na swej „tureckiej sofie“, owiany srebrzącym się welonem księżycy — przechodził Rożański kolejno w tę niezapomnianą, bezsenną noc zimową, wszystkie swoje młodsze i późniejsze przeżycia, aż do chwili obecnej.

— I co się teraz dzieje z „kacykiem Lucykiem“? — myślał. — Wojna chwyciła go w swoje szpony, które wszakże potrafił on zamienić swym niezrównanym sprytem w aksamitne, kocie dotknięcie. Z prostego szeregowca wyrósł na ordynansa jakiegoś generała, jeździł z nim autem, jadł znakomicie, stał się mu zaraz niezbędnym i od czasu do czasu pojawiał się w Szamrajówce, nawożąc żonie stosy puchowych kołder, koców, bielizny, których nie rabował, broń Boże, tylko się po nie „schylał“! Ne breszy, Łucko! — Jej Bohu, prosze pana, wony leżały na ziemi. Maje ktoś braty, to łuczszje ja zaberu! — tłumaczył się szelma. Kiedyś przywiózł nawet dla Jurka i Zochny prześliczne zabawki, przysięgając na wszystkie świętości, że kupił je za pieniądze, jakie dostał od swego generała za czyn bohaterski, lecz tak skomplikowany, że nie mógł — przyparty do muru przez pana Stefana — wyplatać się z tej batalistycznej kompozycji. Od czasu rewolucji nie wrócił do Szamrajówki i tu rozdawało się przypuszczenie o jego losach: mógł zarówno paść w obronie swego dowódcy, jak i stanąć na czele zrewoltowanych oddziałów. Szkoda jednak, że go nie miał przy sobie w czasie tych okropnych, ostatnich przeżyć! — westchnął Rożański. Kto wie?! Możeby nie potrzebował uciekać z domu

przed śmiercionościami?! Ten djabeł wszystkoby w nich wmówić potrafił! Przywiązany był do mnie, a dla Jurka i Zochny tak dobry i czuły, jak najwierniejsza niańka. — Tu zamajaczyły przed „stryjciem“ urocze dwie głowy synowców. Głębokie, wymowne oczy, uduchowione, piękne twarze, wyraz skupionej energii i marzycielstwa silnych, dla których marzenie jest wstępem do równie czarownej rzeczywistości. Nie było dnia, może nawet godziny, by pan Stefan nie przeniósł się myślą do owej dalekiej, odciętej od nich Warszawy i nie zatroszczył, jak tych troje kochanych daje tam sobie radę bez środków pieniężnych. Wierzył wszelako mocno w ich hart i umiejętność radzenia sobie w każdej okoliczności i to go naprawdę krzepiło. Nieraz też podsuwał tę swoją pewność starszemu bratu, nie lubiącemu rozprawiać o swych osobistych, tajonych cierpieniach i niepokojach. Czas leci! — konstatawał Rożański, przewracając się ostrożnie z boku na bok, w nadziei, że może nareszcie sen zmruży mu powieki — Jurek ma już dziewiętnasty rok, a Zochna ośmnasty. Za kilka lat pójdą na swoje i kraj doczeka się z nich pociechy. Jakież to szczęście dla rodziców. A ja? Sam jestem i jeśli zginę w tej zawierusze, nie mam syna, któremubym powierzył dalszy ciąg pracy i czynu, tak jak je teraz, po przeoraniu mego światopoglądu pojmuję!

I nagle — myśl tak jasna, aż oślepiająca, przetrzęła ciemne głębie przyszłości i Rożański podniósł się na łokciu, olśniony, wzruszony i triumfujący.

— Tak postąpię! Tak! Że też nigdy o tem nie pomyślałem?! Ale życie było tak bezpiecznem, śmierć wydawała się bajką, za górami, za lasami ukrytą, a dziś kiedy stała się łapczywą, nienasyconą wiedźmą... Tak! Doskonale! Teraz wiem, że życie moje i doświadczenie nie przejdą bez śladu! — wyciągnął się na sofie, zasunął głęboko w ką, gdzie nie ważyło się płynne srebro poświaty i przymknął oczy, a wprędce dobroczynny sen oprzął mu powieki nieuchwytną zasłoną spokojnej tajemniczości.

X.

ŻOŁNIERZE POLSCY.

I. Stanisław Wielądek.

Po owej decydującej, politycznej rozmowie, stosunki obydwóch Rożańskich nie uległy żadnej na pozór zmianie. Zbyt głębokie było łączące ich uczucie, wzmożone w dodatku nie tylko pokrewieństwem, ale i wspólnością dziecięcych i młodzieńczych przeżyć wobec bliskości posiadanych przez nich majątków, aby ujawniona nagle w poglądach na przyszłość różnica, mogła podważyć splecione najściślej węzły tyloletniej przyjaźni. Ponieważ jednak upór był jedną z zasadniczych cech charakteru rodu Rożańskich, więc każdy z nich, bolejąc w duszy nad tym nieoczekiwanym rozłamem pojęć, pieścił w skrytości miłe marzenie o chwili, gdy wypadki dziejowe, przyznając słuszość jednemu lub drugiemu, przeciągną mocą faktów przeciwnika na prawidłowe pole widzenia. Tymczasem jednak mieli obydwaj wrażenie, że tak jak w bajce, nęci ich tajemniczy, zamknięty na mocny zamek pokój, do którego mogliby wejść z łatwością, posiadając wzbroniony klucz w ręku, gdyby nie bojaźń przed goszczącym w nim widmem

ciężkiej rozterki. Nie poruszali tedy istotnie drażliwej tej sprawy, zadowolając się dyskutowaniem nad beznadziejną kruchością frontu, niepohamowanym wzrostem anarchji i możebnością ogarnięcia całego kraju przez sunącego zwycięsko wroga.

Któraś wieczora pan Stefan, wróciwszy daleko wcześniej, niż zwykle, do domu, posłyszał już w przedpokoju gwar ożywionego dwugłosu za drzwiami zajmowanego przez nich lokalu. Zdziwiony, gdyż to się dotychczas nie przytrafiało, zapukał krótko i ostrzegawczo i wszedł szybko do wnętrza. Pan Piotr leżał w ubraniu na łożku, a przy nim siedział młody, nieznanany żołnierz w bluzie „ochronnego koloru“, bez epoletów wszelako i jakichkolwiek bądź śladów przynależności do pułku. Pan Stefan zbliżył się niespokojnie do brata i pochylił nad nim, wpatrując zbliska w tę drogą dlań twarz:

— Co się stało? Może ci gorzej, mój Piotrze?

— Nie — bądź pewny, że czuję się dobrze. Zmordowałem się trochę, więc przyszedłszy do siebie, wyciągnąłem piszczele, ale to tylko przez zbytek ostrożności, daję ci słowo. Czekażże, bracie! Zapoznam cię zaraz z mym opiekunem, który mię tu najpocziwiej przyprowadził. Pan Stanisław Wielądek z Warszawy, a to — mój brat, jak pan słyszy.

— Dobry wieczór panu — żołnierz wstał z krzesła i mocno uściśnął dłoń pana Stefana, który zaskoczony tem wszystkim, osądził jednocześnie w myśli z zachwytem: — Jakiż cudowny, aksamitny „timbre“ głosu!

— Ciekawą mieliśmy przeprawę, nieprawdaż? — mówił pan Piotr, nie podnosząc z poduszki głowy, tylko zwracając ją kolejno do żołnierza, a potem do brata. — Niechże ci pan Wielądek szczegółowo tę sprawę opowie, a przekonasz się, że nie jestem takim niedołągą, jak to chcą we mnie wmówić doktorzy, i że moje serce nieprędko jeszcze wybębni ostatni swój apel! No, panie Stanisławie, słuchamy.

— Możebym wpierw skończył, a raczej zaczął od początku moje osobiste dzieje dla pana? — Tu pytająco spojrział na pana Stefana. — Kategorycznie twierdzę, że wszystko, co się w tej rewolucji prze-wali, to dobra nauka na przyszłość dla nas, socjal-demokratów. Burzuje wypuszczą prędko ostatnią parę, ale i chłopci skamleć będą z głodu w tej pustyni! A nie pchajcie się psubraty, komunisty do nieswojej roboty! — warknął gniewnie, a pan Stefan nie do-ceniając wcale gładkości i swady tego przemówienia, upajał się wprost melodją głosu nieznanego żołnierza.

Pan Piotr, skrzyżowawszy na piersiach wysmukłe długie palce prawdziwego estety — uśmiechał się z zadowoleniem, śledząc na twarzy brata odbicie silnego wrażenia;

— Dobrze, wal pan od początku. Ja się na to skarżyć nie będę. Pan Wielądek należy do partji — uważasz — jest bardzo biegły w piśmie, odczytany i zna się expedite z rewolucyjnym żargonem, choć my — nie zanadto radzibyśmy go słyszeć. „Towa-riszczci“ zepsuli mi nieco posmak rewolucyjnych ideałów.

— Można się bez tego obejść — przystał ochoczo Wielądek. — Te bycze karki, te spocone twarze, te kupy ludzi, ta furja krzykaczy, tupotanie nóg, trzask karabinów, zgorączkowane bataljony, wściekłe wrzaski, świszczące oddechy — aż mdli, tam do licha! kiedy to sobie przypomnę. Więc ze mną — to było tak: Wracają wojska z frontu w jesieni, rozdygotane to wszystko jak jedno morze! O ziemi gdy mówią, to z pianą na ustach, ryki, wycia, ano — gorzej zwierząt — nie grzech powiedzieć! Tu — niby rząd tymczasowy, komisarze cywile przy wojsku się wiercą, że to niby pilnować porządku mają, a tu — rozpolitykowana armja, że mój szacunek! Mityngi, programy, „platformy“ orator jeden za drugim zgrzyta zębami, zbuntowane pułki na rękach noszą wybranych komisarzy, wrogów rządu, wykluwają się bolszewicy, gdzie oczy wlepisz! Pierwszy korpus już wali precz od Kamieńca, bo „wojna wojnie“ i rzecz skończona. Dowództwo dawne zostało, choć, Boże się zmiłuj, z takim honorem, a nowa władza, rady żołnierskie — wybrały na komisarza korpusu, kogo? No mnie, Stanisława Wielądka! — Prowadź, towarzyszc! Słuchać ciebie będziemy! — Ani tu czmychnąć przed takim szczęściem, ani skryć się do jakiej dziury, bo można na drzewie wysoko wyrosnąć! Idziemy. A za nami dymy, popioły, rozwalone dwory — psy wyją, aż włos się jeży!... Toż to „ogniem i mieczem“, panie! Podał się ja za chorego i uwierzyć musieli, bo od takich widoków oczy wpadły głęboko i snu już zaznać nie mogłem i jadło do ust nie lazło, aż skóra

na twarzy jak dwa wory puste wisiała. Do Winnicy uciekłem i tu — z komisarza korpusu — stróżem przy jednej fabryce zostałem. Zato teraz na sereu tak letko, jak przedtem w brzuchu!

— Niebawem wprost rozprężenie — skonstatował pan Piotr, ogarniając przeciwnika rosyjskiego rozkładu życzliwym spojrzeniem. — Jak to jaskrawo najaw wychodzi z tych cytowanych przez naoczno-widza nastrojów! I ja mogę dorzucić rys charakterystyczny dla całości obrazu: Za staraniem Rady Centralnej zwołano późną jesienią do Winnicy selskij (wiejski) kongres z całego Podola, wyznaczając po dwóch delegatów z każdej wsi. Prowadzić go miano według programu es-erów (socjal-rewolucjoniści), radząc o ziemi, o lasach i remanentach, a rej na nim wodzili ukraińscy es-erzy. Nie było jeszcze wówczas bolszewickiego ujęcia władzy, rządził jakoby rząd Tymczasowy, a przecież w czasie prac owego kongresu, pociąg pancerny ostrzelał Winnicę i walił w nią zbolszewiczały pułk siemionowski pod dowództwem nowego po panu Wielądku komisarza-dyktatora korpusu gwardji, która zajęła lityński i winnicki powiaty — Srula Edelsztejna.

— Nie! — sprzeciwił się żywo Wielądek. — Po mnie obrano najprzód Eugenję Bosz, a ta wściekła baba twierdziła: — Jeśli został choć jeden folwark w jugo-zapadnym kraju — to nie moja w tem wina! Wiem o tem od kolegi, Polaka z pułku, który za moim przykładem „dał nogę“, spotkał się ze mną

przypadkiem w Winnicy i podrażował pieszo do Warszawy, chociem go od takiego zwarzowanego postanowienia, co siły w gębie wstrzymywał! Ano, cóż?! Ścisnęło biedaka tak mocno w dołku z tęsknoty za swoimi, że po-o-szedł! — przeciągnął śpiewnie i tak harmonijnie, jak najczystsza, skrzypcowa struna.

— To mi jednak nic nie tłumaczy, jakim sposobem poznałeś się z panem Wielądkiem? — pan Stefan patrzył na brata i uśmiechał się lekko pod wąsem. Przystosował się gładko do świeżej rewolucyjnej równości, nakazującej zwracanie się w rozmowie do każdego „obywatela“ w jednaki sposób, więc chociaż dawniej z wszelką pewnością potraktowałby Wielądka życzliwym „wy“ — nie odmawiał mu teraz honorowania „per pan“, uważając to jednak za nieszkodliwą przesadę. Pan Piotr natomiast, nawet przed rewolucją, zawsze był zdania, że takie powierzchowne segregowanie ludzi jest w rażącej sprzeczności z lekceważonym w tym razie ideałem poszanowania człowieka w ludzkości. Francuska rewolucja i encyklopedyści przemawiali przez usta podolskiego szlachcica, którego ojciec posiadał piękną bibliotekę i wielbił pisarzy, przygotowujących umysły do owego potężnego społecznego przewrotu przed stu z górą laty. Więc i teraz zwrot: — panie Wielądek! — wydawał się temu dziedzicowi ojcowskich poglądów tak zasłużonym i naturalnym w stosunku do obcego człowieka, jak słowa: — Panie Rożański — do niego zastosowane. Przekorny płomyk zapełgał mu w oczach,

rozświetlając wesoło twarz, gdyż niespodziewana waleczność serca przy dzisiejszym, nieznanym jeszcze bratu „wybryku“ — usposobiła go tak radośnie :

— Cierpliwości, gorączko! Zaraz się dowiesz o naszym — wskazał ręką na młodego żołnierza — spotkaniu, bo już podpływamy do brzegu. Dalej, panie Stanisławie, bo mój brat w gorącej wodzie kąpany! — przymknął oczy i leżał bez ruchu, wtułiwszy głowę w białe poduszki, tylko błakający się lekki półuśmiech w kącikach warg świadczył o zadowoleniu jakie mu sprawiał zespół cudownie brzmiącego głosu Wielądka z treścią jego opowiadania.

— Słucham pana — chętnie się zgodził niedawny komisarz korpusu, na którego silna indywidualność pana Piotra wywierała wpływ magnetyczny, gdyż często przywierał wzrokiem do tej pięknej i skupionej twarzy myśliciela — więc, proszę pana — poprawił się na krześle i zwrócił bokiem do młodszego Rożańskiego — tak mi już oczorciała ta rewolucja, że tylko po całych dniach głowę sobie łamałem nad tem, jakby to piorunem do Warszawy się dostać. Dziś właśnie było zebranie naszych uchodźców, tych, co to wojska rosyjskie przed następującymi Niemcami z Kongresówki precz gnały. Poszedłem i ja. Widzę odrazu, oho — kiepsko! Kupa ludu, a u wszystkich żółć na języku, gwar, hałas, jak bulgotanie wielkiego kotła. Za stołem, przy końcu sali siedzą jacyś panowie, opiekunowie, bo wygarniają przed tą ciżbą głów ludzkich swoje „po suszczestwu“

(rzeczowe) (jak towarzysze mówili) argumenty: Że do Warszawy i do domów jechać nie można, bo przez front niemiecki tak się nie przedrzesz, jak przez żywy płot z drutów kolczastych, że zawierucha tu, na Podolu, że bolszewiki, jak gdzie dopadną, to konie i wozy wygnańców tak sobie świsną, jakby z djabelską siłą zapanbrat byli, i że to i że tamto, a dalibóg — sprawiedliwie mówili. Ale pan wie — teraz w powietrzu taka morowa zaraza, że każdy myśli: — Jak burżuj, to wróg biednego narodu! — Tak i tam, na tej sali — z początku cisza, a potem rozruszała się chmara, jeden drugiemu następuje na pięty, gramolą się naprzód, do stołu, przez plecy sąsiada, ten ramię podbija, ten pięścią w bok wyrznie, ten rzuca prostackie wyzwiska, ten klnie jak pijany matros (marynarz) — falują wszyscy naprzód i wtył i naprzód! Oczy krwią nabiegają, prą jak szaleńcy, aż kości trzeszczą, buchają bezczelne świstania i wrzaski: — Hej, tam, panowie magnaci! Naszą krzywdą nabijacie sobie dowoli kieszenie!

Tamci za stołem zszarżeli jak ziemia, a mnie w tę stronę piorunem poniosło. Łupnąłem po drodze w głowę tego, tamtego z tych furjackich krzykaczy i już stałem na stole... Waliłem w blat kijem, co dla stróża jest karabinem i bronią, waliłem, ile tylko siły starczyło! A darłem się przytem na całe gardło: — Czekajcie, ludzie! Stańcie na chwilę! Ja wam to wszystko wyklaruję jak na patelni! Tylkoż zamknijcie gęby! Na chwilę tylko, na jedną chwilę! —

i dalej łomocę ten stół lewą ręką kijem, aż ktoś tuż przy mnie, o mój łokieć własnym się łokciem ociera. Patrzę...

— A to byłem ja! — powiedział z całym spokojem pan Piotr.

— Co? Ty — na stole?! Skoczyłeś w ten tłum?! Bój się Boga, mój bracie! — pan Stefan załamał ręce ze zgrozą. — Toż takie wstrząśnienie mogło być dla ciebie śmiertelnem!

— Widzisz, że nie. I mnie „poniosło“ na ten stół jak na skrzydłach. Stefanie! Innemi chodzimy z tobą drogami. Ty — odwiedzasz starych znajomych, biadacie razem nad splugawieniem kultury, nad czem i ja zresztą gorąco boleję, łudzicie się, że powrócą dawne czasy... A ja — badam duszę polskiego tłumy. Badam, gdzie mogę i kiedy tylko sposobność się zdarzy, bo nadewszystko się lękam, aby szerzony tu jad nie zwałił tak z nóg naszej ojczyzny, jak Rosję pokotem położył. Więc oczywiście, poszedłem na zebranie uchodźców i... struchlałem. Ten rozpętany odruch zemsty, ten zgubny powiew anarchji, ten szal, nie mający istotnej podstawy! Nie możemy za żadną cenę takiej zgnilizny do duszy ludu naszego dopuścić! Więcem na ten stół skoczył, by tamtych, co za nim byli, ochronić, i o kant jałem walić swą laską, pragnąc przerwać złowrogi nastrój. Wtem — zabrzmiał tuż przy mnie głos tak cudowny, jak dźwięki trąb archanielskich. Spojrzałem w prawo.

— A to byłem ja — zimitował pana Piotra „archanielski“ Wielądek.

— Nie masz pojęcia, jak przemawiał ten człowiek! — pan Piotr uniósł się nieco na łokciu, a w jego płomiennych oczach skrzyły się iskry zachwytu. — Nie chodzi tu o rozumowe przekonywanie wzburzonych i rozjątrzonych ludzi, ale ten miód głosu, spływający mu z ust! Jak oliwa rozlana na sfalowanym morzu, podobnie działał i on. Jeszcze z początku słuchacze gestykulowali namiętnie, jeszcze dyszały głośno ściśnięte w tej ciżbie piersi, potem — opadało powoli ogólne rozjuszenie, stygła niewiara i wreszcie cały ten tłum rozszedł się z sali z najzupełniejszym spokojem i z przekonaniem, że skoro tylko będzie istotna możliwość — wyprawia go ci znienawidzeni przed chwilą opiekunowie w drogę do Polski. Oto co znaczy „czar“ głosu, Dostał pan piękny dar fortuny, panie Stanisławie!

— Ależ to straszne! — zakrzyknął pan Stefan z oburzeniem. — Wiem dobrze, ile pracy, ile starania, mozolów zadają sobie ci, którzy troszczą się o byt i dolę uchodźców z Królestwa! Wiem, jak gorąco zajmuje się tu nimi pan Ludwik Jełowicki z Czerniejowiec! A inni?!... — zawiesił głos na chwilę. — Bierzesz mi za złe, mój Piotrze, że trzymam ze szlachtą naszą, z tymi „żyjącymi trupami“ (wymknęło się to z ust pomimo woli i chęci mówiącego). Prawda — że jeszcze przed wojną należałeś do Polskiej Partji Socjalistycznej, ale przecież mieliśmy obaj takie wytyczne, które nas w jednako pojętym patriotyzmie łączyły. Prawda, że w czasach jakie przeżywamy obecnie, ucieleśniły się myśli,

tytany, rywalizujące pomiędzy sobą o zagarnięcie jak najrozleglejszych horyzontów ducha ludzkiego! Prawda i to wreszcie, że szlachta dużo broiła w dawnej Rzeczypospolitej, ale czyż możesz tak odrazu wykreślić z narodowej pamięci zasługi jej po rozbiorach?! Kto był uczestnikiem wszystkich powstań i spisków? Kto należał do najzagorzalszych konarszczyków?! Kto włókł się „na posielenie“ po szlachech Syberji?! Kto składał z gotowością najwyższą daninę majątku, krwi, życia w minionych walkach o niepodległość naszą?! Kto wreszcie i dziś daje pieniądze na szkoły polskie w tym kraju, kto tworzy różne komitety opieki nad uchodźcami, nad ofiarami wojny, nad bezdomnymi dziećmi?! Szlachta i zawsze szlachta polska, czyto ziemiańska, czy też po miastach osiadła! „Zawsze oni!“ I za to wszystko ma być taka ze strony korzystającej nagroda?!

— Złe czasy! — sarknął młody żołnierz posepnie. — Katorżna to praca powstrzymać w rozpędzie ten czerwony las flag, umaczanych jakgdyby w krwi ludzkiej! Widziałem na własne oczy, jak wyglądają w czynie te wszystkie pociągające teorje! Oby to jeno do naszej Polski nie doszło! Ale ja tu gadam jak najęty, a czas już na mnie. — Wyciągnął z kieszeni ogromny, srebrny zegarek o dwóch kopertach, nacisnął sprężynę i pokazał braciom staroświecki cyferblat:

— Pamiętka po dziadzie. Stary, ale jary, równego ma jeszcze kłusa i o minutę się nawet nie późni. Mam pół godziny do zmiany. Pilnujemy fabryki we

dwóch, dzień i noc, po dwanaście godzin każdy. Dzwon alarmowy — pod ręką. Dotychczas tylko wiatr gwiżdże po nocach, ale wolałbym w jednej chwili znaleźć się u siebie, w Warszawie. Myślę, że starczy mi cierpliwości, bo tylko patrzeć, jak wejdzie tu Niemiec, a wtedy granica runie niby wał z piasku! A co do tego — jak to pan nazwał?... Czar głosu! skrzywił się przekomicznie — psu na buty taka „fortuna“ by nie starczyła! Słowo uczciwości! Sprawdziłem to, jako komisarz korpusu. Raz jeden ściągnąłem nim cugle „towariszczam“, huknąwszy jak piorun, by nie palili jakiegoś folwarku. Zlecieli się do mnie ze wszystkich stron z rozpalonemi twarzami: — Bronisz burżuja?! — Nie! Ja bronię — muzyka! Poco ma darmo przepadać?! Niech lepiej on weźmie to wszystko! — Łżesz! Burżujski przysłużnik! Wróg rewolucji! Drań! — Ledwo się wykręciłem z tej awantury. Zato potem, ani zipnąłem, choć spirytus chlupał z porzbijanych kuf, choć koledzy mili chłeptali go jak prosięta, leżąc na ziemi, choć dym gryzł mię w oczy i trzeszczały dokoła wyjące słupy ognia... Człowiek chce żyć! Ale już na mnie czas.

— Zajdźże pan do nas czasem na pogawędkę — zapraszał pan Piotr z cechującą go prostą szczerością. — Radzi będziemy panu obydwaj.

— Oczywiście — potwierdził pan Stefan. — Tymczasem zaś dziękuję gorąco za opiekę nad bratem. Wyobrażam sobie, że musiał się jednak czuć nietęgo po tym akrobatycznym skoku i po tyłu wzruszeniach!

— To był mój obowiązek! — powiedział Wielądek harmonijnym swym głosem. — Takich — dawajcie nam więcej! — obrzucił pana Piotra pełnym głębokiego uznania spojrzeniem, ujął jego rękę tak delikatnie, jakgdyby mógł mu zaszkodzić wstrząśnieniem, poczem ucisnąwszy silnie dłoń młodszego brata, nałożył na ramiona stary, żołnierski szynel, wziął kij i wyszedł z pokoju, przymykając za sobą drzwi z bezszelestną cichością.

II. Franciszek Kozak.

Sądzonem jednak było, że nie na tem skończą się niespodzianki, jakie od niedawnego czasu starszy brat urządzał młodszemu. Tym razem było to wręcz nieprzyjemne, gdyż pan Stefan, wróciwszy dorożką z koncertu w „Zgodzie“ od Małachowskich dość późno, omal się nie rozciągnął jak długi, zahaczywszy nogą o leżący na podłodze, przy łóżku śpiącego brata materac. Ustawienie kilku zaledwo najniezbędniejszych sprzętów w skromnym pokoju pozwalało „lokatorowi“ na dochodzenie do sławnej „sofy“ bez światła. Dopiero potem, otulony wysoką książką płomyczek świecy, roztałcał niewielką jasność, ostrożnym ruchom układającego się do snu pana Stefana potrzebną. Ale ta, znienacka wyrastająca w ciemności przeszkoda, wywołała okrzyk zupełnie zrozumiałego podziwu, który zatargał przewrażliwionym słuchem gospodarza pokoju. W świetle pośpiesznie przezeń zapalonej parafinówki (trudno już wtedy było o stearynę) pan Stefan ujrzał jednocześnie twarz

brata z odrzuconemi wtył głowy, posrebrzanemi zlekka włosami i podnoszącą się z materaca nieznaną sobie postać mężczyzny.

— Znów jakiś żołnierz! Ależ ma gębę szpetnie poparzoną gazami! — pomyślał i w tejże chwili wpadł mu do ucha głos brata:

— To ty, Stefanie? Zostawiliśmy światło, ale co teraz warte te anemiczne, przeźrocze „ersatzy“ dawnych, wyborynych „newskich“ świec? Stopiła się w mig, a my zdrzemnęliśmy się błogo i twoje kocie kroki uszły-by naszej uwagi, gdyby nie ta zasadzka po drodze! Pan Franciszek Kozak, mój nowy przyjaciel i pomocnik w ważnej sprawie, zamieszka tu z nami czas jakiś.

— Miło mi — mruknął machinalnie pan Stefan. — Czuję przez skórę, że zamierzasz popełnić jakieś nowe szaleństwo, ale jutro mi o tem opowiesz. Wymknąłeś mi się tak z rąk, że powstrzymać ciebie nie zdołam, więc śpij teraz, bracie i nabierz przynajmniej sił!

— Nie. Wolę się wygadać i wyładować w ten sposób niepokój. Jestem trochę podniecony i pan Franciszek, z którym już od trzech dni poruszamy wszystkie nieodzowne sprężyny, powiada, że nie opuści mnie ani na chwilę, choć mu klaruję: To kiepski dla pana interes! My wszyscy jesteśmy teraz święci tureccy! Rznij pan lepiej z innego tonu! Ba! kiedy nie chce mnie słuchać, kozak, czy kozieł uparty! —

Żołnierz wpatrywał się w mówiącego pocziwemi

oczami z tak bezgranicznem oddaniem, jak to czynić zwykły nieme, czworonogie stworzenia, wkładające w wymowę ślepiów wszystkie wyczucia swego instynktu.

— Bo ja już dobrze pana poznałem! Pan wszystko dla Polski! To ja — tu kiwnął głową — wszystko dla pana! —

Pan Stefan pluskał się w ogromnej miednicy, gdyż pod tym względem zgadzał się najzupełniej z nieuchwytną dla starości Ninon de Lenclos, że chłodne ablucje podtrzymują rzeškość w przedziwny sposób, pan Piotr zaś podsunął wysoko pod głowę poduszki i wyluszczał minujące go frasunki:

— Wojska znów odstępują naoslep z frontu — w mieście niepokój — zbierają się gromady na ulicach — zły znak. Pogadują coś o pokoju z Niemcami, ale zanim tu przyjdą, przetoczy się ta czerwona lawina po naszych plecach. Trzeba ratować nagromadzone po dworach pamiątki, książki, obrazy; arcydzieła piękna i sztuki i wywieźć — do Polski! To nasze prawo i nasz obowiązek. Rosyjskie morze długo jeszcze będzie gwizdało po rejach i masztach rewolucyjnego okrętu. Tymczasem — w miastach spokojnie. Jak wiesz, zawiązało się w Kijowie, w marcu 17 roku Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości na Rusi, którego delegatem na Winnicę stałem się ja.

— Wiem. Czytałem sprawozdanie o działalności Towarzystwa od marca do grudnia ubiegłego roku a nawet zacytuję ci z rzetelną przyjemnością, kto

do Zarządu jego należy: A więc — prezes, Franciszek Potocki z Peczary, wiceprezes, Ludgard Grocholski, skarbnik Antoni Czerwiński, prócz tego: Biskup Godlewski, arch. Karol Iwanicki, Oskar Hansen, Krzyżanowski, Kuszell, Matuszewski, Przybylski, Franciszek Pułaski, Klementyna Stadnicka. A teraz nazwiska członków-protektorów: Władysław Grocholski, Karolina Jaroszyńska, Stanisława Kossecka, Klementyna Podhorska, Józef Potocki (z Antonin), Jan, Szczęsny i Laura Tokarzewscy-Karaszewicze, Józef Wyleżyński, Jadwiga Zaleska, Edmund Zaleski, A jeszcze delegaci Towarzystwa: Józefat Andrzejowski, dr. Leon Białkowski, d'Erceville, Kotowicz, Lewiński, inż. Mierzyński, ks. kan. Sznarbachowski, Edwardowa Tyszkiewiczowa, prof. Henryk Ułaszyn, inż. Zlasnowski. A do sekcji informacyjnej, która powstała w maju, czyż nie przyjęli chętnie zaprosin zarządu — dr. Aleksander Czołowski, Izydor Czosnowski, dr. Nałęcz-Dobrowolski, Zdzisław Grocholski, dr. Piotuch-Kublicki, dr. Wincenty Lisowski, Wasiutyński, Pruszyński, Kazimierz Pułaski, Przędziecki, Rzyszczewski, Michał Sobański, Józef Szaszkiewicz, Józefowa Tyszkiewiczowa?! Znalazło się znów w dobrej sprawie dość nazwisk szlacheckich! Co?! — pan Stefan nacierał ostro, acz napół żartobliwie na nie wyrażającego żadnym gestem swego protestu — brata.

— Więc dorzuc jeszcze i moje! — zaproponował uprzejmie, gdyż nie miał snadź w owej chwili nastroju do dysputy z żartkim w niej oponentem —

wyłamujesz drzwi otwarte, bo znam ich wszystkich i wiem, że zasilają pieniężnie kasę Towarzystwa, a nawet Franciszek Potocki daje po kilka tysięcy rubli na jego potrzeby, ale dlaczego nie podkreślasz, z jaką biernością przyjęło społeczeństwo kresowe ten gorący, przekonywający nasz apel?! Dopiero gdy ciężka i szybka stopa zniszczenia rozgniotła na miazgę część artystycznych zbiorów i dworów Wołynia i Podola — gdy dezorganizacja ogólna rozluźniła sprawność przewozowych środków, wówczas napływać zaczęły podania o wywożenie zbiorów. Kierownik Sekcji Transportów, pan Henryk Drozdowski rwał sobie włosy z głowy wobec równoczesnego braku wagonów, których przedtem miał pod dostatkiem!

— Romantycy! — zaopinjował spokojnie pan Stefan, który postanowił najmocniej wobec nieznanym mu jeszcze, jutrzejszych planów brata, omijać starannie leżący na ich myślowej drodze głaz gorzkiej zwady. — Romantycy! Do ostatniej chwili wierzyć nie chcieli w rzeczywistość nadciągającej niedoli. — Wyciągnął się wygodnie na sofie. — Możebyśmy już spali, Piotrze? Wybijesz się ze snu i noc przepadnie zupełnie!

— I jaby tak panu poradził — odezwał się żołnierz, który się przysłuchiwał uważnie rozmowie braci, siedząc na materacu, z głową opartą o krawędź łóżka pana Piotra. Maleńki i szczupły inwalida wojenny, poorany śladami trujących gazów, wyglądał strasznie i bolszewicy brali go zawsze za „swego“

stąd — łatwy miał do nich dostęp. Tylko pałaca się w małych oczkach niezmierna poczciwość świadczyła, że dobry duch niekoniecznie musi się przyoblekać w piękną cielesną powłokę. — Pan i tak nóg już nie czuje! A wszystko sam (kiwnął głową) i wszędzie sam, tak jakgdyby to mnie nie można było pchnąć, gdzie należy! — mówił z wyrzutem w głosie.

— Więc co to ma być nareszcie?! — zaniepokoił się istotnie pan Stefan. — Powiedz w trzech słowach — i śpijmy!

— To, że powracające oddziały wojska agituja już wśród szumowin miejskich i podburzają chłopów tamtejszych, planując sobie rozbicie Pietniczan. Zdziśław Grocholski wyjechał z domu, bo wobec znanego dokoła, niezwyklego swego wzrostu, nigdzie tu nie mógłby skryć się w razie czego przed śmiercią, a potrzebny jest przecież rodzinie. W „zamku“ pozostały tylko kobiety i dzieci. Ratować je trzeba, a przytem chodzi mi o wywiezienie wporę cenniejszych rzeczy. Wiesz, jak teraz trudno o najlichsze nawet szkapy — tego się więc zbiegałem, zanim udało mi się wynaleźć i zabezpieczyć sobie udział dwudziestu furgonów w tej antreprzyzie. Jutro pojedę sam do Pietniczan, uprzedzić te panie i zaprząć całą służbę do pakowania. Może pod wieczór wyrwiemy choć parę furgonów i ocalimy to, co najpotrzebniejsze w takiej ruinie — przez noc znów narosną paki i mam nadzieję, że zanim wybuchnie pogrom dla rabusiów tylko mury zostaną, tem bardziej, że mam do pomocy ze Związku Wojskowych

Polaków dwóch pewnych i dzielnych ludzi: tu obecnego pana Franciszka i jego kolegę z pułku.

— Widzę, że najgorsze już przeszło — panu Stefanowi spadł kamień z serca — bo jutrzejsza wyprawa do Pietniczan nie może ani w jednej dziesiątej tak ciebie zmęczyć, jak te „wybiegane“ furgony. Przecież to tak blisko, nieledwie przedmieście Winnicy. Ależ będą tam cię na rękach nosili za tak sprawnie zorganizowany ratunek! A teraz — dobranoc!

* * *

Pietniczany, o kilometr od Winnicy leżące, były bardzo starą osadą i posiadały zamek wzniesiony rękami tatarskich jeńców.

Piotr Rożański, wielbiciel Stanisława Worcella (senjora), do którego upodobił się z tego względu, że obaj, będąc zamożnymi kresowymi ziemianami, stali się z najszczytniejszych pobudek — socjalistami, myślał, jadąc owego poranku do Pietniczan i spoglądając na rysującą się już zdała ciemną masę budowli:

— Nadchodzi, zdaje się, chwila, w której każdy z nas będzie musiał wykazać, co to jest wart — oświście, bez owej purpurowej togi stanowiska i dostatków, która może się zmienić w podarty łachman! — Problem wartości i pochodzenia nie zajmował go jednak zbyt długo w owym momencie. Jak każdy bowiem człowiek czynu skupił się raczej w sobie, nie rozpraszając energii na niepotrzebne ścieranie się

zdań, gotując przytem do trudnej akcji wydarcia zniszczeniu dobra tylu pokoleń.

Wynajęta żydowska dorożka, która dziwnie mizernie się przedstawiała wobec majestatycznej harmonji, z jaką przybudowane do środkowego „zamku“ dwa skrzydła z podtrzymującemi je kolumnami, wybiegały półkolem na olbrzymi podworzec — zatrzymała się przed podjazdem. Pan Piotr odrzucił śpiesznie z kolan wykwinną baraniczkę, za bezcen kupioną od jakiegoś wracającego z rabunku sołdata (z myślą, by ją oddać prawemu właścicielowi, skoro się trafi!), wysiadł z obdartego wehikułu i zadzwonił. Czarno ubrany służący otworzył ciężkie drzwi wejściowe, skłonił się przed gościem w milczeniu i wziął bilet, który mu przybysz wpakował do ręki, drwiąc w duchu z „idjotycznych ceremonij!“

— Chciałbym pomówić z młodszą panią hrabiną — wyjaśnił krótko.

Służący wprowadził gościa do przyległego salonu i za chwilę pani Zdzisławowa Grocholska, z domu Sołtanówna z Grodzieńskiego, weszła doń, witając Rożańskiego uprzejmie. Największym urokiem tej wytwornej kobiecej postaci była ogromna prostota, wypływająca z prawdziwej kultury. Obowiązki społeczne były dla niej wynikiem jej najlepszej woli, pracowała też razem z mężem we wszystkich instytucjach tego rodzaju w Winnicy.

Pan Piotr pochylił się do jej ręki i podniósłszy głowę ogarnął wzrokiem przez chwilę, czysty w za-

rysie owal twarzy i lśniące dobrocią z pod wążko zarysowanych brwi, gwiazdziste oczy, które pani domu przymrużała niekiedy z powodu krótkiego wzroku. Żal mu się jej zrobiło, ale przystąpił od razu do rzeczy, pomimo, iż zwierciadlana toń pogodnych dotychczas żrenic, siedzącej naprzeciw niego gospodyni zamku — zmaćła się nagle po jego słowach:

— Przygotowuje się pogrom Pietniczan. Niech się pani nie trwoży! „Un averti en vaut deux“ — przewinęło się mu przez myśl, ale powiedział po polsku: Ostrzeżonego pan Bóg strzeże i ja strzec będę, o ile mi panie w tem dopomogą. Mamy jeszcze parę dni czasu, zanim dojrzeje dzieło wracających z frontu żołnierzy, którzy podbuntowują szumowiny miejskie i waszych chłopów do napaści na „zamek“ i rozbić go „w puch i prach“, jak się wyrażają dobitnie. Chodzi o to, by się zdecydować wcześniej na wyjazd i na wywiezienie, póki czas, tego wszystkiego — zakreślił ręką szerokie koło — co tu, w tych murach widzimy. Jakież jest pani zdanie w tej sprawie?

Młoda hrabina milczała chwilę. Nie mogła się snadź uporać z widmem tak ciężkiej niedoli, które wionęło czarnym welonem nad jej, dotychczas szczęśliwie beztroskiem istnieniem. Wreszcie oderwała spojrzenie od ścian, które widziały jej wejście w te mury, jako uroczej, promiennej miłością oblubienicy i podnosząc wysoką, kształtną swą postać, oznajmiła ze stanowczością, pełną istotnego wdzięku:

— W tak ważnej i zasadniczej kwestji — tylko matka mego męża ma głos decydujący. Zaprowadzę

pana do niej natychmiast. Idę naprzód, a pan niech za mną powoli podąża.

Wyszła i pięła się lekko po schodach na górne piętro „zamku“, a pan Piotr szedł jej śladem, przystając chwilę na każdym stopniu. Zniknęła mu z oczu na jakimś zakręcie i dopiero przez półotwarte drzwi spostrzegł obie rozmawiające żywo kobiety. Przestał próg obszernej komnaty.

Pani Stanisławowa Grocholska z domu Zamoyska siedziała przed oknem w głębokim fotelu. Podała zwolna rękę na powitanie:

— Dziękuję panu za dbałość o nas. Synowa uprzedziła mię o wszystkim, co wedle pana ma tu nastąpić, ale — tu wyprostowała się i głowę podniosła energicznie do góry — ja w tych Pietniczanach przeżyłam kilkadziesiąt lat życia z moim mężem, który był idealnie dobrym dla chłopów, założył im bank w Winnicy, dbał o ich wszystkie potrzeby i nigdy nikogo nie skrzywdził. Więc i ja — wdowa po takim człowieku — nie widzę racji obawiać się naszych chłopów, nie wierzę, by mogli na nas napadać i nie myślę stąd się ruszać.

— Postawa piękna, ale — niebezpieczna! — odrzucił krótko pan Piotr, skłonił się głęboko przed obydwoma kobietami i wyszedł z pokoju. Schodząc po tak niedługim przeciągu czasu po schodach, spisywał już w myśli zawartość tej pięknej siedziby na minus w bilansie uratowanych pamiątek polskiej kultury w tym kraju.

— I tyle rzeczy ma przepaść dla uporu i krótko-



widztwa jednej dumnej kobiety! — wykuwał w ci-
chości swój sąd o zawodzie, jaki go spotkał w tym
domu. Jego nieubłagana, trzeźwa logika nie podsu-
wała mu innej jeszcze przyczyny tego „uporu“, którą
mógł być: instynkt trwania wbrew wszystkiemu na
stanowisku!

Na dole — służący podał mu futro i wyciągnęła
się doń miła w dotknięciu, wysmukła dłoń młodej
hrabiny, która zesła za nim niepostrzeżenie:

— I ja panu dziękuję za szczere chęci, ale —
spojrzała mu w oczy tak przenikliwie, jakgdyby czer-
pała prawdę z dna jego duszy. — Czy pan jest pe-
wny... co do tego pogromu? — nagły lęk zatrzepo-
tał w uważnie patrzących źrenicach.

Pan Piotr uczył tak mocny przypływ gorącego
współczucia do serca, że pochylił się do tej białej,
podanej sobie dłoni, a w piersiach miał ucisk, gdy
mówił napozór spokojnie:

— Czyżbym się ośmielił trwożyć panie naprózno?!
Szkoda, że matka męża tak jest niezłomna w swojej
decyzji! Ale — jeszcze nie wszystko stracone! Niechże
pani pomyśli przynajmniej o tem, gdzie się znajdzie-
cie po rozbiciu tych murów. Proszę zaraz do miasta
pojechać. Przecież mąż pani posiada tam kilka do-
mów, może więc — pomimo takiego przepelnienia —
znajdzie się jakiś kąt dla państwa. Radzę — nie
zwlekać! — i z tem ostatniem, złowieszczem ostrze-
żeniem na ustach, pan Piotr wyszedł z pietniczań-
skiego „zamku“, wsiadł do czekającej nań lichej do-
rożki i nie oglądając się poza siebie, nie obejmując

wzrokiem pozostających za jego plecami, wrośniętych w ziemię harmonijnym półłukiem dwóch skrzydeł zamku i strzelistej jego osnowy — pojechał w milczeniu zpowrotem do miasta.

— I cóż?! — spytali razem pan Stefan i inwalida wojenny, kiedy oczekiwany przez nich starszy Rożański wszedł do wspólnego ich „home'u“.

— A nic — pan Piotr rzucił futro na ręce podbiegającego usłużnie Franciszka Kozaka. — Hrabina Stanisławowa Grocholska upewniła mię przecież, iż Pietniczanom nic zupełnie nie grozi. Wobec tego, nie mamy się czego martwić! — wyciągnął się na łóżku, oczy przymknął, ręce skrzyżował na piersiach i usiłował ściągnąć rozluźnioną sieć panowania nad sobą.

— Jezusie święty! — wybełkotał strapiony żołnierz, zastygłszy na miejscu z rozpostartem w obu rękach futrem. Pan Stefan nakazał mu wzrokiem milczenie, więc na palcach posunął się do wieszadła, od ciężaru uwolnił, poczem — ulokowawszy się we framudze okna — od leżącego w bezruchu „biednego swego pana“, oczu nie mógł oderwać.

POGROM PIETNICZAN.

Siedmnastego stycznia, we czwartek z rana, Franciszek Kozak, wracając z targu, spotkał kilku żołnierzy, którzy sądząc z wyglądu, że natrafili na równego sobie łupieżcę „burżujskich“ dostatków, zaciągnęli go na rozwrzeszczany mityng, po którym przybiegł co tchu do wspólnego z Rożańskimi pokoju. Linje dobroduszości pogłębiły się mu koło ust wskutek wygięcia warg z goryczą, a małe oczy błyszczały tak groźnie, że obaj bracia, rzuciwszy nań wzrokiem, pojęli odrazu, że w mieście dzieje się coś niedobrego.

— Wracam z mityngu żołdatów! — wykrzyknął od progu zdyszany. — Od rana tłumy oblegają Pietniczany! I co teraz powie stara hrabina?! Pogrom szykują na wieczór! — Kiwnął głową z rozpaczą. — A tam — kobiety i dzieci! Ratuj ich teraz — ot, temi rękami! — Upadł na krzesło, jakoby oślepy z bezsilnej pasji.

Pan Piotr klepał go po ramieniu krzepiąco:

— Panie Franciszku! Pan musi zaraz wziąć worek, iść tam, wmieszać się w tłum, zobaczyć, co się

tam dzieje, a potem — nabijać wór nie gorzej od innych! Przynajmniej to oddamy Grocholskim. Czy tylko potrafi pan wybrać cenniejsze rzeczy?!

Mały inwalida kiwał głową raz po raz, nie mogąc wydobyć słowa z rozfalowanej nowym przypiływem gniewu na „bolszewickie ścierwa“ — wąskiej swej piersi. Odetchnął wreszcie szeroko i głośno, poczem chwycił podawany mu przez pana Piotra potężny worek, skoczył ku drzwiom i popędził w stronę Pietniczan przez opustoszałe i ciche ulice miasta, tuląc mocno pod pachą szary zwój radowiny.

— Wyjdźmy i my na miasto — zaproponował pan Stefan, patrząc na chodzącego wszszerek i wzdłuż po pokoju starszego brata. — W takiej chwili bezczynność jest nie do zniesienia. Zajdziemy tu i tam, spotkamy kogoś, dowiemy się może pewniejszej wersji.

Przeważali się tedy kilka godzin, nie mówiąc prawie do siebie, gdyż posiadając obaj serca — jedno ze złota, a drugie z kryształu — reagowali jednako na połapane tu i owdzie wiadomości o losie pietniczańskich dziedziców.

Ktoś ich poinformował, że z „zamku“ dano znać przez telefon: — Jesteśmy oblężeni! — Ktoś inny że „sytuacja ciężka!“ — wreszcie — twarze obydwóch prześwieciły się ciepłym odbłaskiem głębokiej radości, albowiem stało się najpewniejszym, iż dorożki wywiozły szczęśliwie całą rodzinę, która nie miała jednak zapewnionego noclegu, ani własnego kąta w Winnicy.

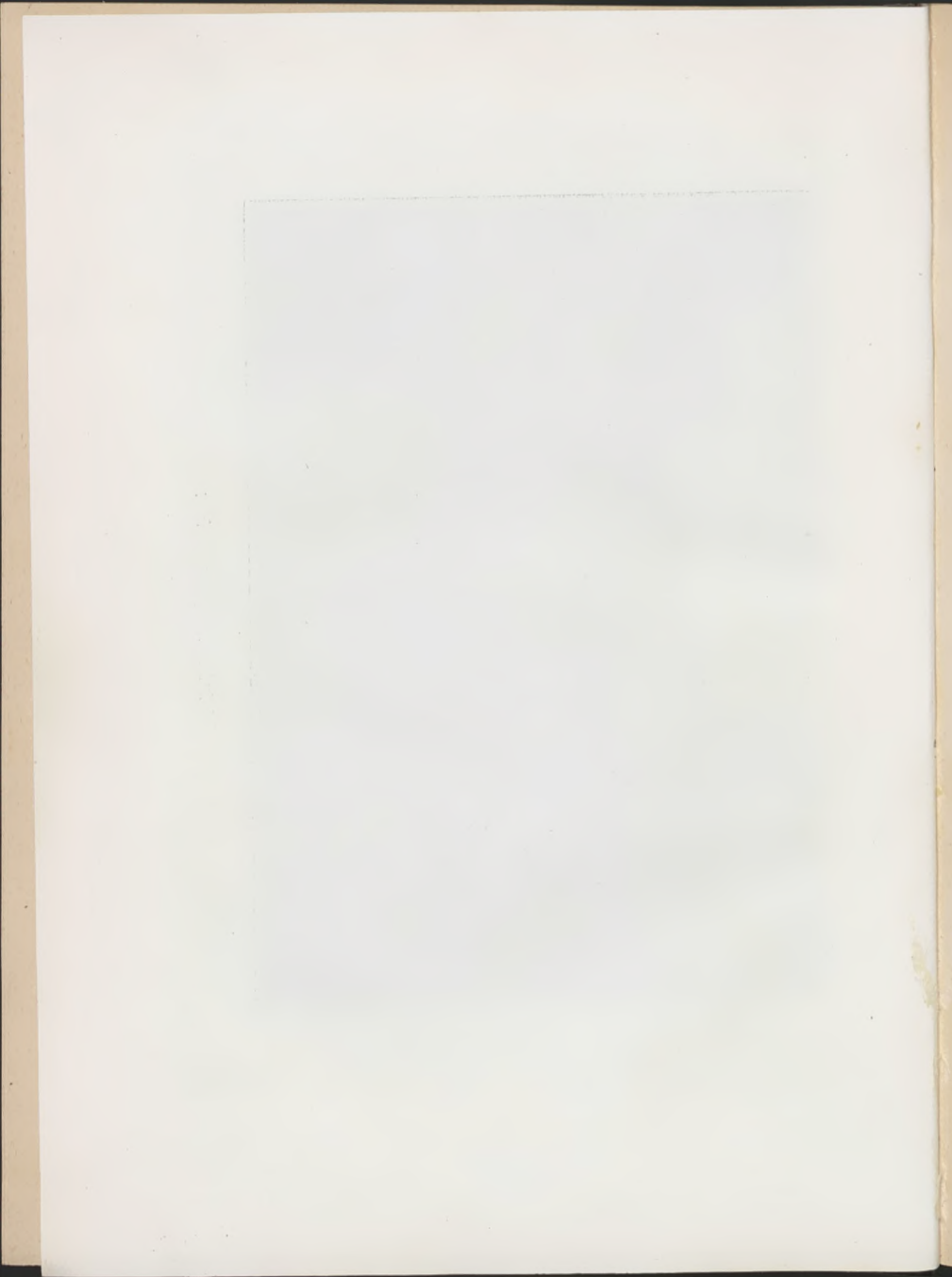
Zmrok już zapadał dnia następnego, gdy wyblęsnęło od strony Pietniczan czerwone zaśnięcie na horyzoncie. Łuna pożaru rozszerzała się z każdą chwilą. Wieczór był wilgotny i niechłodny, jakgdyby oddech przesuwającej się wiosny przewiercał miejscami siwą od śniegu oponę zimy. Rożańscy stali na ulicy, wpatrując się w rozgorzałą od ognia wnękę przestrzeni nad niedalekim zakrętem Bohu. Zgiełkliwy gwar rabujących tłumów płynął z oddali — niekiedy buchnęła fala głośniejszych okrzyków i lament gromady wiejskich kobiet, a plama szkarłatu ognia coraz szerzej się rozlewała po szarej stali wczesnego wieczoru. Bracia nie mogli oderwać wzroku od jaskrawej tej panoramy. Oczyma wyobraźni widzieli jakby na jawie szaleńczą gonitwę na „zamek“, pnących się i zwisających jak grona na kolumnach dwóch skrzydeł „pańskiej“ siedziby ludzi, chaos walonych podpór, mirjady podpełzających, ruchliwych płomyków, zbite w kłęby tumany dymu, gramolące się i umykające jedne przez drugie z nabitemi worami na plecach gromady — słyszeli obłąkane śmiechy, ryki i wycia.

— Jeszcze jedna i nie ostatnia — łuna nad Podolem! — odezwał się posepnie pan Stefan. — Przypomina mi to noc mojej ucieczki z Szamrajówki, kiedy to pojawiały się na widnokręgu takie sztuczne zorze południa. Rozbestwiona tłuszczka wdeptuje w ziemię jeszcze jedno ognisko kultury i piękna.

— To jeden punkt widzenia — powiedział starszy Rożański z zadumą. (Nie spojrzął na brata, mając



Pietniczany po rozbiciu



oczy jakgdyby przykute do ponurego widowiska.) — Tak. To jedno zapatrywanie, a drugie: — Wydziedziczeni — burzą te wspaniałe i zbędne wedle nich mury, do których wzniesienia przyczynili się sami! — Czy nie przypomina ci to „Nieboskiej?!“ Zważ, bracie! Od wieków milion wydziedziczonych oblega twierdzą dziesiątka tysięcy wybranych, a ci oddają im z musu, pod naporem miliona złowieszczą wyjętych ramion jedną redutę za drugą. Padł feudalizm, — rewolucja francuska zatknęła na krwawo postrzępionych ciałach sztandar praw człowieka — przestały istnieć poddaństwo i handel niewolnikami. I teraz, w tym bezgranicznie straszliwym okresie, jesteśmy świadkami nowego ataku podjudzonego (temu nie przeczę!) ciemnego tłumu na jaśniejące tysiącem powabów w ich przekonaniu — twierdze dostatków. Dziesiątek tysięcy wybranych cofnie się znów z poprzedniej pozycji, a obszarnictwo zapadnie wkrótce w pożerającą otchłań historii.

— I tem ma się rozwikłać w twojem pojęciu węzeł klasowej walki? Nie, bracie! Produkcja i pochłanianie — to synteza wszechruchu. Życie jest producentem, śmierć — konsumentem. W tych ramach idzie miarowo jak niewyczerpujące się nigdy perpetuum mobile — wahadło czasu, najdalszym dosięgiem zaczepiając kolejno to o śmierć, to o życie. Produkcja i konsumowanie — oto dwa podstawowe czynniki istnienia świata i jednocześnie — nieuregulowany dotychczas splot socjalnego ustroju. W kapitaliźmie — produkcja górą, rozpylenie jej

zato wśród konsumentów wadliwe i niewspółmierne. W socjalistycznym systemie odwrotnie: wszyscy mają być konsumentami, a gdzie jest produkcja?! Co wedle ciebie pobudzi te masy do pracy, gdy ustanie podnieta konkurencyjnej walki i dźwignia inicjatywy prywatnej? Idea?... To za mało i za wiele dla szerokich warstw ludzkości! Czy uwierzysz, mój Piotrze, że od paru ostatnich miesięcy zapuszczałem nieraz sondę w ten ocean zagadnień i wiesz co znalazłem na dnie?... Boskość i człowieczeństwo Chrystusa!

— Ty mówisz — Bóg, a ja ci powiem — myśl. Myśl — to mój Bóg. Przebiegnij świat cały, a wszędzie spostrzeżesz przekutą w bronz, zakłęta w cudach architektury, uwiecznioną na płótnie, buchającą z manuskryptów i książki, lecącą wzwyż z samolotem, rozdzierającą wnętrzności ziemi z armatnim pociskiem — twórczą, genialną, samorzutną myśl ludzką. Oto jest najistotniejsza dusza naszego świata!

— A jeśli ten świat jest skryształizowaną myślą Boga, to co im na to odpowiesz?

— Szczęśliwyś, że wierzysz! Ja tego nie wyniosłem z dziecięcych wspomnień. Ojciec urobił mi intelekt, ale nie wiarę. I powiem ci jeszcze: Dojrzałeś, Stefanie, albo — ja ciebie przedtem nie znałem. Zresztą, ktoś zna puszcz i dusz „przepastną głębinę“...

— Nie. Znałeś mię dobrze. Byłem inny. Ja sam siebie nie znałem. Ale zagalopowaliśmy się w tej

dyskusji, jak dwaj bursze. Prawdziwie „akademicka“ rozprawa. Tymczasem zrobiło się mroźno, a od tej łuny dreszcz idzie po plecach. Wracajmy do naszej skromnej chałupy. Po drodze możemy dalej roztrząsać te tajemnicze problemy. Na ulicach pusto. Hołotka ma dość roboty i to nie bylejakiej, a porządni ludzie pozaszywali się w swoje dziury i chyba tylko my dwaj stanowimy wyjątek. No, idziemy, Piotrze! Oderwij już oczy od tej ponurej panoramy zniszczenia! — Wsunął rękę pod ramię starszego brata, którego subtelnie rzeźbiony profil zarysowywał się nikiel przy bladym świetle gwiazd. — A ja ci powiadam, ty ateuszu, że mieszka w tobie najpiękniejszy chrześcijański duch! Tak. Bo uważasz, najgłębszą prawdą każdego „ja“ — są nie tyle czyny, ile motywy czynów, podobnie jak rzeka, nie panią jest źródła ale podwładną mu niewolnicą. Wyłuszcę ci teraz podstawy mego osobistego, socjalnego systemu, który wykuł się w tej oto głowie w długich godzinach bezsennej nocy. Uważaj. Poprawiam brak równowagi pomiędzy konsumentami, a producentami i — jeśli szczęśliwie powrócę do Szamrajówki, jeśli zapanuje trwalszy porządek — wciągam do korzystania z moich dochodów szamrajowiecką wiejską gromadę. Stój, poczekaj, panie bracie! Pozwólże mi dokończyć! Przeznaczam jedną czwartą z tego, co mi przyplynie netto, ale — hola! Nie na wódkę, obywatele! Zbuduję im łaźnię, potem herbaciarnię z kinoteatrem, postawię świetnie naukę szkolną, potem kupię im znakomite, mocne stadniki dla podniesienia rasy

ich koni i bydła, a wszystko to będzie związane z intensywnością ich pracy. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! A potem jeszcze — muszą być w całej wsi blaszane dachy (Hm! — kaszlnął znacząco w antrakcie pan Piotr) i po kilku latach zmieni się wszystko do niepoznania! Jakże ci się ten modus in rebus podoba?! —

Nieży. Tylko radzę ci szczerze, jedź, skoro możność się zdarzy, z temi pięknymi planami do Polski. Tam — przedstaw się jako ten, który omal się nie zadławił wpakowanym mu przemocą do gardła kęsem gorzkiego doświadczenia i tam, wśród owego tysiąca wybranych namawiaj, proś, groź, molestuj, by wprowadzili w życie takie niewielkie względnie polepszenie doli wydziedziczonych. Bo tu, w tym kraju — wszystko straco....

— Nie kończ! — przerwał pan Stefan porywczo. — Jestem przesądny. Może w tej chwili przemyka się gdzieś w pobliżu „zła godzina“. Już dość na dziś. Męczący dzień, tam do licha!

Bracia doszli do swego mieszkania w milczeniu, jasno sobie zdając sprawę wszelako, iż powstały między nimi nie tak dawno rozłam myślowy znacznie się zmniejszył po tej rozmowie. Tchnienie najpotężniejszych ideałów ludzkości zasypywało zwycięsko uczynioną poprzednio duchową wyrwę.

* * *

O świcie zbudził ich nagły łomot. Mały inwalida z wypchanym kańciasto worem na plecach przeci-

skął się przez otwartą połowę wąskich drzwi. Zsunął go wreszcie ostrożnie, na podłodze przy ścianie postawił, a sam rzucił się na przygotowane dlań posłanie i wyciągnawszy kolorową chustkę z kieszeni, jął nią ocierać twarz i skroplone potem czoło:

— Anim się spodziewał, że to taki ciężki chleb ten rabunek! Uff! A żar walił jak w piekle! Tylkom sobie co krok wspominał, jakto ksiądz wujko małych smyków wystraszał tymi potępieńcami, co w ogniu wieczystym się smażą! Kubek w kubek jak tam, na tym „zamku“. Czarne dwunogie poczwary, skaczące pośród płomieni, rogów tylko im brak! A przepchaj się przez nich! Ho, ho! Będziesz mądry! Dobrze, że siłę mam w tych ręczyskach! Jak strzelę naodlew jednego, drugiego, a sójkę w boki przylepię, to aż ryczeli ze śmiechu: — Bacz! Bacz! Takij małeńkij a ważneńkij! — A gdzie było ciaśniej, to ja w nich głową — jak byk! albo popod łokcie się im prześlizgiwał i dobra nasza! Spocznię se troszkę i dalej — że w dyrdy zpowrotem! Bo te dranie nie uporają się z tyła majątkiem przez jeden dzień! Będzie jeszcze ten swąd niejedną godzinę śmierdział! Uff! Aż w oczach gryzie, a gardło niby piekielnym szuwaksem wypendzlowane!

— Zuch z pana, panie Franciszku — obaj bracia uśmiechnęli się mimowoli, tak biegunowo różnym był rabelais'sowski opis, wypowiedany ustami jednego z „maluczkich“ w porównaniu z „akademicim“ tonem ich wieczornej na ten sam temat dys-

kusji. — Zuch z pana! Syp pan dalej wszystkie swoje wrażenia.

— Tak pan każe? To dobrze. — Tu kiwnął głową. — Więc ja tak panom powiem: Dopiero tam, przy tym ogniu, ja tak zrozumiał jak nigdy w życiu, co to takiego te „ciemne głowy“! Toż to jasno było, panie, jak w dzień, a u nich ciemno, że choć w pysk daj! Pan zaraz zobaczy, czy ja prawdy najświętszej nie mówię, niech tylko panowie słuchają. Pierwszego „czerwonego koguta“ wsadzili oni pod pokoje „dla gości“, „na pamiatku“ — mówią — „szczob im tak zawsze tepieńko buło!“ A najgorsze — to baby. W tyraljerę się rozsypały i hajda! po wory z mąką do zamkowej spiżarni! A pomstują, a jazgocą, a drą się, jakby kto stadu kocic ogony przydeptał! Wiedzmy! Tylko ich na łopaty sadzaj jak chleb do pieca i wio! Do djabła-kuma leć babo na huczne wesele! Dym już wyłazi przez jedno pobite okno, przez drugie, przez trzecie, a mężczyźni za każdym razem ryczą ze śmiechu tak grubo: — Hu, hu, hu! To była, panie, orkiestra, że proszę siadać! A na dziedzińcu, przed zamkiem, stoi stary chłop, z siwą brodą, bez czapki, panie, tak widać wyleciał z chaty, ręce rozrzucił, jak ten Pan Jezus na krzyżu i woła, co siły w piersiach, a nieuroku — kiwnął głową — jak dąb był chłopisko:

— Ludy dobre! Ta szczo wy robyte?! Boha ne bojitesia?! Toż staryj pan hrafi zrobiły dla ludej banok, w Wynnyci! Hroszi nam pozyczały! Ta czerez ce i ja rozbohatiw i wy rozbohatiły! A wy teper jeha

ditej nyszczyte?! Toż win pewno z domowyny swojej wstaw, ta w kapłyci zasiw, ta dumku dumaje! Oj, tiazka wona, cia dumka jak cej wseńkij zamok, szczo wy jeho rozbywajete! Ce neczysta syła tak was omotała! Bijte sia Boha! Ludy dobryje! Toż koždyj z was chrystjanyn! Perestań hrabyty, kto w Boha wiruje! — woła i grozi synom, że łeb rozwali siekierą, jeśli ze dworu cośkolwiek przyniosą!

— Dla jednego sprawiedliwego Sodoma i Gomora byłyby ocalone — powiedział radośnie pan Piotr.

— O to to! — kiwnął głową. — Zawsze tak nam powtarzał ksiądz-wujko i nieraz tego skórę bąkom wyłoił, jak który pacierza wieczornego przepomniał! Ale tym ciemnym głowom nie na wiele to się przydało! Znowu zarechotali: — Hu, hu, hu! Majesz koho wspomynaty! Merci (zmarli) z hroba ne wstajut!

A tymczasem żołdaty wynieśli z pokojów fortepian i postawili naprzeciw tego starego i grać zaczęli: ten ręką a drugi nogą i krzyczą do niego:

— Słysz! Eto burżuj tak płacze! — a chłopci sobie: — Ce burżuj tak stohne! Ot! ciemne głowy, panie! Niema dla nich zbawienia!

— Jest! — zaprotestował mocno pan Stefan, — Światło w ciemności, to dobra szkoła, nauka, książka!

— Ech, panie! — żołnierz machnął ręką powątpiewająco. — Nim to do nich dojedzie, to oni już dawno nogi na tamten świat pozadzierają! Kleją mi się oczy do spania, ale jeszcze jedną rzecz musowo powtórzę, a potem — ziewnął szeroko i głośno — urznę śpika, jak się patrzy! Godzina wystarczy,

a jakbym nie chciał się budzić, to trzeba, panie, za-
trąbić w kułak pobudkę: Tra-ta-ta-ta! Jakby kto po-
demnie ogień podłożył! Patentowany sposób! No —
to proszę teraz posłuchać: Wracam z tym pękatym
worem na plecach przez wieś i widzę w drugim
końcu Pietniczan, już od Winnicy, zbiła się w kupę
gromada bab. Głowami kręcą, jakby ich pszczoły ob-
siadły, rękami rozwodzą, a przytupują nogami na
miejscu. Ki djabeł?! myślę. — Opętało ich po tym
pogromie, że taki taniec świętego Wita wyczyniać
im się zachciało?! Podchodzę bliżej, nastawiam uszy
i słucham: a one tak jedna do drugiej trajkocą:

— Czują wy, susida?! Każut ludy, szo jak hra-
były, ta pałyły zamok, to nasz pan hraf wyjšzły na
bałkon. Wy dobre znajete, jakij win wysokij, a cej
buw szcze dwa razy wyszczij! Ruki skrestyw na hru-
dy, hołowoju pokaczaw, pokaczaw... obernuwsia, taj
piszow w swoji pokoji...

— Ależ Zdzisława Grocholskiego nie było wczoraj
w Pietniczanach z wszelką pewnością — prze-
rwał pan Stefan. — Już urosła legenda!

— Zabolało sumienie — podkreślił mały żoł-
nierz z powagą. — Zlatywały się baby ze wszyst-
kich stron, a każdej wkładano do ucha tę samą no-
winę. Otóż to bieląły na twarzy ze strachu! A jedna
drugą pytała trzęsącym głosem: — Taj szo ce ono
znaczyt?! Oj, mabut' szoś złocho bude dla chrystjan-
skoho narodu, bo uśmichawsia i hladil na cich, szo
nabilsze hrabyły!

— A ja pewien jestem — stwierdził pan Piotr

z przekonaniem, że nie wszyscy pietniczańscy chłopci należeli do tej orgji rabunku. Nieprawdaż, panie Franciszku? To były, jak zwykle, najgorsze szumowiny, a porządniejsi gospodarze nie mogli brać w tem udziału? Co?! Panie Franciszku?!

Ale waleczny inwalida, naciągnąwszy szynel na głowę, usnął w jednej chwili jak kamień i wobec tego nie mógł dać pożądaných wyjaśnień.

XII.

BÓJ O ZMARTWYCHWSTANIE.

Noc z 15 na 16 luty 1918 roku przyniosła państwowemu centralnym jeszcze jednego przeciwnika, a była nim garstka polskich legjonistów II brygady, która po „kryzysie przysięgowym“ wbrew pogładowi Komendanta Piłsudskiego — zdecydowała się na trwanie nadal, uważając związanie z Austrią za tragiczną konieczność. Dowódcą tego Polskiego Korpusu Pośiłkowego, którego głównym trzonem organizacyjnym była Druga Karpacka Brygada — był pułk. Zieliński, żołnierz bitny i niezłomny, dla którego honor wojskowy stanowił alfę i omegę istnienia, dowódcą II brygady — znany z odwagi żołnierskiej, patriota, kochający Polskę najczystszym sercem — pułk. Józef Haller, dowódcą kadry pułk. Władysław Sikorski. W gorącym przeświadczeniu, że Warszawa zawezwie kiedyś ten okrucuch wojska polskiego do współdziałania przy tworzeniu wielkiej armji polskiej, otwarto tu cały szereg szkół i kursów, rozwijając szeroko pracę instruktorską. Żołnierze śpiewali często i z upodobaniem piosenkę: „Warszawę odwiedziłyśmy rądzi!“, nasłuchując niecierpliwie wieści z dawnej sto-

licy Rzeczypospolitej. W lutym 1918 roku Polski Korpus Posiłkowy, wcielony w skład 7 armji austriackiej, stał na Bukowinie w okolicach Sadogóry i Rarańczy, oddalony o 30—40 kilom. od frontu południowo-wschodniego.

Na tych żołnierzy-patrjotów, związanych niezwykle karnością wobec przewodniej idei niepodległościowej, spada 12 lutego potworna wieść o traktacie brzeskim, przyłączającym za zgodą państw centralnych — Chełmszczyznę do nowo powstającej Ukrainy. W rękach oficerów i szeregowców pojawiają się gazety w żalobnych opaskach, gdyż cała Polska reaguje gwałtownie na ten nowy rozbiór. Rada Regencyjna wydaje swój protest do narodu polskiego. Rada Ministrów podaje się do dymisji. Rada i magistrat Warszawy rozprzestrzeniają płomienną odezwę przeciw temu nowemu bezprawiu wobec ludności Polski. Królestwo bowiem, świadome zdawna męczeństwa i wytrwałości w wierze unitów w pobliskiej Chełmszczyźnie za czasów carskich — płonie żywiołowym wzburzeniem wobec tego oddarcia ich od macierzy. Protesty Krakowa, Śląska Cieszyńskiego, Lublina, wielka manifestacja patryjotycznego Lwowa i zagrożonego Chełma nawołują wszystkie organizacje, wyrosłe z krwawej i upartej walki unitów chełmskich o wiarę, do energicznego odporu. Patrjoci polscy w zaborze austriackim, wierni domowi Habsburgów za prawa wolnościowe w Galicji, rozgoryczeni teraz jawną zdradą państw centralnych, odsyłają do Wiednia ordery, zrzekają się dworskich stanowisk, z bo-

lesnem rozczarowaniem zrywają z taktyką dotychczasowej swej lojalności.

Dławiąc się tłumioną rozpaczą — pochłaniają legjoniści oczyma protesty i odezwy jedne za drugimi. W czyjeżże duszy gorętszy oddźwięk znaleźćby one mogły i czyjeż serca rozplątałyby mocniej ten krzyk narodu, jeśli nie tych, którzy życia swe młode rzucali dla tej przyszłej, wolnej Polski na szaniec, zlewając go krwią poległych już towarzyszy?!

Jak przyptyw morza, wzbierający z początku niegłośnie — huczy, szaleje i wali łukami bryzgów w stawiające mu opór skały nadbrzeżne — zlewają się pojedyncze protesty legjonistów w szumny gwar rosnącego zeznania bezbrzeżnej krzywdy! Więc poto legjony krwawiły się przez cztery lata, by wreszcie doczekać czwartego rozbioru Polski?! — Gwoździe wbite nam do trumny zamiast zmartwychstania! — Patrzenie, koledzy! — przemawia gorąco kapt. Roman Górecki, trzymając w ręku mapę. — Oto jak idzie nowa granica Polski! Widzicie?! Przez Krasnystaw i Biłgoraj! Wykreślam ją czerwonym ołówkiem niby czerwoną, ociekającą krwią ranę! — Zdradzono nas i sprzedano! — rozlega się pomruk groźny w swej sile. — Kto wie?! — brzmia coraz bardziej wzburzone głosy. — Może teraz rozbroić nas zechcą?! Wszakże nie jesteśmy im już potrzebni, gdy pokój zawarli z Rosją i z Ukrainą?! — Wypowiedzieć im wojnę, tym zdrażliwym sprzymierzeńcom! Nie oddać im broni! — wzbiera i huczy, cichnie i rozpręża się mocą gorącości doznanego zawo-

du, krzywdy, entuzjazmu synowskiego dla zranionej matki — fala chóralnych okrzyków. Dusza wojowników płonie chęcią zmycia z siebie krwią tragedji żołnierza, który wzamian za swe bohaterstwo widzi, jak mu ćwiartują ojczyznę!

Dnia 14 lutego odbyła się w Mamajowcach msza żałobna za ś. p. majora Mężyńskiego, dowódcę bataljonu 1 p. p., który zmarł w kraju. Wokoło jego pamięci utworzyła się już legenda.

A może to była prawda, że udar sercowy po przeczytaniu warunków traktatu brzeskiego był tej przedwczesnej śmierci powodem. Wszystkim zebrany w kościele legionistom zdawało się, iż cienie poległych towarzyszy, których stracone młode życia poszły na marne — biorą udział w tem nabożeństwie żałobnem. Nastrój rósł i wzmagał się z każdą chwilą, a gdy kapelan pułkowy, ks. Panaś po krótkim przemówieniu zaintonował Rotę, mury kościoła omal nie pękły od naporu przepotęźnej, chóralnej przysięgi:

— Pójdziem, gdy zabrzmi złoty róg,
Tak nam dopomóż Bóg!

W południe dnia tego zebrali się oficerowie na tajną naradę, jak dalej postąpić należy. Myśl rzucenia rękawicy zdradzieckim sprzymierzeńcom była tak ogólna i mocna, że hasło: — Przebojem przez front austriacki do oddziałów Dowbór-Muśnickiego! — popierane jak najgoręcej przez kapt. Góreckiego, znalazło w jednej chwili entuzjastyczny poklask. Ks. Pa-

naś przedstawił plan połączenia się raczej z formacjami Michaelisa, stojącymi wedle jego informacji w Mohylowie nad Dniestrem, o 120 km od Czerniowiec, a więc daleko bliżej, niż I korpus Dowbora. Nie brakło i innych zdań. Każdy bowiem chciał ukarać Austrię stosownie do własnego poglądu, tedy major Zajac proponował marsz do Galicji, celem wzniesienia tam powstania na tyłach wojsk austriackich, zaś młody ppor. Boruta Spiechowicz wygłosił porywającą mowę: — Historia na nas patrzy!

Przed przyszłymi pokoleniami odpowiedzialni jesteśmy za czyny nasze! Uderzmy tedy w czynów stal! Nie słowem, lecz czynem wykażemy, żeśmy żołnierze polscy, spadkobiercy tylu wzniosłych tradycji! Chodźmy dziś, dziś jeszcze! Jutro może być za późno.

Rozprężyły się wszystkie twarze. Porwano się z miejsc, wołając z zapalem: — Tak, tak! Chodźmy natychmiast! — Niepodobieństwo! Wszakże plan tego przedarcia się przez front austriacki jeszcze nie ułożony! Idziemy jutro! — zdecydował pułkownik Żymierski.

Kiedy dobrze już po północy wyszli oficerowie ze skromnej leśniczówki, kwatery bryg. Józefa Hallera, gdzie opracowano najdrobniejsze szczegóły jutrzejszego bohaterskiego pochodu pod jego dowództwem — to wszyscy twórcy tej historycznej chwili nie zdawali sobie sprawy, jak wzniosłem i pięknem szaleństwem było całe ich przedsięwzięcie. Garść legjonistów przeciw ugruntowanej potędze państw central-

nych! Ale że słusznie powiedział kiedyś Napoleon: — Les Polonais éblouissent le monde entier par des actes d' héroïsme, qui leur semblent faciles, — przeto i teraz chodziło tylko o to, by wszystkie oddziały legjonowe, pokonawszy napotkane po drodze przeszkody, zeszyły się następnej nocy o godzinie 10 m. 30 u zbiegu dróg z Sadogóry i Mahali idących. Tam — przegrupowawszy się do marszu bojowego, miały one sforsować front armji austriackiej. Ryzykowność tego planu była wręcz niesłychana. Oddziały musiały bowiem przejść obok Czerniowiec, gdzie była siedziba austriackiej grupy operacyjnej, nie ściągnawszy na siebie niczyjej uwagi. Doznana śmiertelna krzywda i miłość dla Polski przypięła skrzydła legionistom. Zawrzała wśród nich gorączkowa praca. Intendentura pobrała w ostatniej chwili ekwipunek w postaci nowych butów. Marsz daleki, mrozy, a wyprawa Napoleona stawała wszystkim w pamięci. Udało się również dostać kilka milionów koron z kasy austriackiej. Austriacy nie zdawali sobie początkowo sprawy z celu tych przygotowań i żadne podejrzenie nie mąciło ich spokoju. Dowództwo polskie mówiło głośno o „ćwiczeniach nocnych“, legunom zaś śmiały się oczy i pytali chytrze:

— Panie kapral! A po ile to granatów ręcznych brać na te „nocne ćwiczenia!“ Oj, wiemy dobrze, co to za ćwiczenia z ostrem strzelaniem!

Wobec ogólnego entuzjazmu i wiary w „szczęście wojenne“ jedna tylko sprawa niepokoiła żołnierzy II brygady. Oto nie wiedzieli, jak postąpi szanowany

przez nich i kochany dowódca korpusu, pułk. Zieliński, gdy mu oświadczą o swem postanowieniu. Duchowa postać generała, symbolizująca bezwzględna cześć dla przysięgi żołnierskiej — była dla wszystkich zupełnie jasną. Wątpliwości rozstrzygnął ppułk. Żymierski, oddając komendę nad sztabem korpusu legjonów kapt. Góreckiemu i polecając mu aresztowanie opornych. Taka legalizacja zamachu ułatwiła zadanie. Kapt. Górecki wziął pluton żołnierzy, otoczył sztab i wszedł do kancelarji gen. Zielińskiego, gdzie było zgromadzonych jeszcze kilku innych c. k. oficerów. Chwila była tak poważna wobec możebności nieznanych wyników, że kapt. Górecki użył całej siły woli, aby móc wygłosić spokojnie:

— Panie generale! Legjony polskie przekroczą w dniu dziejszym front austriacko-rosyjski, aby połączyć się na tamtej stronie z oddziałami Muśnickiego. Wobec tego zapytuję pana generała, czy się z nami solidaryzuje, czy nie?!

Generał Zieliński zbladł, porwał się z krzesła i, wyciągnąwszy przed siebie ręce, krzyknął wzburzony: — Szaleńcy!! A nasza przysięga? Możecie mnie zabić, ale ja z wami dobrowolnie nie pójdę!

— A zatem biorę pana generała pod przymus wojskowy — powiedział kapt. Górecki i, dowiedziawszy się od reszty oficerów, że są tegoż zdania, co ich dowódca, zaaresztował ich również, zmuszając wszystkich do wymarszu z brygadą.

Straszna to była chwila dla gen. Zielińskiego.

Przecież i on kochał te legjony, któremi dowodził, a które — wedle jego najgłębszego przekonania — łamiąc złożoną przysięgę, plamiły honor żołnierza polskiego. Był on jednak bezradny wobec położenia, w którym nastroje żołnierskie brały górę nad siłą rozkazu. Niewysłowionem bowiem pięknem tej historycznej chwili — był ten spontaniczny odruch, jakim masa żołnierska Drugiej Brygady porwała się do zbrojnego czynu przeciw zdrażliwym „sprzymierzeńcom“. Jak żywiołowem i dojrzałem było w niej pragnienie przedarcia się „z bronią w rękę“ i połączenia z Dowbór-Muśnickim, który w oczach brygady urastał na bojownika niepodległości — niech świadczy fakt, że gdy po naradzie oficerowie wysłali patrole dla zbadania przejścia, to zastali już tam szeregowców, „wączających“, jak i któredy przebićby się można najlepiej. Traktat brzeski był zatem iskrą, padającą na gromadzone już dawno prochy.

O 6-tej wieczorem 15 lutego rozpoczął się marsz wszystkich oddziałów legjonowych w kierunku wskazanym — o ósmej ruszyły tabory i dowództwo korpusu. Żelazna Brygada wypowiadała wojnę wiarołomnym Niemcom. Napotykanie z początku drobne patrole uspokajano wyjaśnieniem o „nocnych ćwiczeniach“, ale gdy oficer inspekcyjny zwrócił uwagę na przesuujące się w gorączkowym pośpiechu oddziały piechoty i zakłady techniczne, zabrzmiały groźne okrzyki: — Halt! — na co w odpowiedzi padły strzały. Maską stawała się zbyteczną wobec

wszczętego alarmu. Zawezwany 53 pułk piechoty austriackiej dostał rozkaz zaatakowania przednich oddziałów legionowych, idących pod dowództwem i ze sztabem gen. Hallera, na wzgórzu w pobliżu Rarańczy, gdzie na cmentarzu pochowano ułanów polskich z pod znaku Wąsowicza, ze sławnej szarży pod Rokitną 1915 roku. Pierwsze starcie, pierwsze strzały i pierwsze ofiary! Niedługo to jednak trwało, gdyż kompania przedniej straży pod dowództwem kapt. Boruty Spiechowicza, poparta przez resztę 2. pułku z pułk. Łukoskim na czele — uderzyła bagnetem na rozsypane tyraljery przeciwnika, zmuszając go do oczyszczenia placu i otwierając przejście dla reszty korpusu. Za szybko sunącą piechotą nie nadążyły jednak artylerja i różne zakłady Polskiego Korpusu Posiłkowego, więc zwycięstwo to nie zostało należyście wyzyskanem. Trzeci pułk piechoty, słysząc strzały pod Rarańczą, rzucił się w bok i przeszedł nieopstrzeżenie obok wzgórza Dołżoka. Idącym z tyłu taborom i artylerji zaszedł drogę 53 pułk piechoty austriackiej i wysłane z Czerniowiec pociągi pancerne, które zatarasowały mu przejście przy zbiegu toru kolejowego i szosy. Podczas gdy w tym miejscu odbywało się rozpaczliwe ciskanie broni pod nogi Austriaków — walka przednich oddziałów dalej wrzała na szerokim froncie, aby — wedle rozkazu bryg. Hallera — strat możliwie uniknąć. Utworzono tedy grupy, przed którymi szły drobne oddziały z granatami ręcznymi, w celu oczyszczania okopów od nieprzyjacielskich żołnierzy. Noc była ciemna, mróz tamował

oddechy — posuwano się więc w ukryciu. Austriacy — co kilka chwil rozplątawali nawisłą ciemność raketami świetlnymi, zmuszone tedy były oddziały polskie do padania na ziemię w tym uciążliwym marszu i do leżenia nieruchomo tak długo, aż nie pogasły migocące nad nimi lotne światełka.

Cała potęga austriacka zwała się na tabory pułkowe, prażąc je niemiłosiernym ogniem artyleryjskim ze wzgórz Dołżoka, w przekonaniu, że mają do czynienia z całym korpusem legjonów. Żelazna burza błyskawic i piorunów z dział i karabinów maszynowych obróciła w perzynę nieszczęsne treny, a tymczasem o świcie gen. Haller ze sztabem, złożonym z kapt. Tadeusza Malinowskiego, kapt. Bajera, por. Rudki, kapt. Gniadego, znalazł się w ostatnim okopie, na ziemi żyznego Podola. Obrachowano siły. Żelazna Brygada nie zdołała przedrzeć się przez front w całości. Tylko 2 i 3 pułki piechoty, kawalerja, dowództwo i dwa karabiny maszynowe doprowadziły do celu owo szalone przedsięwzięcie. Artylerja pod dowództwem maj. Zagórskiego została rozbrojona w Sadogórze o 2-ej po północy. Tabory częściowo wybite, częściowo wzięte do niewoli. Kasa brygady pochwycona przez Austrjaków.

Druga Brygada przepołowiła się. Jedni z kapt. Góreckim i ks. Panasiem — jako jeńcy wojenni, zbrodniarze wyjęci z pod prawa, oskarżeni o zdradę stanu — poszli do obozów węgierskich w Huszt, Szaldobas, Dubfalwa, Seklanca, do więzień w Kołomyi i Marmarossziget — drudzy, połykując orłami

polskimi, wędrowcy i tułacze podobnie jak one — dążyli w stronę Chocimia, targani naprzemian to nadzieją, to zwątpieniem wobec rozbicia sił, braku artylerji i pieniędzy, wobec zamglonej i tajemniczej przyszłości.

XIII.

PRZED WEJŚCIEM AUSTRO-NIEMCÓW.

Zawarcie traktatu brzeskiego stało się już wszystkim wiadomem, a pomimo to i wbrew faworyzowanemu hasłu: „Wojna — wojnie!“ — rozgorzała piekielna wojna domowa. Przyszły dni, kiedy w paroksyzmach podzwrotnikowej śmiertelnej febry — złowrogi spokój zmieniał się w szarpiący nerwy żar bratobójczej walki. Bolszewicy bombardowali Winnicę, siedlisko nowych władz ukraińskich. Całemi nieraz nocami pod światłem zimno błyszczących gwiazd wyjące tony nadlatujących z poza obrębu miasta i pękających w jego murach szrapneli wstrząsały powietrzem, wwiercając się przenikliwie w obolały słuch zmęczonych bezsennością mieszkańców. Do pokoju braci Rożańskich nie zjawiał się również tak upragniony przez wszystkich sen. Przy dźwiękach bolszewickich pocisków — bum!.. wjiii! — wśród gdakającego: ta-ta-ta-ta karabinów maszynowych w mieście, obaj Rożańscy spędzali te „białe noce“ na długich rozmowach z Franciszkiem Kozakiem, który im opowiadał przeróżne przygody wojenne:

— Byłem wywiadowcą, panie. Często, bywało, mój

pułkownik posyła mnie na tamtą stronę, przez okopy, panie! Między Niemcami reflektor gasić! To i co?! Podkradałem się i... jak kazał zgasić — kiwnął głową — to zgasilem!

Mawiali dużo o Polsce. Jak to tam jest?! Czy to nowy okres władania obcych, czy też istotnie skrawek niepodległości narodu?! Piotr Rożański unosił się nad Piłsudskim: — Zupełnie jak Garibaldi — Nawet z djabełem, byleby Włochy zjednoczyć! A ten — toż samo zaaplikował do Polski! I przytem — czyż nie lepszy narazie wróg kulturalny od Wschodem przesiąkniętego barbarzyńcy?! — Młodszy brat przeżył temu gorąco:

— Niemiec stokroć dla nas groźniejszy! Kultura pociąga i chłonie, a nad Moskałem duchowo panować będziemy. Jak możesz spodziewać się od krzyżaków dobra dla Polski?! Wierzę we Francję. To naród wspa-
niałomyślny, pokrewny nam duchem i tylko od nich przyjść może uznanie niepodległości naszej.

— Wspaniałomyślny?! — sarkał niechętnie pan Piotr. — Tak... Somo-Sierra i San-Domingo są tego dowodem!

Mały inwalida ręce rozkładał w ciemności, czyniąc zupełnie zdecydowane ruchy: — Prać ich, panie, prać te juchy! I przepędzić, gdzie pieprz nie rośnie! Bo czy moskiewski jucht, czy niemiecka pomada — to wszystko jedno w nosie paskudnie śmierdzi!

Starszy Rożański klepał go po ramieniu przyjaźnie:

— Kochany panie Franciszku! Zupełnie tak samo myśli Piłsudski! To jego przymierze z Austriakiem

takie pozorne jak przyklejona do buta podeszew! Skoro tylko przemoknie — odpadnie samo! Najlepszy dowód, że już zapakowali go do Magdeburga!

— Więc pocóż szedł z tą swoją garstką legionistów przeciw prądowi?! — nacierał uporczywie pan Stefan. — Przecież wiadomo, że przygniatająca większość polska w Kongresówce i tu, na ziemiach ukraińskich, stoi po stronie ententy. Taki czyn zbrojny Polaków na korzyść państw centralnych ukuty, grubo może zaważyć w psychologii zwycięzców! Zaważyć — in minus. To się samo przez się rozumie.

— Posunięcia Piłsudskiego nie są tak łatwe do wytłumaczenia — wygrywał swój atut wierny zwolennik „Komendanta”. — Straciłem z nim i z całą naszą paczką kontakt od czasu okupacji niemieckiej, ale to ci mogę powiedzieć, że zawsze i nieodmiennie na dnie jego wszystkich poczynań — leżała sprawa niepodległości Polski!

— Socjalizm i polskość! — unosił się gniewem pan Stefan. — Możesz ty — być takim wyjątkiem, ale ogół nigdy! Przecież teoria socjalizmu wyklucza wszelką narodowość! Gadaj zdrów, a ja w patriotyzm socjała niewierzę!

Gdybym ci mógł wyliczyć wszystko, co te socjały obmyślają i czynią, inaczeybys śpiewał — bronił pan Piotr swojej idei, nie podnosząc o jeden ton głosu. — Ale to są wszystko, a raczej były — rzeczy zakonspirowane. Kiedyś wyłuszcę ci to od „a do zet” i pewien jestem, że zmienisz zdanie.

— Wątpię — mruzczał oponent przeciągle, mu-

skając odwróconą dłonią swoje małe, puszyste wąsiki, co zwykł był czynić, gdy ktoś stawał doń jeżem.

Pewnej nocy wszyscy trzej uderzeni zostali rytmicznie gasnącem i ponawiającem się światłem. Wyjrżeli przez szyby zamkniętego okna. Na najwyższym piętrze czteropiętrowej, zmienionej na szpital Czerwonego Krzyża kamienicy, którą następnie zajął bolszewizujący oddział karabinów maszynowych, — zapalała się i gasła w miarowych odstępach elektryczna lampa.

— Sygnalizują — wydał stanowczą opinię pan Piotr. — Dają znać swoim kolegom za miastem, jak się przedstawia sytuacja obronna Winnicy. Dobrzeby było splatać im figła i przeciąć nieznacznie elektryczne przewody. Co, panie Franciszku? Jak się to panu podoba?!

— A no cóż?! Jak pan mówi że trzeba, to pójdę — kiwnął głową — i przetnę! — wypalił z obojętną determinacją zahartowany już w powikłaniach wojennego rzemiosła żołnierz. Wciągnął na siebie leżący tuż na posłaniu, szary szynel, nasadził z czoła, na czubek głowy, sążnistą „papachę“ i wyszedł z pokoju jak na przechadzkę.

Bracia patrzyli uporczywie przez szyby. Światło migąło jeszcze czas jakiś, poczem naraz zagasło i już się nie rozelśniło.

— Prawdziwie żołnierska dusza w tym mizeraku! — unosił się pan Stefan z zachwytem. — Ta nieustająca gotowość do dania życia dla zwycięstwa nad wrogiem — to właśnie ów rdzeń bohaterstwa, który sprawił, że możemy się szcycić Grunwaldem,

Kircholmem, Wiedniem, Częstochową z księdzem Kordeckim, porywającą Chrzanowską, tysiącem walk i rycerzy, którzy samoczwart nieraz spadali tak niepomowanym pędem na liczniejszego o wiele przeciwnika, że wybijali wśród niego szerokie drogi! Twój Franciszek Kozak, mój bracie, to kość z ich kości i krew z ich krwi!

— Co za zdania! Demokratyzujesz się, szlachcicu na zagrodzie, równy wojewodzie! Byleby tylko powrócił szczęśliwie ten niepoczesny bohater! — niepokoił się szczerze pan Piotr. Wyczekiwanie jednak trwało niedługo, albowiem wkrótce dźwięknęła poruszona kłamka i mały żołnierz, strasznie jak zwykle z pozoru wyglądający, ukazał się w pokoju. Niedbaly ruchem zrzucił z ramion szary, zniszczony szynel i na okrzyk zadowolenia obydwóch braci odpowiedział jędrnym wyjaśnieniem przebiegu swej ekspedycji:

— Wcale nie było trudno! Ja tam wszedł do tych koszar, gadał z towarzyszami, gadał, rozglądał się po sali, a potem poszedł w jeden róg, przeciął druty (kiwnął głową) i wrócił. Oo! Słyszysz pan jak Lenin kaszle?! Oo znowu! Na ulicy strzelają! Oo! Podwójne szarpnięcie! To karabiny tak się zagrzewają, bo teraz próżniaczyć nie wolno! Zaczyna być gorąco, bo od żołdatów dopieruteńko słyszałem, że Niemiec się zbliża. A bolszewiki grożą, że jeżeli oddadzą Winnicę, to wysadzą w powietrze Sąd Główny. Groch z kapustą, panie! Bolszewiki za miastem, bolszewiki w mieście i rządy ukraińskie...

— I Komitet Walki z Anarchją — dopełniał ironicznie pan Stefan, — i dowódca siły zbrojnej rosyjskiej i komisarz powiatowy i prezes-chłop Ziemelnego Komitetu i przedstawiciel miasta — sędzia ukraińiec! Jest kogo słuchać, brak tylko ochoty!

— Gdzie nianiek sześć, tam dziecko nie ma co jeść! — zacytował ochoczo kontrrewolucyjnie nastrojony i nasrożony inwalida wojenny.

Ale pan Piotr poruszył się mocno zapowiedzią wysadzenia w powietrze Sądu Głównego i nazajutrz z rana Franciszek Kozak poszedł tam z własnej woli, aby się naocznie przekonać, czy istotnie zasnuło wnętrze tego budynku lontami Beackforda. Tym razem powrócił szybciej niż go oczekiwano i od progu już wołał, gestykulując z podnieceniem:

— Zasnuło! Zasnuło! Gdzie okiem rzucić! A to psie juchy, deputaty sobacze! Amunicji całe stopy tam leżą! To dopiero byłby fajerwerk, że niech ręka Boska uchowa! A pan wie?! Szedłem teraz ulicą i obok mnie zabili wystrzałem staruszka. Czołem wyrznął w kamienie i kaput! Jakby nie było człowieka! — kiwnął głową.

— Bój się pan Boga! I za co?! Jakimże trafem pan tak szczęśliwie ocalał?!

— Tamten im się lepiej podobał! — i Kozak wzięwszy się pod boki, nastawił takiego marsa, że przy swej poparzonej gazami twarzy wyglądał istotnie bezwąt্পienia mniej pociągająco, niż ów, zabity przed chwilą staruszek. Bracia uśmiechnęli się mimowoli, co wywołało nagłe odprężenie niemiłosiernie

naprężonej atmosfery, a żołnierz, opierając się obu rękami o stół, przy którym siedzieli — rzekł tajemniczym półgłosem:

— Ja panom coś powiem. Za rogiem naszej ulicy leży zabity duży, kudłaty pies. Jeszcze za Kiereńskiego ktoś go machnął i wszystkie władze przeleżał. Ja go już nieraz nogą trącałem. Pies, czy bies?! Wszystko się zmienia, przekoziółkował i Kiereński i Tymczasowe Prawlenije (rząd), a ten — jak się bokiem sparł o kamienie, tak ani drgnie, bestja! W tem coś jest nieczystego! Ksiądz wujko schlastałby mnie za te słowa, ale owa! Co szkodzi djabłu ogarek postawić? To ja sobie tak myślę, już nie od dzisiaj, żeby to kudłate ścierwo do rzeki zaciągnąć i spławić, do licha?! Co?! Możeby razem z nim i zło, co nas morduje, przepadło! Tfu! Zgiń, szczeźnij maro! — kiwnął głową.

Pan Piotr rozśmiał się na cały głos i tylko ramionami wzruszył jako wymowna, choć niema odpowiedź, ale pan Stefan porwał się z krzesła i wykrzyknął potakująco:

— Pochwalam tę myśl. Nie śmiej się, Piotrze! Są rzeczy na niebie i ziemi, o których ani się śniło takim jak ty filozofom! Idziemy, — już się ubierał z żywością. — Gdzie jest postronek? Dobrze. A czy dość mocny? Świetnie. Chodźmy, panie Franciszku! Jeden w wytartym szynelu, drugi w ohydnej katance! Dwa bolszewiki! I to z tych przednich numerów! No, w drogę. Pętla na łeb — i w fale Bohu wpadnij, zły losie! — Wyszli z pokoju, rozmawiając jak dwaj ro-

zumiejący się wyśmienicie współnicy, a rada Franciszka Kozaka okazała się zbawienną wprost w skutkach, gdyż w parę dni później o świcie nastąpił tak nagły przyjazd Austro-Niemców od Berdyczowa, że bolszewicy, nie mając czasu na wysadzanie budynków, zdążyli tylko zabrać klucze od safes'ów bankowych i ulotnili się jak kamfora. Komisarz przy armji, Srul Edelsztejn, mieszkający wraz z siemionowcami i całym sztabem w Sądzie Okręgowym, — czmychnął zeń wąskotorówką na Hajsyn, unosząc z sobą, jako najcenniejszy depozyt, wszystkie wolnomyślne teorje i hasła. Nowa era — okupacji niemieckiej — zawisła jak tajemniczy znak zapytania nad przeżartym wynikami rewolucyjnego okresu nieszczęśliwym krajem.

XIV.

POWRÓT DO STARYCH KĄTÓW.

Wartki czas poruszał dalej miarowo żarna prze-
mielające rozliczne wypadki. Wkrótce po ustaleniu
się władz wojskowych austriackich w Winnicy, pan
Piotr uzyskał od nich prawo przejazdu do Warszawy
i pojechał natychmiast, aby w pierwszej mierze upew-
nić się co do losu odciętej odeń przez tyle mie-
sięcy rodziny. Oczywiście — zabrał z sobą nieod-
stępnego Franciszka Kozaka, który chociaż pragnął
najszczerzej „uściskać stare matczyisko i buchnąć
w rękę księdza wujka“ w Warszawie, ale pałał po-
nadto niepohamowaną żądzą wstąpienia w szeregi
„wojska polskiego“ tam — w Polsce. „Gnać nie-
mieckich mądrali, co suną nosa do cudzego prosa!“ —
taka była polityczna „platforma“, otrzymanego po-
dobnie jak Stanisław Wielądek z rewolucyjną gwarą,
nie poddającego się wszelako jej destrukcyjnym wy-
mogom — małego inwalidy. Napróżno pan Piotr prze-
konywał go, że wobec nieustannego wahania się wo-
jennego szczęścia — takie ostre stawianie kwestji,
choć pożądane, jest co najmniej przedwczesne. Oczy
żołnierza, tak poczciwie zwykle patrzące, nie traciły

ani przez chwilę w czasie tej łągodzącej przemowy — uporczywości drapieżnego wyrazu. Pan Stefan po odprowadzeniu brata na dworzec kolei i mocnym z nim, acz krótkim pożegnalnym uścisku, podał dłoń inwalidzie:

— Pomyślnej drogi, panie Franciszku! A tam — w Warszawie, jak najprędszego spełnienia marzeń! — tu ręką uczynił wymowny gest zaciągania pętli na szyję i odrzucenia spętanej istoty gdzieś wdał, przy czem po łobuzersku klasnął językiem.

— O to to! — żołnierz kiwnął głową, prychnął zadowolonym śmiechem i ustawiwszy kuferek starszego Rożańskiego w wagonie II klasy na siatce, popędził zwinnie wyszukać sobie jakiś kącik w nabitym wprost podróżnymi „trzeciaku“ (III klasa).

Nazajutrz z rana pan Stefan wynajętym chłopskim wozem ruszył w drogę do Lityna. Ciepłe promienie słońca omiatały pośpiesznie z pagórków i pól lżejsze warstwy naniesionego przez zimę śniegu, ukazując miejscami czerniejące plamy zoranych ugorów, lub też ciemną, jakgdyby pawią zieloność jesiennych ozimych zasiewów. Nad głową niosły się wdał krakania przelatujących chmarami kruków i wron. Koła wozu dudniły po zamarzniętej drodze, grzęznąć niekiedy z chlupotem w odtajałym tu i tam lodzie. Kapryśny marcowy dzień zapowiadał się pięknie i jadący Rożański wchłaniał całą pierśią rzeńskie prądy przepajanego słońcem, chłodnego jeszcze powietrza, odczuwając jednocześnie zalew radosnej, mocnej otuchy.

— Nie rozdziobią nas kruki i wrony! — przewijało się mu przez myśl nakształt protestu i silnej wiary zarazem. — Najgorsze zostało za nami! Bolszewików wymiotło za Dniepr, a Niemcy zgniotą tu zaraz anarchję! A teraz — korzystać z każdego momentu i brać się z zapalem do odbudowy całokształtu leżących przed nami zadań!

Terkotliwy łomot kół po bruku lityńskim przypomniał mu podobne zupełnie słuchowe wrażenie cztery miesiące temu wstecz, gdy z trzema oficerami i Danilczukiem na koźle wjeżdżał do małej miejsciny jako bezdomny zbieg z pod własnego dachu. Nowa fala wzruszeniowego uczucia przypadła mu do gardła, wywołując nagle rozgłośny okrzyk:

— Teraz inaczej! Hu ha! Hejże ha!!

Chłop na koźle odwrócił się ze zdumieniem:

— Szczo pan każut?! — zapytał, popatrując z zaciekawieniem na dziwacznego podróżnego.

— Nic, nic! — pan Stefan śmiał się wesoło. — Jedź teraz na prawo, potem zawrócisz na lewo, potem już prosto przed siebie, a skoro zobaczysz mały dworek pod zieloną blachą, to stań.

W niewielkiem oknie przysadzistego, białego domku mignęła w kuchence napół odwrócona ciekawie głową do szyby postać siedzącej na ławie Nastasi. Przejeżdżający Rożański dojrzał jeszcze przez mgnienie oka jej gwałtowne porwanie się z miejsca i klaśnięcie w podniesione do góry dłonie — poczem wóz się zatrzymał przed naiwnym w budowie drewnianym gankiem dworeczku. Nie upłynęło minuty,

gdy odskoczyły pchnięte od wewnątrz drzwi wejściowe i wyleciała z nich pędem rozpromieniona Nastasia:

— Ce pan?! Ce pan?! — w tych okrzykach brzmiało zdumienie, radość i podkreślana natarczywość pytania, nie wierzącej własnym oczom kobiety. Sława Bohu! Sława Bohu! — przytuliła raz po raz czerwone jak koral usta do ręki pana Stefana, to znów podnosiła nań piwne, śmiechem tryskające oczy. — Chwałyty Boha, że pan szczęśliwie do nas wrócili! A ja się tutaj tak napłakała! Bo to mówili wszyscy, że bolszewiki wszystkich het, panów w Winnicy porznęli!

Złotowłosy Staśkó, który wśladał za Nastasią wyskoczył z ganku i cisnął się również do ręki „pana“, wołał z rozradowaniem:

— A czyja prawda?! Ja zawsze wszystkim powiadał, że nasz pan nie da się zarznąć jak cielę! Ho, ho! Chwała Bogu — pan znowu z nami!

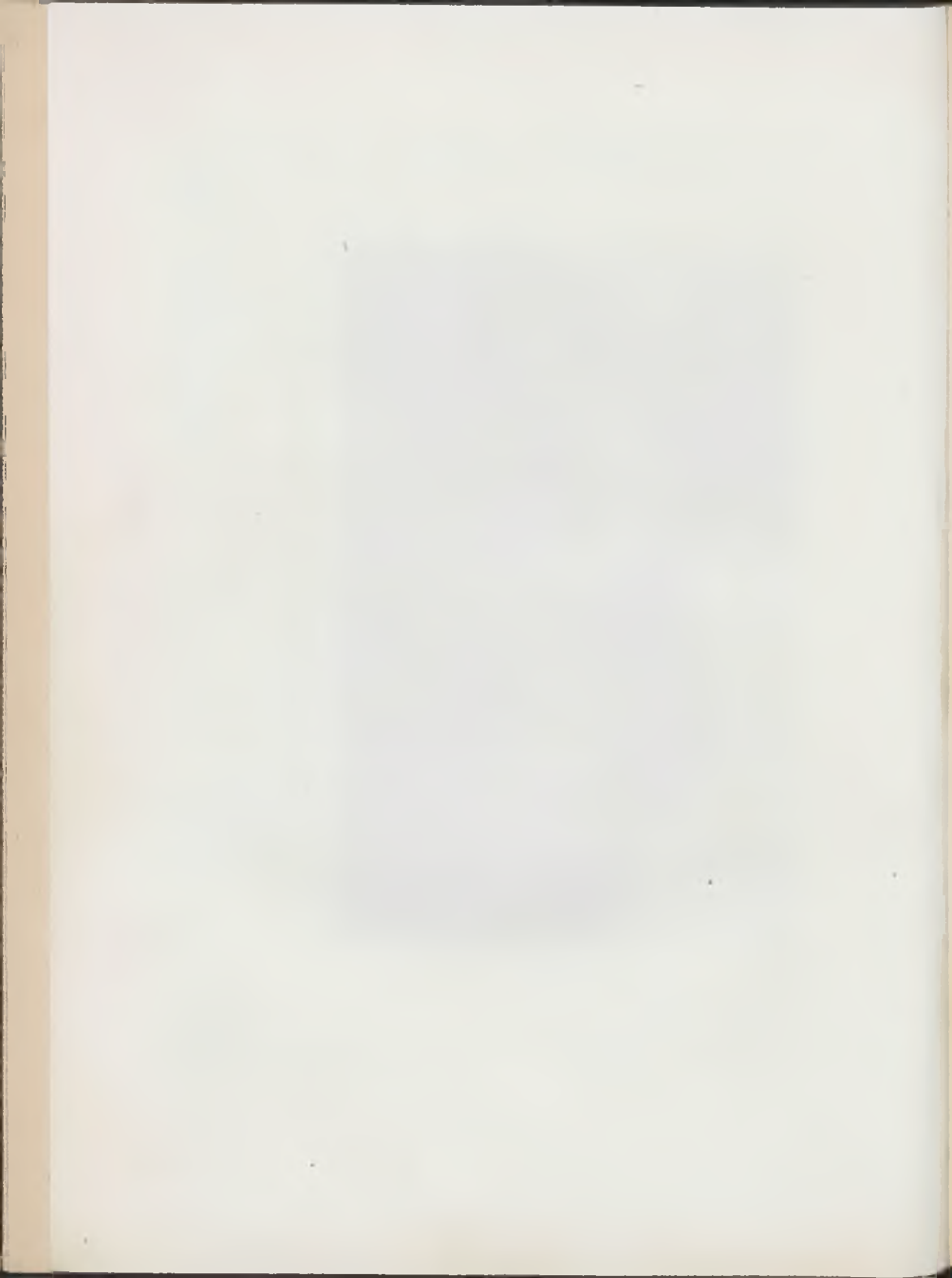
Na turkot wozu i pełną radości wrzawę, wdowa po weterynarzu wytknęła pośpiesznie głowę przez otworzony lufcik i — na widok pana Stefana krzyknęła grubym, acz pocziwym nad wyraz głosem:

— Winszuję panu szczęśliwego przyjazdu! Bóg łaskaw dla dobrych ludzi.

— Dziękuję pani! — odkrzyknął wesoło Rożański, pochylając się jednocześnie z wozu i całując w głowę Nastasię i Staśkó — poczem jął ich przewiercać świdrującem nawyłot spojrzaniem i rzucał szybko:



Dwór w Szamrajówce Stefana Rożańskiego



— Dwór?!

— Stoi!

— Folwark?!

— Na miejscu!

— Meble, inwentarze?!

— A jest tam tego po chłopach!

— Wi-wat! Żyjemy! — huknął Rożański tak przenikliwie wibrującym tenorem, że chmara ćwierkających i skaczących na dachu wróbli — pupilów sypiącej im codziennie okruszyny Nastasi — zerwała się w okamgnieniu do lotu i odfrunęła na niedalekie drzewo. Wdowa po weterynarzu wydała znów z okazałej piersi skwapliwe, basowe tony:

— Szczęść Boże! Szczęść Boże we wszystkim!

Staśko i Nastasia wlepili rozradowane oczy w twarz pana Stefana, a ów zamarł na wozie przez chwilę w przepajającej go szczęśliwości. Widział jakby na jawie, kołyszące go zawsze do snu, wiekowe, drzewne grzywacze i bielejące wśród nich niewielkie, drogie swoje domostwo. Czuł się nieledwie dzieckiem wracającym ze szkół do domu — młodym studentem, jadącym na ferje świąteczne. Nad nim — szare do niedawna, zimowe niebo, pociągnięte było świeżym, wiosennym pokostem, głębie powietrzne ocieplały się coraz bardziej pod wpływem nasycających je promieni słonecznych i także pęki promieni padały nań z oczu obecnych, tylko właściciel wozu i koni, chłop z pod Winnicy, przypatrywał się wszystkiemu z podębą. Twarz jego była zamknięta na siedm

pieczęci milczenia, ale wyteżony mózg kombinował przebiegle i nader logicznie wedle nowych etycznych wzorów:

— Jakijś bohatyj pan! Uciekł od bolszewików, a teraz wraca do siebie. Niemiec przyszedł pomagać im wszystkim, czortowym dzieciom! A ziemi to ma na pewno sam jeden tyle, co cała gromada na wszystkich w jego majątku! Czy to po sprawiedliwości, czy nie? Ha?! Batuszka w cerkwi naucza: Szukajcie prawdy u Boga! A bolszewik w łeb wkuwa: Rób sprawiedliwość ot temi, własnymi rękami! I ja to wolę! A gdzie ta prawda popów i ksiondzów?! Tylko takie bałwany, jak te, co przy wozie stoją, cieszą się ze starego porządku. Ot, durne! Śpieszno im głowy pod jarzmo podawać! A szczob was zadżumyło, pański pidłyznyki! — oczy jego spoczywały podejrzliwie na krzątających się przy zdejmowaniu z wozu „pańskich“ pakunków Nastasi i Staśku.

Rożański podniósł się szparko z siedzenia i skoczył sprężyć się na ziemię. Mdlejący wietrzyk poniósł wdał jego przelotną wizję, a poczucie rzeczywistości przeszło go z całą mocą.

— Nastasia! Masz obiad?! Tęskno mi do twego barszczu i kaszy.

— Jest, prosze pana! Dopiero mieli my ze Staśkiem do jadła się brać, kiedy pan przed ganek zajechali. Jest barszcz ze słoniną i kasza hreczana i jeszcze pampuszki z czosnkiem, bo to dla gościa, prosze pana! Staśkó wczoraj wieczór przyjechał!

— Bodaj to taka serdeczna gościnność! Nakarmże,

pamiętaj, i mego woźnicę. — Pan Stefan poklepał ze śmiechem po ramieniu spłonioną nagle kobietę i wszedł przez ganek do swego mieszkania. Tu, na progu niewielkiej jadalni złapał go tłustemi łapkami za burkę synek Nastasi, Mychałko :

— Pan! Pan! Cukielka! Cukielka! — dopominał się natarczywie, wisząc nieledwie na burce.

— Zapomniałem o tobie! Niema cukierka, ale pójdę po obiedzie na miasto i przyniosę ci ogromną torebkę karmelków! Dobrze? — Rożański głąskał malca po głowie, ale Nastasia strzepnęła małe rączki tak energicznym ruchem jakgdyby to były natrętne muchy :

— Nie dokuczaj panu! Niegrzeczny chłopiec! Pan dopiero co przyjechali, jeść im się chce, a ty tu będziesz jakieś cukierki wypraszał!

Bęben nieczęsto się snadź spotykał z tak krańcowym sposobem postępowania, gdyż z miejsca uderzył w krzykliwy płacz, wtulając jednocześnie głowę w spódnice matki.

— Cyt! Zamowczy! Czoho rewesz?! — na dobre już rozgniewana Nastasia tupnęła na malca nogą. — Bacz, Staśkó! — zwróciła się do idącego przez pokój z kuferkami w ręku chłopaka. — Pan dopiero szczo poroh jidnoj nohoju perestupyły, a tut zaraz słozy ljutsia! Kiepski początek!

Poskromiony Mychałko chlipał sobie cichutko, pociągając od czasu do czasu umorusanym noskiem, a Staśkó rzucił w przelocie niedbale :

— Babskie zabobony, taj hodi! — i przyspieszył

kroku, albowiem doleciało go niecierpliwe wołanie z sypialni:

— Dawaj wodę na ręce, a potem obiad — galopem!

W parę chwil potem pan Stefan siedział już przy jadalnym stole i dorwawszy się do niewidzianych dawno, faworytalnych swych potraw, zajądał ze smakiem. Para młodych stanęła naprzeciw niego, gotując się do ciekawych wyjaśnień i pytań.

— O to się pan dopiero ucieszy — zaczął Staśkó rozważnie i wolno, — jak ja panu taką nowinę powiem, że delehaty z Szamrajówki przyjeżdżali tu po pana, będzie już pewno tydzień temu! W sobotę to było, czternastego tego miesiąca. Jak dziś pamiętam!

— Po mnie?! I czegoż chcieli?! — Rożański przestał jeść i zawisnął wzrokiem na ustach chłopca.

— A żeby pan do domu prędzej wracali! To było tak, prosze pana — kwapił się wprost do celu Staśkó. — Jak tylko Niemiec wszedł, to zaraz muzyki pomiarkowali, szczo win pryjszoł za chlibom dla sebe i paniw boronyty, taj perelak lih na wsich! Starsi zwołali schod, gadali, namawiali, aż poreszyły:

— Dwór wymieść, porządek zrobić, wszystkie meble, co po chatach przed napadami schowane — postawić na miejsce, zboże i inwentarze, co chłopci do siebie zabrali ze strachu przed żołdatami — spisać na dużym papierze — po pana pojechać i przywieźć! — żeby Niemiec ani pomyślał, borony Boże, że my pogromami, taj złodijstwowm się zajmowali!

— A ja sam do domu wrócę! — wyrzekł z pro-

stotą pan Stefan. — To chleb z naszej mąki? Nieprawdaż, Nastasiu?

— A jakże! Tyle panu tego wszystkiego w jesieni nawieźli, że ani my przejść nie mogli! Część ja dobrze schowała, a część stała w spiżarni i żeby mnie kto kiedy zaczął: — Oddaj! — Ani ni! Takie już panowe szczęście, a może i na dziecko tak uważali. Bo te bolszewiki, prosze pana, strach jak na dzieci dobre! — paplała śpiesznie Nastasia, podczas gdy Różański podniósł do ust krajankę ślicznie wypieczonego, czarnego chleba i przed spożyciem dotknął jej wargami, jakgdyby chciał tchnąć podziękę w ten symbol pracy rąk ludzkich i rodzajnej mocy ukochanej, podolskiej ziemi, poczem — przemknąwszy spojrzeniem po dwóch młodych, dorodnych postaciach — musnął filuternie ręką puszyste wąsiki i wręcz postawił pytanie:

— No, a kiedyż wasz ślub?!

— Staśkó zerknął bokiem na oblaną naglewarem gorącej krwi kobietę i sypnął na nią pękiem niemniej figlarnych jak i jego „pana“ iskierek wzrokowych, a Nastasia straciła przez chwilę mowę.

— Kiedyż ja nie wiem, prosze pana, jak tam z Pyłypem! — wybąkała wreszcie niepewnie. — Ani słowa nie pisze... Może w plen (niewolę) wzięli... A zawsze to ojciec detyny...

— A ze mnie — to zły będzie ojciec?! — Staśkó skubnął zuchowato skąpe jasne wąsiki.

— Zły nie zły, ale — nie ojciec prawdziwy! — i młoda kobieta pod obstrzałem nie spuszczaających

z niej oczu dwóch mężczyzn, zapłonęła powtórnie jak róża i poskoczyła ku drzwiom od kuchenki, zamykając je za sobą z hałasem.

— Czupurzy się baba, czupurzy, a niewiadomo dlaczego? Ot, babskie ceregiele — zakonkludował Staśko z imponującym spokojem.

— Słuchaj no, ty urwisie! — zakrzyknął pan Stefan ze śmiechem, odkładając na bok łyżkę i biorąc się zawadjacko pod boki. — Przyznaj mi się zaraz, jak na spowiedzi: Już po harapie! Co?!

— Ano niby tak! — odrzekł wesoło chłopak, podchodząc bliżej i całując „pana“ w rękę, poczem wyprostował się w całą wysokość swej gibkiej, topolej postaci, a błagalny ton wypowiedanych przezeń słów nie godził się jakoś z poprzednią miną triumfatora:

— Proszę pana! Ja taką mam do pana prośbę, że aż sam nie wiem, czem i jak odslużę, jeżeli pan mnie z tej biedy wyciągnie! Niech pan zmiłuje się i napisze do sztabu Awstrijców w Winnicy, czy niema tam gdzie u nich tego Pyłtypa w plenu?! (w niewoli) — całował znów Rożańskiego w rękę. — A jak odpowiesz przyjdzie, to będzie po Bożej woli: Albo on jest ubity, to wieczna jemu pamięć, albo żyje do plenu zabrany. To ja już wtedy na swoje sumienie ten grzech wezmę, prosze pana, i powiem Nastasi, że „przepadł bez wieści“, taj hodi! Niechby już raz ten ślub był, bo i poco on do niej ma wracać?! Na drugie chrzciny, czy jak? A ja — to co? Kto teraz ojciec — on, czy ja?! A Mychałka za swego wezmę

i spokój! Chazajstwo, prosze pana, przepada, bo ja tylko do niej tu jeżdże i jeżdże, a stara Martyniuczka co ja ją z litości do siebie przygarnął, siły już nie ma do takiej roboty. A Nastasia — to dopiro chazajka! To złoto, nie baba! — zachwycał się Staśko gorąco, a w chabrach oczu błysnęły płomyki niedawnych lubych, miodowych wspomnień.

— Dobrze. Napiszę — zgodził się chętnie Rożański. — A jakby już tak koniecznie trzeba było, to ty — bierz grzech łgarstwa na duszę, a ja wesele wam sprawię, bo innego wyjścia nie widzę. Kaci wiedzą, jaki ten Pyłyp powróci, jeżeli nawet śmierć go na wojnie nie weźmie i czy zechce się żenić z Nastasią, a biedną kobietę znowu na śmiech podejmy i to wszystko za tę serdeczną gościnność dla tego huncwota! — głową wskazał na słuchającego go z modlitewnem przejęciem Staśka. — Nie dziękuj chłopcze! Wiem, że będę miał w was najwierniejszych przyjaciół! Nieprawdaż? — pan Stefan jakimś opiekuńczym ruchem położył dłoń na ramieniu pochylonego doń młodzika, którego niebieskie źrenice nalane były po brzegi ciepłą falą mocnego dla tego „pana“ uczucia.

— Tak, tak, prosze pana! Na pewno! Aż do śmierci my panu za wszystko wdzięczni będziemy! A i teraz ja zapomniał panu powiedzieć, dlaczego do Lityna wczoraj przyjechał! Nastasia — Nastasią, a ja sobie postanowił do Winnicy Bakłarzanami i wozem się dostać, do brata panowego mieszkania i tam się prawdy o panu dopytać, bo już w głowie, jakby

w młynie huczało od tych wszystkich ludzkich brechni i strachów!

— Najgorsze — za nami! — rzucił lekko Rożański. — Wspaniałe pampuszki! Dobrze mówisz, Staśku: To złoto, nie baba! Smacznie podjadłem — odsunął talerz i wstał. — Chodźmy do Bakłarzanów. W stajence tu stoją? Co? Siana jeszcze starczyło? Jutro, skoro świt, w drogę — do domu!

Wjazd gospodarza do rodzinnej wsi mieścił w sobie tyle swoistego, patryarchalnego zacięcia, że patrzącemu nań zdawało się przypominałyby się z wszelką pewnością owe miłe, nieco naiwne ilustracje do Śpiewów historycznych Niemcewicza, które rzeźbiły obrazy przeszłości w duszach całych pokoleń. Ze wszystkich prawie chat wylatywali z rękami wzniesionymi do góry na znak impulsywnej radości — poważni, sędziwi chłopcy. Krzyk bab — tych z blaszanych dachów jak również tamtych, z pod słomianych strzech: — Pan wernułysia! Pan jidut! — biegł naprzód niby cwałujący na powietrznej fali patrol, który zaczepiając o kominy i dzwoniąc w szyby wypędzał wszystkich mieszkańców z wnętrza izb na szeroką wiejską drogę. Niby jakiś nowy Stefan — Odnowiciel jechał Rożański noga za nogą wzdłuż dwóch szeregów chat, a kupa ludzi przy wozie rosła i poszerzała się z każdą chwilą. Aleksander Martyniuk, Łukjan Danilczuk, Hrehorko Waruszczak i Iwan Ditiuk szli z obu stron najbliższej do swego „Stefana“ trzymając się jedną ręką półdrabka, a drugą wymachując z ferworem w miarę zachodzącej potrzeby

w opowiadaniu. Powożący Staśkó i siedząca przy jego boku z Mychałkiem na kolanach Nastasia mieli twarze rozpromienione, a miny triumfatorów. Chmara dzieciaków, wykrzykujących na różne tony dla dodania sobie kurazu i uczynienia jeszcze większego zamętu: — Dywy! Dywy! On — pan jidut'! Zdrowstwuje! — uświetniała okazałość tego pochodu, gdy nagle gdzieś z boku ostre, szydercze gwizdnięcie przeszło raz i drugi powietrze. Mówiący w owej chwili Aleksander Martyniuk wstrząsnął się z oburzeniem, odwrócił w mig głowę i bystrem, gończym spojrzeniem jął wyszukiwać winowajcę wśród tłumu. Za jego przykładem poszli wnet inni, ale niktby nie zdołał wskazać ręką zuchwalca, do tego stopnia twarze, nie przyłączającej się do powitań gromadki parobków i chłopów — wyglądały jak obojętne, niezapisane k^r. Staśkó wstrzymał na chwilę konie i stanął na wozie z batem w rękę, wpijając pociemniałe od gniewu źrenice w gromadę domniemanych wrogów, a w sercu pana Stefana obudziła się z nową siłą ściskająca je przez tyle miesięcy — niepewność.

— Źle. Przerachowałem się wierząc, że bolszewików wymiotło za Dniepr! Jad ich doktryny pozostał tu, na miejscu. Nie mamy rządzącej partji — nie brak zato będzie bolszewików wewnętrznych! — myślał ze swykłym sobie darem rzutkiego orjentowania się zawsze i wszędzie. — Jedź dalej, Staśku? Czego stanąłeś? Przecież wiesz, jak mi śpieszno do domu! — uśmiech nie schodził ani przez chwilę z warg Rożańskiego, a pogodne oczy nie prześwie-

tlały ciężkich, tajonych na dnie duszy wątpliwości i obaw. Za plecami ruszającego się znów wolno pochodu padły jeszcze parę razy gwizdania i wściekły syk nienawiści, ale jakgdyby za wspólną, cichą umową nie zwracał już na to nikt swojej uwagi i przeważająca większość chłopskiej gromady doprowadziła „pana“ do progów świeżo wybielonego gniazda.

Z kredensu wypadł przez ganek Onyśko i krzyknąwszy z niesłychanem zdumieniem: — Bacz?! To pana todi smertonoscy ne ubyły?! — przymrużył jedno oko, roześmiał się na całe gardło, wypadł do wozu, buchnął pana w rękę trzy razy, pochwyił kuferki i wraz z niemi skoczył do dworu, jakgdyby się wczoraj z tym panem rozstali i nigdy żadnej rewolucji nie było.

— Oto cudaczne chłopczyśko! — powiedział z zakłopotaniem Łukjan Danilczuk, podczas gdy Aleksander Martyniuk, dobywszy klucza z kieszeni, otwierał z odpowiednim namaszczeniem główne wejściowe drzwi. — Choć to syn mojej siostry, ale — żeby tak panu z czystem sercem się przyznać — to ja sam nigdy nie wiem, czy on taki durny, czy taki chytry, psiajucha!

Od stajni biegł pędem Mykoła i, całując ręce Rożańskiego na powitanie, wyrzucał z siebie zdyszany, tonem głębokiej urazy:

— Została nam tylko para złotych kasztanków! Tamtą czwórkę smertonoscy wtedy zabrali! Żeby ich pokrećilo! Przepadła Gwiazda, a takiej matki pan już nigdzie nie znajdzie! A ja wtedy w domu

nocował! Staśko im powiedział tym draniom, że te kasztanki to jego, pan jemu podarował, taj hodi! Nie ruszcie! I jaby tak samo potrafił, tylko że jakby лихо nadało — w domu czegoś, do diabła nocował!

— Nie żałuj! — pocieszał go pan Stefan wesoło. — Dorobimy się jeszcze niejednej czwórki! Byleby zdrowie i spokój, a konie będą!

Tymczasem Nastasia sfrunęła już dawno z wozu z niewielkim pakunkiem w ręku i, obiegłszy dwór naokoło, weszła doń od strony ogrodu, a teraz stanęła na progu, witając „pana“ chlebem i solą. Dzień był dość chmurny i jaskrawy dysk słońca chował się często za pierzastymi falami obłoków, ale w tej chwili — jakby na dobrą wróżbę — złoty rąbek jasności wyrzał z poza szarej opony. Ciemne, wilgotne źrenice, stojącej u wejściowych drzwi kobiety, przelśniewały również złotawym odbłyśkiem. Jej smukła postać z wzniesionymi nieco do góry rękami zdawała się przypominać owe pełne wdzięku postacie na starożytnych amforach. Czarnobrewa i smagłolica, z rumieńcem młodości i zdrowia na twarzy, była tak niewysłownie ponętna, że nietylko Staśko zapatrzył się na nią jak na cudowny obrazek, ale i starsi mlasnęli językiem, wspominając tęsknie dawno ubiegłe lata, a nawet pan domu zapomniał chwilowo o przykrym rozdźwięku przy wjeździe i z rozjaśnionym wzrokiem wziął z rąk wiejskiej driady, przykrytą tradycyjnym ręcznikiem tacę z chlebem i solą.

— Spasybi, Nastasia! — pocałował ją w czoło.

— Z nowem szczęściem! Z nowem życiem! —

buchnął okrzyk zebranych, jakgdyby to był dzień Nowego Roku, gdyż ci stateczni, zamożni gospodarze zakosztowali już rozkoszy bolszewickich teoryj i przyjmując z musu silną, praworządną władzę, jakiej spodziewali się w Niemczech, życzyli i sobie i „panu“ nowego, spokojniejszego życia. Przyjęli tedy serdeczny pomysł ich współsielanki z gorącym uznaniem. Wkrótce rozeszli się wszyscy, a pozostali tylko najzaufańsi. Rożański wszedł z nimi do jadalnego pokoju, gdzie ustawiono już stół i krzesła ostrołukowej, domowej roboty:

— Siadajcie! — wskazał im ręką miejsca i, spoglądając, jak chłopci z należytą powagą, ale bez zbędnych wykrętów wysuwali krzesła, sadowiąc się na nich wygodnie, pomyślał: — Jakżeście szybkobieżne równości i swobodo obywatelska! Komuż z nas śniło się o podobnej jak teraz inscenizacji, gdyście przyszli do mnie przed rokiem?! — głośno zaś przemówił: — Mamy o czem pobałakaty! Nieprawdaż?!

— Panu pewno przykro — zabrał głos Jakow Di-tiuk — że te hultajskie dusze zbytka panu na pierwszy początek zrobiły?! Nema ich czoho bojatysia, bo ich je kilkoch, a nas cała gromada! Wszyscy my wiemy, że Martyn Chrystiuk, Nikifor Humeniuk, Tymko Waruszczak, Onufry Krajewskij i bracia Hanczari — to takije bolszewyki, że nechaj ich pan sterezutsia, choć my im dobre nakazywały, szczyoby pana ne zaczipały!

— Dużo to pomogło — gospodarz zadumał się chmurnie.

— Bo naród zbałamucił się tak, prosze pana, że jego teraz na szczyrą prawdę nastawić — trudno! A wszystko przez tę ziemię! Niech pan sam powie-
dzą! Jak nas durzyli! Jak łgali i obiecywali, a co z tego wyszło?! Zepsuli muzyka, że ani podobny do dawnego! Dobremu żyć teraz bieda! — wy-
powiadał się z goryczą Hrehorko Waruszczak.

— Wono ce prawda! — poparł sąsiada Aleksan-
der Martyniak — Kiereński wodył wsich za nos, wodył, a wse taki, my mały podozrenje, że on nie da rady, za jedno z panami pójdzie i ziemię tylko pokaże, a nie da! Lenin za czub wse wziął, paniw — pereproszaju pana — za mordu schopyw i nasto-
jaszczym diełom zemlu daje! My sprawdi ciu zemlu w ruki berem! Taj szczoż z toho?! Każdy do sie-
bie ciągnie, a na cudze dobro łasy jak kot, bo Lenin ojciec narodu, na wszystko pozwolił! Bolszewyk, to znaczy „najbolsze“, najwięcej chce wszystkiego dla wszystkich. Pro te cały naród za nim pociągnął!

Łukjan Danilczuk potrząsł głową z powątpie-
waniem:

— Ani ja jego znam tego Lenina, ani jego w żywe oczy nie widział! Ale że te bolszewyki, co tu przy-
chodzili i nas nauczali, to straszne ludzie — oto, to my dobrze wiemy! Rozwączhali my ich „platformę“, że i lepiej nie trzeba! Oniby od nas tak samo wszystko pozabierali, jak i od panów!

— Światu prawdu skazały! — przywtórzyła reszta
chłopów chóralnie. — Taj szcze dokińte do nych
wsiakuju selśkuju łedacz, szczo z czużoji praci, z cu-

dzego dobra rozzywać się chce! Niech już lepiej po staremu zostanie!

W panu Stefanie rośło zdumienie za każdym nowem, słyszanem słowem:

— No, no! Zmądrzeliście, moi kochani, przez te kilka miesięcy. Przedtem tylko mnie było wam żal, tego waszego „didycza“, którego znacie od dziecka. Teraz sami widzicie, bo przeżyliście to, że bolszewizm to takie zwierzę, co ma dwie głowy i ostre zęby. I panów na strzępy rozrywa, ale i do was, zamożnych gospodarzy także się warcząc, podsuwa! Zobaczymy, jakie to będą niemieckie rządy, ale tymczasem chciałem się z wami naradzić, co robić z siejbą? Kwiecień za pasem — ziemia nie czeka, a ziemia już nie moja, bo Rada Centralna wam ją oddała. Któż ma przystąpić do roboty?!

Chłopi spojrzeli po sobie i dawnym zwyczajem każdy z nich poskrobał się za uchem, jakgdyby chciał z okolic mózgu wykrzesać myśl, zadowolającą zarówno „pana“ jak i gromadę.

— No, to ja wam proponuję zgodę — mówił pan Stefan z życzliwym uśmiechem. — Niech będzie tak: Ja swoim inwentarzem, do połowy zmniejszonym przez te wszystkie napady, posieję buraki, a wam — oddaję resztę ziemi nawspół. Kręcicie się i siać nie będziecie, bo Niemiec wam straszny, czy nie każe oddać waszej pracy sobie, albo dworowi. I poco nam obcy sędzia? Czyż nie pogodzimy się sami?! Tylkoż podzielcie się sprawiedliwie, żeby

ani jeden bezziemelny na was nie płakał! — entuzjastyczne wyrazy uznania przykryły ostatnie słowa.

— Dobrze, że my jego z domu przed śmiercią wywieźli — gwarzyli między sobą chłopci, wyszedłszy po pożegnaniu ze dworu i idąc szeroką drogą ku wsi zpowrotem. — Zawsze ten sam! Sprawiedliwy i mądry, a serce jak z masła! Jak on na nas patrzył! Brat nie brat, a szczyryj przyjatel!

Tymczasem „Stefan“, zostawszy sam we dworze, chodził po swej kancelarji, (gdzie nawet haftowany tygrys znalazł się na ścianie jak dawniej!) i czuł, że wobec swego przeoranego przez rewolucję na tę sprawę poglądu, dźwiga na sobie ciężkie brzemie odpowiedzialności za rozwój dalszych wydarzeń. — Zasypałem rozniecony ogień, czem się dało, chociażby nawet worami ziarna z ofiarowanej spółki — myślał. — Tylko czy to pomoże?! Gdybyż wszyscy zechcieli zrozumieć, że chodzi tu o większe rzeczy, niż o zrujnowane siedziby i poniszczone pamiątki! Spadło to na nas jak maczuga! W rozgrzmocie rewolucji wyrosło pytanie: Czy żywioł polski tu pozostanie, czyli też ma być z ziem ruskich wymieciony, jak obawiał się tego Stempowski?! Przeżyliśmy już licholecie z czasów ogniem i mieczem, czyżby teraz miała przyjść kolijowszczyzna?! I jak zażegnać nowe, krwawe starcie się żywiołu polskiego z ruskim?! — stanął przed oknem, wpatrując się w dalekie zwierciadło stawu, w zygzakowate sylwetki lasów, w ugory i soczystą zieleń ozimin, a mocne

postanowienie służenia temu ukochanemu krajowi dla dobra jednych i drugich jego mieszkańców — tężalo w nim z każdą chwilą, spajając się za każdym obrotem krwi z mózgiem i sercem.

Nie wiedział jeszcze wtedy Rożański, że to, co jego przenikliwość wyławiała z nastrojów pokrzywdzonych, zrujnowanych ziemian, i podburzonej, ciemnej wsi, z drobnych zająć pomiędzy oddziałami polskimi, a chłopstwem miejscowem, rozrośnie się wkrótce w okrutną rzeź bezbronnych. Nie wiedział, że z kurhanów podnoszą się już widma dawno zamierzchłej przeszłości i że narastają groźne wypadki poprzedzające owo zbrojne i krwawe starcie się dwóch od wieków zamieszkujących tę ziemię żywiołów, starcie — któremu na imię:

NIEMIRÓW.

XV.

NIEMIRÓW.

Okoliczności, poprzedzające ową bitwę w Niemirowie, dla zwycięzców — hańbiącą, żalną dla pokonanych, dziką i rozpacziwą zarazem, okoliczności te szły po tej samej historycznej linii, jaka nagle wychynęła z mroków dziejowych: nienawiść i chęć zemsty ze strony tych, którym zdawało się być zagrożonymi w swych prawach — niepohamowane poskramianie „buntu“ i odwet za nanoszone zdradziecko ciosy, stosowane często przez drugich. Gdyby szafirowe fale płynącego przez teren bojowych działań Bohu mogły odbić głąb serc potykających się ze sobą dwóch dziedziców jednej i tej samej ziemi — stałyby się z wszelką pewnością „Żółtymi Wodami“, do tego stopnia zabarwiłyby się musiały odblaskiem nagromadzonej w tych sercach goryczy.

Tworzące się wówczas oddziały III korpusu pod dowództwem gen. Michaelisa, rozlokowane po różnych wsiach i miasteczkach Podola, wywołały silną i umiejętnie zorganizowaną przeciwko „samoczynnym wojskom“ agitację ukraińsko-austrjacką. Okupantom bowiem solą w oku była zbrojna siła — pol-

ska. Zaczęły formować się bojowe oddziały z chłopów miejscowych, wśród których spotykano często starych, wytrawnych żołnierzy, a nawet podoficerów. Dobra organizacja, broń i odpowiednie wskazówki zgóry czyniły te chłopskie formacje niebezpiecznymi, a spajająca je, sztucznie wpojona obawa przed „pańkami wojskami“, mającymi wrzekomo odbierać „narodnoje dobro“ i ziemię od „pracującego ludu“ dla „panów“, wybuchała przy lada sposobności żądzą krwawej rozprawy. Istotnie wojskowa młodzież kresowa, pragnąc uchronić od bolszewizmu szeregowców Polaków i przyprowadzić zczasem do Polski cenną siłę zbrojną, jęła tworzyć jednostki bojowej kawalerji polskiej na Podolu. Tak powstał 7 pułk ułanów polskich, a w skład jego weszły: wydzielone przez rotmistrzów Szuszkiewicza, Czudowskiego i Kownackiego z żółtych kirasjerów gwardji rosyjskiej, a przez ppor. Michała hr. Grocholskiego z konnego pułku tejże dywizji gwardji — oddziały jazdy, stanowiące I-szy szwadron przyszłego pułku. Staje on w Pietniczanach Zdzisława hr. Grocholskiego dla dalszego formowania się i rozrostu. Na początku stycznia 1918 roku nadchodzi tu jednak wieść o przemarszu korpusu bolszewickiego z frontu przez Winnicę na Kijów. Nie zatrzymywani ani jednym słowem przez właścicieli, którym grozi wszelako starcie z falą destrukcji, ułani polscy odchodzą z Pietniczan na nowy postój do Dzwonichy Jaroszyńskich o 35 wiorst od Winnicy odległej i pod Tywrowem się znajdującej. Zastają tam dwa podobne sobie od-

działy: jeden składający się ze 150 ludzi i koni przez rot. Tadeusza Skibniewskiego, por. Miłkowskiego i dwóch braci Węclawowiczów wydzielony z 11 dywizji kawalerji rosyjskiej, drugi w sile 70 jeźdźców z dwoma oficerami na czele, z karabinami maszynowymi i pięknym rynsztunkiem przez por. Młodzianowskiego z 2 pułku błękitnych kirasjerów rosyjskich uformowany. W marcu dołączają się do tej siły dwa jeszcze oddziały: por. Hahna i szwadron konwoju gen. Michaelisa pod dowództwem rot. Rudnickiego, z Kijowa przeprowadzony wśród zbolszewiczałej ludności miejscowej przez Antoniny aż do Tywrowa.

Dowództwo nad całą tą siłą obejmuje z rozkazu gen. Michaelisa pułkownik Henryk Kuncman, dzielny żołnierz, ideowy spadkobierca tych, którzy poddając się bez sarkania rozkazom swego dowództwa i jadąc na San-Domingo, nieśli wraz z sobą najgłębsze przekonanie, że nie tylko tam, ale nawet na bezludnej wyspie żołnierz polski ma rację bytu, gdyż w nim symbolizuje się idea niepodległości ojczyzny. Do dowództwa pułku ułanów polskich należeli: adjutant ppor. Michał hr. Grocholski, major Szeliski i rot. Włodzimierz Kownacki jako zastępcy dowódcy, rotmistrz Czudowski — pod względem administracyjnym prawa ręka dowódcy i rotmistrz Tadeusz Skibniewski, dowódca oddziału łączności. W marcu i kwietniu 1918 roku pułk był rozkwaterowany w następujących miejscowościach:

Dowództwo pułku, szwadron karabinów maszy-

nowych pod komendą por. Filarskiego, pluton techniczny i tabory — w Dzwonisze, na folwarku oraz we wsi. Pierwszy szwadron pod rot. Szuszkiewiczem, na folwarku Michałówka, 2-gi z plutonem karabinów maszynowych pod rot. Niepokojczyckim w gorzelnii w Niemirowie, 3-ci pod rot. Romiszewskim w mieście Niemirowie, 4-ty szwadron linjowy w Tywrowie, gdzie stała również legja rycerska przybyła tu przez Starokonstantynów. Składała się ona wyłącznie z oficerów i otrzymała nazwę 1-szej kompanii rycerskiej pod pułk. Pieńkowskim. Pułk. Karaś dowodził 2-gą kompanją rycerską. Dywizjon artylerji ze szwadronem wywiadowców stał w Gniewaniu pod komendą pułk. Rummla. W końcu marca 1918 roku pułk jazdy ułanów polskich pod dowództwem pułk. Kuncmana liczył 400 z górą szabel i 16 karabinów maszynowych. Wre w nim praca nietylko nad udoskonaleniem pułku, ale nad ideologją należących doń szeregowców. Pod wpływem kursów oświatowych i życzliwego, częstego obcowania z nimi oficerów polskich, podnosi się duch patriotyczny żołnierzy, zamiera ciężenie niektórych ku bolszewickim teorjom, rozwija się pojęcie solidarności i braterstwa wspólnej jednostki bojowej. Dla ułatwienia tej pięknie pojętej działalności wstępuje do pułku w charakterze szeregowców inteligentna młodzież kresowa, jak: Juljusz Łempicki, Leski, Drecki, Eugenjusz Węgrzynowski, Stanisław Prądyński, Sikorski dwaj bracia Kostkiewiczze, Wachniewski i inni. Brak pieniężnych środków i trudność wyżywienia oddziałów wywołują ko-

nieczność rekwizycji, które — chociaż mają być płatne za okazaniem kwitów w wyższym dowództwie w Winnicy, stają się pierwszym kamieniem obrazy dla drażliwego w tej sprawie miejscowego chłopstwa. Wysła więc dowództwo polskie oddziały do ocalałych jeszcze dworów, nietyle dlatego, by je ratować, co pod falą bolszewizmu było wręcz niemożliwym, ale dla ułatwienia bodaj choć trochę, ciężkiej aprowizacji. Na prośbę ludności polskiej, obawiającej się pogromu i pożaru gorzelnii, idą dwa szwadrony do Niemirowa i wzamian za dawaną przez nie opiekę pobierają pewien procent od sprzedawanego spirytusu. Peczara (Franciszka hr. Potockiego) podarowała ułanom swoją sławną piwnicę, którą w ten sposób chłopci nie mogli się wcale uraczyć. Cały pułk jednak zawdzięczał jej swoje mundury.

Niektórzy ziemianie, jak Zdzisław Grocholski, Franciszek Jaroszyński, Chodkiewicz, Czerwiński i inni oddali ułanom wszystko to, co jeszcze nie zostało rozgrabionem, ale, oczywiście, było to bardzo niewiele i potrzeb zaspokoić nie mogło.

Rekwizycje i agitacja wywoływały w okolicznem chłopstwie rosnący wciąż ferment, którego fatalne skutki przejawiać się jęły z potężniejącą grozą.

Szesnastego marca, dowódca stojącej wówczas w Starej Sieniawie baterji, pułk. Rummel, posyła dwudziestu ludzi dla zarekwirowania 70 koni (zgrabionych po dworach i podarowanych oddziałom) do Spiczyniec, Kaczanówki i Mytyniec. Żołnierze załatwili sprawę pomyślnie, lecz gdy wracali ze śpiewami

przez Wojtowce wieczorem, jadąc długą, wąską ulicą — nagle, niedaleko miejscowej cukrowni, zaszcękotały pośpiesznie karabiny maszynowe i grad kul przeleciał przez oddział. Konie się spłoszyły, spadli z nich na ziemię ranieni: chorąży Zgorzelski, ochotnik Mroczkowska i ogniomistrz Kuć. W popłochu wśród uwiązanych, zdobycznych koni — przewraca się wóz z karabinem maszynowym, rozbiegają się jeźdźcy, zaskoczeni nieprzewidzianą napaścią. Z cukrowni wyskakują ludzie. Miłosierne ręce dźwigają rannych, przenosząc ich do własnego szpitala. Nazajutrz z rana — wdzierają się tam siłą nieznani chłopci. Wywlekają leżących, walą ich kijami tak, że głowy i ciała przekształcają się w potworny kłęb, ociekający krwią. Legenda, że ochotnik Mroczkowska jest jakoby córką bogatego „pana“ w okolicy, Józefa Trzeciaka, rozdmuchuje zemstę oprawców do niebywałego stopnia dzikości. Pułkownik Rummel wysyła natychmiast karny oddział do odebrania od chłopów połapanych koni, kulomiotu i siodeł. Żołnierze znajdują ciała pomordowanych towarzyszy broni, leżące tam, gdzie się pastwiło nad nimi okrucieństwo bez miary. Żądza odwetu rośnie w nich do takiego stopnia, że, ogarnięci szałem, nie pomni na nic, rzucają się na chłopów, strzelają, ranią, zostawiając za sobą pięćdziesiąt ofiar — jak nieprzytomni podpalają chaty w Wojtowcach i Kaczanówce, aż wreszcie, syci swej zemsty, uwożą zwłoki nieszczęśliwych swych towarzyszy.

Sprawa zajęć w Kaczanówce wywołała niebywały rumor na Ukrainie. Nastąpiła interpelacja w Radzie

Centralnej, a członek jej (z Centrali Demokratycznej), Poczetowski, odpowiadał wyjaśniająco, że „wojska polskie są neutralne i że zupełnie niesłusznem jest posądzanie ich o mieszanie się do spraw wewnętrznych ukraińskiego państwa.“ Pomimo to prasa rozdmuchała jeszcze tę sprawę, a „Nowa Rada“ podała obszerną korespondencję z Lityna, omawiającą „napaść w Kaczanówce i pokrzywdzenie niewinnych ludzi“. Okazało się bowiem, że istotnie nie ukarano podżegaczy, ale tych, którzy udziału w zasadzce nie brali. Tem bardziej „krywda“ ta wzbudziła ogólną niechęć wśród chłopów, przekonanych, że „wojska pańskie ratują ziemię panów, by mogło wrócić ich panowanie!“, gdyż przedstawiona im podstępnie „sprawa Kaczanówki“ dawała pewne ku temu powody. Do Winnicy przyjechał wkrótce ukraiński minister wojny, Żukowski, młody zapalony es-er, który widząc się z pułk. Rumblem, wspomniał niedwuznacznie o Kaczanówce i użył pogroźek względem wojska polskiego. Wprost z Winnicy udał się na miejsce „napaści“ polskich ułanów i w kaczanowieckiej cerkwi wygłosił demagogiczne i podniecające do zemsty przemówienie. W prasie ukazują się znów jąttrzące pogłoski o „okupacji“ wrzekomo polskiej, podkreślające wrogi nastrój umysłów na Ukrainie wobec „zalewu wojsk obcych“. Pisano tak o Polakach, myśląc istotnie o Niemcach, których się obawiano. Organ „ukraińskiego ministra wojny“ „Widroźdenije“ (Odrodzenie) po mordach nad legionistami — wita ten ruch, jako: „objaw instynktu pań-

stwowo-twórczego“ i do „wymiatania śmieci z chat“ zachęca, nie wyjaśniając z umysłu czasowości postępu oddziałów polskich na Rusi. Z drugiej strony podjudza dzikie instynkty organizacja rosyjska „Krasnaja Toczka“ (Czerwona Kropka), uważając, że wszystko to, co się dzieje, zdradą jest względem Rosji i grożąc zemstą ludowi, jeśli nie wygna „uzbrojonych Polaków z Podolji“. Legendy o zaborecznych i przeciwrewolucyjnych zamiarach wojsk polskich rosną. Jeńcy włościanie zeznają niejednokrotnie o agitatorach, żądających w imieniu, jakoby władz, „rozbrajania legionów“.

Wobec takiego, grożącego ciężkimi komplikacjami nastroju, dowództwo wojsk polskich na Ukrainie czyni wszelkie usiłowania, by stępić zwrócone przeciwko sobie ostrza. Generał Osiński wydaje surowy zakaz samowolnej rekwizycji. Komendant polskiego garnizonu, rot. Niepokojczycki każe rozklejać po wsiach i miasteczkach odezwę w trzech językach o „lojalności i neutralności wojsk polskich względem państwa ukraińskiego i miejscowej ludności“.

Wypadki jednak suną w wielkich skokach jak szczwane lisy. Narasta tragedia. 11 kwietnia patrol, przejeżdżający przez Rohożnę, napadnięty i rozbrojony. 12 kwietnia siedmiu ułanów, wysłanych z Niemirowa do Zabuża po zakupioną słomę, zostaje nagle opadniętych przez zgrają chłopów. Rozbrojeni, wzięci do niewoli. Furażer Skoczylas z jednym tylko ułanem przepływają w pław Boh, by zawiadomić dowódcę o nowej porażce. Tegoż dnia wieczorem wy-

chodzi 35 ułanów pod rot. Sadowskim z Niemirowa do Strzelczyniec, aby zabrać tam resztę aprowizacji. Chłopi zbierają naprędce „schod“, który postanawia: „wyrznąć Lachów“. Setnik Mielnik przedstawia niebezpieczeństwo podobnego gwałtu, radzi jednak sprowadzić pomoc z pobliskiej Kanawy, skąd też wkrótce przybywa ochoczo do 300 chłopów. Otaczają śpiących ułanów, odbierają broń. 13-go z rana rot. Romiszewski otrzymuje pierwsze ostrzeżenie o gotującym się napadzie chłopów na Niemirów. Zawiadomienie o tem dowódcy pułku jest jego najpierwszą myślą, ale wobec zatrzymywania ordynansów na promie w Kanawie, wyrusza samochodem okólną drogą do sztabu w Dzwoniszce. Pułkownik Kuncman widzi jedyny ratunek w szybkim i energicznym przecięciu wrzodu. Demonstracyjna wyprawa w celu wykazania zbrojnej siły polskiej jest jego zdaniem najskuteczniejszą przeciwwagą dla burzącej się ludności. Dla wzmocnienia tedy Niemirowa wysyła z Tywrowa pół 4-go szwadronu, z Dzwonichy wyprawia kompanję karabinów maszynowych, sam zaś, postanawiając stanąć na czele tej ekspedycji, wsiada do samochodu i wraz z przybyłym rotmistrzem pędzi przez Winnicę traktem do Niemirowa. Pomiędzy Łuką a Wielkim Lasem ukryci w zasadzce chłopie ostrzeliwiają auto, które jednak skręca w bok i umyka szczęśliwie przed szukającemi go kulami. Nazajutrz o 6-tej rano rusza z Niemirowa dywizjon z karabinami maszynowemi pod dowództwem pułk. Kuncmana. Kierunek — Strzelczyńce, gdzie się groma-

dziły tłumy rozpolitykowanego chłopstwa i skąd wychodziły hasła napadów na polskich ułanów. Skoro się tylko znaleźli we środku wsi Medweża, posypały się na nich z poza chat gęste strzały i wybuchnęły rzucone ręczne granaty. Ułani spieszyli się, atak odparli zwycięsko i w niepoohamowanej pasji za nieustanne zdradzieckie napaści — rzucili się ku chałtom, wydając okrzyk straszliwy i płonącemi wiechciami podpalając słomiane dachy tak żartko, że dopiero przy czternastej chacie zdołał ich dowódca powstrzymać. Poczem ruszyli naprzód jak do tańca, niesłychanie ochotnie i przed Strzelczyńcami spotkali się z 4. półszwadronem.

Dowiedziawszy się jednak przez wysyłanych na zwiady, iż Strzelczyńce i sąsiadujące z nimi wsie obsadzone są przez silne ukraińskie oddziały, pułk. Kuncman odstępkuje od pierwotnego planu wyprawy. Odsyła tedy szwadrony do Niemirowa, a sam postanawia się przekraść niepostrzeżenie z dwoma ordynansami do Dzwonichy, aby ściągnawszy artylerję z Gniewania, zadać przeciwnikowi cios decydujący. Ten zbyt brawurowy krok sprowadza nań tragiczny koniec. Jak rozjuszony wilki osaczają go chłopci, zabijają pod nim konia i śmiertelnymi ciosy kładą pod wsią Kanawą, broniącego się do ostatniego tchu dowódcę ułanów i dwóch ordynansów. Nie znalazłoby ciała pułk. Kuncmana, gdyby nie polny jego nagrobek: prostokąt świeżo posianej hreczki w pszenicznym łanie. Czwarty półszwadron spotyka się pod Kanawą z kompanją kulomiotów i ppor. Zaleskim

z podjazdem. Chłopi, których rozproszone po terenie bojowym od Niemirowa do Braclawia oddziały wynosiły do 15.000 ludzi, atakują zażarcie tę połączoną siłę polską, ale ułani przebijają się szczęśliwie przez zastępującego im gęsto drogę nieprzyjaciela i postradawszy dwóch rannych i pięciu bez wieści, wracają do Niemirowa, nie wiedząc nic jeszcze o bohater-skiej śmierci swego dowódcy.

Na wieść o pogarszającej się wciąż sytuacji pod Niemirowem wyrusza mu 14 kwietnia na odsiecz z Dzwonichy 1-szy szwadron ułanów, pluton techniczny, pluton ściągniętej z Gniewania artylerji, oraz oddział legji rycerskiej pod dowództwem pułk. Bartha (Przemysław Barthel de Weydenthal), szefa sztabu gen. Osińskiego, mianowanego po ustąpieniu gen. Michaelisa dowódcą polskiej siły zbrojnej na Ukrainie. Świeżo z Polski przybyły, wysłaniec P. O. W., przepojony do głębi ideą walki z Niemcami, nie znający dobrze miejscowych stosunków, pułkownik Barth znajduje się w tragicznym konflikcie pomiędzy swem pojmowaniem akcji politycznej, a wymogami naprężonej i groźnej sytuacji wojennej. Posuwający się oddział spotyka po drodze komisarzy ukraińskich Karpińskiego i Szewczenkę, proponujących pośrednictwo w układach pokojowych. Dowódca odsieczy przyjmuje te słowa z wiarą w ich szczerość. Łagodność i ustępliwość względem Ukraińców, których chciałby przeciągnąć na swoją stronę, aby razem z nimi wystąpić przeciwko Niemcom, są fundament jego politycznego programu. Wdaje się tedy

w długie i bezcelowe pertraktacje z komisarzami, których ukrytym celem jest powstrzymanie marszu ratunkowego oddziału i zbadanie jego bojowej siły. Czas uchodzi. Napróżno żołnierze, widząc, jak na przeciwległym, wysokim brzegu Bohu rosną w ich oczach okopy, sypane przez Ukraińców, a mające im zagrozić do Niemirowa drogę — niepokoją się, burzą, chcą samorzutnie atakować przebiegłego wroga, którego bezwzględność w wytępieniu ich skoro można, poznali już dobrze. Powstrzymuje ich rotmistrz Szuszkiewicz:

— Żołnierze jesteśmy. Mamy dowódcę. Czekajmy rozkazu!

Dopiero jednak po 7-mej wieczorem ustawiono działa na pozycji w Kanawie, nie rozpoczynając wszelako czynnej walki i sforsowania przeprawy na Bohu wobec długo trwających „perehovorów“ z wysłannikami z przeciwnej strony.

W tej samej mniej więcej porze, około godziny szóstej wieczorem, stojący w Niemirowie ułani zostali zaalarmowani wieścią, iż ogromna masa chłopstwa zbliża się do miasteczka i że lada chwila ma wybuchnąć pięć pożarów, jako sygnał napadu na nich. Nie przejęli się jednak zbytnio tem doniesieniem, oceniając wartość bojową przeciwnika dość sceptycznie, a następnie — wobec istotnej braterskości w oddziałach — niepokojąc się raczej gorąco losem 4-go szwadronu, który nadciągał ku nim mocno jakoby przestrzebiony w bojach z chłopami koło Kanawy.

Ta wiadomość okazała się jednak przesadzoną, gdyż ów półszwadron, wszedłszy wkrótce do Niemirowa wraz z kompanją karabinów maszynowych, liczył tylko dwóch rannych w swoich szeregach. Juljusz Łempicki pomknął natychmiast konno przez całe miasteczko, by wezwać na pomoc mieszkającego na drugim końcu dra Bilińskiego. W mieście było napozór spokojnie, napozór wszelako, albowiem szeregowiec Sikorski był już podówczas wywleczony przez chłopów ze swego mieszkania i rozstrzelany przez nich nad stawem, przyczem okazał tyle nieugiętej siły ducha, że w ostatniej chwili zdążył zerwać chustkę z oczu i wyrzucić z piersi płomienny okrzyk: — Jeszcze Polska nie zginęła! — Pod wpływem mnożących się doniesień o opasywaniu Niemirowa przez chłopstwo rotmistrz Romiszewski postanawia bronić się w gorzelnii i nakazuje obstawienie karabinami maszynowemi całego tego terenu i kwater. Pozycja była dla obrony fatalna, gdyż leżała w nizinie, otoczona z dwóch stron wzgórzami, z trzeciej zaś gęsto zarośniętym parkiem pałacowym ks. Szczerbatowej. Tylko od strony miasteczka nieopórnie było napastnikom atakować polskich ułanów, a i dwa stawy trudności pewną sprawiały, gdyby nie dzieląca je kłamra szerokiej grobli, będącej przedłużeniem drogi z Braclawia, po której przysuwały się hufce w siermięgach.

Około godziny dziewiątej wieczorem zamrowiło się w parku od napastników, którzy jak ciemna chmura, tająca w sobie śmiertelne błyski, jęli pod-

chodzić do pozycji polskich ułanów. Natychmiastowym i silnym ogniem karabinów ręcznych i maszynowych zostali tak skutecznie odrzuceni, że podali tył w popłochu i skryli się za drzewami. Wchłonęła ich ciemność, замуrowała cisza. Osaczeni ułani mieli przez chwilę wrażenie, że już są wolni od dławiącej ich zmory, lecz gdy zabłysnęły przed gorzelnią ogniście oczy latarń samochodu, który rotmistrz Romiszewski chciał wysłać do Winnicy dla nawiązania łączności — ciemność i cisza brzęknęły gwałtownie łańcuchem chwilowego upokorzenia i gęste strzały od strony parku wskazały jasno, że wróg trwa na stanowisku, nie rezygnując bynajmniej z powziętego stanowczo zamiaru. Noc jednak przeszła względnie spokojnie, a nawet do rotmistrza Niepokojczyckiego zgłosili się prokurator Winnickij i gubernatorski komendant Iwaszczenko, oświadczając chęć swą pośredniczenia pomiędzy wojującymi stronami. Prokurator zaznaczył wszelako, że „chłopi kręcą, z bronią w ręku legjonierów nie wypuszczą, bo mają silną organizację, a władze są bezsilne!“ Pomimo to ustalono następujące warunki: 1) W trzy godziny po podpisaniu umowy legjony mają opuścić miasto z bronią i taborami. 2) Ludność cywilna ma prawo do wyjścia wraz z legjonami. 3) Chłopi zwracają wszystko, co narabowali w czasie walk z ułanami. Wśród tych pertraktacyj, bluzgały z ciemności od czasu do czasu ostrzegawcze dźwięki pojedynczych, to znów zbiorowych strzałów, na które wnet odpowiadały sierzdzące zwrócone ku wrogowi gardziele karabinów

maszynowych na polskiej pozycji. O świcie runęła chłopska nawała do ataku, który został jednak krwawo odparty, dzięki energii por. Hahna, Miłkowskiego, Jabłońskiego i powstałym w czasie tej ubiegłej nocy okopom. Zarysował je lekko i zgrabnie rotmistrz Niepokojczycki, sam przy nich z łopata pracujący, a rzucił je w takim miejscu, iż wybuchający, nągły, jakby z pod stóp nacierających chłopów ogień był dla nich morderczą niespodzianką. Nastąpiła chwila zacisza...

W krtaniach oblegających więzły brutalne, wściekłe przekleństwa. Syczały rozpalone do białości zarzuty, równie ostre i śmierć niechybną wieszczące, jak żelazne widły i kosy, jak gładkolice, okrągłe kule:

— Ce wse panyczy! Onyb chotiły tutka pańszczyynu zawesty i zemlu nam widibraty! — Podszczuwające słowa ukraińskiego rządu i Austrjaków rozkorzeniły się mocno w piersi i sercu miejscowego chłopstwa, utrafiły w sedno sprawy, będącej dlań tem, czem skarb dla chciwca. Losy polskich ułanów ważyły się wśród niepewności, co przyniesie napływająca chwila. Tymczasem chłopci, korzystając z przykrycia drzew parkowych, obeszl prawem skrzydłem pozycję i zajęli niepostrzeżenie podwórko cerkiewne, sypiąc gradem kul wzdłuż ulicy, wiodącej na groblę braclawską, ciężko raniąc wachmistrza Białoskórskiego. Kontakt pomiędzy gorzelnią a budynkiem monopolowym i częścią karabinów maszynowych został chwilowo przerwany. Wówczas to por. de Latour pode-

rwał za sobą do ataku na lance 3 i 4 pluton 2 szwadronu i życie własne niosąc w ofierze za resztę towarzyszy broni, rozgromił i wyparł z terenu pierzchające w nieładzie kupy napastników. W tym bravurowym ataku brał udział przy boku dowódcy piętnastoletni, kulawy od urodzenia chłopczyzna, Krużewski. Chłopi zostali odrzuceni za cerkiew i tam zbili się w gęstą chmurę, naradzając się nad położeniem.

W czasie chwilowego oszołomienia na widok kul wroga, zamiatających ulicę przed monopolem i groblą, zamilkły na moment dwa ułańskie karabiny maszynowe, przeciągające przez groblę nieustanny „sznur śmierci“, broniący od wdarcia się na pozycję tą luką. Na grobli wyrosli wnet jakby z pod ziemi trzej chłopci.

— Sześćdziesiąt kroków!... Nie mogę do nich strzelać jak do kaczek! — pomyślał błyskawicznie, obsługujący jeden z karabinów Juljusz Łempicki. Kule puszcza górą: — Bierzcie ich chłopcy! — woła na widok leżących już plackiem na grobli chłopów. Biegną ułani, porywają swą zdobycz, prowadzą „niewolnika“ z prześmieszkami triumfu, zamykają w koszarach, ale z dobroduszością polskiego żołnierza litują się po pewnym czasie nad wygłodzonymi i zmęczonymi całonocnem obleżeniem jeńcami. Przynoszą im strawę, traktują po ludzku. Na propozycję Ukraińców zaprzestania walki i złożenia broni — ułani odpowiadają odmownie. Amunicji jednak ubywa szybko, gdyż osaczone szwadrony odgryzały się tak

rozpaczliwie napastującemu je chłopstwu, że kule z karabinów ręcznych i maszynowych ścinały wierzchołki świerczków rosnących w parku pałacowym, rozpryskując je na wszystkie strony. Wyjące tony kul sieką powietrze jak bicze. Chłopstwo prze coraz bliżej, roznamietnione oddechy sześciu tysięcy wrogich piersi zdają się przepływać palącą falą nad głowami goniących już resztkami amunicji, polskich ułanów. Wreszcie — dowództwo ukraińskie proponuje raz jeszcze układy. Rotmistrz Romiszewski udaje się do pałacu. Podczas narady do sali wdziera się chłop z triumfującym okrzykiem: — Ich antylerja wże ne pryjde! Naszi diła dobre idut'! Widdajte orużje! — (broń) Staje umowa, mocą której oddziały ułanów zobowiązują się złożyć broń w ręce setki kozaków rejestrowych, nie biorących w walce udziału. Broń ta ma być odtransportowana do Winnicy, dokąd i cały polski oddział ma odmaszerować w konnym szyku pod eskortą tychże kozaków i tam broń swoją otrzymać. Ułani wyjdą z Niemirowa bez prawa powrotu, a magazyny oddadzą w ręce Ukraińców. Chłopi mają wejść na teren gorzelni dopiero wówczas, gdy ułani polscy siądą na pochowane po stajniach konie. Umowa podpisana i dowódca oddziałów polskich daje rozkaz zbiórki i opuszczenia obronnych stanowisk.

Wtem — pękają w powietrzu salwy karabinowe. Do pałacu przepychają się jeden przez drugiego, krzyczący chłopci: — Legjonery strelajut'! Zmienić umowę! Zdrada! — Głównymi podżegaczami do nie-

nawiści i dzikiej rozprawy byli dwaj Ukraińcy: dawny policjant Sołohub i nauczyciel z Kowalówki, Koszełap, który przekłada namiętnie: — Czy koni nam widdadut' ? Onyż żyły nasz owes!

Pod wpływem złowieszczego podmuchu wykrętnej agitacji chłopci drą podpisaną przed chwilą umowę z polskimi ułanami. Iwaszczenko, uważając to za obrazę władzy, jaką reprezentuje, opuszcza salę posiedzeń. Komisarz Szewczenko mityguje wzburzonych: — Skądże wy wiecie, że to oni strzelali?! Byłem przy podpisaniu umowy i musicie ją uczciwie wykonać! — Odpowiada mu na to potężny ryk: —

— Majesz połnomocyje?! Pokaży bumahu!! — Nagle — rozlegają się dźwięki trąbki strażackiej. To sygnał. Szalejąca ciżba chłopska wrywa się do opuszczonych przez ułanów okopów i z wyciem, żądnych krwi i mordu, nie [pamiętających już o swem człowieczeństwie furjatów — otacza dom oficerów. Ci wybiegają na ganek. Wznoszą ręce przed sobą, jakgdyby chcieli niemi odepchnąć, odrzucić zezwierzęcone, a 'tak bliskie oblicze śmierci. Wołają, co siły w piersi: — Stójcie! Pokój podpisany! Pokój zawarty! — Nie mogą jednak powstrzymać mocy rozjuszzonej [dzikości. Napastnicy wpędzają ich do wnętrza i wyrzucają kolejno na rozstrzelanie. Już leżą na ziemi poranieni okrutnie, w przedśmiertnych drgawkach i jękach: Węclawowicz, Filarski, Bobowski, Topczewski, Chamiec, Sadowski, Żurakowski, Ram, Miłkowski, Trzeciński. Ten ostatni, choć poraniony, żyć będzie, gdyż jeden oprawca wstrzymuje

drugiego: — Ne strelaj jeho! Win nam vse rozkaże!

Horda rzuca się na przerzedzonych poprzedniami bojami paruset ułanów, rąbie, strzela, kłuje bagnietami, masakruje bezbronych przez łeb pałkami, wbija żelazne widły w piersi leżących i pokonanych.

Przyziemne, ciche rżenia konających splatają się dziwnie z krzykami protestu przeciw bestjalstwu takiego mordu ze strony kozaków rejestrowych, śpieszących z pomocą polskim żołnierzom. Chwilami — góruje nad tym oparem wściekłości i zemsty donośny głos jednego z więźniów Rusinów, na grobli przez Łempickiego ujętych: — Ne śmij ich zaczipaty! Ony plennyje! (więźniowie). Jak ja u nych buł w plenu, to ony meni zła ne zrobyły! Czujesz?! Teper im zła robyty ne hoże! — (nie godzi się). Wybuchu nagle gwałtownie szczękotanie karabinu maszynowego, który sypie w grupę morderców bukietem kul, waląc kilku na ziemię. To plutonowy Komorowski, nie zdążywszy jeszcze oddać wedle umowy broni, razi tak wiarołomnego przeciwnika. Rzucają się nań rozjuszeni chłopci. Widłami, kosami, bagnietami zabijają go wraz z podwładnymi mu żołnierzami i rozszarpują na miejscu. Strzelają wybuchającymi kulami, odcinają pierścienie wraz z palcami, nad trupami oficerów ułańskich pastwią się tak, że twarz zamienia się w potworną, krwawą miazgę. Prym trzymają chłopci z Kowalówki, a baby i dzieci biorą udział w przebiegu całej walki, przynosząc ciągle naboje od chwili obłężenia pozycji polskiej

w Niemirowie. Z tamtej strony ulicy dochodzi wrzask tłuszczy, rabującej magazyn prowiantowy, po uprzednim zamordowaniu bezbronnego prowiantowego, Klimaszewskiego. Napróżno część uczciwszych chłopów z twarzami rozgorączkowanymi od tych potwornych widoków, występując w roli rozjemców, usiłuje powściągnąć rozpętane namiętności: — Już dość tych mordów! Dotrzymajmy umowy! — Wreszcie przygasa ogień ludzkiego szaleństwa. W powietrzu unosi się jeszcze mgła zwierzęcego szału, a nad odartymi z odzieży, martwymi oficerami ułańskimi pochylają się „obrośnięte kłakami gęby“ z wyrazem drapieżnej radości.

O świcie, tegoż samego krwawej pamięci dnia 15 kwietnia, pułk. Bartha, straciwszy wszelką nadzieję pomyślnego wyniku przewlekających się układow, stwierdziwszy przytem, że Ukraińcy obsadzili przeprawy na Bohu nietylko w Kanawie, ale w Strzelczyńcach, Worobijówce, a nawet w Rogóżnej — daje znak rozpoczęcia artyleryjskiej akcji celem sforsowania rzeki w Kanawie i Strzelczyńcach, aby się dostać do Niemirowa.

Pod osłoną celnego ognia legja rycerska zdobywa niebawem przeprawę w Kanawie, ale kilkutygodniowe Strzelczyńce, otoczone rowami, bronią się zawzięcie, co im o tyle łatwiej przychodzi, że ilość działowych pocisków jest mała. Walka przeciąga się za południe. Niemirow już wzięty, częściowo wymordowany i rozbrojony, mogą tedy Ukraińcy wysłać uwolnione od boju oddziały przez Worobijówkę

i Rogoźnę na tyły i prawe skrzydło walczących ułanów polskich. Na widok podkradającego się zniecka gęstemi tyraljerami uzbrojonego chłopstwa — runął nań 1-szy szwadron pod rotmistrzem Szuszkiewiczem z kopyta i, jedyny świetlany moment zapisując w rozpaczliwej historii dnia tego, odrzucił spłoszonego nieprzyjaciela, ocalając własną artylerję, składając wszelako w ofierze tej świetnej szarzy życie jedenastu ułanów i ciężkie rany dwóch oficerów. Pułkownik Bartha w obawie przed powtórny obójściem, nakazał odwrót do Dzwonichy. Przy wycofywaniu się ze wsi Kanawy okna chat bluznęły kulami na „pańskie wojska“. Mieszkańcy solidaryzowali się z powstańcami formacjami. Zwinął się z konia i padł śmiertelnie trafiony major Szeliski, dowódca pułku po śp. pułk. Kuncmanie.

Tymczasem w Niemirowie zanesiono napół omdlałego Trzczińskiego do pałacu ks. Szczerbatowej. Tam bowiem stał prawem kaduka dobrze podпиты sztab ukraiński. Dla zamglonych cierpieniem oczu Trzczińskiego rzeczywistość, na którą patrzył — stała się urojeniem. Urojenie niezmiernie podobnym było do sienkiewiczowskich obrazów z obozu Chmielnickiego. Kilkunastu skupionych w jednej gromadzie Ukraińców, wbijając weń szydercze spojrzenia, zadawało mu kolejno różne, nienawiścią i drwinami podszyte pytania: — Nu, szczoż, panyczy?! Dobre wam teper?! A na szczo bijecie się z nami?! Ha?! — W podnieceniu po wygranej bitwie jęli go ciąć szablami przez głowę. Po siódmym razie — upadł i stra-

cił przytomność. Kiedy podniósł po niewiadomym dlań czasie powieki, żołnierz jakiś podtrzymawał go ramieniem, a felczer Rosjanin krzyczał przekonująco do skupionej przy nich, zuchwałej bandy chłopskiej: — Czego wy chcecie od niego? Ja jego znam! On pięć lat w okopach przepadał! Zostawcie jego! Win i tak zdochłają sobaka! — Ten ostatni argument zastosowany był z należytem zrozumieniem psychiki słuchaczy, gdyż zanesiono wreszcie młodego porucznika do szpitala ks. Szcherbatowej, gdzie znalazło już przytułek kilku uratowanych z pogromu, rannych ułanów, których pielęgnowała księżna i córka jej Sandra, anielsko dobra i ładna. Pozostałych 206 legionistów, w tej liczbie sześciu oficerów, odprowadzono pod eskortą kozaków rejestrowych do Braclawia, a następnie odstawiono przez Tulczyn do Żurawłówki, gdzie oddano więźniów austriackim władzom.

Cicho, jakgdyby ukradkiem, pogrzebano na starym cmentarzu w Niemirowie 42 ofiar tej okrutnej, sprzeciwiającej się prawom ludzkim i boskim rzezi. We środe, dnia 17 kwietnia złożono je do wspólnego dołu, sypiąc nad nim, wedle dziejowej tradycji, wyniosły kurhan. Oby ta „bratnia mogiła“ stała się ostrzeżeniem i cmentarzyskiem pogrzebanej na wieki zbrojnej walki pomiędzy obydwoma bratniami szczepami! Ślady jej pozostały wszelako na długo: cała przestrzeń koło gorzelnii, gdzie stali legioniści, przepiękny park pałacowy, droga braclawska, ulice miasteczka zryte były kilku linjami głębokich aproszów,

wskazujących na znajomość wojennego rzemiosła. Odtworzyć z nich można było obraz, jak stopniowo i nieubłagane zacieśniał się pierścień, okalający ułanów. Potrójnym łańcuchem weszli chłopci do miasta, a nie brak było wśród nich oficerów w szynelach. Rozchwytali w mig mąkę, słoninę, owies, kaszę, podkowy z bogato zaopatrzonych składów pułkowych, rozgromili w nocy biuro peczarskie, siejąc lęk pośród mieszkańców podolskiej, cichej mieściny.

Zalany krwią w jednym miejscu pożar przerzucił się dalej, obejmując szerokie kolisko. Po odwróceniu do Dzwonichy pułk. Bartha zwołuje tu naradę wojenną, przedstawiając groźbę położenia, które ocenia teraz li tylko praktycznie: Dookoła i w samej Dzwonisze zbierają się chłopskie tłumy. Należy je bezwzględnie ze wsi wyprzeć i rozbroić. Następnego dnia, o 8-mej rano pułk. Pieńkowski wyrusza z Tywrowa do Dzwonichy z dwiema kompanjami i dwiema armatami. Chłopci atakują armaty. Pieńkowski spędza ich gwałtownym ogniem karabinowym. Z Michałówki 1-szy szwadron zawiadamia dowództwo: Chłopci przeprawiają się do nas przez Boh. Świadomość nasuwającego się gęstą chmurą niebezpieczeństwa i potrzeba ściągnięcia wszystkich sił do najdogodniejszego dla obrony miejsca zmuszają dowództwo do wydania rozkazu ewakuacji żywności, amunicji i uzbrojenia przez Tywrow do Gniewania. Pierwszy szwadron patroluje okolicę i osłania przemarsz oddziałów przez most na Bohu w Tywrowie. Piechota pod osłoną artylerji, która przysłała na pomoc z Gniewa-

nia, gromi karabinami maszynowymi całe masy nacierającego chłopstwa, pomimo to depczącego jej zajądła niemal po piętach, tak, iż w jednym Tywrowie zebrano z pola kilkuset zabitych i rannych Ukraińców. Wreszcie po oczyszczonej w ten sposób drodze ściągnęły resztki polskich oddziałów 17 kwietnia pod wieczór do miasteczka Gniewania.

I znów bandy chłopstwa uparte i poządlive osaczyły Gniewań, wiedząc, iż w miejscowej cukrowni jak w twierdzy bronić się będą polscy ułani. Zachęczone zdobyczą łupu w Niemirowie, otoczyły ich półkolem, przypierając do Bohu i wyczekując chwili poddania się z konieczności. Pomimo celnego ognia baterji, pomimo wspaniałych kontrataków artylerzystów, którzy pod dowództwem pułk. Rummla, rzuciwszy działa, w ręcznym boju powstrzymywali napór walącej na nich ciężby, podczas gdy spieszeni ułani gnali następnie przepłoszone ukraińskie oddziały aż do wsi Siedliszcze, siekąc nieprzyjaciela podniesionymi szablami — pomimo nadludzkich wysiłków i zaciętych walk, niepohamowana fala uzbrojonej ludności miejscowej rosła z każdą chwilą, uniemożliwiając wyjście z beznadziejnego położenia. Wreszcie drogi na Winnicę i Rowiec zostały przez nią odcięte. Wówczas to oddział polski, podminowany zgrozą dzielnego żołnierza, który jednak widzi już brak amunicji, zmuszony był przyjąć interwencję władz austriackich i podpisać następującą umowę pokojową:

„18 kwietnia 1918 roku, o 5-tej po południu, nie-

porozumienia pomiędzy chłopami, a polskimi legjonistami się kończą.

1) Polskie wojska obowiązują się nie występować przeciw chłopom i nie wyrządzać im żadnej szkody w czasie swego przemarszu. 2) Chłopi zobowiązują się nie napadać na polskie wojska. 3) W celu wyjaśnienia ubiegłych wypadków i materialnych strat z obydwóch stron, ma być wyznaczona natychmiast komisja śledcza. Winowajcy będą ukarani wedle brzmienia odnośnego paragrafu prawa. 4) Jednostki, naruszające punkty tej umowy, będą natychmiast pociągane do odpowiedzialności prawnej. 5) Gdyby były wystąpienia prowokatorów ze strony chłopów, to takowi będą aresztowani przez wojska polskie i oddani chłopom. W razie gdyby ta umowa została pogwałcona przez jednostki z oddziałów polskich, to mają one być natychmiast aresztowane przez chłopów i odstawione do dowództwa wojsk polskich. 6) Obie strony winny regulować wzajemne stosunki drogą pokojową i nie dopuszczać do zbrojnych starć. 7) Obie strony zobowiązują się oswobodzić natychmiast jeńców i wydać ciała zabitych.

Gniewań, podolska gub. d. 18 kwietnia, 1918 r.

Podpisy:

Przedstawiciel Polskich Wojsk na Ukrainie, pułk. Bartha.

Przedstawiciele od chłopów: S. Karaś, Szkurniec, T. Szujenko.

Świadkowie:

Przedstawiciele ukraińskich władz: winnicki powiatowy komendant pułk. Sawickij.

Przedstawiciel austriackich wojsk, ppułk. Linde“.

Tak skończyła się ta część epopei tworzenia i walk wojsk polskich na Podolu. Ale straszne obrazy długo jeszcze nosiły się w powietrzu i w wyobraźni okolicznych mieszkańców. Bywały przeto noce, gdy odtwarzały się niepokojące zjawy, gdy świst kul wraz z wichrem potrzasał ramami malutkich okien po siołach i jęczał w kominach dworów, a pomordowani ułani polscy wypływali jak mary ze swego kurhanu, by w widmowej drużynie wszystkich szwadronów powtórzyć raz jeszcze bojowe działania. Żartkie rumaki nosą w brawurowem tempie IV szwadron pod porucznikiem Hahnem — rzuca się niesłychanie ochoczo rotmistrz Medyna z niewielką garstką żołnierzy i rozprasza całe tyraljery chłopstwa, jak mgielne zjawiska. Umiera pod pszenicznym łanem pułkownik Kuncman i ostatnim przeciągłym jękiem śle pożegnanie przedśmiertne ukochanym swoim ułanom. Pogrzezmiotem śmiechu wplata się w niesamowite zjawiska „bat’ko Chmiel“. I jego cień zleciał na bratnie pobojowisko — wsparł się pod boki, ciska raz po raz błyskawicowe spojrzenia z pod przymrużonych powiek. Owdzie — wojewoda Kisiel odwraca głowę i, łkając — splecionymi kurczowo dłońmi przysłania swe oczy, by uniknąć widoku nowych potoków krwi, okrucieństw i roz-

gorzałej pomiędzy Polakami a Rusinami walki, której złagodzenie było ongi troską i celem jego całego żywota. Gwiżdże wiatr po przestworach, atakując, odstępując i cichnąc, zwijając się i wygrażając — ścierają się harcujące po niebie chmury, aż skośne biczce ulewy zmywają krwawe obrazy i ranne słońce, lejąc rzeki różowego światła, wyłaca cudownie piękną i cichą po niedawnych bojach, uśmiechniętą dąbrowną krainę.

CZARA CIERPIENIA I CHLUBY.

Wieści o rzezi w Niemirowie wyleciały z miasteczka, rozpierchnąwszy się na wsze strony niby stado okrwawionych gołębi, niosących w dziobkach zamiast oliwnej gałązki — istną gorycz piekieł. Wieści te potworniały i rosły po drodze, podając jako rzecz pewną, że napastnicy i zdrajcy zakopywali żywcem polskich ułanów, dostawszy ich w swoje ręce bezbronnych po podpisaniu pokoju. Pan Stefan, szarpany w ciągu dni kilku po bitwie niepewnością i zgrozą, wysłał wreszcie Staśka do Niemirowa z listem, prosząc dawną swą znajomą, panią Józefę Lempicką (matkę ideowego szeregowca Juljusza), by mu skreśliła wierny i dokładny opis tych strasznych wydarzeń. Czytając jej długi list, w którym drżący ze wzruszenia charakter pisma zdawał się odzwierciedlać katusze, jakie przeżyły wówczas na Podolu niektóre matki-Polki, Rożański jęknął z wrażenia, ujrzawszy w spisie ofiar na pierwszym miejscu nazwisko Henryka Rogozińskiego. Rozpacz panny Stanisławy Stempowskiej i pani de Krauze, które tego ciotecznego wnuka od kolebki niemal same wycho-

wywały, ciesząc się, że pomimo podeszłego ich wieku „Bóg pozwoli im jeszcze zrobić z Henia dzielnego człowieka“ — stała się dla pana Stefana tak wyrazistą, że postanowił natychmiast pojechać do nieszczęśliwych kobiet. Tymczasem porwał się z krzesła i jął szybko przebiegać pokój, powtarzając przez zacisnięte zęby:

— A jednak Bóg nie pozwolił! Przyszła zawierucha, zaczęły się tworzyć polskie formacje i Henio poszedł! Sam byłem świadkiem, jakie walki toczyły z sobą te dwie biedaczki, miotane niepokojem o chłopca, a jednocześnie poczuciem obowiązku służenia w wojsku polskim. Ciężkie to były chwile! Przecież panna Stanisława, pomimo zapadania na zdrowiu, zawsze sama wozila Henia do szkół do Krakowa, sama przywoziła go na wakacje do domu. Szkoda młodzieniaszka! Szkoda! — poczem wyrzuciwszy z siebie to pierwsze wzburzenie, powrócił do biurka i zatopił się znów w czytaniu kilku, zapisanych drobnem pismem, kartek. Znalazł jeszcze wielu znajomych wśród pomordowanych ułanów, więc coraz to wzmagający się żal kładł mu się tak na ramiona, jak stos kamieni nagrobnych, aż wreszcie lżej nieco odetchnął przy wieści o niechybnem już wyratowaniu od śmierci młodego Trzecińskiego. — Z Lityna pojedę na dzień do Winnicy — pomyślał głośno Rożański i wyszedł z pokoju, by poczynić odpowiednie rozporządzenia do drogi.

W Litynie zapanował spokój wraz z wejściem Niemców. Proboszcz lityński ofiarował wygnankom

z Osikowej gościłą u siebie. Materjalnie zaś były one na pewien czas zabezpieczone, gdyż wobec ostrzeżeń i nalegań synowca, Marjana Stempowskiego, znajdującego się w czasie wojny przy sztabie armji rosyjskiej, panna Stanisława nosiła zaszyte w suknię resztki pieniędzy i te ocalały. Jutro tedy nie groziło im chwilowo nędzą, ale moralnie zastał je pan Stefan tak podcięte, że nie był w stanie z wrażenia pierwszej chwili pokrzepić osieroczone biedaczki słowami najgorętszego swego współczucia. Oczy panny Stanisławy straciły już piękne swe blaski. Łzy zalały niedawny ogień wejrzenia i przyćmiły połyskliwość źrenicy. Ciocia Molunia stała się jakby jeszcze drobniejszą i bardziej zgaszoną. Tuliła się wciąż do siostry, pragnąc widocznie zaczerpnąć odwagi do tak smutnego życia w mocnej indywidualności tej ostatniej, nie widząc, a może nie chcąc dostrzegać owych głębokich szczerb, jakie złowrogi los wyorał w tym energicznym i pięknym charakterze. Wogóle — źle broni się człowiek przed atakami życia z poza okopów starości. Inaczej i wspanialej odpiera je młodość! Takie mniej więcej myśli kotłowały w głowie pana Stefana, gdy, przyciskając kolejno do ust pomarszczone ręce obydwóch płaczących kobiet, mówił im ciepłe słowa żalu i pokrzepienia, słowa wnikliwe, a gorące i nieodzowne, jak złote promienie słoneczne.

— Jakiż to dramat, kochany panie Stefanie! — wyłkała z rozpaczą panna Stanisława. — I gdybyż to przynajmniej dla Polski! O ileż lżejby nam było!

Ale to tylko kula chłopska... przecięła życie... naszego... Henia!

— Droga pani! — zawołał Rożański z zapalem. — To wszystko dla Polski! I Henio i wszyscy inni! Przecież i te oddziały tworzyły się nato, by kiedyś, czasem służyć ojczyźnie. Że chłopska, zdradziecka kula rozwiąła ten „sen o szpadzie“, to dla rodziny cios straszliwy. Ale dla sprawy — nie! Krew, przelana przez polskiego żołnierza na wszystkich polach bitwy, napęlnia powoli czarę cierpienia i chluby, na której zawisa już jego szabla! Da Bóg zwyciężymy i — Polska będzie!

— Pięknie pan mówi, — powiedziała cichutko pani de Krauze, — ale my już siły do walki nie mamy. Takbyśmy chciały resztę życia spędzić w klasztorze.

— Tak — podtrzymała siostrę panna Stanisława. — Prawie wszyscy twierdzą, że Niemcy muszą we własnym interesie powrócić prawo własności. W takim razie sprzedamy rodzinie majątek Ewusi, a same wyjedziemy do Polski i tam — umieścimy się w jakimś klasztorze, aby wśród modlitw za dusze naszych najdroższych spokojnie na śmierć wyczekiwać.

— Ale, ponieważ mowa o Polsce, czy nie miały panie żadnych wiadomości od Piotra? — (Pan Stefan chciał koniecznie zsunąć nieco głąz mogilny z pochyłonych ramion starych swych przyjaciółek, odwracając ich myśli w inną stronę.) — Wyjechał do żony i dzieci i — jakby w wodę wpadł!

— Nic o nich nie wiemy — zaniepokoiła się

panna Stanisława. — Miejmy nadzieję, że: „Pas de nouvelles — bonnes nouvelles!“ Zresztą pan Piotr miał tak rozległe koło znajomości w Warszawie, że chyba da sobie w każdym wypadku radę! A co słychać u pana kochanego? — uśmiechnęła się przyjaźnie do gościa, a uśmiech ten prześwieślony przez morze niedawno wylanych łez był tak promienny, jak tęcza. — Czy ideologia pana rozwija się pomyślnie, pomimo tak niesprzyjających dla takich czynów warunków?

Rożański zakreślił rękę szerokie półkole:

— Buduję złoty most zgody pomiędzy dwoma dziedzicami tej ziemi. Nic mię nie zraża, drogie panie! — pochylił się do ich rąk, ucałował delikatnie, jakby na przeprosiny, a potem, wyprostowawszy się, zajrzał głęboko w oczy staruszkom i mocno, spokojnie, nie zważając na protestujące ich drgnienie, wygłosił: — Nawet Niemirów. Tak, nawet ta rzeź okrutna, to krwawe i bezlitosne nieporozumienie. Czy panie myślą, że to tak łatwo wykręcić sterem historji?! Nie. A my wciąż płyniemy dalej starem korytem. Już wielki czas na zmianę biegu rzeki, tylko, że nie wszyscy to rozumieją! W tem bieda! Daleko lepiej mi poszło w Humaniu. Byłem tam na rewji wojsk Hallera. Coś przepięknego! Mówię o nastroju, o tych fluidach patryjotyzmu, poświęcenia bezgranicznego, oddania się sprawie polskiej niepodległości, jakie płyną w powietrzu nad maszerującymi i defilującymi oddziałami II korpusu. A i wśród okolicznych włościan kiełkuje myśl zdrowa i mądra

o zjednoczeniu się z wojskami polskimi dla wypędzenia z kraju wspólnego wroga — Niemca. Daleka jednak do tego droga. Trzeba przede wszystkim, żeby wojska polskie, tworzone na wschodzie, wydały z siebie wodza! — Panna Stanisława wpatrywała się jakby zahipnotyzowana w ciskającego te mocne, ważne słowa Rożańskiego. Oczy jego pały, ściągnięte łuki brwi zdawały się być arkami triumfu dla rodzącej się pod nimi błyskawicy ducha.

Zasłuchane staruszki doznały naraz wrażenia, iż ból ich pierzcha przed światłem, zalewającym przyszłość potężnym blaskiem, podobnie jak noc ucieka przed słońcem, pan Stefan zaś powtórzył z naciśnięciem:

— Tak. Trzeba nam — wodza! Mamy bezwątpienia wśród generałów polskich na wschodzie ambitnych dowódców, zdolnych organizatorów, odważnych żołnierzy, patrzących w oczy śmierci z chłodnym lekceważeniem, mamy patriotów o czystym, gorącym sercu, ale czy posiadamy — wodza?! Czy wydamy z pośród siebie człowieka, w którym inicjatywa skrzęsana z talentem błysnie iskrą śmiałej decyzji?! Takiego, który będzie miał odwagę wziąć na swe barki odpowiedzialność za życie tysięcy i odpowiedzialności tej się nie zleknie?! Czy ukaże się na naszej widowni człowiek, zdolny do takiego doniesienia: — „Moje prawe skrzydło rozbite. Centrum zagrożone. Jutro atakuję wroga?“ — Oto wódz. Jego wola nie ugnie się przed chwilową porażką. Jego decyzji nie zaćmią żadne postronne wpływy. Jego

błyskawicowa myśl przenika i unicestwia plan przeciwnika. Jego bojowy rozkaz jak piorun wrzyna się i rozszczepia siłę nieprzyjaciela. Umierać dla niego na polu bitwy wśród towarzyszy broni — to upojenie! Myślę wciąż nad tem, czy mamy takiego wodza i — nie wiem!

Panna Stanisława rozłożyła dłonie, wyciągnęła je ku Rożańskiemu, poczem splotła leciutko palce i przycisnęła do piersi, zabierając głos po chwili zupełnej ciszy:

— Pan nas oczarował swemi słowami. Uniósł nas pan tak daleko od ziemi. Dziękujemy. Może usłyszymy coś jeszcze z pobytu Hallera na Ukrainie?

Pan Stefan spojrzał na nią z rozradowaniem, przenosząc następnie wzrok na siedzącą w cichej zadumie panią Ewę. I ta miała twarz wyjaśnioną, jak-gdyby szarpiąca burza uczuć opuściła na chwilę jej serce.

— Skierowałem na te dwie cierpiące istoty ciepły blask zaklętego skarbu miłości ojczyzny, — pomyślał z rozrzewnieniem, — i jaką im to ulgę przyniosło! Mocni jesteśmy tą miłością, jak żaden inny naród na świecie! — Więc, — opowiadał z zapałem, podczas gdy w oczach jego wzbierało znów entuzjastyczne wspomnienie, — jedną z najpiękniejszych chwil w czasie tej humanśkiej rewji była ta, kiedy ujrzałem żołnierzy w mundurach rosyjskich, maszerujących ramię przy ramieniu obok kolegów w mundurach austriackich. Jeszcze dawne kordony trwają i nikt nie obalił słupów granicznych, rozdzielających

połacie dawnej Polski, tylko nasz żołnierz-bohater stwarza wizję tego zatopionego świata, tej wstającej z wiekowego letargu ojczyzny! — i Rożański z niezmierną plastycznością wyrażen jął przesuwac przed oczyma dwóch kobiet obrazy pobytu generała Hallera w Maksymówce, przemarszu wojsk przez Humań, szczegóły defilady i nazwiska wybitniejszych dowódców oddziałów. Cały wieczór zeszedł im na tej gawędzie i na wybieganiu myślą w tajemną przeszłość, przyczem pan Stefan wyrażał logicznie uzasadnioną trwogę wobec parutygodniowego już postoju II korpusu pod Kaniowem. Obawa przed mogącym nastąpić ze strony Niemców osaczeniem Hallera nie opuszczała go ani na chwilę. Lękał się przeciwnika, wymierzającego cios z matematyczną i chłodną ścisłością. Wedle jego zdania, generał Haller powinien był uciekać od Niemców, przejść rzekę i dążyć ku Muśnickiemu bez względu na nic! — To straszne ryzyko! — zakrzyknęła protestująco panna Stanisława. — Za Dnieprem są bolszewicy, — szepnęła pani Ewa takim tonem, jak gdyby mówiła o piekielnych potęgach. — Wódz musi ryzykować! — twierdził uparcie Rożański. — Przecież i obecnie, stojąc na miejscu, stawia istnienie korpusu na kartę.

Już kilka godzin przetoczyło się przez zrab czasu i spadło w otchłań wiekuistego milczenia, gdy Rożański, pożegnawszy się ze starymi swymi przyjaciółkami, wyszedł z plebanji. Nazajutrz rano pojechał do Winnicy. Wiosna pieściła ziemię ciepłymi dłońmi

i zdała miasto było jakby otulone w bogatą opończę z zieleni, haftowaną miejscami w biało-różane płatki kwitnących sadów. Boh szemrał kusząco i płynął w dal, ciągnąc za sobą błękitną szarfę swej bezcielesnej postaci. Uroczą świeżość wiała od jego przejrzystej toni. Słońce, wichry i różne siły przyrody urabiały cały ten obraz w kształt i barwy, przeznaczone dla oczarowania oczu każdego przybysza, to też pan Stefan spijał go wzrokiem, jak wodę ze źródła życia, zachwycając się każdym szczegółem.

Pracowniczki Macierzy powitały go z najszczerszą radością. Pani Świdarska uczyniła to z przelewną, wybuchową żywością, pani Trzcńska zaś — zwykłym sobie opanowanym sposobem. Spokojna już była o syna, który leżał dotychczas w szpitalu księżnej Szczerbatowej w Niemirowie, ale Rożański, spojrzawszy na nią, pomyślał, iż owe złowróźbne wieści-gołębie musnęły z pewnością w przelocie swemi skrzydłami tę biedną matczyną głowę, gdyż srebrne nitki w jej włosach stały się teraz dominującym tonem. Opowiadała mu jednak o przejściach syna z imponującą ścisłością, stawiając przytem wysoko postępek księżnej Szczerbatowej. Gdy bowiem chłopci chcieli wtargnąć do szpitala, a dzikie ich wrzaski i zamęt przy drzwiach wejściowych zwiastował ranym ułanom, o jakim dla nich końcu myślą nienasytzeni wczorajszą rzezią zwycięzcy, księżna stanęła z majestatycznym spokojem na progu, postacią swą zagradzając chłopstwu drogę do wnętrza. Wyniosła i nad przeciętną miarę wysoka, zwróciła wybitnie

rzeźbioną twarz ku stojącym tłumnie chłopom, wśród których miała istotnie mir i powagę, rzucając im z dostojnością wielkiej pani swój zakaz: — Tu — nie wejdziecie! To mój szpital i moi chorzy! Rozchodźcie się do chat!

— Ten czyn był tem bardziej pięknym z jej strony, — mówiła z przejęciem pani Trzcńska, — że obie wraz z córką wykreśliły całkowicie ze swej pamięci, że w żyłach ich płynie krew Potockich. Jako patriotki rosyjskie przeciwne były tworzeniu się wojsk polskich, a ziemię kresowe uważały jako „iskoni“ rosyjskie władanie, więc należy ocenić etykę tej obrony.

Rozmowa przeszła oczywiście na II korpus i generała Hallera, ale tu musiał pan Stefan położyć uszy po sobie i przykucnąć jak zając pod krzaczkiem w czasie ulewy. Wszystko, co przedsiębrał Haller, było — wedle tych jego wielbicielek — święte i doskonałe. On wiedział, co czyni. On niesie w sercu płomień, rzucający wdał rozświetlające blaski. Stał pod Kaniowem — widocznie tak trzeba. W każdym razie nie zdradzi nigdy ani siebie, ani Polski, gdy krew jego i życie będą mogły przeciągnąć szalę zwycięstwa. Na to ostatnie twierdzenie zgodził się i pan Stefan najchętniej, poczem — wyczerpawszy już wszystkie aktualne tematy — rozstał się ze swemi dręczycielkami w najlepszej zgodzie i powrócił na krótki nocleg do hotelu, gdyż pociąg odchodził o świcie. Na stacji w Serbinowcach ujrzał zamiast Mykoły, siedzącego na wysokim koźle powozu,

z hardo odrzuconą wtył głową Staśka, pyszniącego się znać przed „pospółstwem“ i żydowskimi fiakrami nową czwórką wspaniałych, kupionych już po powrocie do domu kasztanów. Niemile zaskoczony samowolną zmianą wydanego rozporządzenia, pan Stefan rzucił drwiące i ostre pytanie:

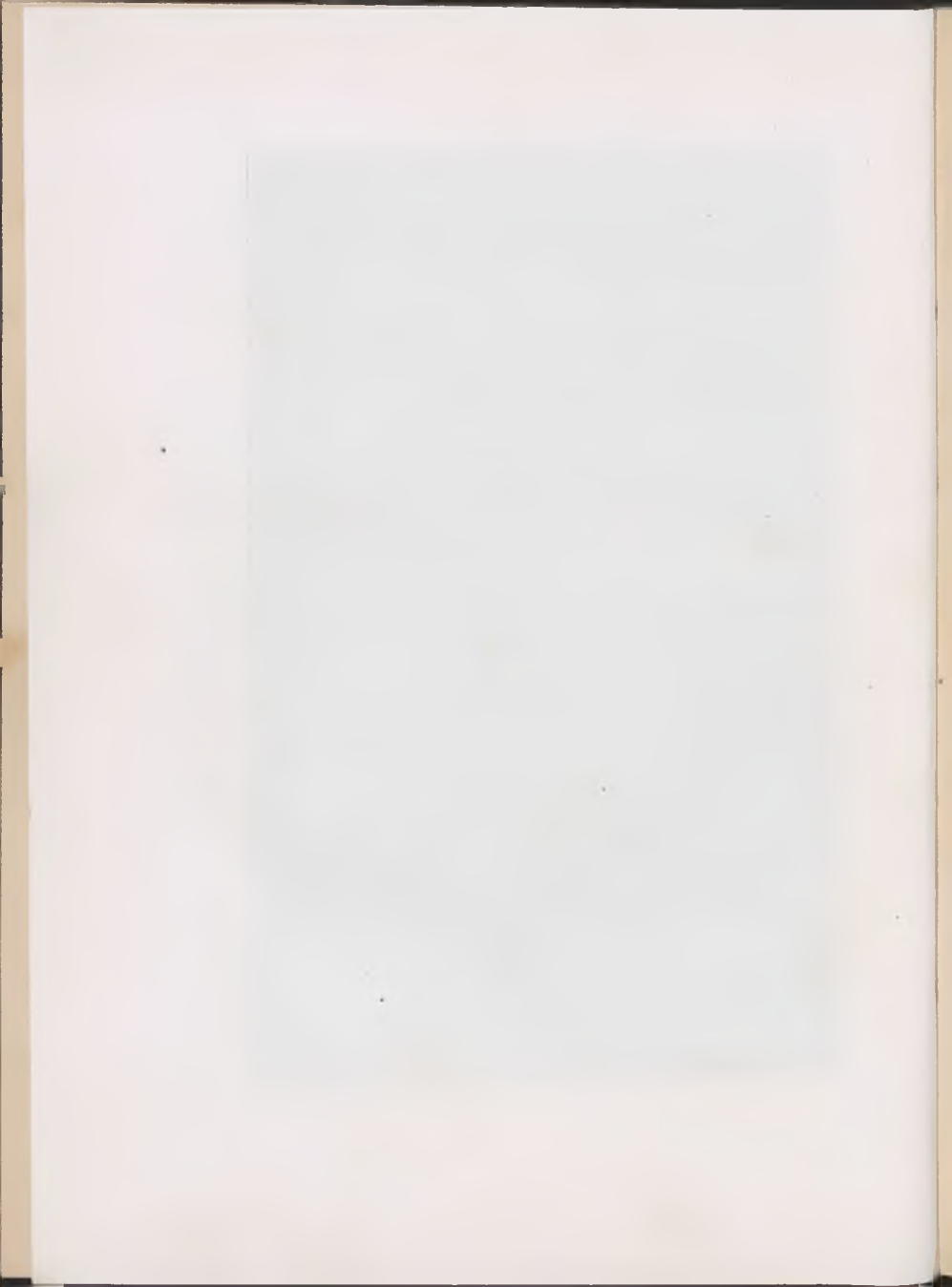
— Czy Mykoła się upił, czy umarł, nieboże?!

— Żona mu zachorowała, prosze pana! — Staśko zdjął z głowy liberyjną czapkę i trzymał ją w zgiętej pod kątem dłoni, zdając się w ten sposób składać niemy hołd feodalnemu władcy. Tradycja wieków przejawiała się w nim w ten swoisty sposób. — Żar taki ją pali, — opowiadał śpiesznie, — że język przysycha jej do zębów. Posłali my zaraz po tego doctora, co jęgo pan dla całej wsi trzyma. On kazał lód na brzuch, a baby znachorki radzą rozpalony garnek. Mykoła durije, prosze pana, bo sam nie wie, kogo ma słuchać, a żona jęczy, jakby ją na kuchni smażyli!

— A to głupiec dopiero! Ja mu dam rozpalone garnki! Wszystkie za okno wyrzuć! Pocóż opłacam doktora i daję wam bezpłatnie lekarstwa! — irytował się pan Stefan, obchodząc dookoła konie. I nagle twarz mu się rozjaśniła przemiłym uśmiechem: — Słuchaj, Staśku! Ale co konie — to konie! Hę?! Prawdziwie „ff“! Ty już wiesz, co to znaczy, bo tłumaczyłem ci, szelmo jeden! Dlatego tak je ponazywałem: Fala, Filut, Finisz, Fiat! Cztery „f“! — Wskoczył do powozu i huknął po bałagulsku: — Wio, hej, dziatki po trzy latki!



Staško z nową czwórką kasztanow



W Szamrajówce nowa niespodzianka czekała na gospodarza domu. Z kredensu wypadł na jego spotkanie Onyśko, a wślad za nim skoczył do jego ręki czarnooki, zgrabny kozaczek, z ciemną czuprynką na jeża, w granatowym, płóciennem ubraniu i takichże szerokich hajdawerach, podpasany skórzanym pasem.

— Sawka! — zakrzyknął Rożański, zdumiony i niespokojny. — Co się stało?!

Chłopak wniósł na dziedzica oczy niewielkie, jak tarki, ale przez które przedzierał się blask wrodzonej inteligencji, jak księżyc przez chmury:

— Państwo wrócili wczoraj do Ojczenaszówki z Warszawy i zaraz mnie tu z listami przysłali. — Wydobył śpiesznie dwie koperty z dużej kieszeni ubrania. Wszystkie jego ruchy były niesłychanie zgrabne i chwackie, a czystość biła od całej postaci.

— Dawaj! Państwo zdrowi?! — i na potakującą odpowiedź kozaczka skoczył z powozu na ziemię, tak lekki i rad, jakby go kto „na sto koni wsadził“. Wraz z tym powrotem bowiem spadł mu jeden przynajmniej ciężar z serca. Zwrócił się jednak do Staśka:

— Jedź zaraz do Mykoły i zapowiedz mu ode mnie: Znachorki won, a doctora słuchaty, bo bude bida! On już zrozumie, jaka to bieda! — i szybko wszedł do dworu. Nie zdejmując wierzchniego okrycia, rzucił się na miękki fotel, przeciął kopertę i zaczął przebiegać oczyma list brata:

— „Drogi Stefanie! Wróciliśmy szczęśliwie z War-

szawy. Zdrowi jesteśmy, tylko Zosia i dzieci trochę pomizerniały. Nic dziwnego! Taka przymusowa głódówka. Stęsknieni jesteśmy do Ciebie więcej, niż można słowami wyrazić. Przyjeżdżaj zaraz. Tyle jest spraw do omówienia. Ściskamy serdecznie. Twój Piotr.“

— Lakoniczny, jak zwykle, — mruknął pan Stefan. — Skondensowany w uczuciach. Ani jednego zbytecznego wyrazu, a to dość rzadko się zdarza na tym padole ustawicznego głędzenia. Teraz zobaczymy, co piszą „dzieci“! — rozłożył drugi list i w miarę czytania pogłębiała mu się pionowa zmarszczka pomiędzy brwiami, a twarz przybierała wygląd zaniepokojony i rozdrażniony.

— „Stryjciu najdroższy! Nie możemy do Ciebie przyjechać. To byłoby nielojalnie z naszej strony. Nic nie rozumiesz, prawda?! Ale spadł na nas tak wielki cios, że nie możemy dać sobie z nim rady. Nie, nie! To nie to! Nie martw się, Stryjciu jedyny! Jesteśmy zdrowi. To coś gorszego od braku zdrowia, a nawet życia. Przyjeżdżaj zaraz. I o nic nie pytaj, o nic! Niestety, i tak się dowiesz zbyt prędko. Ściskamy Cię, Stryjciu złoty, miliony razy. Zochna.“ — a nieco niżej, pod okrągłym, dziewczęcym pismem skreślone było śmiałym, męskim rysem ręki: „i Jurek“.

Pan Stefan podniósł się z fotela, zrzucił z siebie okrycie, cisnął je na łóżko, przyłożył palec do dzwonnka, ale, jakgdyby sądząc, że elektryczność zbyt powolną może być wyrazicielką jego życzenia, uchylił drzwi na korytarz i klasnął dwa razy w dłoń:

— Hej, tam! Sawka! Sam tu!

W mgnieniu oka kozaczek już był w kancelarji. Rożański przetrzymał go chwilę w przenikającym promieniu swego spojrzenia, poczem zaatakował go najniespodziewaniej w świecie:

— Ty coś kręcisz, a ja wszystko wiem! Pani chora!

Na twarzy chłopaka odbiło się zdumienie tak wielkie, że aż pochylił się naprzód, jakgdyby nie dowierzając własnymi słuchowi:

— Jak Boga kocham, ja nic nie kręcę, prosze pana! Pani zdrowa, tylko prawda, że chuda! I panienka zdrowa i panicz też! Nawet wczoraj wieczorem bardzo tego doctora z Warszawy chwalili, że rozum ma i jakieś doskonałne krople panu zapisał. A na kolację to tak jedli, że my z diadem Fediem tylko czyste talerze i półmiski do kredensu wynieśli!

— Ale pożar to był niedawno w Ojczenaszówce i dworu niema! Znowu bunt chłopski! Co?! Strzelali do pana z za krzaków?! — natarczywie wmawiał pan domu.

— A to już, prosze pana, jakieś szelmy pyskują! Nieprawda, wszystko brechnia, jak Boga kocham! — bronił żarliwie swych współsielanów wymowny Sawka. — Jak tylko Niemiec wszedł, to zaraz muzyki przysiedli! Oho! Niemiec na wszystko chitry! Lepiej z nim nie zaczynać! Nocami, cichcem krowy i konie przyprowadzili, meble poznosili do dworu, a pan Wienieski wstawili nowe okna i drzwi, bo tamte powywalali, jak ta rewolucja była! I jeszcze

prosili, żeby pan prędzej do domu wracali, bo dobrze muzyki wiedzą, że pan ich będą przed Niemcem bronili, jakby tak trzeba było! A że te meble i krowy pozabierali, niby pokradli, to prawda! Oł, ciemny muzyk, głupi! — i Sawka podniósł hardo głowę do góry, jakby chciał mocno podkreślić, że umiając czytać i pisać po polsku (dzięki „panience“), nie może siebie stawiać narówni z ogółem swych współbraci.

— No, to dobrze. Widzisz, ludzie plotkują, więc chciałem od ciebie dowiedzieć się prawdy — mówił zupełnie stropiony pan domu. — Idź na kolację. I mnie niech zaraz Onyśko podaje, bo jutro, czuť świt, jadę do Ojczenaszówki. Zawołaj jeszcze do mnie Staśka. Zobaczysz go w piekarni. No, już idź! — wyprawiał zdziwionego chłopaka, który w gruncie rzeczy wyłoiłby najchętniej skórę „podłemu brechnunowi“, co takimi bajdami napełnił uszy dziedzica Szamrajówki. Ten zaś, zostawszy sam w pokoju, opuścił ręce ze zniechęceniem i szepnął gniewnie: — Pierwszy raz w życiu — jestem jak tabaka w rogu!

ROZDZIAŁ XVII.

WSTAJĄCA POLSKA.

Było około piątej po południu, gdy nowa czwórka pana Stefana, parszkając rażno i wyrzucając z fantazją łbami, wjeżdżała w otwartą szeroko bramę sadyby dworskiej w Ojczenaszówce. Otaczał ją stary, przepiękny park, zakrojony na tak wielkopańską miarę przez jednego z przodków rodu Rożańskich, Jerzego, senatora Rzeczypospolitej i niepospolitego miłośnika drzew, iż można było we wszystkich kierunkach rozjeżdżać czwórką koni wporęcz, po wijących się łagodnie i artystycznie olbrzymich alejach. Zgromadzone tu były wszelkie gatunki drzew, od szczerze rodzimych począwszy, aż do egzotycznych i obcych, wytrzymujących jednak surowszą zimę podolskiej ziemi. Wobec dostojności wieku i przepychu rozrostu kojarzyły się one z sobą w nieustannym, a mocarnym poszumie, jakgdyby śpiewały jakąś pieśń nad pieśniami, w której dosłuchać się można było od tych świadków minionych stuleci, całej ubiegłej historii życia na kresach. Jadąc przez szeroką aleję lipową, prowadzącą wprost ku białemu dworowi, Rożański dojrzał zdala, w głębi parku, starego wo-

ziwodę, Mychałka, sunącego wolno na białym mucu po wodę. W luce, uczynionej tu pomiędzy młodemi świerkami, widniał olbrzymi staw, a wzgórze za nim puszyły się bujną zielenią dworskich ozimin. Katra krzątała się koło róż na gazonie przed dworem i powitała przejeżdżającego pana Stefana najradośniejszym uśmiechem, wykazującym biel zębów i wdzięk tej wieśniaczej córy. Zatupotały nagle szybkie kroki, zbiegających po kilku stopniach ganku Jurka i Zochny, którzy rzucili się pędem na spotkanie zbliżającego się gościa. Staśkó wstrzymał kasztany, a młodzi wskoczyli z dwóch stron do powozu. Rożański uczył delikatny, jedwabisty w dotknięciu policzek Zochny, tulący się do jego twarzy. Spadł nań grad pocałunków ciepłych i tak miłych, jakgdyby był zarzucony płatkami róży. Jurek ścisnął go silnie, po męsku, objawszy mocno za szyję.

— Strycju najdroższy! Nareszcie! Od samego południa wyglądamy i wyglądamy napróżno! Myśleliśmy, że stryccio gdzieś podnocuje po drodze i wcześniej będzie! A to sobie taki pan Wygodnicki z naszego stryjcia! Dzięki Bogu, że żyjesz, złoty nasz przyjacielu! Szaleliśmy z trwogi w Warszawie, czytając te różne wieści o rewolucji w Rosji!

Słowa splatały się tak z pocałunkami i pieścizkami, że pan Stefan nie mógł poruszyć głową. Nareszcie zakrzyknął niefrasobliwie:

— Czekajcie, warjaty! Co było, to przeszło, a chciałbym przecież zobaczyć, jak wyglądacie! — odsunął ich nieco od siebie i spojrzał kolejno badawczo. —



Stary woziwoda Mychatko w Ojczenaszówce



Dziewczynka moja już nie ma takich rumieńców jak róża „La France“! Czyżbyś nie ufała koalicji, małeńka!? A Jur lepiej się trzyma. Rożańskiego zła dola może pokąsać, ale nie zgryzie go nigdy! Prawda!? Wyrośliście i zmężnieliście. Prawie trzy lata was nie widziałem! To ogrom czasu w tym wieku! No patrzcież! Staśko już zajechał przed ganek, a ja tylko dla was mam oczy — i Rożański wyskoczył z powozu, biorąc śpiesznie w swe ręce obie szczupłe i przejrzyste dłonie bratowej, która wraz z mężem ukazała się w tej chwili z wnętrza dworu.

— Zosiu kochana! Jakżeś ty zmizerniała, biedactwo drogie! Dogodzili wam Niemcy! Co?! Jak się masz, Piotrze? Zato ty lepiej wyglądasz? Co za czary!?! Nic nie rozumiem!

— Wszystkoto drobiazg, poprawimy się szybko na tem ukochanem Podolu! — pocieszała upragnionego gościa pani domu, który wpatrując się w nią z niepokojem, nie zauważył, iż przy ostatnich słowach matki Jurek i Zochna spojrzeli na siebie ze smutkiem.

— Jesteśmy po podwieczorku, ale zaraz Fed' poda ci herbatę. Tu na werandzie, dobrze? Napawamy się ciągle tem cudnem powietrzem — powiedział pan Piotr tak szybko, jakgdyby chciał odwrócić niepożądaną dlań tok rozmowy.

— Za dwie minutki wszystko będzie gotowo, prosze pana, — zabrzmiał łagodny i miły głos służącego, który już się krzątał koło przybysza, zdejmując zeń troskliwie okrycie i odbierając kapelusz. Twarz jego wyrażała dobroć i uczciwość wrodzoną, czarne oczy

nie znalazły błyskawic gniewu, postać cała przybrana w ciemnoszary garnitur była tak zgrabna i kulturalna, że budziła wnet prawdziwą życzliwość i zaufanie do tego chłopca podolskiego. Jedyłą skazą na tym rodzimym brylancie była — jego żona, Kiłyna. Nieznośna, gadatliwa i chciwa bez miary, truła życie zacnemu mężowi. I teraz Fed' Załęskij (znów jeden schłopiały ród polski o zrusyfikowanym nazwisku), nie mógł spojrzeć w oczy „swoim państwu“ tak śmiało jak dawniej, gdyż w czasie rozgrabienia dworu w Ojczenaszówce, zeszłej jesieni, Kiłyna schwyłała wspaniały dywan perski z salonu i wraz z domagającymi się równego podziału kumoszkami pocięła go na „równe“, kwadratowe kawałki, upiększając nim ścianę w chacie nad łóżkiem. Obecnie, gdy groźba kary zawisała nad szkodnikami wraz z wejściem Austro-Niemców, Kiłyna zakopała swój cenny łup w sadzie, pod gruszą, postanawiając nie przyznawać się nigdy do popełnionej kradzieży. Ale Fed'owi ciężko było żyć z tym kamieniem na sercu i gdyby się nie bał scen z żoną, przyznałby się z pewnością „panu i pani“ do czynu, który i wówczas wzbudzał w nim niechęć prawdziwą.

— Powiedzże mi, mój drogi — mówił pan Piotr, zasiadając ze wszystkimi na wyplatanych fotelach, rozstawionych na ocienionej młodem winem werandzie — jak ułożyłeś swoje sprawy z chłopami w Szamrajówce?

— Doskonale — wzrok młodszego brata zaświecił szczerem zadowoleniem. — Buraki sam zasiałem, a resztą ziemi podzieliłem się z gromadą, na wspólnie.

Powiedziałem im: — Ekonoma wam stawić nie będę. Wybierzcie sami gospodarza, któryby dbał o moje i o wasze. Wybrali Danilczuka, a ja to zaaprobowałem. Mam spokój i mogę się teraz oddać ważniejszej robocie.

Pan Piotr tak przeszedł wzrokiem po twarzy brata, jakgdyby zaczerpnął mu z duszy treść tej roboty, chcąc ją ocenić. Nie poruszając jednak tej kwestji, ciągnął dalej z humorem: — W Ojczenaszówce odbyło się to jeszcze lepiej. Stary Wienieski zebrał resztki koni, odkopał ziarno na siew, które złożone było w murowanym dole, przeżegnał się i wyszedł w pole. Chłopi patrzyli i nic. Myślą widocznie: Dla kogoś ono będzie. A czy dla was, czy dla nas — to zobaczymy! — Tymczasem, mogę powiedzieć ci, i to z najlepszego źródła, że Niemcy urządzają wielki przewrót na Ukrainie. Pompa ssąco-tłocząca nie może przecież działać bez odpowiedniego naoliwiania. Któż dostarczy zboża wygłodzonym państwom centralnym? Chłop?! Z pewnością — nie. Więc dwór?! Tak. I dlatego własność powróci. Może dziś, może jutro, najdalej za tydzień.

Pan Stefan poruszył się zlekka i zabrał do podwieczorku, który Feć wniósł przed chwilą na pięknej srebrnej tacy z uszkami.

— Katra uratowała nam wszystkie srebra — odezwała się ciepłym głosem pani domu. — Kochana dziewczyna!

— Dużo jest wśród nich dobrych i zacnych — głos młodszego brata brzmiał jak fanfara radości. —

Niech własność wraca, to słuszne, bylebyśmy tylko umieli z tego historycznego momentu skorzystać! Ale odkładam tę sprawę na później. Teraz — pragnę wiedzieć o waszem życiu w Warszawie, jak sobie dawaliście radę i jak powstała Polska z niewoli? Cudowne przeżycia, a my tak mało, tak niedokładnie o tem tu byliśmy poinformowani.

Jurek zawołał: — Przyniosę w tej chwili nasze *Silva rerum!* — i skoczywszy do przyległego salonu, w mig był zpowrotem. Położył na stole grubą oprawną księgę:

— Wklejaliśmy tu wszystko, co tylko zdawało się nam ciekawem i charakterystycznym. Ilustracje są także. Naturalnie mamusia nam pomagała, bo przecie w momencie wejścia Niemców do Warszawy miałem piętnaście lat, a Zochna czternaście.

— Więc zaczynamy od początku — zaśmiał się pan Stefan wesoło. Twarz jego promieniała wewnętrzną pogodą człowieka, który znalazł swą drogę. Ruchy były tak młodzieńcze, a oczy tak pełne energii i życia, że Jurek i Zochna, wpatrując się weń z uwielbieniem, stwierdzali pocichu, iż jeśli oni „wyrośli“, to stryjcio „zmężniał“, ale się broń Boże, nic a nic nie postarzał!

— Pamięta stryjcio — uśmiechała się do swych wspomnień Zochna — jak przy końcu lipca 1915 roku otrzymaliśmy depezę z Warszawy od przyjaciółki mamusi: — „Pani Ka jedzie. Wracajcie.“ — Zrozumieliśmy odrazu, że to „panika“ wskutek odwrotu Rosjan i nacisku Niemców. Ojczulek twierdził, że oku-

pacja niemiecka potrwa długo. Mamusia wierzyła informacjom miejscowym, zapewniającym chwilowość tych przesunięć wojennych, a przytem obawiała się dla nas zmarnowania lat szkolnych, ojculek ustąpił — i pojechaliśmy.

— Jak ona dobrze mówi, ta mała dziewczynka! — stryjcio otulił synowicę najczulszym promieniem wzroku. — Wyrobiła się w twardej szkole życia. —

— Stryjcium! Wtedy byłam w czwartej klasie, a teraz przechodzę do ósmej! Cóż to dziwnego, że lepiej się wysławiam! Proszę słuchać i nie przerywać, stryjciumiu! — zapowiedziała przymilnie. — Już jestem myślą w całej grozie tej burzy wojennej. Słyszę — jakgdyby wczoraj to było — wstrząsający huk mostów, wysadzanych w powietrze przez odstępujących Moskali. Widzę, przez okno naszego mieszkania, pędzącą w cwał dorożkę z oficerami rosyjskimi. Woźnica zacina konie raz po raz, z rozpaczliwym wysiłkiem. Czy zdążą się dostać na Pragę, zanim runą do Wisły filary i przęsła?! To było moje ostatnie wrażenie z odwrotu armji carskiej. Forty już były wysadzone, składy i warsztaty kolei podpalone. Niebo nad Pragę płonęło. Pożar się pienił, szalał, wyciągał ku nam czerwone ramiona, jakgdyby chciał nas, pozostałych za rzeką raz jeszcze dosięgnąć i na tamtą stronę przerzucić. Przed odwrotem bowiem policjanci rosyjscy obchodzili wszystkie nieledwie domy w Warszawie i namawiali mieszkańców do wyjazdu, ofiarowując bezpłatne bilety, strasząc, że jednych Niemcy wcielą do swego wojska, a ludność cywilną

wybiją. Zabrali w ten sposób wielu żywicieli rodzin, a Warszawa się wyludniła. Praga była spowita w gęste dymy. Błyskawice szrapneli, zbliżający się coraz bardziej, huk dział, pustka na ulicach i naprężone oczekiwanie tego, co lada chwila stać się może — wszystko to świadczyło o tem, iż żelazne ręce jednego zaborcy już się cofnęły, by dać miejsce stalowemu chwytowi drugiego.

— Jakie ona ma przesłiczne oczy! — pomyślał Rożański, wpatrując się w dziewczynę. Siwe jakby dwa stalowe gołębie? I ta złotawa aureola włosów nad jasnym czołem! Jedni Rożańscy blondyni, inni — bruneci. Tak jest od wieków, jakby dwie linje w tej samej rodzinie. Ale co za entuzjazm! I Jur bierze w tem udział całą duszą, jak widzę!

Chłopak wykrzyknął w tej chwili z drwiącem lekceważeniem, zwracając ku stryjowi czarne, głębokie oczy:

— Ten jeden zaborca ofiarował nam przed swem gwałtownem cofnięciem się — autonomję! Wporę, co, stryjcju?! Mów, Zochno! Ona ma zawsze „znakomicie“ za wszystkie wypracowania. Jeszcze będzie z niej literatka! Prawda?!

Ale dziewczyna puściła mimo uszu ten żarcik brata. Widocznem było, iż srogi czar chwil przełomowych, kiedy to pierwsze drgnienia życia łamały wiekowy letarg ojczyzny, zagarnął ją całkowicie w swe panowanie, więc dalej snuła nić wspomnień:

— Piątego sierpnia z rana weszły do naszej stolicy wojska niemieckie armji księcia Leopolda Bawarskiego. Przepyszne konie, jeźdźcy jakby wykute

posągi, wspaniali, butni, piechota maszerowała niby maszyny — nie ludzie. Triumfalny wjazd krzyżaków, chociaż inaczej byli ubrani. Z Pragi padały strzały armatnie. Na Krakowskiem Przedmieściu stały karabiny maszynowe niemieckie, wycelowane na Pragę, publiczność zaś spacerowała wśród tego wszystkiego, nie orjentując się w niebezpieczeństwie, lub też stawiając wyżej niż życie — zaspokojenie własnej ciekawości. (Jurek podsunął do stryja Silva rerum i w milczeniu wskazywał mu ilustracje, odpowiednio do słów siostry). Zdzisław Dębicki pisał wówczas na łamach „Kurjera Warszawskiego“ o rozmowie swej z korespondentem zagranicznych gazet, który wieszował Warszawie zimnej krwi i silnych nerwów. — Niestety! — odparł Dębicki — nie mamy ani jednego, ani drugiego, tylko mocną wiarę w jutro. Siła żywotna, którą pan tu widzi, to siła narodu, mającego głębokie poczucie praw do życia! — I który żyć będzie! — dokończył gorąco cudzoziemiec. Prawda, że tak pisał, Jurku? — zwróciła się do brata. — Wycięliśmy to i wkleili, a te słowa polskiego pisarza, uwolnionego od pęt moskiewskich, wryły mi się na zawsze w serce. Takie to było nowe, olśniewająco „wolne“! Komitet Obywatelski, w którego rękach był spokój Warszawy w czasie krótkiego interregnum, przedstawił się władzom niemieckim na Zamku, uzyskując mianowanie prezesa Komitetu, księcia Zdzisława Lubomirskiego prezydentem miasta i zatwierdzenie Straży Obywatelskiej.

— Dodatkowe dary: — rąbnął Jurek z młodzień-

czym porywem — Dwunastu zakładników polskich z pomiędzy najpoważniejszych obywateli miasta gwoli bezpieczeństwu wojsk jego cesarskiej mości, kara śmierci za usiłowanie szpiegostwa, rzeź ogólna gołębi pocztowych z uprzejmą zamianą życia gołębia na życie jego posiadacza, zakaz wywożenia z Warszawy i przedmieść miedzi, cynku, mosiądzu, skór, bawełny i wyrobów płóciennych, jak również żywności — czytał w swej księdze. — Kamienna dłoń zaciążyła nad „wyzwoloną“ od jednego wroga Warszawy. Mówię, stryjciu, „kamienna“, bo jest w tem pojęciu coś chłodno-niewzruszonego, coś matematycznie ciężkiego, coś, co się nie da stopić, jak żelazo naprzykład, tylko gniecie i oddech zapiera.

— To też mieszkańcy Warszawy zareagowali odpowiednio na wjazd do niej księcia Leopolda Bawarskiego — podkreśliła pani Zofja z naciskiem. — Deutsche Warschauer Zeitung zaznaczyła „poprawny chłód Polaków“ w czasie tej uroczystości, jak również uczucia księcia Lubomirskiego, który „czuje się rosyjskim obywatelem, powołanym do utrzymania miasta dla państwa rosyjskiego“. To dopiero zrozumienie polskiego ducha! Książę Lubomirski wierzył w koalicję, podobnie jak i ja, a na stanowisku prezydenta Warszawy okazał wiele taktu i godności, co mu wszyscy potem przyznali. Zapytany kiedyś przez Beselera, jak Warszawa przyjmie cesarza Wilhelma, gdyby chciał ją odwiedzić, znalazł natychmiast spokojną odpowiedź: — Jak cesarz każe. — Jednak ton jego wykazywał jasno nie serwilizm, ale uległość z musu.

— Matus! Ty zawsze wierzysz w „obce potencje“?! — zapytała jakby z żalem Zochna swym ciepłym, czarownym głosem.

— A wy?! — rzucił pan Stefan badawczo i ogarnął synowców wnikliwym spojrzeniem.

— My?! O, my mamy własne swe stanowisko, dalekie, ach jak dalekie od wszelkich „orientacyj“! Ale tymczasem nie wyjaśnimy tego stryjciowi. Niech się to z naszego opowiadania tak wyłania, jak w nas dojrzał powoli. Więc mówię dalej. Pamiętam jak w naszych umysłach dziecięcych przeplatały się kolejno dwa mocne uczucia: Obawa przed głodem, to znów szalona, wniebowzięta radość z powodu powstawania narodowych, polskich instytucyj. Komisje niemieckie rekwirują mąkę, kaszę, słoninę, brak dowozu, chleb drożeje, już Niemcy wydają kartki na chleb, na mięso... I nagle — grzmi wieść po całej Warszawie: Sądownictwo polskie powstaje! Przedstawiciele nasi czynią starania u władz niemieckich o oddanie im pałacu Krasińskich i pałacu Paca, w których mieściły się rosyjskie sądy! I znów ciężka zmora policyjnych nakazów: meldować zapasy zboża i mąki. Sekwestr metali, chemikalij, tłuszczów. Do chleba dodają wszędy kartofle. Siedmnastego sierpnia — brak mąki w Warszawie. A tymczasem działalność Komitetu Obywatelskiego się wzmacnia! Już wziął pod swoją opiekę teatry polskie, już myśli o otworzeniu szkół powszechnych i średnich, uniwersytetu polskiego! Wreszcie — nastaje dzień wielki niezapomniany, dzień 24 sierpnia: Komitet Obywatelski miasta

Warszawy wprowadza przymus szkolny, poleca wydziałowi oświecenia przygotować odpowiedni projekt, uchwała budżet szkolny, wynoszący około dwóch milionów rubli. Więc jesteśmy budowniczymi własnej kultury?! Mamusia woła przez łyzy radości: — Co za szczęście! Czytam i oczom nie wierzę! Ale czy wiecie, że mięso, mąka i nabiał przybierają ceny fantastyczne?! Ja wszystko przetrzymam, ale o was mi chodzi! — I my przetrzymamy, mamusiu! — Przy końcu sierpnia pada Brześć Litewski. Olbrzymie wrażenie w Warszawie. Pojmują wszyscy, że to jest zupełna porażka armji rosyjskiej, że jesteśmy odcięci na długo, do końca wojny być może, od tych, którzy za kordonem niemieckim zostali. System „kamiennej“ nieczulej ręki się wzmaga. Okupanci sekwestrują dla armji niemieckiej skóry, garbniki, len, konopie, wełnę, jedwab, szczecinę, czy ja wiem, co jeszcze?! Wogóle wszystkie artykuły gospodarstwa rolnego. Kto się od tego uchyla, karany ma być grzywną do 10.000 marek lub też więzieniem do pięciu lat. Brak gazu i elektryczności z powodu oszczędzania węgla, brak żywności w Warszawie! Surogaty zastępują rzetelne pokarmy. Cukier napół z kurzem. Mięso, wędliny dostępne tylko dla najzamożniejszych. Począwszy od Bugu wszystko w Królestwie spalone. Żołnierze niemieccy nie wiedzą, co to dach nad głową, co to rekwizycja na miejscu. Tak przynajmniej uważają się po gazetach, nie troszcząc się wcale o to, że ten kraj spalony — to Polska, że około dwunastu milionów uchodźców, przemocą lub namową zabra-

nych przez cofających się Rosjan, tuła się po całej Rosji wśród nędzy i chorób zakaźnych. Na sklepach warszawskich ukazują się napisy: — „Niema chleba“! — Stoją przed nimi z załamaniem rozpacznymi rękami gromadki wynędzniałych kobiet. Konie dorożkarskie padają na ulicy z wycieńczenia i głodu. Za drogie pieniądze dostać jeszcze można chleb wojenny, „wykwintny“ przysmak z razowej mąki i syropu buraczanego. Zresztą kartki na wszystko, nawet na węgiel. I znów dźwiga się naród własnym wysiłkiem, nie tylko w okupowanym, wyciśniętym jak miazga w cytrynie Królestwie, ale i zagranicą, tam, gdzie rozbrzmiewa mowa polska, gdzie serca patriotów tętnią w piersiach najszlachetniejszych synów tej znękaney niedolą ojczyzny. Komitet Generalny w Vevey z Henrykiem Sienkiewiczem na czele wysłała dla ziem Królestwa, dla ludu polskiego na Morawach, na Żmudzi — przeszło półtrzecia miliona franków, Polacy z Ameryki za inicjatywą i pod wpływem Paderewskiego uchwalają podatek na głód w Polsce. W Warszawie krzątają się ludzie, chcąc ratować przeważającą większość tych, którzy stoją na pograniczu biedy i nędzy. Towarzystwo Przemysłowe, Towarzystwo Rolnicze składają memorjały, omawiające sposoby ratunku wobec gwałtownego powstrzymania życia przemysłowego i ekonomicznego przez wywożących wszystko, co się da, nawet części maszyn po fabrykach, okupantów. Jak niezliczone mrówki, oczyszczające szkieleł do kości, idą jeden za drugim sekwestry: miedzi, mosiądzu, niklu, zakaz wywożenia pla-

tyny, bydła, koni. A Polska dalej powstaje. Pierwszego listopada otworzony w Warszawie Uniwersytet i Politechnika z językiem wykładowym polskim. Tworzą się Wyższe Kursy Naukowe i jednocześnie niemal przyjmujemy już obojętnie do wiadomości nowy sekwestr łożu baraniego, wołowego i wszelakich tłuszców. Nastaje rok 1916 i Wilson wyłania nowy pogląd: „nieuciskania narodowości“.

— Stefanie! — powiedziała pani Zofja, śmiejąc się szczerze. — Lituję się nad tobą. Ty umrzesz, jeśli stan twego osłupienia potrwa jeszcze czas jakiś. Zdradzę ci tajemnicę, gdyż myśli twoje są dla mnie jasne. Oto poprostu Zochna miała dany sobie przez polonistę „temat dowolny“ jako wypracowanie. Wybrała czasy okupacji niemieckiej i rozwijanie się życia polskiego w Królestwie i opracowała to źródłowo. Działo się to przed naszym przyjazdem, nic więc dziwnego, że tak pięknie i biegle ci to referuje.

— Ach, mamusiu! — wykrzyknął Jurek — Jak można było zepsuć całe wrażenie?! Taki byłem dumny z mojej siostrzyczki i piłem wprost zdumienie stryjcia, jak najśłodszy miód, a tu mamusia odkrywa karty! (Chłopak był naprawdę zmartwiony, gdyż cenił sąd stryja niezmiernie wysoko, a siostrę kochał nad życie.)

Pan Stefan otrząsnął się już z nadmiaru zdziwienia, ale mimo to, wzrok jego nie stracił ani na jotę radosnego podziwu, z jakim przyjmował opowiadanie synowicy:

— Wartość tego, co słyszałem, nic nie jest zmniejszona. Tu chodzi nietyle o nagromadzenie faktów

jak o ich ujęcie, które jest cechą zupełnie indywidualną. Słucham cię, maleńka, z najwyższą uwagą.

Zadowolony uśmiech przewinał się po wargach pana Piotra, który oznajmił:

— Spróbuję rywalizować z moją córą, chociaż jestem niepewien wyniku. Skończ więc, dziewczynko, swą przedzę wspomnień, a potem opowiem ci, bracie, jeszcze ciekawsze sprawy. Tak mi się zdaje przynajmniej.

— Nie staję do konkursu! — zaprotestowała żywo Zochna. — Pokonać takiego dialektyka jak ojczulek, to nad moje siły! — i nagle fala krwi zaróżowiła jej twarz i szyję, jak to bywa czasem u natur subtelnych, kiedy myśl o wyrządzeniu komuś mimowolnej przykrości wywoła w nich przyływ wzburzenia.

Ten drobny epizod szarpnął snadź potajemnie nerwami pana Piotra, gdyż odwrócił oczy od córki i umilkł. Przenikliwość pana Stefana biła na alarm, ale prawdziwy motyw całego zajścia ulatywał mu wśród dociekań jak niepokojąca zagadka.

Czujna pani domu wyrwała córkę z zadumy:

— Zochno! Czekamy. Skończ twoją opowieść. Kazałam opóźnić nieco kolację, by nie przerywać twego natchnienia, ale nie traćmy czasu na próżno. Przejdźmy jednak do salonu. Zaczyna być chłodno.

Ruszyli się wszyscy, a dziewczyna wsunęła rękę pod ramię stryja i prowadząc go do staroświeckiej, jesionowej kanapy, mówiła czystym swym głosem, który bez względu na słowa czarował każdego słuchacza głębią swej intonacji.

— A teraz nieco humoru. To się przyda, nieprawdaż, stryjciu?! Więc przyszły mi na myśl dwie anegdotki z owych czasów, które kursując po Warszawie, wywoływały uśmiech na niejedne zgłodniałe usta. Pierwsza: Obywamy się bez mąki, bez tłuszczu bez cukru, bez skóry; bez wełny, bez gazu, bez węgla! „Bez“ stanie się wkrótce narodowym kwiatem Polski. Dobra, co stryjciu?! Zaś druga tak brzmi: Po bitwie pod Brześciem Litewskim zaczęła napływać do Warszawy moc jeńców rosyjskich. Prowadzili ich niemieccy żołnierze po ulicach miasta. Jakiś andrus warszawski stanął na Krakowskiem Przedmieściu, wziął się pod boki, potem wyciągnął przed siebie rękę i krzyknął: — Patrzcie! Patrzcie! „Nasi“ prowadzą „naszych“! — (wszyscy się roześmiali). Takie panowały poglądy na „orientacje“ w sferze, gdzie zdrowy rozsądek jest czeńś tak kierującym i podświadomem, jak instynkt u zwierząt. Tymczasem cała inteligentna Warszawa była terenem walki dwóch prądów. Niemal się wszędzie słyszało obustronne zarzuty: Germanofile! — Moskalofile!

— Tylko nie u nas! — poruszyła się żywo pani Zofja.

— U nas — nie! — potwierdziła córka z zapalem. — Chociaż mamusia wierzy w to, że koalicja zwycięży i że jej polityka wymagać będzie niepodległej Polski, ale wszystko co się działo, rozpatrywaliśmy zawsze pod kątem widzenia: Jaki Polska odniesie z tego rzeczywisty pożytek? Wogóle jednak

sprzeczano się, w najlepszej wierze, o te nieszczęsne orientacje. Dołączyła się jeszcze do tego sprawa legionów Piłsudskiego i nie tylko prywatnie, ale we wszystkich gazetach zawrzały polemiki. „Oszczędzajmy siły dla przyszłości!“ — pisali i mówili jedni. „Czyż jedyną naszą troską ma być posadzenie kartofli na ciepłych jeszcze, okrwawionych pobojowiskach?! — pytali porywco drudzy. Duchowy kierownik agitacji na rzecz tworzenia się legionów, Waław Sieroszewski ogłosił w „Gońcu“ wprędce po wejściu Niemców list otwarty do polemizującego z nim Strasze-wicza, kończący się tak (Przeczytaj, Jurku! — zwróciła się do brata):

— „Jeśli nie stać nasz naród na romantyzm, to jest on i zostanie stadem niewolników! Wierzę głęboko wbrew upewnieniom Szanownego Pana, że naród polski stać jeszcze na wysiłek romantyczny i do tego wysiłku wzywam go jako do jedynej drogi zbawienia!“ — przeczytał chłopak donośnie z leżącej przed nim księgi.

— Jakie macie gwarancje polityczne?! — pytali namiętnie jedni drugich. Co was skłania do wiary w ten lub ów rząd obcy, w słowa tego, albo innego dyplomaty, czy męża stanu?! Skądże wiecie, że wasze czyny będą miały zbawcze dla kraju skutki?! — jęła wskrzeszać ówczesne spory pani Zofja, której rozplomienione oczy wskazywały, jak silnie przeżywała te chwile i jak gorąco bierze do serca wszystko co jest związane z przyszłością narodu. — Przecież Rosja ogłosiła autonomję Polski przed ucieczką z Kró-

lestwa! — przekonywali jedni. — Manifest Koła Polskiego w Wiedniu, wyrażający pewność, że Warszawa będzie stolicą wolnej Polski, włączonej w związek monarchji habsburskiej, został skonfiskowany przez prokuratorję austriacką! — szydzili drudzy. — Piękne mamy rządy waszych „sprzymierzeńców!“ — rzucali w oczy zwolennicy programu endeków. — Prócz wysysania docna Królestwa, stajemy się teraz „Polską niemiecką“, tak jak dawniej byliśmy „Polską rosyjską“! Przecież nawet klepsydry pogrzebowe muszą być w dwóch językach. Nawet umrzeć nie dadzą po polsku! A na każdym kroku utrudniona komunikacja, przepustki, świadectwa odwszenia, kary, grzywny, więzienie! Stawiamy na koalicję i w nią wierzymy! — Strzeżcie się tylko, by po zwycięskiej wojnie Francja nie uznała sprawy polskiej za „sprawę wewnętrzną“ Rosji! — burzyli się przeciwnicy caratu. — Ciężko było żyć w tej atmosferze! — pani Zofja umilkła, a szybki jej oddech świadczył jak szczerze była wzruszona.

— I wśród tego wszystkiego — podjęła Zochna na nowo — przychodzi stodwudziesta piąta rocznica konstytucji. Trzeci maj w Warszawie! Na ulicach — tłumy. Imponujący, olbrzymi pochód z duchowieństwem i zbratanemi wszystkimi stanami. Biały orzeł porwał się ze snu i jeszcze swych sił niepewny, leciał na skrzydłach poranku, wzywając wszystkich na stanowisko. Nie brakło nikogo! A potem — wielka kwesta ogólnokrajowa: „Ratujmy dzieci!“ i prace Rady Miejskiej, działalność Rady Głównej Opiekuń-

czej i — sekwestr okupantów w sierpniu na cały zapas żyta, pszenicy, owsa, fasoli, grochu, z nowego urodzaju. Ameryka śle żywność dla wygłodzonej Polski. Paderewski zebrał bowiem 220.000 dolarów w Stanach Zjednoczonych u rodaków dla rodaków. Dziwne wrażenie słuchowe niosło się przez całą Warszawę w zimie 1916 roku. Oto po wszystkich ulicach stukały drewniaki. Zabrakło skóry! Nastaje dzień piąty listopada. Akt proklamacji Królestwa Polskiego. Przeczytaj, Jurku!

Chłopak przerzucił parę kart Silva rerum i jął obwieszczać z powagą:

— Przejęci niezłomną ufnością w ostateczne zwycięstwo ich broni i powodowani życzeniem, by ziemie polskie przez waleczne ich wojska rosyjskiemu panowaniu wydarte, do szczęśliwej przywieść przyszłości — jego cesarska mość cesarz niemiecki oraz jego cesarska i królewska mość cesarz austriacki i apostołski król Węgier postanowili z ziem tych utworzyć państwo samodzielne z dziedziczną monarchją i konstytucyjnym ustrojem. Nowe królestwo znajdzie w łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami rękojmię potrzebną do swobodnego sił swych rozwoju. We własnej armji nadal żyć będą pełne sławy tradycje wojska polskiego“ — i t. d., sarknął Jurek lekceważąco. Oto, gdzie leży sedno tej sprawy! — smukłym palcem podkreślił słowa o wojsku. — Brak tym panom materiału ludzkiego, więc wdzięczą się do nas! Ale, chwała Bogu, Komendant I-szej brygady stanął im dęba z miejsca!

— Ty się wyrażasz, Jurku! — powściągnęła go siostra łagodnie.

— Chodzi o treść — nie o słowa, a ta jest trafna! — mruknął uparcie.

— Niech się stryjcio nie dziwi — powiedziała dziewczyna, kładąc dłoń na ramieniu brata. — On przeżył cały dramat w związku z tem, co tak jaskrawo wyraża. Opowie to kiedyś stryjciowi. Tymczasem wracam do swoich wspomnień. Warszawa przyjęła akt 5 listopada dość obojętnie. — Widocznie źle z nimi, kiedy tak nas kokietują! — Takie było przeważnie wrażenie w szerokich kołach. Rektor Uniwersytetu, dr. Brudziński przemówił na Zamku, kończąc w ten sposób: „Przyjmujemy ten doniosły akt obu monarchów, stwierdzając nigdy nieprzedawnione prawa do niepodległego bytu państwowego“. Już z ust wracających z Zamku delegacji i skautów rwały się śpiewane chórem słowa: „Jeszcze nie zginęła!“ i szalone, długotrwałe okrzyki: — Niech żyje niepodległa Polska! — Ale dopiero pochód, który pod wieczór stanął na placu przed Ratuszem, przeżył istotnie cud „chwili osobliwej“. Nad głowami idących chwiały się rozpięte na drążkach białe płótna z napisami:

— Żądamy Sejmu Prawodawczego!

— Cześć Legionom — kadrom Wojska Polskiego!

— „Chcemy samodzielnego Państwa Polskiego, silnego rządu i armji!“

— „Niech żyje armja polska! Niech żyje niepodległa Polska!“

Szli wszyscy, jedni za drugimi, jak jedna zwarta, tocząca się fala. Orkiestra wojskowa grała: — „Boże coś Polskę!“ — Socjaliści śpiewali „Czerwony sztandar“ i dźwigali wysoko nad sobą napisy:

— Niech żyje niepodległa Polska Ludowa!

— Niech żyje solidarność robotnicza!

A tuż za nimi widniały szerokie wstęgi transparentów, w rękach studentów i legionistów:

— Cześć wojownikom o wolność i lud! — Ach, stryjcju, ja to wszystko widzę jakby na jawie!

Jurek porwał się z miejsca i z roziskrzonymi oczami, piękny w swem młodzieńczem uniesieniu, wołał:

— Niech żyje Polska Organizacja Wojskowa! Niech żyją legjony! Żołnierzom walecznym — cześć! i stał tak, wibrując cały w porywie ducha, który stanowi treść i podniecie do czynów rycerskich, który śmierć czyni lekką.

— Dzieci moje najdroższe! — powtarzał w myśli pan Stefan, ogarniając dumą swego serca tych dwoje młodych — rycerzyki wy moje kresowe! Dziedzice niespełnionych mych marzeń, zamierzonych czynów.

— Zapadła już ciemność i na placu Teatralnym zamigotały żółte światła pochodni — mówiła Zochna a głos jej stał się jeszcze cieplejszym od zawartej w nim mocy uczucia. — W sali ratuszowej odbywało się uroczyste posiedzenie Rady Miejskiej i okrzyki: — Niech żyje niepodległa Polska! — rozsadzały ściany budowli. I w nas wszystkich, stojących w pochodzie na placu, rozgorzało poczucie siły. Ach,

cóż to nas obchodzić może, jaką Polskę chcą nam wykroić okupanci, albo czem obdzielą nas koalicja, lub jaką formę autonomji obmyśla nam Rosja, kiedy my wszyscy, pod tem listopadowem niebem, w starej naszej stolicy zebrani — uczuliśmy w sobie moc twórczą narodu, który ma prawo do życia, do samodzielnego budowania przyszłości. Jakiś wicher przeleciał przez to morze ludzkie. Rozkołysały się oddechy, zafalowały piersi: — Niech żyje niepodległa Polska! Niech żyje naród! Niech żyje wolność! — a w sercach grały słodkie i mocne tony: — Patrz, Niemcze! Tak wolność nasza prawdziwa powstaje! — Zochna umilkła, a wszystkim się zdało, iż cicho i bezszelestnie opadła zasłona na nowy skarb narodowy: odrodzenie ojczyzny, zasłona tak lekko i wdzięcznie przez jej dłoń uniesiona.

Zaległa cisza zupełna.

— Zmęczyłaś się — powiedziała wreszcie pani Zofja. — Resztę już ja dokończę. Pierwszego grudnia 1916 roku wkroczyły do Warszawy legjony z hrabią Szeptyckim jako komendantem na czele. Weszło to biedne, obdarte, konie nędzne. Twarze napół chłopiące, znać na nich udrękę wojny i ciężkie przebywanie w okopach. Kobiety na chodnikach, patrząc na to wojsko polskie, płakały. — Takiż ci los przypadł, żołnierzyku nasz biedny, iż chłód i głód cierpisz, podczas gdy Niemiec paraduje na pysznym rumaku, zbożem z twej Polski napasiony dosyta! — Trzynastego grudnia występują już pierwsze propozycje pokojowe ze strony Niemiec (odrzucone przez

koalicję), a wślad za tem Beseler namawia gorąco do tworzenia wojska polskiego, nie dlatego, by ono im było niezbędne, ale ze względu na moc państwową Polski. Początek roku 1917 przynosi nam orędzie Wilsona. On pierwszy stawia kwestję zupełnej niepodległości Polski mocno i jasno. Polska być musi, a wobec tego musi być poręczona nienaruszalną pewnością życia, wiary i społecznego rozwoju tego narodu. O tem, że Niemcy stworzyli tak zwaną Tymczasową Radę Stanu, T. R. S., przez warszawiaków zwaną żartobliwie Teresą, wiesz z gazet. Zmieniła się ona później w Radę Regencyjną, a obie te rady są zawiązkiem nowego dramatu. Nie zdajecie sobie bowiem tu sprawy, że i Rada Stanu i trzech regenci, Lubomirski, Kakowski i Ostrowski są z natury rzeczy najzupełniej od okupantów zawiśli.

Pan Piotr potrząsnął głową z posępną rezygnacją:

— Tak, tak. A wojska polskie tworzone na wschodzie ślą do nich gońców, chcą poddawać się pod ich rozkazy, łakną tej karności względem własnego — jak się im wydaje — rządu. Oto tragedia naszego żołnierza! Jagniątko polskie pyta za pośrednictwem Rady w Warszawie niemieckiego wilka, co ma uczynić, by co rychlej okrzepnąć i powstać na nóżki?! Oczywiście rozbijanie jednego oddziału za drugim — może być jedyną na to odpowiedzią.

— Masz zupełną słuszność! — powiedział pan Stefan bez wahania. — Ale co na to poradzić? Żyjemy w atmosferze całkowitej dezorientacji. Według

mnie brak nam tu, na wschodzie — wodza! Ale przeszliśmy dzięki wam tak ciekawy i wstrząsający zarys trzyletnich dziejów wstającej Polski, a nie wspomnieliście ani jednym słowem o tem, jak dawaliście sobie radę bez pieniędzy? Bo przecie to, co wzięliście z domu w chwili wyjazdu, nie mogło wam wystarczyć?

— Pracowaliśmy — odparła z prostotą pani domu. Jurek i Zochna mieli prócz nauk szkolnych korepetycje wzamian za obiady. Ja zaś weszłam do Koła Pracy Kobiet, które powstało autonomicznie przy wydziale dobroczynności publicznej. Miałyśmy szereg schronisk dla dzieci, dla starców, ogniska domowe dla pań, tanie kuchnie ludowe, kuchnie dla inteligencji, szwalnie, pralnie, pończoszarnie, warsztat szewski. Wydałyśmy w jednym roku półtora miliona posiłków, a korzystało z naszej pomocy — dziesięć tysięcy osób. Pewno chcesz wiedzieć nazwiska dzielnych kobiet, które to wszystko potrafiły zorganizować i dźwigać. Przewodniczącą tedy naszą była Józefa Klawerowa, a przydjum stanowiły panie: Higersbergerowa, Łubieńska, Neronowiczowa, Olzowska, Skiwska, Zaleska. Miałam tam przemiłą towarzyszkę pracy doktorową Korzonową, synowę sławnego historyka. Litwinka z domu, energiczna, wesoła, a szybka i dokładna w robocie jak dobry motor. A teraz — chodźmy już na kolację. Zasłużyliśmy na nią rzetelnie. Nie patrzcie na zegarek, moi kochani! Straszliwie późno. Ale w tem podnieceniu najszlachetniejszych uczuć nikt z nas chyba nie my-

ślał o przerwie dla dogodzenia marnej powłóce cielesnej? Nieprawdaż?! — Podniosła się z głębokiego fotela i szła przez salon lekko i harmonijnie, pragnąc, zapewne, rzucić okiem pani domu na zastawę w sąsiednim pokoju, ale w tej chwili zamknięte odeń drzwi rozwarły się cicho i Fed', wygladzając śpiesznie białe rękawiczki na rękach, zameldował służbiście:

— Kolacja podana, prosze państwa.

XVIII.

„A Z NAMI BYŁ NASZ DROGI WÓDZI!“

Kiedy pan Stefan zbliżył się nazajutrz o wczesnej godzinie do rozwartych naościę drzwi jadalnego pokoju, stanął nagle jak wryty wobec widoku, przedstawiającego się jego zdziwionym oczom. Rodzina zgromadzona była przy stole i nie słyszała snadź kroków idącego gościa, albowiem tłumił je kilimowy chodnik na korytarzu. Pan Piotr mieszał łyżeczką stojącą przed nim w cienkiej filiżance kawę, a wyraz jego oczu zwiastował, iż jest o sto mil przynajmniej od tego mechanicznego zajęcia. Nagie ramionka Zochny, ubranej w letnią, niebieską sukienkę odcinały się od ciemnego ubrania ojca, gdyż otoczyła niemi jego szyję, tuląc przytem jasną głowinę do jego twarzy. W postawie tej mogła być pozować niejednemu wybrednemu malarzowi do obrazu pod tytułem: Charitas. Pani Zofja i Jurek zajęci byli napozór śniadaniem, a nad wszystkimi unosił się w powietrzu jakgdyby wieniec mrocznego smutku. Pan Stefan uczynił krok naprzód. Słowa: — Co wam tak dolega, moi najdrożsi?! — omal się nie zmaterjalizowały w głośnym okrzyku, ale nagle skrzyp-

nięcie tafli w posadzce pod nogami wchodzącego przerwało zaczarowaną nieruchomość obecnych. W jednej chwili uczyniło się w jadalni wesoło i gwarno. Kuma-troska pierzchła przez otwarte okna. Witano się ze stryjciem serdecznie, pytając, czy spał dobrze i czy mu było wygodnie. Niepokój pana Stefana opadł jak balon, który utracił swą prężność i zwinął się suchy i przykry w jakiejś tajemnej skrytce kochającego serca. Odpowiadając na powitania, powziął jednocześnie niezłomne postanowienie:

— Czekam do jutra, a potem już mi się nie wywiniecie!

Na sygnał dzwinkowy, dany przez Jurka, zajrzał do pokoju czujnie nasłuchujący Sawka, zniknął wprost bezszelestnie i po chwili Fed' wniósł na tacy kamienny, bronzowy imbryk i takiż, ale pękaty i przysadzisty garnuszek ze złączącym się na nim kożuszkim śmietanki. Minęły już te czasy, kiedy to dwory kresowe posiadały „kawiarki“, szczyjące się doskonałością przyrządzania tureckiego napoju na kominkach, w tym celu wymurowanych. Nieprawdopodobna taniość służby i pożywienia czyniła to możliwym i częstem aż do lat siedmdziesiątych zeszłego stulecia. Potem zmieniły się nieco czasy w związku z postępem na szerokim świecie, chociaż — jeśli mowa o stosunkach międzyklasowych — postęp taki docierał do twierdzy uprawnionego feudalizmu (jaką były bezsprzecznie „trzy zabrane prowincje“) nie jako prąd bezwzględny w swej świeżości, ale jako omdlewający, nieznaczący wietrzyk.

Pan Stefan zasiadł przy stole i powiódł okiem po smakowitości zastawy:

— Co za delicje! Takich wędlin nigdzie nie jadłem! Pachną jalowcem i litewskimi borami! Arcydzieła nieocenionej Anastazji, nieprawdaż? Ale kiedy ona zdołała to wszystko przygotować?!

— Powiada, że jak tylko zobaczyła pierwszy mundur austriacki, to już wiedziała, co w trawie piszczy! — roześmiała się srebrzyście Zochna. — Za własne uzbierane pieniądze kupiła wieprzaka i tak go na nasz przyjazd spreparowała. A z jaką radością przeniosła się z chaty poczciwego Ołeksy znów zpowrotem do dworu. — Tam mi było nijako! Człowiek przywykł do innej wygody! — spowiadała się mamusi. Zaczna i wysoko się nosi, bo ma wspaniałe papiery herbowne. Przodkowie — rycerze polscy, a ich prawnuczka — klucznica. — Jak to ten czas wszystko przeorze, przemieni! — zmieniła nagle ton i wpadła w zadumę.

Pan Piotr poruszył się zlekka na krześle:

— Prawda, że zaczna, ale ma u nas szacunek i przyjaźń, a was kocha jak własne dzieci, których nie posiada, bo zamąż nie wyszła. Mamy w tym kraju wiele takich starych sług-przyjaciół i to jest jedna z najpiękniejszych cech jego.

Pani Zofja wstała pośpiesznie i zaproponowała:

— Przejdźmy się po parku. Dobrze? Dzień tak słoneczny i wiośniany, że grzech siedzieć w pokoju!

Park ogarnął idących swym szmerem i cieniem. Słońce przeświecało przez wyciągnięte nieruchomo

konary, gdyż tylko drobniejsze gałązki ulegały łagodnym ruchem, poruszającemu je wietrzykowi. Rozmawiając o różnych osobistych przejściach w Warszawie, podeszli wreszcie Rożańscy do sosnowego lasku. Park obrywał się tu przy końcu alei i spadał ku płynącemu wdole strumieniowi niezbyt ostrem urwiskiem. Rosły na niem sędziwe, rozłożyste sosny, niby gromada pielgrzymów, schodzących w pośpiechu do źródła wody. U ich stóp chygotały się tu i owdzie bryzgi słońca, złocąc podłoże ze zbutwiałego, dawnego igliwia. Tylko szmer rzeczki i skoki wiewiórek po mocarnych rozgałęzieniach u góry wpadały mile w ucho, nie mącąc ciszy, ale — przeciwnie — podkreślając jeszcze jej tajemniczą wartość. Wszyscy zwolnili mimowoli kroku, wchłaniając w siebie czar nieodparty tego zakątka. Pan Stefan spojrział na Jurka, chcąc się go o coś zapytać, i zobaczył tę twarz młodocianą, tak żywo do dawnych rycerzy kresowych podobną, ściągniętą wyrazem buntowniczego protestu. Oczy chłopca patrzyły wdał. Czarne łuki brwi zdawały się być okryte żalobą, taka chmura widniała na pięknie zarysowanym czole.

— Co to znaczy? Co się tu stało?! — myśl pana Stefana obiegała dookoła zaczarowany mur, za którym tała się zagadka, biła jakby taranem w bramę niedocieczonej dlań tajemnicy i powracała doń jak sokół wypuszczony na łowy bez upolowanego ptaka. — Do jutra! — powtarzał. — Prosimi mnie przecież oboje, bym się o nic nie pytał. Do jutra! Dłużej nie będę czekał!

— A teraz usiądziemy tu, na tej wygodnej ławie brzozonej — zaczął pan Piotr, patrząc na brata — i opowiem ci moje wrażenia i spostrzeżenia, przywiezione z Warszawy. Znasz mię tak dobrze, że domyślasz się z wszelką pewnością, czem chcę się z tobą podzielić.

— Opowiesz mi o Piłsudskim. Masz już obecnie swój własny, skryształizowany i wyrobiony pogląd na jego ostatnią w kraju działalność. Pamiętam przecież nasze rozmowy i dociekania, co się to robi w Polsce, kiedy bolszewickie szrapnele zakreślały ogniste parabole nad naszymi głowami i dachami Winnicy?! Upierałem się wówczas, że zbrojny czyn legionowy jest w najwyższym stopniu szkodliwy, bo psuje nam widoki na porozumienie z ententą. Zamykałem ci usta poprostu! Ale teraz może dojrzałem duchowo, bo zaciętrzewienie minęło — została tylko chęć zgłębienia wszędzie dna prawdy! Więc wyjaśnij mi jak najszerszej te dręczące nas wtedy zagadki. Będę ci wdzięczny prawdziwie. Ale, ale... Co się stało z naszym walecznym, małym inwalidą?!

— Zaciągnął się do Wehrmachtu. — To, panie, kawałek wojska polskiego i moja rzecz tu służyć i doczekać się prawdziwej naszej armji! A doczekamy się, panie! Już ja czuję pismo nosem! — tak mi tłumaczył. Widzisz! Oto odrazu dorwaliśmy się obaj do sedna sprawy. Żołnierz polski! A kto pierwszy od chwili wybuchu wielkiej wojny błysnął przed światem jego wartością?! Kto nauczył Niemców cenić go jako pierwszorzędny materiał bojowy,

kto pierwszy rzucił hasło: — Polska sama chce stanąć o swym losie! — Wódz — Józef Piłsudski. Najchętniej odtworzę ci od początku wszystkie zmagania się, wszystkie walki i całą wogóle linię postępowania tego niezwykłego człowieka, tej indywidualności tak silnej, że samem brzmieniem swego imienia budziła w nas — pepeesowcach — wzmoczenie patriotycznego ducha i zdolności do ofiar. — „Ziuk“ przyjechał! „Ziuk“ kuje gdzieś w podziemiach oręż dla wyzwolenia Polski! „Ziuk“ tworzy nowy program pokonania odwiecznego wroga! — Tych kilka słów wystarczało, by przez całe zgromadzenie przelatywały prądy entuzjazmu, owego entuzjazmu, który zawsze w Polsce tworzył i tworzyć będzie — cuda! Umysł Piłsudskiego jest z natury rzeczy dalekowidzący z pominięciem przedmiotów bliższych, tak, że nieraz wydawało mi się, że do oczu przykładam binokle, ale przeciwną niż wszyscy stronę. On to, może jeden z najpierwszych współczesnych sobie ludzi, przewidywał już w latach 1907—1908 zbliżające się starcie państw centralnych z koalicją francusko-angielsko-rosyjską, on pierwszy wyczuł podziemne grzmoty, zwiastujące rychły wybuch wulkanu, gdyż pisał w „Naprzodzie“ dnia 30 lipca 1913 r.:

— Wojna ciężka, wojna Rosji z militarną potęgą austro-pruską wisi na włosku. — Wychowany w atmosferze romantycznej rodzicielskiego dworu, pamiętał dobrze, jak Mickiewicz modlił się o tę wojnę. Jednocześnie zaś działalność w P. P. S., a szczególnie w bojówce tej partji, w latach 1904—1907 zro-

dziła w nim pewność, że w duszach ludu wiejskiego, robotników miejskich i młodzieży inteligentnej spoczywa niezatraczona jeszcze siła bohaterska, która może się zmienić przy odpowiednich wysiłkach w gotowość do walki z orężem w rękę. Tak! Do takiej właśnie walki wbrew ogólnemu potępianiu takiego „szaleństwa“. Oparcie się na przewrocie rewolucyjno-społecznym w Polsce — zawiodło go najzupełniej. Widział przecież, jak część pepeesowców potępiła jego bojówkową działalność, zwalczając przytem gorąco jego hasło „konstytuanty w Warszawie“. Ale najwybitniejszą cechą tego człowieka jest to, że nieudany chwyt nie zmniejsza wcale sprężystości jego postanowień. Ześlizgnie się jak trafiony orzeł po skale i wnet — rozpościera na nowo zwinięte skrzydła, by próbować lotu w innym kierunku, do tego samego wszelako celu. Przygotować Polskę tak, by kiedyś w chwili wybuchu wojny europejskiej mogła rzucić na szalę wojenną orzeź swego żołnierza — stało się celem, do którego szedł z tak wytrwałą zawziętością, z jaką iść może człowiek, wyznający zasadę: — Jedne przeszkody można obejść, inne — przełamać, nad innymi jeszcze — trzeba czasem przelecieć!

Pan Stefan, wyciągnięty u stóp prastarej sosny, na wonnem igliwiu, pochłaniał słowa brata, wpatrując się weń poważnemi oczyma:

— Ja go też potępiałem za tę bojówkową działalność! — przyznał otwarcie. — Twierdziłem, że

choć sam ma najczystsze ręce, ale stwarza niebezpieczny dla innych precedens!

— Nie chciałeś słuchać moich wyjaśnień — przypomniał pan Piotr. — Pamiętasz, nawet w Winnicy potępiałeś znów związanie się legionów z państwami centralnemi! Tak wygląda napozór tylko. Przyznaję ci jednak, że posunięcia „Komendanta“ niełatwe są do zrozumienia. Nie zwierza się on nikomu ze swoich planów i w tem jego bezwzględna siła. Dopiero kiedy po pewnym czasie ukaże się wylot tunelu, pojmują wszyscy odrazu, jak nieodzowną, jak mądrze naszkicowaną była podziemna trasa. Na poparcie mego twierdzenia przytoczę ci anegdotkę, ale prawdziwą, gdyż ja sam brałem w niej udział. Oto — spytałem kiedyś jednego z najzaufańszych, uważasz: „najzaufańszych“ — przyjaciół „Ziuka“, czy nie ogłosiłby się jutro dyktatorem Polski, gdyby udał mu się przewrót na tle przegranej wojny rosyjsko-japońskiej i małej rewolucji w Rosji? — Jutro? — odpowiedział mi ten mąż po namyśle. — Nie. — A pojutrze? — spytałem wprost już dla żartu. — Ale tamten nie mrugnął powieką: — Pojutrze? — ważył w myśli trudną zagadkę. — Tego już nie wiem! — przyznał najszczerzej.

— Ryjesz postać twórcy legionów jakgdyby w spiżu! — rzekł wolno pan Stefan. — Mów dalej.

— Wracajmy więc znów do „Strzelca“. Nie dałeś sobie przedtem nigdy nic o tem treściwie powiedzieć. Zahipnotyzowany byłeś programem wszechpolaków.

Wzdrygałeś się przed socjalistami polskimi, nie wierzyłeś poprostu w ich polskość. Słuchaj tedy cierpliwie wszystkiego, co nagromadziło się przez lat tyle w ich ruchu konspiracyjnym. Wiesz dobrze, że tylko w jednej porozbiorowej dzielnicy, a mianowicie w Galicji, wolno było rozwijać jakąś organizację polską. Tu zatem osiedla się Piłsudski i tworzyć zaczyna przy pomocy najbliższych swych towarzyszy z P. P. S. — Sosnkowskiego, Jodki, Sokolnickiego, Rydza-Śmigłego organizację „Strzelca“. Już w 1908—1909 roku powstają szkoły żołnierskie, podoficerskie i oficerskie, gdzie odbywają się wykłady o podstawach sztuki wojennej. Na wzór tych związków strzeleckich tworzą się rychło pod wpływem gorętszych żywiołów prawicowych, zgrupowanych przy „Rzeczypospolitej“ we Lwowie — drużyny Bartoszone. Idea zbrojnego żołnierza polskiego znajduje jeszcze swój wyraz w drużynach podhalańskich im. Kościuszki, organizacjach harcerskich i sokolskich drużynach polowych, opierających się na metodach wychowania wojskowego. Rząd wiedeński, który od zatargu w Maroku i od zagarnięcia Bośni i Hercegowiny zdawał sobie sprawę z nieuniknionego starcia orężnego z Rosją, chcąc mieć jakąś podstawę do oddziaływania na Polaków w Królestwie — nie stawiał zupełnie przeszkód rozwojowi tych drużyn wojskowych. Pierwszy inicjator tego zawiązku przyszłej armji polskiej, Józef Piłsudski, rozciąga sieć organizacyjną nietylko na Galicję, ale — z jednej

strony — obejmuje nią młodzież, kształcąca się na uniwersytetach w Szwajcarii, Francji i Belgji, z drugiej — usiłuje wpłynąć i zorganizować za ich pośrednictwem robotników i młodą inteligencję w Królestwie. W lipcu 1914 roku, wybucha wojna i to tak znieca, że nietylko Piłsudski jest nią zaskoczony, ale i inni politycy, zarówno francuscy, jak niemieccy i rosyjscy. Położenie „nielegalnego“ człowieka, gdyż jak wiesz, uciekł z katongi syberyjskiej, zakonspirowanego wodza kadrów armji powstańczej, których organizacja miała być zakończona dopiero w latach 1916—1918 jest ciężka nad wszelki wyraz. Dość powiedzieć, że liczne oddziały „Strzelca“ znajdowały się na ćwiczeniach letnich w różnych punktach Galicji. Pomimo to nie odstępował ani na chwilę od swego pierwotnego planu. Mobilizuje natychmiast związki i drużyny strzeleckie, przeprowadza szczęśliwie połączenie ich z drużynami bartoszewemi i wysyła dnia 6 sierpnia 1914 roku z Krakowa do Kielc, pierwszą kompanję kadrową, za którą wkrótce ruszyło sześć bataljonów, rzucając rękawicę Rosji i stwarzając fait accompli, że żołnierz polski przekroczył pierwszy granicę rozbiorową Rzeczypospolitej. Myśl wodza łudzi się, iż ogromem swego płomienia wzbudzi w tych południowych powiatach Kongresówki, z których uciekły władze rosyjskie — ogólne powstanie przeciw Rosji! Że oddziały austriacko-niemieckie, które tu potem już wejdą — zobaczą przed sobą Polaków, walczących

z Rosjanami! Że to zmusi państwa centralne do uznania Polski za stronę walczącą, a tem samem — za państwo niepodległe!

Łudzi się, że Królestwo całe powstanie jak jeden mąż przeciw zaborcom i niszczytelom polskości i że stworzą się samorzutnie oddziały tak silne jak te, które tu wydał rok 1863! Spotyka go zawód najzupełniejszy. Poza kilkuset młodemi głowami wita go obojętność, indyferentyzm powszechny. Społeczeństwo polskie jest głuche na apel jego potężnej woli! Inteligencja, ziemiaństwo, nawet lud wiejski — wszyscy są przepojeni hasłami prorosyjskimi, głoszonymi przez narodową demokrację. Zresztą i antypolska polityka hakatystyczna w Niemczech i obawa o życie i majątek znakomicie z temi hasłami współdziałają. Pan Piotr zamilkł i przybrawszy wygodniejszą pozę, oparł głowę o pień sosny, rosnącej tuż za białą, brzożową ławą.

— Odpocznij trochę, ojczulku! — powiedziała troskliwie Zochna, a Jurek, porwawszy się z pnia, na którym siedział nieopodal stryja, potwierdził jej prośbę: — Tak, tak! Ojciec zanadto dziś wojuje! Chwila milczenia nie zawadzi, a ja mogę tymczasem podzielić się ze stryjciem wiadomościami, zaczerpniętymi od mego przyjaciela, Wacka Lipińskiego. Jako ośmnastoletni skaut porzucił dom i nauki i poleciał do Komendanta na pierwszy zew jego. Był cały czas w I-szej brygadzie i przez te trzy lata wojny wpa-dał kilka razy do Warszawy w czasie krótkich urlo-pów. Gadaliśmy z nim po całych nocach. W dzień

taki byłem zapracowany, a i on ganiał gdzieś po znajomych! Więc, stryjciu, uwaga! Przedewszystkiem proszę to sobie dobrze zakarbować i mocno pamiętać, że oddziały Piłsudskiego wyszły z Krakowa jako oddziały polskie i tylko polskie! Nikt z tych sześciu bataljonów żadnej przysięgi wojskowej Austrii nie składał! Nikt nie szedł do Królestwa z hasłem: „Dla Austrii!“, albo: „W imieniu Austrii!“ Niezależność była zupełna. A wskutek tego jakaż była pozycja każdego żołnierza z oddziałów Komendanta? Jak stryjcio myśli? Co? — gorączkowo pytał chłopak i nie czekając na odpowiedź, wyrzucał dalej słowa prędko i zapalczywie: — Oto stokroć gorsza od regularnego wojska. Oni byli partyzantami, rebeljantami, jakąś w oczach Rosji niezaprzyjęną ruchawką! Żołnierz Piłsudskiego, o ile nie zginął, wzięty przez Rosjan z bronią w ręku, szedł na stryczek, albo pod kulę! Tak, stryjciu! Jakiej trzeba było wiary w swego wodza, jak bezgranicznego oddania się sprawie niepodległościowej, aby w tak trudnem położeniu nie złamać się, nie stracić ducha! Bo trzeba przyznać, że śruba okrętu, prowadzonego przez Komendanta, nie znajdując chwilowo oporu, okręcała się w pustce, zupełnie jak w czasie burzy, kiedy to statek wyniesiony przez fale wgórze, trafia na otchłań powietrzną. A potem, czyż to nie wspaniała linja postępowania Komendanta! On chce wzbudzić ruch zbrojny w zaborze rosyjskim, na ziemiach Królestwa. Posuwa konikiem jak w grze szachowej. Szach, mat carowi! Choć mu się nie udaje, ale wnet

przychodzi odpowiedź, a słynna odezwa wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza zaszachowuje wszelkie próby porozumienia się z Austro-Niemcami! — i Jurek zaczerpnął powietrza.

Pan Stefan podniósł się na łokciu, a oczy jego nie schodziły z twarzy synowca: — Znakomiciel Bardzo ciekawie to ujmujesz, mój chłopcze! No, i cóż jeszcze mi powiesz? Podoba mi się ten twój przyjaciel. Pewno taki sam zapaleniec i stuprocentowy wielbiciel Komendanta, jak i ty! Nieprawdaż?!

— Oczywiście, stryjciu. I on i Mietek Mysłowski, który wszystko cisnął w Krakowie i także poszedł za swoim wodzem, dobijać się niepodległości naszej. Tylko ja — nie mogłem tego uczynić, bo byłem związany słowem — taka gorycz zadrgała w głosie młodego, że pan Stefan się żywo poruszył:

— Rozumiem. Tragedja, o jakiej Zochna już napomknęła. I komuż to dałeś to słowo?

— Ojcu. Przyrzekłem, jadąc wtedy do Warszawy, że opiekować się będę mamusią i siostrą, że ich nie opuszczę i nie odstąpię dla żadnych względów. Czyż przypuszczałem, że to potrwa trzy lata?

— Gdyby stryjcio wiedział, jak mi było żal Jurka! — zabrzmiał uroczy głos Zochny. — Wchodzę do jego pokoju, a Jur siedzi przy stole, łokciami się podparł, a przez palce u rąk przeciekają mu łzy, doprawdy, stryjciu, takie duże jak groch! A w pokoju słychać wciąż taki dwugłos: Jurek woła: — I nikt mnie z mego słowa zwolnić nie może, tak jak Ramę, tak jak Ramę w Ramajanie! Ukochany bohater Jura,

mówiąc nawiasem. Wacek Lipiński stoi przy nim, przeciera szkła, zdjęte z oczu i pociesza go jak umie: — Słuchaj no, ty! Nie bądźże babą! Napisz do ojca!

— Tego listu nie otrzymałem — zapewnił uroczyście pan Piotr. — Ale i tak nie byłbym zwolnił, bo szesnaście lat — to zbyt mało na trudy i boje żołnierskie.

— Przeczuwałem to — rzucił chłopak porywczo — i dlatego miałem chwilę takiej niegodnej słabości! Gdyby nie to słowo! Oho! Uciekłbym i wodę przynajmniej nosił swoim żołnierzom i Komendantowi! I to nie dla szabelki i konika, ale z przekonania, ojcze, z najgłębszego, niezłomnego przekonania!

Spojrzeni sobie w oczy. Błady uśmiech przewinęła się po ustach pana Piotra, a głos nic nie stracił ze swego opanowanego spokoju, gdy zabrzmiał poważnie: — Jeśli tylko z przekonania, to dobrze. A teraz po tej małej przerwie zabieram się znów do wykreślenia tej linii, po jakiej szedł śmiało Piłsudski pośród ogromu dziejowych i bitewnych wydarzeń. Niepowodzenie akcji powstańczej jest już stwierdzone. Ale przecież wszystkie trzy zabory rozkołysane są poborami do armij zaborczych, sprzecznymi politycznymi prądami, orientacjami — dla każdego zaboru innemi. Z inicjatywy więc polityków polskich w Galicji, posłów do parlamentu wiedeńskiego i Sejmu lwowskiego powstaje zamiar stworzenia „legjonów polskich“ pod egidą Naczelnego Komitetu Narodowego, czyli N. K. N. — nu. Z punktu widzenia Pił-

sudskiego był to oczywiście tylko półśrodek, gdyż orientacja austrofilską, raczej prohabsburską, daleka była od — niepodległości. Nie widząc jednak innej drogi wyjścia, zgadza się na ten kompromis, potwierdzając wszystkie jego wyniki: poddanie swych żołnierzy rozkazom Enkaenu, złożenie przez legionistów przysięgi w Kielcach Franciszkowi Józefowi i sprzymierzenie się z Austrią. Sam jednak przysięgi nie składa i nie składają jej jego najbliżsi.

— Zochno! — wyrwało się z piersi Jurka. — Zaspiewaj stryjciowi o tej przysiędze. To ulubiona piosenka „legunów“ i od razu będzie miał stryjcio dowód ich przyjaznego nastroju dla „sprzymierzeńców!“

Dziewczyna podniosła się ochoczo z ławy, stanęła pośrodku alei, założyła wtył ręce i zanuciła niewielkim, ale krystalicznie czystym głosem:

Była u nas w Kielcach ogromna parada!
 Co tam było teraz o tem świat calutki gada!
 Przyjechał Baczyński na siwym koniku,
 A za nim przeróżnych strzelców bezliku, bezliku!
 Gadał pan generał i szarże gadali,
 A nakoniec strzelcom naszym przysięgać kazali,
 Że we dnie, czy w nocy, czy o innej porze
 Pójdą, psiakrew, z Austriakami przez ląd i przez morze!
 Przysięgała wiara na wszystkie świętości,
 Że aż cysarz śmiał się w Wiedniu z okropnej radości.
 Poczekaj, cysarzu, nie mierz tak wysoko!
 Jeszcze kiedyś ci pokażą strzelcy — perskie oko!

Pan Stefan się śmiał i z lubością patrzył na synowicę.

— Został ci zawsze ten zwyczaj chowania rąk poza siebie przy śpiewie? Pamiętam tę malutką Zo-

sienkę w czerwonej sukience, trzymającą tak te łapiny i wyciągającą nutki jak ptaszę! Doskonale to zaśpiewałaś. Z artyzmem i z komizmem, odpowiednim do treści. Przepraszamy cię, Piotrze, za to intermezzo. Więc mówiłeś, że Piłsudski przysięgi nie złożył i...

— Stojąc na czele swej I-szej brygady, w dalszym ciągu zaznaczał i podtrzymywał ideologię niezależnego żołnierza polskiego — podjął starszy brat przerwany wątek opowieści. — Że tak było istotnie przekonasz się ze słów jego, wypowiedzianych na uczczeniu go przez Enkaen w Wiedniu przy końcu grudnia 1914 roku: — Porwało mię coś wielkiego w tej wojnie i to, że otworzyła się możliwość czynu polskiego. Pociągnęliśmy za sobą choć część narodu. Trzeba było bowiem, aby to, co było szaleństwem, stało się także — rozumem polskim!

To też szedł niezmiernie w kierunku tej zmiany. Nie spełniał często dawanych mu przez dowództwo austriackie rozkazów, lub też wykonywał je zupełnie swoiście, otaczał swych żołnierzy atmosferą dumy narodowej i poczucia obywatelskości, formując to, czego nam brak, niestety — silne charaktery! Odrazu też przystąpił do tworzenia wśród ludności polskiej, zajętej przez wojska austriackie części Królestwa — organizacji strzeleckiej, jako rezerwy i kadry dla przyszłej armji powstańczej. Nie była tedy I-sza brygada jakąś organizacją niemieckofilską, ale niepodległością i patriotyczną w najwyższym tego słowa znaczeniu. Każdy jej żołnierz

jak również wódz — byli spadkobiercami powstańców z 1863 roku i stanowili razem gromadę szaleńców, niech i tak będzie! Ale szczytnych szaleńców, którzy darli się na szklaną górę, najeżoną ostrzami bagnatów moskiewskich, oplecioną kolczastymi drutami wszelakich przeszkód, smugami krwi ofiarnej różowiąc jej niedostępne zbocza, darli się naprzód, nieodparcie, niepowstrzymanie, z odrzuconymi wtył głowami, z piersią poddaną po bohatersku pod kule i rany, w entuzjastycznym zapatrzaniu na szczyt — gdzie spoczywała w szklanej trumnie, śpiąca snem wiekowej niewoli — Polska! Strzaskać to wieko trumienne i dźwiękiem zgruchotanej powłoki rozbudzić w całej Europie echo o czynie narodu, który szablą dobija się wolności — oto jaka była ideologia tych pierwszych polskich żołnierzy i ich wodza, ideologia tak niezrozumiana i niedoceniana przez lwią część społeczeństwa.

— I z tego ich bólu i szczytności porywów wyrosła, wprawdzie później nieco ich pieśń, dumna jako myśl, piękna jako melodja! Zaśpiewajmy ją, Zochno! — i Jurek zerwał się ze swego pniaka, podszedł do siostry i objął ją ramieniem. Pochyliły się ku sobie dwie młodzieńcze twarze, jedna — o kameowym rysunku, jasna jak zorza, druga niby w bronzie wykuta, tak smągła i czysta w profilu. Stopiły się w jednym źródle zapału dwa spojrzenia: jedno z siwo-stalowej źrenicy promieniejące, drugie — wypływające z czarnej głębi rozplomienionych oczu. Po chwili pięknie dobrany dwugłos rozbrzmiał pod

staremi sosnami, lecąc z chyżością ptaków hen, aż
pod stropy zielonej świątyni natury:

My — Pierwsza brygada
Strzelecka gromada
Na stos rzuciliśmy nasz życia los
Na stos, na stos!

Legjony — to żołnierska nuta,
Legjony — to ofiarny stos,
Legjony — to rycerska buta,
Legjony — to straceńców los!

Pamięta wszak Warszawa chwile,
Gdy szarych garść legunów szła!
Rzucono nam: „Germanofile!“,
Do naszych serc spłynęła iza!

Krzyczeli, żeśmy stumanieni,
Nie wierząc nam, że chcieć — to móc!
Krew leliśmy osamotnieni,
A z nami był nasz drogi wódz!
Legjony — to ofiarny stos...

Pan Stefan porwał się z miejsca i stanął, całą
swą wyprężoną po żołniersku postawą wyrażając
hołd bez słów: bohaterom — cześć! Toż samo uczy-
nili wszyscy zebrani. Dziwiły się prastare sosny, że
razem z tym śpiewem płyną ku nim z dołu elektry-
zujące prądy, które zmuszają je do tęsknego poszumu
rozpostartych opiekuńczo konarów. Dziwiły się, bo już
dawno, jak dawno — nie słyszały takich słów, które jak
płomień wyrrywają się z serc ludzkich, jak gołębnice
o skrzydłach czerwienią krwi malowanych — krążą
kędys daleko, nad chmurami i słońcem, by zczasem

splynać na głowy narodu, z którego powstały... wniebowzięte legendy przeszłości. Szumiały sosny nad głowami Rożańskich coraz mocniej, coraz żarliwiej, jakgdyby wspomnienia lat dawnych, przytąjone pod ich kopulastą zasłoną, zmartwychpowstały, ożyły i w wielkiej gęźbie z duchem odradzającej się Polski szeptały o bojownikach, co tej chwili nie doczekali.

Czar trwał w całej mocy, choć śpiew dwojga młodych dawno już ustał.

Wreszcie pan Piotr poruszył się i usiadł, opierając łokciem o poręcz ławy. Czar prysł i wszyscy oprzytomnieli. Nikt jednak z tych ludzi, żyjących tak silnem życiem wewnętrznem, nie chciał dotknąć powabu przeżytej chwili. Była zbyt piękna. Przeszli więc ponad nią do porządku dziennego i pan Stefan, podnosząc oczy na brata, powiedział zwięźle:

— Chętniebym posłuchał dalszego ciągu, jeśli cię to, Piotrze, nie zmęczy?

— Nie. Wbrew wszystkiemu, czuję się teraz o wiele lepiej — odparł pytany. — Wracam tedy do rzeczy. Zdobycie niepodległości Polski leżało wciąż w planach niezłomnego „Komendanta“. Postanawia wykazać sferom wojskowym, austro-niemieckim, niezbyt ufającym w „sprzymierzeńczą wierność“ legjonów polskich wogóle, a I-szej brygady w szczególności — cały walor wojskowy materiału polskiego. Niech się przekonają własnymi oczami, że w tych, noszących oręż przy boku Polakach, drzemie wspañiały żołnierz, który może się przydać każdemu, kto zechce zań zapłacić najwyższą cenę — niepodległość

ojczyzny! To też nie pozwalając już potem na wzrost brygady, sprzeciwiając się nawet przyływowi młodzieży do niej, kształci ją, wyrabia najwyborowszego żołnierza, w sobie zaś rozwija strategiczne zdolności. I powoli te cele osiąga: we wszystkich bojach, pod Łowczówkiem, pod Konarami, a zwłaszcza kapitalnem przejściem pod Uliną Małą złożył jaskrawe dowody, co jest wart on sam i jego żołnierz. Przychodzi jednak nań moment niezwykle trudny: Oto Niemcy nie wpuszczają legionów polskich do zajętej przez państwa centralne Warszawy, a jemu — nakazują opuścić ją natychmiast, skoro się do niej w sierpniu 1915 roku pojawił.

Tu pani Zofja otworzyła po raz pierwszy usta, by wyjawić swoje zdanie o całej tej palącej sprawie:

— Wystawiam sobie, co musiał przeżyć wówczas Piłsudski! Ktoś, mieszkający w tym samym hotelu, do którego wódz legionów zajechał, widział przez uchylone drzwi jego pokoju, jak chodził w milczeniu z jednego rogu w drugi, założywszy wtył ręce, ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w posadzkę. Opadające wąsy i krzaczaste brwi tworzyły jakby zasłonę dla tej nieprzeniknionej twarzy, bo nawet siwe oczy przykryły się powiekami i były niewidoczne, zarówno jak myśli i plany tego „lwa w klatce!“ Tak się o nim ten ktoś wyraził. Chwilowe załamanie się jego programu było tem dotkliwsze, że w czasie ofensywy państw centralnych na Warszawę powstała w legionach piosenka, symbolizująca nastrój tychże i wiarę, że cel upragniony już bliski, a którą nam

później młodzi legjoniści, przyjaciele Jurka śpiewali. Nauczyłam się jej napamięć i wprawdzie nie zaśpiewam, ale zaraz wam ją przytoczę dosłownie:

Warszawo, wstań! Legjonów śpiew na bój cię z Moskwą wzywa!
Niech buntu w tobie buchnie gniew, co pęta porozrywa!
Wyrzeknij ty się carskich sług! Woła cię ojców Bóg!

W twoją dziś stronę ślemy słuch, czy zerwiesz się w swej
[mocy,

Czy się rozpali w tobie duch listopadowej nocy?!

Warszawo, wróć do dawnych dróg! Woła cię ojców Bóg!

W tobie się waży Polski los! Strażnico święta, czuwaj!
Słysz?! Snom bojowym dzwoni głos... Powstańczą broń wykujaj!
Warszawo, wstań! Gra złoty róg!... Woła cię ojców Bóg!

— Tragiczne! — szepnął z bólem pan Stefan.

— I pomyśleć sobie — mówiła dalej z ożywieniem pani Zofja — że po takiej płomiennej zachęcie do odrzucenia wiary w koalicję i do przejścia na stronę jej wrogów — bo przecież faktem jest historycznym że legjony polskie szły wówczas z Austrią — ci pseudo-przyjaciele zabraniają żołnierzowi polskiemu wejść do Warszawy, a jego wodza wręcz wypędzają! To też nic dziwnego, że Warszawa wzmocniła się jeszcze w swej nieufności do „krzyżaka“. Ja zaś, zachwycając się gorąco poświęceniem i lwią odwagą legjonistów i Piłsudskiego, zapytuję nieraz siebie ze smutkiem: Czy ta krew polska nie będzie naprózno przelana? Czy potrafi Piłsudski — pomimo swej niezwykłej i mocnej indywidualności — zwyciężyć przebiegłość niemiecką? Czy w razie, jeśli państwa centralne wygrażą, będzie on mógł uzyskać tę śnioną

niepodległość Polski?! Wątpię, czy byłaby ona na rękę despotyzmowi pruskiemu, który przecież wówczas zapanowałby nad całą pokonaną Europą?! — pani Zofja skierowała tę ostatnią wątpliwość do męża.

— Tyle się w nas wszystkich nagromadziło przeżyć i wrażeń — rzekł tenże bez wahania — że bytność pomiędzy nami Stefana, nie znającego tych pierwszych lat powstawania Polski, jakby odwaliła głaz, z pod którego trysnęło obficie zahamowane źródło. Każdy z nas ma wiele do powiedzenia i mówi, przerywając jeden drugiemu. Pozwólcie mi narysować obraz całkowitej linii postępowania Piłsudskiego, aż do jego uwięzienia w Magdeburgu, co trwa przecież dotychczas. Wtedy dużo się rzeczy wyjaśni, tem bardziej, że zbierałem w Warszawie moje informacje i poszukiwania historycznej prawdy u różnych wiarygodnych świadków jego poczynań i walk. Post factum łatwiej to się jakoś klaruje, bo, jak wam mówiłem, posunięcia Komendanta są dla wszystkich mocno zawile. I tak naprzykład, już w lipcu 1915 roku wydaje on przez swych emisariuszy rozkaz wstrzymania werbunku do legionów: — Spełniły już swoją rolę! — i basta. Jedni z jego współpracowników protestują, inni się dziwią, ale ulegać muszą. Od sierpnia tegoż roku organizacja wojska polskiego idzie, znów za jego rozkazem, niby ów słynny Nautilus — na dno, tworząc tajną Polską Organizację Wojskową, P. O. W., której zadaniem było przygotowywać groźną, podziemną armję, nieznaną z ilości i siły okupantowi. Tymczasem brygada coraz wspa-

nialej bije się na froncie, pod Lublinem w 1915 roku, na Wołyniu w 1916, w wielkiej bitwie pod Kostiuchnówką, aż wreszcie dochodzi do tego, że generał niemiecki Gerock poleca w swoim dziennym rozkazie wznieść trzykrotne „Hoch!“ na cześć walczących jak lwy żołnierzy I. brygady! Czesi, którzy, od początku wojny konsekwentnie dążyli do oderwania się od państwa Habsburgów, oddawali się masowo do niewoli rosyjskiej, osłabiając wartość bojową armji austriackiej. Sztab tejże tracił głowę, gdyż brak świeżego materiału ludzkiego coraz bardziej wyczuwać się dawał.

Tak stały sprawy latem 1916 roku. — Pan Piotr sięgnął ręką do bocznej kieszeni i wydobyl z niej arkusz papieru. — Chociaż nie ułożyłem tak bogatego Silva rerum jak moje dzieci, ale i ja posiadam odpis cennego niezmiernie tajnego dokumentu niemieckiego, znajdującego się nie wiem jakim trafem w Bibliotece Publicznej w Warszawie. Przeczytałem wam z niego parę wyjątków: „Sprawozdanie z podróży H. X., który w końcu marca 1916 roku wrócił z zachodu.“ Taki jest tytuł, a teraz posłuchajcie tej ciekawej relacji: „W państwie niemieckiem panują obecnie następujące stosunki: Kanclerz mógłby zawrzeć pokój bez wszelkich aneksyj, ale przeciw niemu występuje zjednoczona potęga wielkiego kapitału i wielkiego przemysłu, które żądałyby pokoju z Rosją li tylko na podstawie sprzyjających warunków wymiany handlowej. W takim razie wypadałoby oddać Rosji Polskę rosyjską z niewielkimi za-

pewne sprostowaniami granicy. Ten program jest tem żarliwiej popierany, że właściwie niewiadomo, co czynić należy z Polską rosyjską?! Opozycji przeciw cesarzowi niema, ale jednocześnie powstaje agitacja, która w stosownej chwili może być zwrócona przeciw kanclerzowi, aby go obalić. W Niemczech egzystuje jedyna partja, mająca jasny pogląd na požądane warunki pokoju, ale i ta życzy sobie tylko powrotu do „status quo“, nie mając żadnego konkretnego programu. Przemęczenie jest dość wielkie i powszechne. Nikt nie wierzy, aby można było dotrzymać do zniw 1917 roku. Przypuszczają, że będzie wielki brak środków żywności i ludzi. Spodziewają się, że Verdun będzie wzięty, lecz nawet i to nie będzie miało decydującego znaczenia. Należy też dodać, że Niemcy w Serbji zostali już dość znienawidzeni, a w Bułgarji i Turcji wzbudzają coraz więcej nieufności. — Czytający przebiegł wzrokiem dokument i złożył go, mówiąc: — Dalej wciąż mowa o rychłości pokoju i troska o zapewnienie Niemcom rynków zbytu na Wschodzie. Ale i to, co usłyszeliście, rzuca snop światła na istotne położenie państw centralnych i na ich pogląd na sprawę polską. Jeśli, jak widać z tego, — uderzył ręką w trzymany arkusz — gonily one resztkami sił w 1916 roku, to cóż dopiero dziać się z niemi musi po dwóch latach ciężkiej wojny?! Swoją drogą chyłę czoło przed patriotyczną karnością tego narodu. Ale wracajmy do Piłsudskiego. Tu uczynię porównanie, które może się wam wydać komicznem, a będzie w rzeczywi-

stości zupełnie trafnem. Otóż dziś, kiedy patrzę na te wypadki z odległości lat paru, Komendant i sztab austro-niemiecki wydają mi się być dwoma chłopakami, zabawiającymi się huśtaniem na dwóch końcach deski. Im niżej spadają Niemcy, tem wyżej podnosi się w górę komendant. Państwa centralne, pomimo nadludzkich istotnie wysiłków, nie mogą uzyskać decydującego zwycięstwa. Nie udaje się im również drogą dyplomatycznych zabiegów doprowadzić do rozpoczęcia pertraktacyj pokojowych. Nie decydują się na wykrztuszenie słowa, wiążącego ich w stosunku do Polski, bo chcą mieć w tej sprawie wolną rękę, a może uważają tę Polskę za walor, którym dopłacą tym albo tamtym przy likwidowaniu wznieconej pożogi. Komendant zaś coraz mocniej naciska. Wiosną i latem 1916 roku rozpoczyna szeroką akcję za jednolitością odznak i za wycofaniem austriackich dowódców z komendy legjonów. Życzenia te jednak sztab austro-niemiecki odrzuca.

Po bitwie pod Kostiuchnowką, kiedy poniesione olbrzymie straty i męstwo bez granic stawiają u szczytów wartość bojową polskiego żołnierza — wódz jego rzuca ostatni swój atut, podaje się do dymisji i żegna dziennym rozkazem swych ukochanych, wiernych żołnierzy. Niemcy internują go w Zakopanem, ale incydent nie jest skończony. Wślad za Komendantem i z jego nakazu legjoniści żądają masowo zwolnienia z oddziałów, lub też jako austriaccy obywatele, przeniesienia do armji austriackiej, tak że

zaskoczony tem sztab przychyła się poczęści do spełnienia odrębnościowych ich żądań, zamieniając legjony w Polski Korpus Posiłkowy. To rozbijanie legjonów — jedyny czynny protest, jaki pozostał Piłsudskiemu i jego żołnierzom — był niesłuchanie bolesnym krokiem dla niego i dla jego współpracowników. Niektórzy przypłacili to nawet życiem, rzucając jednocześnie wyzwanie dwom monarchom, że muszą coś dla Polski uczynić.

Pod koniec 1916 roku Niemcy nawet przed sobą już ukryć nie mogą, iż bez wydatnej pomocy w materjale ludzkim przegrają wojnę z kretešem. Generał Beseler, rządzący okupowaną przez Niemców częścią Królestwa, oddawna już forsował w sztabie u Ludendorfa, myśl stworzenia armji polskiej, naciskając przytem na czynniki polityczne w Berlinie i Wiedniu, by ogłoszeniem niepodległego Państwa Polskiego dały tej armji możność bronienia swej ziemi od Rosjan, a Niemcom pozwoliły w ten sposób na odciążenie frontu wschodniego i przetrzucenie części sił zbrojnych na zachód. Kanclerz Bethmann Hollweg zgadza się na taką koncepcję i wkrótce po utworzeniu Polskiego Korpusu Posiłkowego następuje sławetny akt 5 listopada. Czy był on szczery, czy też kryła się w nim chęć zwodzenia Polaków — powiedzieć nie umiem. W każdym razie po raz pierwszy od stu lat padło ze strony rozbiorców Polski hasło: Polski samodzielnej! Była to wielka zdobycz moralna narodu polskiego i tak ten akt zapewne rozumiał

Henryk Sienkiewicz, gdy na kilka dni przed swoją śmiercią odmówił podpisu pod ogłoszonym przez narodowych demokratów protestem przeciwko niemu.

Zochna skoczyła leciutko jak sarenka i białą dłonią zatuliła usta ojca:

— Ojczulku! Naprawdę już dość! Takie to wszystko szalenie ciekawe, ale to biedne serce będzie się potem rzucało jak ryba bez wody. Nie pozwalam ani na jedno słowo! Ogłasza się pięciominutowa pauza! Trata-ta! — zaśpiewała przez zwiniętą niby w trąbkę rękę.

— Ja teraz mogę ojca wyręczyć — zaproponował Jurek. — Znam to, co nastąpi, wybornie. Ileż to razy obrabialiśmy te sprawy z Wackiem Lipińskim! Biała noc zeszła jak jedna godzina, a ja wciąż pytałem chciwie: — Mów! Jak Dziadek temu wszystkiemu da radę?! — O, nie znasz go! — zapewnia mię Wacek. — On swoją drapieżną dłonią wydrze zwycięstwo wrogowi z rąk! Jego twarda, kamienna wola przetrzyma ich wszystkich! Decyzją swoją zmienia sytuację do tego stopnia, że nas już dawno od tego miejsca poniosło, gdzie nas mieć chcieli! A tam, gdzie trzeba naprawdę, nie żałuje sił naszych Dziadek, tylko się potem pyta, obejmując nas dobrymi, siwemi oczyma: — Bardzoście, chłopcy, pomęczeni? — Ej, niebardzo! — pada odpowiedź z maszerującej przed nim hardo kolumny. Mocno znaczymy krok jak na paradzie i sprzeciw pada, że nie, nie, nic nie zmęczeni!

Chłopak westchnął z ogromnym żalem, dlaczego tam jego nie było, i mówił dalej: — Prawda, że

o wielu rzeczach opowiadał mi post factum, jak mówi ojciec. Zrozumieć takiego człowieka nie jest tak łatwo! Ale o tem, jak P. O. W. działała, to wiem gruntownie. Więc zaledwo akt 5 listopada został ogłoszony, gdy z rozporządzenia Komendanta przystępuje do roboty ta ukryta i rozrastająca się wciąż organizacja, rzucając wraz ze swą ekspozyturą — Centralnym Komitetem Narodowym hasło: — Niema wojska polskiego bez rządu polskiego! Jeśli państwa centralne chcą mieć sojusznika w żołnierzu naszym, to niechże dadzą nam możność stworzenia własnego rządu! I niech w nim zasiada Józef Piłsudski! Obietnica niepodległości jest dla nas bańką mydlaną, nie zachęcającą wcale Polaków do wstępowania do organizowanych przez Beselera i Kuka dywizyj polskich.

To hasło zyskuje sympatję w znacznym odłamie społeczeństwa polskiego, a że Niemcy wojska nawałt potrzebują, więc zgadza się wreszcie Beseler na przyjazd Piłsudskiego do Warszawy i na wzięcie przezeń udziału w tym zawiązku rządu polskiego, jakim była Tymczasowa Rada Stanu.

— Już odpocząłem — uśmiechnął się pan Piotr do córki — i chcę sam doprowadzić kreśloną przeze mnie linię do końca. W pierwszej połowie grudnia stanął Piłsudski w Warszawie, owacyjnie witany przez swych stronników i sympatyków, których liczba stale wzrastała. Odrazu też wziął się do pracy. Już po raz wtóry szedł na kompromis. Podobnie jak w sierpniu 1914 roku zgodził się na utworzenie legjonów polskich sub auspiciis Imperatoris Francisci

Josephi — tak teraz — licząc się nieustannie z warunkami realnymi — brał czynny udział w surogacie rządu polskiego, aczkolwiek było to ciało skrępowane zupełnie i nie mogące właściwie nic zrobić. Wykazał już wszelako umiejętność odrzucania nieużytecznych kompromisów, a przytem miał nadzieję, że będzie mógł jednak wpływać na bieg sprawy niepodległości polskiej i rozwijać organizacyjną robotę w P. O. W. Przystępując do T. R. S., zdawał sobie dobrze Piłsudski sprawę, że jeśli twór ten ma posiadać jakąkolwiek powagę, to musi on w sobie zawierać wszelkie ugrupowania polskie od lewicy aż do prawicy, od aktywistów do pasywistów. Dlatego też zabiegał usilnie, by w skład tej Rady wszedł Zdzisław Lubomirski, jeden z najlepszych i najuczciwszych ludzi obozu pasywistycznego. To mu się wszakże nie powiodło. Pasywiści do T. R. S. nie weszli, posłuszni wskazówkom, idącym od przywódców endeckich z Petrogradu. Tam bowiem wobec narastającego wrzenia rewolucyjnego rozluźniają się tryby caratu i świta nadzieja uzyskania od nowej Rosji zupełnej niepodległości Polski. Nowy zawód spotyka tedy Piłsudskiego, ale nie zrażając się tem, pracuje niezmiernie, starając się wymóc na okupantach rozszerzenie praw Rady Stanu w zakresie spraw wojskowych. Przekonawszy się po paru miesiącach, że jest to wręcz niemożliwe, nie chce pracować istotnie „pour le roi de Prusse“, zrywa zawarty kompromis, występuje z T. R. S., rzucając hasło działalności konspiracyjnej powiackiej i roz-

bijając zupełnie polską siłę zbrojną, tak zwany „Wehrmacht“. Wydaje bowiem polecenie nieskładania przysięgi wedle tekstu, przyjętego przez Radę Stanu, a w którym znalazły się słowa o „dotrzymaniu wierne braterstwa broni wojsku Niemiec i Austrii“. — Czyż podobna składać taką przysięgę tym, na których może jutro uderzę! — zdecydował Komendant. Tu — pan Piotr sięgnął znów do kieszeni: — *Moje Silva rerum mieści się w niewielkiej przestrzeni. Prawdziwie édition de poche!* — zaśmiał się tym subtelnym, wytwornym sposobem, który rozjaśnia twarz od wewnątrz, bez brutalnego wszelako hałasu. — Jurku! — zwrócił się do syna, podając parę wycinków z gazet. — Przeczytaj to nam na głos.

Chłopak wziął śpiesznie do ręki zadrukowane i wycięte szpalty dziennika i czytał, wyrzucając chwilami głową jak koń podcinany szpicrutą:

— „*Deutsche Warschauer Zeitung*“ dnia 24 lipca 1917 rok. Półurzędówka niemiecka — objaśnił szybko stryjowi. — Zobaczmy, co piszą „sprzymierzeńcy“: „Nieszczęsna robota byłego brygadjera legionów Piłsudskiego, który, nie pomnąc na potrzeby życiowe swej ojczyzny i swój dawniejszy udział w tworzeniu podwalin wojska polskiego, usiłuje w zaślepieniu pracować w kierunku zniszczenia tego wojska. Dąży on do tego, by powstrzymać młodzież polską, zdolną do noszenia broni, od wstępowania do wojska polskiego, skierowując ją natomiast do ślepo mu oddanej P. O. W., która wyzbyła się swego ostrza, wymierzonego przeciwko Rosji, zajmując zdecydowany

front przeciwko mocarstwom centralnym. Według informacji gazet pan Piłsudski był wybrany na prezesa honorowego polskich konferencyj w Petersburgu i przeznaczony tam na wodza polskiego wojska po stronie rosyjskiej. Nie stało się wiadomem, dotychczas, iżby pan Piłsudski wziął z tego asumpt do protestowania przeciwko tym informacjom w jakiegokolwiek postaci. Cesarski urząd gen. gubernatorstwa widział się przeto zmuszonym po dokonaniem już aresztowaniu pewnej liczby wybitnych przywódców P. O. W. zabezpieczyć się co do osoby pana Piłsudskiego, oraz jego byłego szefa sztabu i pomocnika Sosnkowskiego. Mogą oni być internowani w jednej z twierdz niemieckich“. — No i co, stryjciu?! „Germanofile?!“ Nieprawdaż?! Zapakowani do paki przez tych właśnie Germanów! Czytajmy dalej — wygładził palcami drugi wycinek i obwieszczał wszystkim, wodząc po nich od czasu do czasu oczami: „Deutsche Warschauer Zeitung“ 3 sierpnia 1917: „Piłsudski jest istotnym przywódcą P. O. W. Ustalono, że wprowadzał wraz ze swym przyjacielem Sosnkowskim jako pomocnikiem, do departamentu wojskowego Rady Stanu, którego był kierownikiem, członków Pol. Organ. Wojskowej. Wobec tego nie pozostawało nic innego jak go aresztować wraz ze współwinnymi. Na Piłsudskiego spada całkowita odpowiedzialność za to, że P. O. W. wydała ostatniemi czasy zaopatrzoną w liczne wskazówki instrukcję celem stworzenia ściślejszej i całkowitej konspiracji.

Areszt był niezbędnym, aby w nowopowstającej

Polsce, na tyłach walczącego wojska przeszkodzić rozwijaniu się wydarzeń, które nie dadzą się pogodzić z żadnem państwem, opartem na prawie". — Jurek porwał się z miejsca i mówił gorączkowo, wyciągnawszy ku stryjowi rękę z wycinkami:

— Czyż to nie przekonujący dowód o wzajemnej wrogości tych pseudo-sprzymierzeńców?! Czyż wobec tego może się jeszcze ostać zarzut o „germanofilstwie“ tych polskich patriotów, tych żołnierzy i szermierzy o niepodległość naszą?! Przecież ten „kryzys przysięgowy“ dał ciężkie wyniki. Część legionistów idzie za druty Szczypiornej, Benjaminowa, lub też zostaje wcielona do armji austriackiej z pułkownikiem Zielińskim i Hallerem na czele. Ci bowiem w przekonaniu, że wojsko polskie istnieć musi, złożyli przysięgę w lipcu 1917 roku. Piłsudskiego zaś, a potem Sosnkowskiego Niemcy wywożą do Magdeburga, gdzie dotychczas siedzą w zamknięciu. A gdyby stryjcio wiedział, jak cudownie odbyło się to zerwanie z Niemcami! Przedstawiciele Rady Stanu nie mieli pojęcia do ostatniej chwili, że Komendant wydał rozkaz nieskładania przysięgi. A dlaczego tak uczynił? Dlaczego? — chłopak wyczekał chwilkę i rzucił triumfująco: — Bo rewolucja unieszkodliwiła Rosję, więc szkoda krwi polskiej! Niech się dwaj nasi odwieczni wrogowie tak między sobą zjadają jak te dwa węże, co to z nich zostały tylko ogony! A oni tymczasem przelicytowują się we wspaniałomyślności dla tych lekceważonych niedawno niewolników! Piątego listopada 1916 — deklaracja

dwu cesarzy o samodzielności Królestwa Polskiego, 30 marca 1917 roku — proklamowanie przez rząd Kiereńskiego niepodległego Państwa Polskiego!

— Słuchaj-no, chłopcze, czy ty się czasem nie kierujesz na polityka, tak znakomicie się wdzierasz w te różne tajniki? — śmiał się pan Stefan, ale mądre jego oczy patrzyły na synowca z zajęciem.

— Nic dziwnego — wyjaśniała pani Zofja otwarcie. — Miewałam nieraz wrażenie, że w naszym mieszkaniu w Warszawie ulokował się sztab Piłsudskiego i toczy nocne narady. Tylko Jurek wpadał do mego pokoju i wołał: — Mamusiu! Wacek ma urlop i przyprowadził jeszcze kilku legunów! Bycze chłopaki! Proszę nam zaraz przygotować czarnej kawy, piekielnie mocnej i piekielnie słodkiej, bo nie będziemy na pewno spali do rana! — Dodawałam im jeszcze do tej kawy, której miałam ogromny zapas — jedyna rzecz, nie wiem dlaczego — trochę jakichś wątpliwej wartości przysmaków i słyssałyśmy chwilami z Zochną wykrzykniki z poza drzwi zamkniętego pokoju Jurka: — Co ty mówisz?! Huknęli Strzelca Komendantowi, choć grzmiał tuż za nim huraganowy ogień?! A co na to „Dziadek“? Twardy legun jak lemiesz od pługa! A na „Dziadku“ to wszystkie Niemiaszki sobie zęby połamią! A uważasz, pod Kostiuchnowką to było tak... Co?! Nazywają was „ewige Bande“! Mamy ich „w pięcie“!... i tak dalej...

— Cudowne chwile! — wykrzyknął Jurek. — Nie oddałbym was za nic na świecie! Wydawało się nam

nieraz, że my, gromada niedorośliwych jeszcze młodzików, budzimy ze snu naszą zaczarowaną Królową! Że czujemy pod lekkim dotykiem nieśmiały palców, jak ocieplają się jej powieki, jak usta różowieją powoli pod wpływem rodzącego się obiegu krwi! Będziesz żyła, nasza Luba, nasza Przepiękna, bo przecież tę krew serdeczną my przelewamy z żył naszych — w Twoje!

— Opowiedz, Jurku, o tem rzucaniu szabel — przypomniała Zochna. — Ja tak to lubię! Zaczęłeś i odbiegłeś od tego. Zawsze tak. Wicher cię nosi po szerokich polach tych wszystkich wydarzeń!

— Dobrze. Więc 9 lipca zeszłego roku mieli leguny składać przysięgę, tam, gdzie stały oddziały, to jest w Dęblinie, Modlinie, w Warszawie i w Górze Kalwarji. Zjechali wszędzie przedstawiciele Rady Stanu, w najlepszej wierze i w idealnym spokoju, że wszystko pójdzie sprawnie i gładko. Maszerują leguny. Szerniały i wychudzone ich twarze, hartowne w pościgu codziennym za śmiercią, ale z ich ust, zaciśniętych surowo, nie pada obietnica wierności, tylko furczą w powietrzu rzucone pod nogi szable. Zdumieni, oszołomieni nagłym przejawem oporu, cofają się przedstawiciele Rady o krok jeden wstecz. I tam dosięgają ich stóp lecące uparcie szable. Cofają się znów i jeszcze... i jeszcze... a po chwili sznur szabel błyszczy pomiędzy nimi, a defiladą legjonów, wytykając jakgdyby swemi ostrzami kapitalną różnicę w poglądach!

— Swoją drogą to było bezlitosne dla przedsta-

wicieli Rady Stanu! — postawiła zarzut pani Zofja, ale Jurek nie pozwolił jej rozwinąć tego poglądu, bo natychmiast ujął się mocno za Komendantem :

— Bo jak Dziadek co powie, albo wymyśli, to jakby dąb wyrwał z korzeniem, albo skałę wywalił! Jest o czem przynajmniej pogadać! To nie jest grzane piwo z olejem!

Pani Zofja powściągnęła wzrokiem rozmach słowny chłopaka, ale uczyniła to z tak miłym uśmiechem, że sprowadziła pogodę na jego wzburzone rysy i wstając z ławki, zwróciła się do reszty zebranych:

— Przykro mi, że muszę odegrać pospolitą rolę Marty i przypomnieć wam, moi drodzy, że już się zbliża godzina obiadu. Nie posyłaliśmy do sąsiedniej wsi po naszego dawnego kucharza i Anastazja podjęła się kulinarnych obowiązków. Nie trzeba jednak wystawiać na próbę ani jej cierpliwości, ani umiejętności, bo sami na tem najgorzej wyjść możemy. Ruszmy się zatem powoli w stronę dworu.

Usłuchali wszyscy tego wezwania i poszli wolno szeroką aleją, pomiędzy starymi lipami, których potężne rozgałęzienia u góry tworzyły miejscami jakby zieloną koronkę na szafirowem tle nieba. Pan Piotr podszedł do brata, wsunął rękę pod jego ramię i zajrzawszy mu w oczy, powiedział z prawdziwym zaciekawieniem: — I co ty myślisz o tem wszystkim, czegoś się od nas nasłuchał?!

— Że Piłsudski jest bezwzględnie gorącym patriotą i najwybitniejszą indywidualnością. Czy jednak mógłby stawić czoło Niemcom, gdyby ci wygrali

wojnę i narzucili swe władztwo całej Europie?! Wypadki dziejowe przerastają nieraz człowieka — nawet Napoleona! Dlatego sądzę, że oparcie się o koalicję jest pewniejsze, bo w jej planach leży niepodległość polityczna Polski. Zresztą ostatnie słowo w tej sprawie już wypowiedział Wilson, a jest ono dla Polski pomyślne. W naszych równaniach brak tylko jednego X, a jest nim wielkie niewiadome, które się nie da przewidzieć, a które się zowie szczęściem wojennem. Dość wspomnieć o deszczu i błocie pod Waterloo! Europa kłaniałaby się w pas późniejszemu więźniowi ze Świętej Heleny, gdyby Grouchy nie spóźnił się ze swą artylerją właśnie wskutek tej drobnej napozór okoliczności. Wracając jeszcze do ukochanego przez Jurka Komendanta, rozświetliliście mi wiele rzeczy, które były tu dla mnie wręcz niedostępne wobec odcięcia od Polski i braku źródeł. Dzięki wam zajrzałem do duszy tego człowieka i zobaczyłem w niej — Polskę!

— Świetnie to określiłeś! Świetnie! — rzucił pan Piotr z zapalem. — Tak jak tylko ty umiesz! Jednym słowem, ale jedynie właściwem! Tak, bracie! Nie był nigdy Piłsudski stronnikiem niemieckim, albo austriackim, tylko wytrwałym chorążym niepodległości ojczyzny! Tylko Polsce służył, tylko ją miał na oku! Ideologia jego była: Bić Rosję z Niemcami, a Niemcy z Francją! I nie zabiegami dyplomatycznymi z tym lub owym rządem, z tem, albo tamtem obcym stronnictwem on tę Polskę zdobywał! Nie! On na niej rwał więzy niewoli z krwawym trudem

i z krwawym mozołem! I zawsze, czy jako zecer w drukarni „Robotnika“ w Łodzi, czy też w bojówce P. P. S., zarówno w „Strzelcu“, jak w I. brygadzie, albo jako członek T. R. S. — on tylko o Polskę walczył! W twardem zmaganiu się codziennem, w konspiracyjnych kryjówkach, jako człowiek „nielegalny“, nie mający spokojnego kąta i dachu nad głową, a potem w polu bitewnem — on tę niepodległość wywalczał! On jest i pozostanie spadkobiercą duchowym tych, którzy wbrew wszystkim rozumowaniom tę Polskę utraconą z bronią w ręku zdobywać chcieli! On jest wcieleniem tężyzny polskiego ducha, wiecznie młodym i wiecznie czynnym, symbolem niepodległości narodu! Gdyby żył w 1830 roku, nie dałby się zmarnować wielkim możliwościom, jakimi jeszcze wówczas Polska rozporządzała. — Pan Piotr umilkł, a oczy jego zdawały się rzucać przed siebie odblaski żaru, jaki w nim pałał od wewnątrz.

— Ojcie! — Jurek pochwycił dłoń ojca i przycisnął ją mocno do ust!

Fala rozradowania przepłynęła po pięknej twarzy starszego Rożańskiego. Przygarnął syna do siebie, objął go ramieniem i tak w milczeniu doszli wszyscy do dworu.

my Boga, aby atak szedł tylko na nas, gdyż obawiamy się strasznie, że landszturm na „Polenbergu“ puści. Sakramenckie tam dziady, jakieś obrośnięte trepy... Między 3-cią, a 4-tą ogień znów się rozszalał. Biją na odcinek naszego plutonu kilkoma baterjami. Biegnę na lewe skrzydło, gdzie już wiara bije zapamiętałe. Moskale rozwijają się tu o 200 kroków z olszynek Kostiuchnowki i to wprost z kolumn. Okopy trzęsą się od ognia karabinowego. Bijemy w druty. Moskale mamy o 20—30 kroków przy kołkach, przy drutach, w trawie, w okopach wedet, jeden przy drugim, gęstą masą... Nic już nie słyhać. Jeden niestanny bełkot karabinów wścieka się wokół, tylko na prawo, na „Polenbergu“, karabiny maszynowe milczą... Latam od trawersu do trawersu, ciskając w druty granatami, a coraz to niespokojnie oglądam się na Polską Górę! W pewnej chwili zgroza zapiera oddech! Bo oto nawprost czarnego otworu strzelnicy, grzbietem góry posuwa się grupa Moskali... Zgarbieni, pochyleni, powolnym krokiem podchodzą do okopów... Co to jest?! Co to znaczy?! Odpowiada mi mrozący w żyłach krzyk z 3 kompanji, z trudem przedzierający się przez trzask ognia: — Moskale na Polenbergu! Góra zajęta!

Staaliśmy na przedpiersiach i kłęcząc, bijemy, aż mdleje ramię. A ich jest jak mrowia. Pod drutami, w zbożu rzadkiem, gdzie tylko okiem sięgnąć, jasnozielone bluzy i czerwone, spocone twarze. Bijemy im wprost w pyski, celnie, z chłodnem okrucieństwem. Oni zaś odpowiadają mało, rzucają nato-

miast granatami w okopy. I umierają — umierają bez słowa, z jakąś tępą, bezmyślną obojętnością. Moskale wdarli się już zupełnie na Polską Górę, widać ich tam mnóstwo, zaczerniała od nich Góra, kręcą się w rozwianych płaszczach oficerowie.

Wpada zadyszany Czerny i podaje, by się cofać do ganku nr. 5. A więc — koniec. Rwiemy okopem w lewo. Nad naszemi głowami, na przedpiersiach wyrastają spoceni, zgrzani Moskale. Zerwał się dziki krzyk: — Bić do psychsynów! — zatrząsały karabiny, w mig oczyściwszy przedpiersie. Piorunem wiara wpada w ganek. Biegnę wdół. Obok mnie wydiera Edek Pfeiffer co sił i Stasiak Wolski. Wpadamy na zieloną, pyszną łączkę. Boże, co za widok! Łączka cała, podnóże góry i bagno — pokryte sinemi, niebieskimi mundurami. Rwie wszystko na mostek. Jedyna droga odwrotu, jedyny cel. Wokół zielone, grząskie bagno.

Na mostku krzyk straszliwy. Tam w mig, piorunem powybijano kolbami, porozdzierano bagnetami żołdatów, co zastąpili drogę. Ciśnięto w bagno wielkich ruskich chłopów, zasłano nimi most. Lecz cofać się dalej nie można. Zatrzymać trzeba tłum, co wali na nas w zbitej gromadzie, żałośnie jęcząc w trzasku ognia swoje: „Urra!“ Tyralljera od mostku. Podniesione wgórę rewolwery. Wyniosła postać Narbutta z błyszczącym niklowym browningiem rzuca mi się w oczy, gdym dopadł linji. Krzyk: — Stać, stać — do kontrataku!... Kontratak. Naprzędzie li-

nja oficerów. Ślepi na wszystko z odwagi. Z rozkrzyżowanemi rękoma, wołaniem ostatniem prowadząc do kontrataku, pada Sław, kulą ugodzony w serce.

Walka na śmierć i życie. Chamska zacięta pasja. Tam Mazur — Sękara, podporucznik, nie strzela już, lecz kolbą tłucze, butami kopie z obłądnej pasji, że musi się cofać, uciekać! Tam Hajec, porucznik, szpicrutą na wołanie — Sdajsia! — siecze po twarzach chłopów. Kolbami po łbach i ramionach, strzałami, ogniem prosto w twarz. Aż odepchnęliśmy tłum...

Jurek urwał i podniósł wzrok na stryja, pragnąc ocenić doniosłość wrażenia. Zamglony entuzjazmem żar jego oczu bił prosto w twarz wpatzonego weń pana Stefana.

— Bohaterowie! Co, stryjciu?! — zapytał radośnie.

— Byłem z nimi cały czas w bitwie, mój chłopcze! Ogluszyły mię działa i osmalił ogień bojowy! A zwłoki Sława wyniosłbym stamtąd na własnych rękach!

— Jakaż to rozkosz nurzać się tak ze stryjciem w tych wspomnieniach naszej walki i chluby! Zaraz, zaraz! Jeszcze coś nadzwyczajnego przeczytam — i Jurek zaczął przebiegać wzrokiem urozmaicone ilustracjami karty swej księgi.

— Odłóż to na potem, Jurku! — powstrzymał go pan Piotr, który przechadzał się po pokoju tam i napowrót, a teraz podszedłszy do brata, zaproponował krótko: — Chciałbym pomówić z tobą, Stefanie!

— Służę ci — padła natychmiastowa, zwięzła odpowiedź.

Pani domu i młodzi zamierzali już usunąć się z salonu dyskretnie, ale gospodarza dorzucił:

— Przejdźmy na werandę. Tam będzie nam najwygodniej — i wyszedł pierwszy z pokoju. Pan Stefan ruszył za nim pośpiesznie, łowiąc w przelocie błagalne spojrzenie bratowej i pełen niemej prośby wzrok Zochny. Oglądnał się jeszcze od progu. Jur stał ze swem ciężkiem *Silva rerum* pod pachą. Ściągnięte posepnie brwi, pionowa zmarszczka na czole i oczy wbite w posadzkę zmieniły do niepoznania to rozradowane przed chwilą, młodzieńcze oblicze.

— Nareszcie dowiem się prawdy — pomyślał pan Stefan i, zamykając za sobą szklane parapetowe drzwi, stanął na werandzie, chłonąc mimowoli spojrzeniem znany od dziecka, a zawsze tak malowniczy widok.

— Siadaj, proszę cię — powiedział pan Piotr, wskazując bratu wyplatany fotel.

Czarujący obraz roztaczał się przed wzrokiem obydwóch Rożańskich. Obszerny staw przelewał się krótkimi, łagodnymi falkami, śląc je bez przerwy ku dalekiej grobli. Słońce zarzuciło na jego błękitne lice złotawy tiul blasków, więc skrzył się, mienił, szmerząc niegłośno wzdłuż brzegów. Za wodą, na wzgórzu bieleła się duża, murowana cerkiew. Trójramienny krzyż schizmatycki, sterczący u szczytu zielonej kopuły, jaśniał na tle nieba, jako symbol jednakiej z „matuszką Rosją“ wiary. Dalej — rozłożyła się białymi

chatami podolska wieś, przetykana suto haftami zieleni wiśniowych i śliwowych sadów, a na horyzoncie czerniały — niby wał niewzruszony — słynne ojczenaszowieckie lasy. Terkotanie młyna, niedawno przez pana Piotra postawionego, dochodziło z za grobli, nasuwając myśl o jakiejś głośniejszej i mechanicznej rachubie upływającego bezpowrotnie czasu.

Słowa: — Jakże tu pięknie! — wybiegły bezwolnie na usta gościa. Siedział w milczeniu, a jego zmysł artystyczny napawał się bujną malowniczością ukochanego kraju, choć w głębi serca nurtował niepokój.

Wtem skrzyknął leciutko fotel. Pan Piotr obrócił się całą postacią w stronę młodszego brata, objął spojrzeniem jego męski, regularny profil i rzucił zdecydowanym tonem:

— Stefanie! — pauza. — Sprzedałem Ojczenaszówkę i Hutę!

Zaległa cisza.

Z wysepki pośrodku stawu, gdzie wiekowe brzozy opuszczały ciężkim ruchem szeleszczące nieustannie listeczki ku wodzie, wypłynęły łabędzie. Ich śnieżne szyje zdawały się być wygięte w znak spokojnego triumfu. Płynęły w dal na chybotliwym podłożu z czystej i lśniącej wody, niedostępne zda się wszelkim ziemskim kurzom i błotom. Oczy dwóch braci przykuły się z taką mocą do tych przesuwających się białych ptaków, jakgdyby pod ich piórami ukryty był przyciągający je magnes. Jakiś olbrzymi wiatrak śmigał w głowie pana Stefana, zrzucając za każdym

obrotem boleśnie raniących skrzydeł jeden wyraz za drugim:

— Sprzedane!... Ojczenaszówka!... Huta!... Sprzedane!... Oto cios!... Cios z listu dzieci...

Wraz ze słowami brata ciężka zmosfera rzuciła się mu na piersi, zatulając usta obmierzłą dłonią, tak, że nie mógł wydechnąć powietrza. Dławił się, walcząc w milczeniu z druzgocącym, fizycznym cierpieniem, przywołując na pomoc śmiertelnie niemal zranioną swą wolę, usiłując zepchnąć zmore u gardła i opanować ogłuszający szum w uszach. Pokonał wreszcie jednego wroga. Odetchnął i wraz z tym pierwszym objawem zwycięstwa wyrzucił z siebie krótko i głucho:

— Dlaczego?!... Komu?!...

Ból, drgający w tych słowach, wzruszył pana Piotra głęboko. Spodziewał się walki z bratem, walki gwałtownej i wybuchowej, jak to leżało w naturze tamtego — przeciwko jego spokojnej refleksji. Ale nie sądził nigdy, by opór Stefana przybrał formę cichego dramatu. Intensywność zadanego przezeń cierpienia targnęła tak mocno nerwami starszego brata, że zerwała pieczęcie z więzów opanowania i pan Piotr stał się — wbrew zwyczajowi — nie naturalnie rozlewny w uczuciach i słowach:

— To dawna sprawa. Pamiętasz w Winnicy naszą rozmowę?! Już wtedy zapadło to moje postanowienie. Spotkałem u znajomych Alfreda i oznajmiłem głośno przy wszystkich, że gdybym miał amatora, w co wątpię, najchętniejbym sprzedał moje

majątki. — Masz go przed sobą! — zakrzyknął Alfred, wyciągając do mnie rękę, jakby dla dobiecia już targu. — Ile chcesz ogółem? — Warjacie! — powiedziałem mu z całą powagą. — Nie chcę ciebie okradać! — Co to znaczy?! — spytali obecni zdumieni. — Wszakże już wiemy, że Niemcy idą na Ukrainę. Nie opuszczą jej prędko, a może nigdy, bo Rosja unicestwiona. Burza przeminie, a własność powróci. — Kiwałem głową z politowaniem: — Czyż wy nie widzicie, że władztwo kultury polskiej na Ukrainie odeszło w mroki przeszłości? Że natomiast „samostanowienie narodów“ jest nowem hasłem, nowym sztandarem, pociągającym czasem najszersze warstwy ludowe? „Samostijna Ukraina“ — to nie bańka mydlana! Rachować się z nią musimy! Wy wierzyacie w Niemców, a ja w Ukrainę, która nas stąd wypędzi! Czyż mamy iść do tej Polski jako nędzarze, pozostawiający za sobą gest, nie dbającego o nic magnata? Zmieniają się obowiązki. Dawniej — należało rękami i zębami trzymać się tej ziemi, dziś — czynem prawdziwie patryjotycznym byłoby wydobyć z niej wszystkie skarby i całe dobro, jakie nagromadziła tu polska praca od wieków, i przenieść je do powstającej ojczyzny. — Oczywiście, nie przekonałem ich wcale — mówił pan Piotr pośpiesznie, i niehamowanym tempem. — Buchnęły śmiechy i żarty: — Dziwadło! Teoretyk! Korzystaj, Alfredzie, z cudownej okazji zaokrąglenia schedy twych synów i kupuj te złote jabłka! — Napróżno twierdziłem: — Uwważaj! Tak zaokrąglisz tę schedę, że się potoczy

aż w przepaść! — Wreszcie przyparty do muru, wyśmiany i wyszydzony podpisałem prywatną umowę z Alfredem co do sprzedaży Ojczenaszówki i Huty, żądając od wszystkich wzamian zaprotokołowania moich ostrzeżeń i zobowiązując obecnych pod słowem do najzupełniejszej dyskrecji o całej tej sprawie. Termin — najpierwszy możliwy.

Pan Piotr zamilkł na chwilę i spojrzał bokiem na brata. Jego skamieniały w nieruchomości, energiczny profil zdawał się zacinać gospodarza domu jak biczem, zniewalał go swym potępiającym wyrazem do składania dalszych wyjaśnień. Starszy Rożański pojął, iż musi wychylić kielich spowiedzi do dna i że brat nie ulży mu bynajmniej w spełnieniu cierpkiego tego napoju. Oparł się tedy łokciem o poręcz fotela, a głowę zwiesił na dłoń, jakby nasuwające się teraz wspomnienia boleśnie mu w niej zaciążyły:

— Że obcy mnie nie pojmują, to rzecz tak zwykła i taka codzienna! Nie boli mię ona wcale. Ale w domu, w rodzinie — to dramat! Zosia najpierwsza dowiedziała się o mojej decyzji i zachwiała się tak na nogach, tak zbladła, że pewien byłem, iż padnie zemdlona, choć to się nigdy od dnia naszego ślubu jej nie zdarzyło. — Serebryji tknąć nie dam! — zapowiedziała mi, gdy tylko przyszła do siebie. W głosie jej brzmiała niezłomna stanowczość, która w sprawach zasadniczych jest u niej wprost nie do zwalczania. Ale pod tym względem nie mogło być mowy o żadnej walce. Ustąpiłem bez słowa protestu, choć uważam poważną sumę w tym majątku zawartą —

jako straconą. Chciał kupić go Ukraińiec, co jest wedle mnie najprostszym rozwikłaniem palącej kwestji. On także wierzy w „niemieckie porządki“ i nie boi się powrotu bolszewickich systemów. Ale to Zosi własność, a ja szanuję jej wolę. — Tu pan Piotr obrócił powoli głowę ku bratu, ale widząc z jego zaciętych ust, iż nie wyleci z nich żadne słowo, przecinające dźwiękiem przynajmniej kamienny upór milczenia — jął mówić dalej:

— Z Zochną było daleko gorzej. Dostała swego ataku płaczu, a ty wiesz, jak rzadko to u niej się zdarza. Płacze raz na rok, czasem raz — na dwa lata, ale nawet w dziecięcych latach nie było to zwykle szlochanie dziecka, tylko prawdziwa burza, szalejąca w tej wątej piersi. Co się z nią działo i z nami — zrozumiesz. Łkania tak nią wstrząsały, że romantyczne określenie: „Pękło jej z bólu serce“ — mogło lada chwila stać się rzeczywistością. Jur po gwałtownej scenie ze mną zamknął się w swoim pokoju. Rzucił mi w oczy: — Ojciec nie miał prawa tak postąpić! To własność nie jednostki, ale rodu! — To dezercja! Zdrada! Odstępstwo od tradycji! To srom niezmyty!

Podkreślał niektóre wyrazy z namiętnem potępieniem. Biedna Zosia, miotana niepokojem o te najdroższe dwie głowy, szeptała mi do ucha drżącym głosem: — On się jeszcze zastrzeli! — kiedy grobowa cisza w pokoju Jurka przerywana była tylko jej kołataniami do drzwi i błagalną prośbą: — Otwórz, synku! — Wreszcie serce matki podszeptało

jej: — Wyjdz, Jurku, i uspokój Zochnę, bo ona chyba skona z takiego płaczu! — Chłopak stanął na progu z tą pionową zmarszczką na czole, z tym posępnym wzrokiem, którego nie znały dawniej jego młodzieńcze oczy. Łagodnie, ale stanowczo odsunął matkę od drzwi do pokoju Zochny. Mnie — zmierzył spojrzeniem: — Ja sam! — powiedział krótko. Wszedł. Posłyszeliśmy okrzyk: — Zochno! Nie płacz! Ja to odkupię! Przysięgam! — Pan Piotr znowu umilkł, ale tym razem nie patrzył na brata, tylko w przestrzeń, przed siebie. — Powiedziałem wtedy Zosi — ciągnął po chwili nie tak już rwanym, nerwowym tonem, ale o wiele spokojniej, wzruszenie zniknęło z jego twarzy i czuł znać ulgę, jakiej doświadcza każdy, dobiegający do mety. — Powiedziałem: — Słyszysz?! Niepotrzebnie tak się trwożyłaś. Jeszcze żaden Rożański nie stchórzył przed życiem!

Pan Stefan najłżejszym ruchem nie stwierdzał swej obecności w pobliżu brata. Rzekłbyś, iż słowa gospodarza padają w bezwietrzną pustkę. Opanował się już do tego stopnia, że głowę miał wolną, a myśl tak jasną i połyskującą ostrzem wyrobionego sądu jak stal damasceńska. Zdawało mu się jednak, że wyznanie brata jest niezupełne. Milczał tedy i czekał. Za drogą, za łąką, drobne falki kołyszącego się stawu umierały cicho na brzegu. Kilka jaskółek śmignęło w stronę grobli, przecinając czarnością skrzydeł błękit powietrza. Młyn terkotał bez przerwy, dobitnie i lekko, jakgdyby ukochał swą pracę.

— Znasz nas nawylot — silił się na spokój pan

domu, nie przykładając napozór wagi do upartego milczenia słuchacza. — Zbyt jesteś subtelny, byś nie dostrzegł odrazu rozdźwięku pomiędzy nami, rozdźwięku — na miejsce dawnej harmonji. Ale to ci mogę powiedzieć na zakończenie, że pomimo tego bolesnego nieporozumienia w rodzinie, wiem, że postąpiłem dobrze, uczciwie i czuję się zupełnie czysty w sumieniu. Tem bardziej kategorycznie to stwierdzam — tu głos mówiącego dźwięknął ostro jak rozprężająca się stal — że w Winnicy nie miałem pojęcia o przewlekłości bolszewickiego niebezpieczeństwa, a po powrocie z Warszawy wysłałem natychmiast umyślnego do Alfreda, ostrzegając go raz jeszcze i proponując unieważnienie transakcji. Wiesz, co mi odpisał ten oryginał?! — „Kochany P.! Niech się z nas żaden nie żali, bośmy obydwaj płakali! Słowo się rzekło — kobyła u płotu! Ja się nie cofam i wiem, co robię. Ale jeżeli Ty masz zamiar porwać szleje, to bywaj zdrów, quand même et malgré tout, tylko pamiętaj, że sąd honorowy Ciebie nie minie! Ściskam Cię. Alfred“.

— Sąd honorowy, uważasz?! Powtarzam tedy: Postępuję uczciwie.

To ostatnie wyznanie zdało się unicestwić czar nieruchomej martwoty, jakiemu ulegał tak długo młodszy Rożański, gdyż jego energicznie zakrojone usta drgnęły budzącem się na nowo życiem, choć wychodzące z nich słowa krzepły, rzekłbyś, w powietrzu:

— Tak. Jesteś konsekwentny i logiczny. Pamię-

tam doskonale naszą rozmowę w Winnicy. Owszem. Postąpiłeś uczciwie i — zapobiegliwie. Uchodzisz z okrętu, zagrożonego nawałnicą. Nie czujesz się symem tej ziemi. Odejdź. Zostaną inni.

Surowe potępienie, kryjące się w fałdach tej pozornej pochwały, tak zabolalo pana Piotra, jakgdyby brat przycisnął mu ostrze sztyletu do gardła. Odechnął głęboko, poczem poruszył głową przecząco, odpierając zarzuty gestem pełnym istotnej godności:

Nie rozumiesz mię wcale. Tu nie może być mowy o jakiegokolwiek zapobiegliwości (podkreślił ten wyraz z naciskiem), albowiem ja tak postąpiłem — z przekonania. Pojmujesz? Ten zaś mój sąd o rzeczy nie zmienił się zasadniczo po pobycie w Warszawie, ale się pogłębił. O, tak! Pogłębił się znacznie. Mógłbym nawet użyć dość poetycznej przenośni, że jak nurek zgłębiałem dno oceanu fermentującej ludzkości! Czy chcesz, bym ci to bliżej wyjaśnił?!

— Mów!

To krótkie słowo było niepokojące. Zawierało ono w sobie tyleż zezwolenia, ile odporności bez granic. Przytem lapidarność pana Stefana działała na gospodarza domu tak podniecająco, jakgdyby ten, nie patrzący nań wcale, znieruchomiały słuchacz, miał gdzieś w zanadrzu dynamit. Poprawił się na fotelu i z oczyma utkwionemi w opływające wysepkę łabędzie, rozpoczął poważnie:

— Zacznijmy od końca I aktu: Niemcy wojnę przegrają i Ukrainę opuszczą. Akt II: Szamotanie się różnych „samostijników“. Akt III i ostatni nara-

zie: Zalew bolszewizmu z Rosji, niewola i powolne, wiekowe może budzenie się narodu z ludu, tak jak w Czechach. Skoro to się stanie — pojęcie o naszych tu prawach czy też własności rozwieje się w pył. Słowem — beznadziejność zupełna! I my mamy na łup zostawiać to nasze „avoir“?! Na łup komu?! Żebyż choć tym naszym pobratymcom! Byłaby w tem jakaś korzyść! Ale nie. Obłowią się temi bogactwami bez miary aferzyści, spekulanci, oszuści na gigantyczną skalę, którzy przeprowadzili w tym celu cały przewrót w Rosji i tu na tych ziemiach z genjalną poprostu maestrją. Zechcesz zapewne usunąć jeden kamień z fundamentu mego rozumowania i zapytasz, dlaczego stawiam jako pewnik, że Niemcy przegrają?! Ci Niemcy, którzy od połowy marca toczą na zachodzie decydującą ofensywę, których dalekonośne działa ostrzeliwują już Paryż, których pewność zwycięstwa dochodzi pozornie do szczytu?! Tak — oni przegrają. Taka niezbita prawda wyłania się z owego tajnego dokumentu podróży jakiegoś tam Iksa, który ci przeczytałem. Twarz Janusowa niemiecka ma podwójne oblicze: jedno dla świata nazewnątrz, drugie dla siebie, od wewnątrz. Udało mi się wejść do świątyni tajnemi schodami i zajrzeć pod opuszczone powieki bóstwa, niedostępnego dla wielu. Zobaczyłem tam lęk przed przegraną, co mówię?! Pewność przegranej! Dlatego jeśli sobie czynię jakiś zarzut, to tylko jeden: Dlaczego stchórzyłem przed tak zwaną opinią i zgodziłem się na wzięcie pieniędzy od sąsiada, przyjaciela, kiedy wiem

na pewno, że te jego pieniądze idą na przepadłe! Że on temi majątkami długo cieszyć się nie będzie! Że to jest z mojej strony jakby oszustwo! Powinienem był sprzedać tę ziemię Ukraińcom i gdybyśmy mogli przeprowadzić taką masową zmianę właścicieli, wówczas oni, wsparci o tę upragnioną „zemelkę“, oparliby się bolszewizmowi, tworząc swemi młodemi piersiami nowe posunięte daleko na wschód — przedmurze chrześcijaństwa. Tak. Oni nabraliby siły do takiej walki, bo czuliby się prawdziwie „u siebie“, bo ich podtrzymywałoby mocno poczucie praw narodu do samoistnego życia. Podczas kiedy my, koloniści...

— Hola! — rąbnął pan Stefan, waląc tak pięścią w stojący obok bambusowy stolik, iż ten zakołysał się na swych delikatnych nóżkach. — Stój! Ani słowa więcej! Veto! Protestuję! — zerwał się z fotela i stanął przed bratem, wbijając weń pałające oburzeniem oczy: — My koloniści?! My — tu porodzeni?! My — ciągnący od wieków rodową linię tych, co przyszli tu na pustkowia, do puszczy, do borów, do dzikiej ziemi, do dzikszych jeszcze sąsiadów — Tatarów?! My koloniści?! Może ty jesteś kolonistą, kiedy tak bez żalu opuszczasz ten kraj tak drogi i bliski nam wszystkim, ale nie my! Nie ja! Czuję się synem tej ziemi nie gorszym od Ukraińców, kocham tę matkę swoją i jeśli tak jest, jak ty mówisz, bronić jej będę swemi piersiami od grożącego jej niebezpieczeństwa! Tak mi dopomóż Bóg! Rozumiesz?!

Pan Piotr wytrzymał przeszywający wzrok brata

bez drgnienia powiek. Wyciągnął doń ręce, a głos jego mieścił rozzdzierające wprost nuty:

— Stefanie! Błagam cię! Miej litość nad sobą! Tu będą się działy straszne wprost rzeczy! Ty nie wiesz całej prawdy o kotłowaniu się w Rosji. I ja nie wiedziałem, ale w Warszawie przestudjowałem zagraniczną prasę i — struchlałem. Przecież tam rozstrzeliwują najlepszych demokratów, byleby tylko usunąć niewygodnych przeciwników! Czyż może być coś okropniejszego jak zamordowanie Szingarewa i Kokoszkina, złożonych chorobą?! Cóż to za rząd potworny?! A zniesienie przez dekret sowjetów prawa własności osobistej, aż do kobiet od 17-go do 32-go roku życia włącznie?! Socjalizacja kobiety! Sadyści, czy obłąkani?! Nie można odmówić Leninowi i Trockiemu kromwellowskiej poprostu odwagi w tych nieustających aresztach i mordach! I tacy ludzie zajmą ten kraj po ustąpieniu Niemców! Stefanie! Bracie najdroższy! Oddaj Szamrajówkę w dzierżawę najbliższej cukrowni (o sprzedaży nie śmiał się nawet zająknąć!) i — jedź z nami do Polski!... Stefanie!...

Ale młodszy brat skoczył jak żbik raniony:

— Ja?!... Ja miałbym?!... Ja?!... Porzucić matkę, kiedy jej śmierć patrzy w oczy?! Chcesz, bym został zaprzańcem?! Chcesz, bym cisnął kamieniem na groby nasze, na kości pradziadów, co leżą tu, w tej krwi ich przesiąkłej ziemi?! Oni nie uchodzili przed falą Tatarów i Turków, ale jeszcze konia pod sobą przebijali rapierem, aby odciąć od siebie wszelką możliwość hańby. A ja miałbym bez boju, bez walki,

odstąpić wiekowe swe prawa?! Miałbym stchórzyć przed życiem?! Być spekulantem?! Targować się o cenę dzierzawną tej ziemi, wietrząc ciągnącą ku niej niedolę?! Mówiłeś przed chwilą, że jeszcze żaden Rożański nie stchórzył przed życiem, a ja miałbym być takim pionierem?! wybuchnął ironicznym śmiechem. — Nigdy! Rozumiesz! Nigdy! Zostaję! — i zmożony rozszarpującą go, a tak długo tłumioną burzą wewnętrzną, pan Stefan padł na swój fotel z takim impetem, aż ów zatrzeszczał przeciągle.

Pan Piotr zbladł jak kreda i przymknął powieki. Zapadła cisza, przesycona dramatem. Parapetowe drzwi od salonu uchyliły się zwolna i silnie poruszona twarz pani Zofji wyjrzała przez nie. Usta jej uśmiechały się wymuszenie i blado, a czarne oczy mieniły się niepokojem. Gniewne okrzyki szwagra i wzburzone, choć opanowane tony mężowskiego głosu dolatywały do jej uszu przez szklane szyby wyraźnie. Nagłe, przeciągające się milczenie poderwało ją z miejsca wbrew jakgdyby jej świadomości. Ocknęła się dopiero tu, na tej werandzie, a delikatność uczuć podsunęła jej błahy frazes dla usprawiedliwienia swej obecności:

—Możebyście odświeżyli się herbatą? Tak tu gorąco... Aż dziwne... Takie wczesne upały!...

Ale pan Piotr na dźwięk wzruszonego głosu żony podniósł opuszczone powieki, zwrócił się ku niej z żywością i wskazał jej brata z bólem:

— On mi nie wierzy, Zosiu! Przestał mi ufać! Odebrał mi swój szacunek! Nazywa mię sprzedaw-

czykiem, dezterterem, zaprzańcem... Nie wie i wy nie wiecie, że pomimo, iż postąpiłem tak z przekonania i nie zmieniłbym ani na jotę tej swojej decyzji, ale... i ja z wami wszystkimi — cierpię...

Pani Zofja ujęła dłoń męża, ścisnęła ją silnie i z rąk swych nie wypuszczała:

— Ja ci wierzę, mój drogi! Wierzę i ufam — bez granic!

Pan Stefan już był przy bracie i chwycił go za drugą rękę. Potrząsał nią, mówiąc z gorącym wyłaniem:

— Stało się! Nie mówmy o tem! Co się stało — odstąć się nie może! Aleś ty nie stracony dla sprawy, bracie kochany! A w tem cała rzecz! Już dość! Punkt i kropka. Chodźmy naprawdę na tę herbatę — wzięł pana Piotra pod rękę. — Wstawaj, leniuchu! Idziemy. Cudowną miałaś myśl, Zosiu, żeś do nas przyszła! Te kobiety! — pokręcił głową z hołdowniczem uznaniem. — Więcej w was warte żdźbło intuicji, niż w nas — całe góry rozumu! Proszę cię, idź naprzód, a my za tobą!

Weszli tak we troje do sali jadalnej. Fed' już się kręcił przy podwieczorku i ustawiał wszystko zwinnie i estetycznie na stole. Jur i Zochna chodzili po pokoju w milczeniu. Na widok dwóch braci, idących razem w najlepszej harmonji, liczko dziewczyny rozjaśniło się słonecznym uśmiechem.

— Może stryjcio przekonał ojczulka i ta sprzedaż okropna nie dojdzie do skutku? — myślała w uznaniu młodzieńcem, że ten stryj wszystko może.

Ale chłopak był jakby nożem dźgnięty. Wiedział on dobrze, sądząc po sobie, iż charakter ojca jest jak opoka. Budować na niej można bezpiecznie, ale z miejsca zruszyć się nie da. Więc czyżby ten stryj ukochany zgadzał się również?!... Na coś tak potwornego?!... Ojczenaszówka i — sprzedaż! Świętokradcze zestawienie samych wyrazów! Cóż dopiero sądzić o czynie?!...

Zasiedli wszyscy przy stole, ale obręcz ciężkiego milczenia skuwała myśli tych czworga dziedziców ukochanego gniazda. Rozmowa ogólna nie kleiła się wcale, tylko pan Stefan monologował z humorem, jakgdyby nie dostrzegając przykrego nastroju i wywołując od czasu do czasu trafnym dowcipem prze-mykający się błysk wesołości w oczach Zochny, patrzącej wciąż niespokojnie na zasępioną twarz brata. Zato Fed' i Sawka umieli należycie ocenić humorystyczne zdolności gościa, gdyż chłop tamtejszy odznacza się niezwykle trafnym satyrycznym zacięciem i umiejętnością zobrazowania w słowach ukrytej śmieszności. Sawka raz nawet wyskoczył z jadalni, gdyż omal nie parsknął w kułak, a to byłoby już niedopuszczalnym wręcz brakiem uszanowania względem siedzących przy stole „paniw“. Na ziemiach ukraińskich bowiem, dzięki wrodzonemu konserwatyzmowi ludności wiejskiej, tradycja nie uroniła niczego z dawnych, najpierwszych wrażeń. „Pany“ — byli to wciąż półbogowie, nie chleבודawcy, ale ludzie wyżsi od innych, zbiorniki bogactwa, władzy, rozumu! Nie przyoblekali się już teraz w pancerze,

nie mieli skrzydeł husarskich przy zbroi, trwając przeto w swem dostojenstwie, jakby bogowie na górze Olimpu. Nic to, że podszyte dzikością chłopstwo rznęło niekiedy tych bogów jak rzeźnik barany, albo w powstaniach wieszało za nogi, ciesząc się szczerze ze swej chwilowej nad nimi przewagi. Tradycja nie-naruszalności „paniw“ zmieniała szybko tradycję rzezi i mordów, a „pańskie detyny“ nie dały się nawet przyrównać do „muzyckiej, pospolitej ditwory“! Nie-wielka tych szkoda była nawet dla jakiejś silnej za-razy, która pustoszyła wieś jakby pociągnięciem ol-brzymiej miotły. Narobi się ich jeszcze bezliku, jak mrowia! Jest czego żałować?! A zato tamte — są rzadkie i cenne jak kwiaty paproci. Takie były po-glądy, o dziwo! — nie „paniw“, lecz tych dobrowol-nie poddających się tyranji przeszłości chłopów ukra-ińskich.

Więc i teraz, przysłuchując się z zachwytem uda-nym dowcipom pana Stefana, Fed' odwracał w bok głowę i przyciskał zębami dolną wargę, aby wyjść z honorem z trudnej tej sytuacji i nie pozwolić na uchybienie „panam“! Zauważył też, że są oni smutni i zamyśleni, pomimo żartów „panowego brata“, a kru-che ciasteczka i znakomite słone paluszki, upieczone z takim wytrawnem znawstwem przez Anastazję, leżą nietknięte. Podszedł więc na palcach do stołu, uważnie wysunął rękę, sięgając po srebrne koszycki, i obniósł na tacy dawno niewidziane domowe przy-smaki. Ale prócz odmownego: — Dziękuję, Fediu — albo ostrzegawczego wzniesienia ręki przy opuszczają-

niu się tacy — nie uzyskał żadnego sukcesu. Postawił tedy koszyczki na stole i stanął znów przy bufecie, stwierdzając z żalem: — Czochoś naszi pany sumujut! — Podobnie bowiem jak „kacyk Lucyk“ brał wszystko sprytem, tak on odczuwał wiele złodem swem sercem.

Wreszcie pani Zofja ruszyła się z krzesła, dając tem wszystkim znak do powstania. Uczynił się ruch ogólny, a wśród tego padło z ust stryja wesole:

— Ciupagi do ręki, dziatłaszi! Pójdziemy na spacer!

— I dokądże pójdziecie? — spytała pani domu, patrząc uważnie w nieprzeniknione w tej chwili oczy mężowskiego brata.

— Przez groblę, koło leśniczówki, do lasu. Potem okrażymy „Leśne Oko“ i przez futór polowy wrócimy z drugiej strony do domu.

Ależ to ogromny spacer — zatroskała się szczerze. — Czy nie zmęczysz się, Zochno?

— Weźmiemy ją na ręce, jeśli tylko zajdzie potrzeba! — zaśmiał się pan Stefan. — Bądź zupełnie spokojna, bratowo kochana. Nie zrobię jej krzywdy. Odpoczniemy w lesie, pod dębem.

— Ach, tak! — przenikliwy wzrok pani Zofji spoczął z ufnością na wypogodzonej twarzy szwagra. — Idźcie. Zochno, weź z sobą sweterek. Nie spóźnijcie się tylko na kolację. Dobrze?

— Rozkaz! odpowiedział pan Stefan, przykładając rękę do czoła. Do prędkiego zobaczenia, moi drodzy! — i wyszedł z jadalni.

Zbiegli we troje ze schodów i poszli lipową aleją ku bramie wjazdowej.

Państwo Piotrowie stanęli na werandzie, nie odrywając wzroku od oddalających się postaci.

— On ich uspokoi, przekonasz się, Piotrze! — powiedziała żona z najgłębszym przekonaniem. Ale mąż potrząsł głową niedowierzająco:

— Albo natchnie jakimś szalonym bohaterstwem! Mówiłem ci w Warszawie i teraz powtarzam: Nie poznaję Stefana! Coś się w nim obudziło, jakaś lwia odwaga, jakieś poczucie siły olbrzyma! Czy to do prawdy fluidy przeszłości, czy jakieś tchnienie od tych mogił i grobów?! Sam nie wiem, ale kiedy mi tu, przed chwilą, rzucał takie wyzwiska i bronił swoich teoryj, czułem się wobec niego — mały! Tak — mały! Ale to chwilowe złudzenie! Mam słusność i patrzę dobrze. A że ciężko, ha — trudno! I to trzeba będzie przetrwać! Zato w Polsce zabiorę się zaraz do pracy, kupimy majątek — mam nawet upatrzone, w Lubelszczyźnie i stworzymy moc instytucyj dla ludu. Jednak... jednak... nigdzie tak pięknie jak tu — nie będzie...

Pani Zofja położyła dłoń na ramieniu męża, przytuliła do niej swą głowę i milczała, śląc bez jednego słowa z głębi swej duszy mocne prądy silnego uczucia. Całe życie uwielbiała tego człowieka za jego kryształową, nieskazitelną prawość, więc i teraz podtrzymać go chciała w chwili rozterki wewnętrznej. Swój własny ból, swoją niezmierną tęsknotę za tem usuwającym się z pod jej stóp gniazdem, w którym

zeszły najszcześniejsze lata jej życia — odkładała na potem. Niech pierwaj wróci do równowagi ten drogi i wierny towarzysz, ten myśliciel i mędrzec, nie umiejący wszakże dokładnością swego rozumowania pokonać wrosłego w krew przywiązania do tej ziemi kresowej, ziemi przodków i mogił, ziemi, po której czarnych szlakach tatarskich latały zwycięskie białe orły Lechitów i gdzie półksiężyc islamu walczył i giął się przed polyskującym na twierdzach i na piersiach rycerzy znamieniem Chrystusa!

DZIEDZICE MYŚLI.

Pan Stefan posuwał się wraz z młodymi szparkim, sprężystym krokiem przez wieś i groblę. Robiona wesołość uleciała odeń zaraz po przejściu bramy, a wyładowanie nadmiernego wzburzenia w posuwistości ruchów wpłynęło nań dobroczynnie. Szli wszyscy troje, nie odzywając się ani jednym słowem, gdyż o rzeczach błahych mówić było niewarto, a o poważnych, istotnych — jeszcze nie pora. Wiedzieli bowiem zgóry, kiedy i gdzie zrzucą z siebie tę ciężką opończę milczenia i pozwolą sobie na ucztę szczerości. Za groblą weszli znów w rozłożystą i zbiegającą ze wzgórza ku wodzie wieś podolską. Najstarsi chłopci, pamiętający jeszcze czasy pańszczyzny, kiedy to „pany“ byli bezapelacyjnymi bogami, podnosili się na ich widok z przyżby i uginali niziutko głowy. Młodszy — czując swą winę względem tego dworu, który naprawdę współpracował z nimi w dążnościach ku światłu kultury, spoglądali na przechodzących z podełba, niechętnie, jakby piastując w sercu urazę do tych, których zeszedł jesieni tak przykro zawiedli i tak nierozumnie skrzywdzili. Tylko

niektórzy witali ich przyjacielsko, pośpiesznie zdejmując czapki. Tak zwykle bywa wśród ludzi nie tylko pomiędzy chłopską, mniej uspołecznioną warstwą społeczną, ale i pośród światlejszych o wiele przedstawicieli klas wyższych, to też stryj z synowcami odwzajemniali każdą, najmniejszą odznakę życzliwości ze strony gromady wiejskiej, o wiele życzliwszem skinieniem głowy i dobrem, przyjaznym słowem.

Wreszcie chaty zostały za nimi, a daleki bór jął się przybliżać za każdym krokiem. Podchodzili ku niemu jeszcze bardziej wyteżonym marszem, śpiesząc jakgdyby do niezawodzącego, starego druha. Las stał ciemny i chłodny. Minęli wspaniałą lipę, której prawieczna starczość wyzierała ze spróchniałego otworu głębokiej dziupli i przez bramę leśniczówki weszli do wnętrza. Ogarnął ich tajemniczy, zielony półmrok. Olbrzymie dęby rosły jak w bajce rozsiane zrzadka, tylko przez ich nie doplatające się miejscami korony padały świetlane i drżące bryzgi słoneczne. Uroczystą ciszę macił niekiedy szum ptasich skrzydlanych przelotów pośród gałęzi, u góry. Czar jakiś zdawał się trzymać w nieruchomości te wrośnięte w ziemię, potężne grzywacze drzewne i anibyś się zadziwił, gdyby migająca pomiędzy nimi woddali chybka sarenka zmieniła się nagle w odczarowaną i czarującą królownę.

Wędrowcy szli przez ten las naprzelań, zdążając do wiadomego im celu. Przemierz yli stopami łagodną falę pagórków, pokrytą zielonym gąszczem młodziut-

kich zagajników, podrastających bujnie ku słońcu, i skierowali się tam, kędy już zdała widniał dąbsamotnik, dąb-praojciec, wybraniec losu, a może fantazji dziedziców tej ziemi, zataczający od wieków swemi rozłożystymi konarami granice swej dostojności i władzy na ścielącej się mu do stóp, okrągłej polance.

Na jego pooranej przez lata i zbronzowanej jak gdyby przez patynę czasu korze lśniła pod konarami wbita metalowa tablica z wyrytym na niej czterowierszem :

„Non omnis moriar“.

Nie umrę cały. Duch mój z Wami będzie

W każdym uśmiechu, w każdej łzie rozpaczy,

W tęsknocie, która myśl Waszą oprzędzie,

Duch mój się przejrzy i siebie zobaczy!

Epitafjum to, przetłumaczone z łaciny i spisane z nagrobka w kościele parafjalnym, jaki kochający syn wystawił świetnej pamięci ojcu, owemu senatorowi Jerzemu — umieścił tu, na tym dębie dziad pana Piotra „na wieczną tego przodka chlubną pamiątkę“, jak mówił.

To też ów pomnik chwały zielony, kopulasty i życiem wewnętrznych soków drgający — stał się celem wielu przechadzek, świadkiem wielu rozmów szczytnych, opowiadań z dziejów przeszłości, kiedy to oko jednych zachodzi łą rozrzewnienia i cieniem z niedalekiej już od nich mogiły, a oko innych pławi się w ogniu młodzieńczego, bohaterskiego zapału i wiary w życie. Miejsce dla tego rodzaju podnio-

słych biesiad lub zwierzeń rodzinnych wybrane było przepięknie. Od owej kolistej polanki bowiem i na wprost dęba-pomnika ciągnęła się wdał szeroka taśma zielonej murawy, a po jej dwóch stronach rosły smukłopienne, strzeliste, niby gotyckie tумы, imponujące majestatycznym rozłożeniem niezliczonych gałęzi, prastare świerki. Legenda rodzinna niosła, iż sadził je własnoręcznie ów Jerzy senator, miłośnik drzew i kwiatów tak niepowszedni, iż została po nim jakoby zapiska „o duszy roślin, drzew i kwiatów wszelakich!“

Aleja świerkowa zamykała się u drugiego wylotu okragłem zwierciadlanem jeziorkiem, noszącym nazwę: „Leśnego Oka“. Chociaż poza świerkami szumiął w jedną i w drugą stronę szeroki bór niewzruszony, ale tu właśnie kończył się ową przejrzystą żrenicą, wokoło której zatknął kilka potężnych bukieatów ze swych nieodrodných drzew-braci. Dalej były już tylko łąki i pola — ugory, ścierniska albo soczysta zieleń zbóż w trawie, zależnie od pory roku.

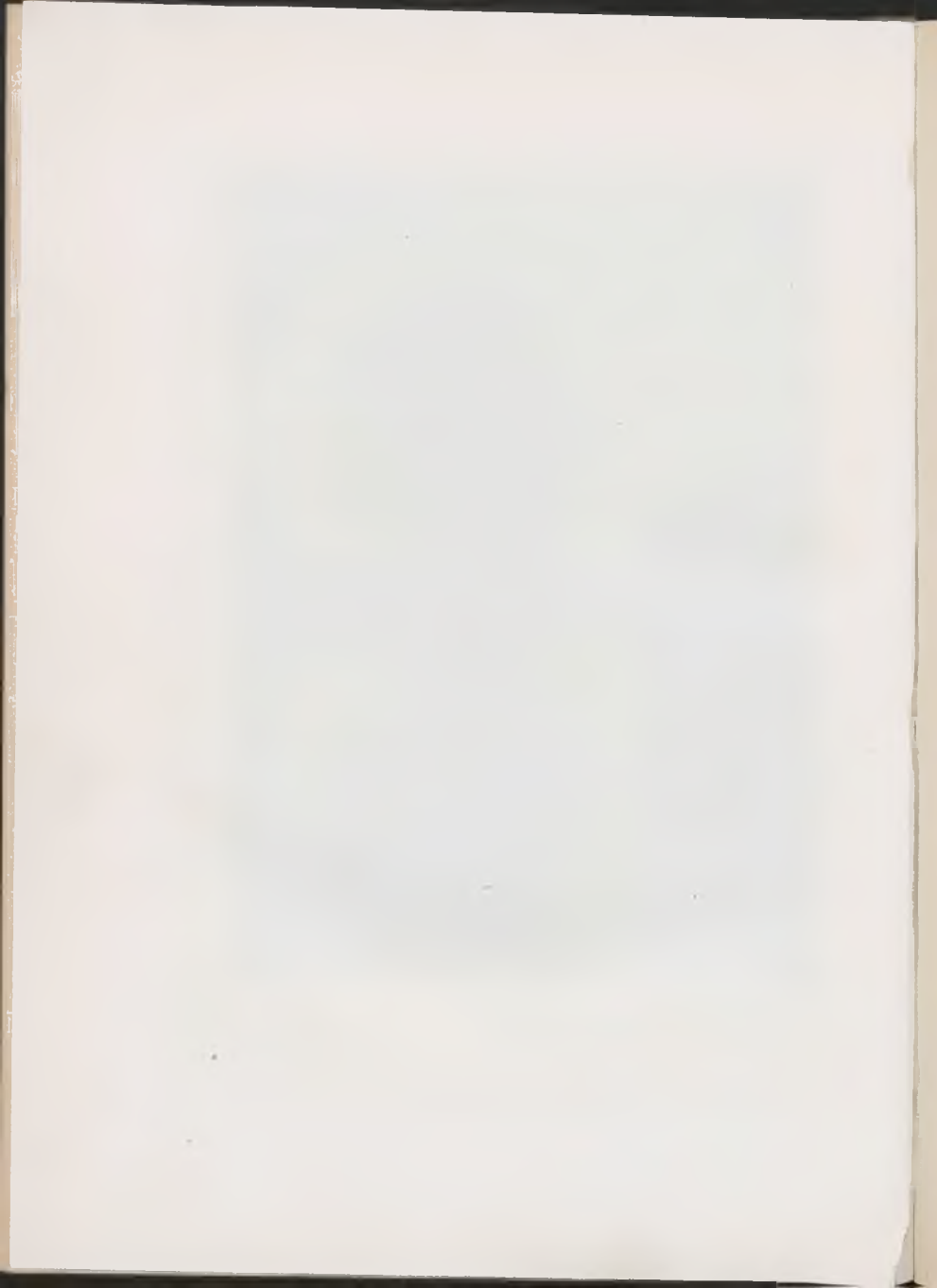
— Siadajcie! — powiedział pan Stefan, kiedy już doszli we troje do króla puszczy i zajął miejsce na jednym z płaskich, niewysokich kamieni, rozrzuconych malowniczo pod dębem.

— Wyciągnij się, Zochno! — zakrzętał się troskliwie Jurek, rozpościerając na trawie szkocki pled, zdjęty przed chwilą z ramienia, sam zaś stanął przed drzewem-pomnikiem i wyciągnął rękę w kierunku napisu:

— Będzie się teraz mógł przejrzeć w łzie rozpa-



„Lešne Oko“



czy i w tęsknocie, co nas z pewnością oprzędzie, ale siebie tam nie zobaczy! O, nie! Stryjciu! — ukląkł naraz przed panem Stefanem na jedno kolano, a na drugim, napół zgiętem złożył splecione palce obydwóch rąk. — Stryjciu! — zazierał mu w oczy z palącym niepokojem. — Ty chyba także potępiasz to, co się stało?! — Znalazł widocznie to, czego pragnął, gdyż odetchnął z ulgą i mówił dalej namiętnie i gorzko:

— Prawda, stryjciu, jaki to cios?! Ktoby się tego spodziewał?! A ten konflikt naszych uczuć dla ojca: Kochamy go i potępiamy! Potępiamy i żałujemy, bo chory na serce, bo całe życie był dla nas ideałem człowieka! Pamiętam dobrze, jak malutka Zochna, sadowiąc się na jego kolanach po lekcji religji, wyszczebotała naiwnie: — Ojczulku! I o tobie można powiedzieć: Ecce homo! A teraz ten wzór prawości, ten kryształowy patrjota sprzedaje ziemię pradziadów! — porwał się z kolan i stanął na równe nogi. — Sprzedaje! Ja tego wyrazu przełknąć nie mogę! Któż u nas kupczył tą ukochaną ziemią?! Kto gniazdo swoje rodowe dobrowolnie porzucił?! Kto?! — cisnął swoim protestem jakby dyskiem do celu. Z pionową zmarszczką na młodem czole, z błyskami w czarnych, płomiennych oczach, z zaciśniętymi gniewnie pięściami podobnym był do zbuntowanego anioła. A wtem obrócił się w stronę rosnących wyniośle świerków, wyciągnął ręce jakgdyby chciał nimi przycisnąć je do piersi i zakrzyknął z uniesieniem rozpaczny:

— I pomyśleć sobie, że te świerki — już nie moje!

Oczy pana Stefana śledziły chłopca z wyrazem głębokiej miłości. Pomimo to jednak usta jego wyrzekły surowo:

— Świerki nie twoje, ale ten cały kraj — twój! To o wiele więcej, niż świerki!

Jurek pochylil głowę na piersi. Ciężar jakiś leżał na jego ramionach i można było myśleć, iż usiłuje zsunąć go nieco po słowach stryja, gdyż szepnął głucho: — Nie pomyślałem o tem, stryjciu!

— A ja się patrzę na całą tę sprawę pod innym trochę kątem widzenia, niż Jurek — zabrzmiał ciepły, dźwięczny głos Zochny. Wysmukła jej postać rysowała się na ciemnem tle pleda przedziwnym wdziękiem linii. Złocista głowa podparta była zgiętą w pół dłonią, podczas gdy łokieć spoczywał na płaskim kamieniu, jakby na miękkiej poduszce. Siwe o stalowych przeblysłkach oczy nie odrywały się ani na chwilę od stryja i brata:

— Jur zawsze wdziewa na siebie pancerz swej „bogatej“ indywidualności, a wtedy wszystko spływa po nim jak woda. Nie chcesz pamiętać, czego nas uczyła mamusia od dziecka: Zanim kogoś osądzisz, staraj się go — zrozumieć! Weszło mi to w krew, w przyzwyczajenie, więc stosuję to również do ojczulka i pomimo, że cierpię, cierpię... ale tak go żałuję! On biedny! Pewny jest, że spełnia to, co mu nakazuje powinność nie tylko względem naszej osobistej przyszłości, ale co więcej — względem tej

ukochanej, odradzającej się Polski! I to jest piękne, to mnie z nim godzi, pomimo, że... przełknęła ślinę, gdyż zadławiło ją w gardle — ten pobyt tutaj, w takich warunkach, rozrania mi serce, jest wprost — ponad moje siły! Chciałabym w jednej chwili wyjechać!... Ja myślę, że długi czas nie będę mogła spojrzeć na fotografie nawet, których mamy bezliku!

— Daleko trafniej i sprawiedliwiej, maleńka moja, oceniasz czyn ojca, niżeli to zapalczywe chłopczystwo! — powiedział pan Stefan swobodnie napozór.

Zgniółł w jednej chwili i odrzucił na bok niby kępkę uschłej trawy, ogarniający go żal przy tem subtelnem wyznaniu dziewczyny:

— Tak wiele mam do powiedzenia wam, drogie dzieci, że nie wiedziałem doprawdy, od czego zacząć. Całą drogę szeregowałem swe myśli, aby ustawić je w odpowiednim porządku. A więc przedewszystkiem to, co jest dla nas najdroższe — Polska. Jej niepodległość jest wedle mego zdania sprawą już przesądzoną, sprawą może roku, może tylko miesięcy. I nie dlatego jedynie, że tamte lub inne konstelacje polityczne wymagają takiego ukształtowania się Europy po wojnie, ale w równej mierze jako wynik obudzonej siły narodu. Orzeł polski krąży nad pobojowiskiem ludów i plamami krwi, znaczącymi jego białe skrzydła, zmusza do zwrócenia na siebie uwagi.

— Bezsprzecznie, stryjcium! — gorąco poparli go młodzi.

— Ale skoro zdobędziemy już tę wyśnioną, upra-

gnioną niepodległość — ciągnął dalej pan Stefan z taką pewnością i siłą, jaką ma rybak, wyciągający z morza zarzuconą przezeń sieć pełną zdobyczy — jakąż drogą wówczas iść trzeba będzie, aby skarbu nad skarby nie uronić niebacznie?! Wszakże stokroć jest łatwiej podbić, zwyciężyć, aniżeli — utrzymać! Wtedy to stanie przed nową Polską zadanie historyczne tak ważkie, jak to, które rozstrzygnęła w swoim czasie królowa Jadwiga. Wtedy to trzeba będzie położyć mocne, ofiarne dłonie na sterze historii i wykręcić nim w inną stronę, chociażby ramiona miały pęknąć z wysiłku. Bo tylko ścisły, polityczno-braterski sojusz z temi trzema naszymi ziemiami, z tą wolną na nich Ukrainą, może zapewnić obydwom narodom rozwój ich państwowej potęgi i mocarstwowej siły, przed jaką opadnie w proch zabobczność ościennych sąsiadów. Tak wygląda — ideał, a nato, by go z wyżyn ściągnąć na ziemię, trzeba podjąć pracę olbrzymów: usypać tamę przed możliwością nowego „licholecia“, odwrócić bieg rzeki, co od wieków zalewa chwilami wszystkie owoce polskiej kultury i pracy na Rusi, wykopać nowe łożysko pojęcia, że nie „kolonistami“ i nie „panami“ tu być chcemy, ale synami tej ziemi! Że nie o stanowisku nadrzędnem myślimy, lecz o współrzędnej z Ukraincami pracy dla dobra i szczęścia tego ukochanego, wspólnego dziedzictwa. I że czujemy się obywatelami tego cudnego kraju, bo takie jest nasze odwieczne prawo, prawo dziedziczenia miłości i pracy!

— Stryjciu najdroższy! Jak ty kierujesz nasze

myśli, nasze uczucia na nowe zupełnie szlak! — zerwał się szept płomienny z ust dwojga słuchaczy.

Pan Stefan śledził przez chwilę na ich twarzach bijące z nich wrażenia, poczem zamyślił się, jakgdyby zgłębiał raz jeszcze dno własnych przekonań. Wreszcie zdecydowanym ruchem podniósł głowę:

— Połóżć dłonie na sterze historii i chcieć nim wykręcić w przeciwną stronę, czyż to nie szaleństwo?! A jednak mówił przecież Piłsudski w stosownej chwili: „Trzeba, aby szaleństwo stało się także polskim rozumem!“ Więc dlaczego nie mieliśmy się z wami o to pokusić?! Dlaczego i my nie mamy być tymi „pierwszymi?!“ Dla nas, tu urodzonych, te ziemie ukraińskie to nasza ojcowizna, podczas gdy Polska — to nasza ojczyzna, tak jakgdyby to były dwa dopływy krwi do jednego serca. Ale jest wśród nas sporo takich, w których krew ruska z laską płynie pospołu, więc już zdawiendawna wytworzył się tu ów specyficzny typ Ukraińca z rodu Polaka z narodowości.

— Nawet Stanisław Orzechowski wszak podpisywał się: Orzechowski „Gente Ruthenus — natione Polonus“ — wtrąciła zasłuchana Zochna.

— Tak, doskonała uwaga. Wrodzony ludowi tujejszemu sarkazm określał to daleko rubaszniej: „Kozacki kistki ładzkim mięsami porosły!“, stosując to podobno do wojewody Kisiela. Wiecie przecież, że najznakomitsze domy polskie w XVI i XVII wiekach, Zamoyscy, Żółkiewscy, Sobiescy — tak zrosły się z ziemiami ruskimi, wzięwszy na nich chrzest

wielkorycerski, że można je uważać za rody miejscowe. Tak splatały się dwa bratnie żywioły w jedno drzewo wielkiej potęgi. „Polszczała Ruś — ruszczała Polska!“ Tak nam mówi tradycja, która wrosła nam w krew i wyrwać się nie da. Przecież i wy przez matkę z Zahorowskimi spokrewnieni jesteście, a wiecie dobrze, jaki to był stary i znakomity ród ruski! Więc dla was ta Ruś — to ojczyzna i ojcowizna zarazem. Ale czyż dlatego macie być renegatami względem tej drugiej matki waszej, której budzące się do życia istnienie wywołuje w was tyle gorącej miłości?! Czyż możecie podeptać to uczucie, które w was tkwi równie silnie jak przywiązanie do tego kraju?! I czyż mogą inne rodziny z pnia ruskiego wyrosłe, jak Jełowiccy naprzykład, przekreślić ofiarny bój swoich przodków za niepodległość tej drugiej matki?! Czyż Sanguszkowie mają odrzucić swą przepiękną dewizę rodową: „Z przekonania“, jaką im zostawił w spuściźnie ten, który dla niej włókł się na Sybir w kajdanach?!

— Przenigdy! — zabrzmiały mocno dwa młode głosy.

Zaróżowiła się twarz Zochny. Siwe jej oczy pod sobolowemi brewkami rzucały błyski żywej, bujnej młodości, wierzącej, że chcieć — to móc. Znikła posępna zmarszczka na wygładzonym czole Jura. Energicznie zarysowany podbródek znamionował upór, ale i twórczą wolę. Stryj przebiegł po nich spojrzeniem i znów rozpoczął:

— A z drugiej strony, czyż moglibyśmy być re-

negatami względem ruskiego ludu, który jest miły sercu naszemu i bliski?! Wszakże w nas wszystkich na Ukrainie, Wołyniu, Podolu płynie choćby kropelka krwi jego przez odwieczne kojarzenia się rodów polskich z ruskimi. I on też nie mało krwi polskiej ma w żyłach wskutek zlewania się napływowego ludu polskiego w jednolitą z nim całość.

— Dlatego to, stryjcju — podchwyciła Zochna, muskając pieśczołtliwie swe policzki, zerwaną przed chwilą różową smółką, których moc cała nadawała zielonej polance odcień lekkiego rumieńca — dlatego mamy w sobie taki nieodparty pociąg do mówienia ich językiem, do śpiewania ukraińskich, tęsknych, melodyjnych szumek i dumek, do leczenia ich i opatrywania ran z tak szczerem uczuciem jakiegoś pobratymstwa, jakiejś bliskości, jakgdyby to były dwie gałęzie z jednego pnia! Tajemnica krwi... zadumała się marzycielsko.

— Szkoda tylko, — zauważył Jur rzeczowo — że piorun niezgody i samowoli tak często walił w ten pień przez wieki, rozszczepiając go coraz bardziej, aż obie gałęzie legły na ziemi bezsilne. Ukazałeś nam, stryjcju, początek drogi, wiodącej ku naprawie zła, co się stało. Idźmy nią dalej, najmilszy, najmędrszy nasz przyjacielu!

— Idźmy — zgodził się pan Stefan radośnie. — Opowiadał wam ojciec z pewnością o naszym sejmie kresowym. Wiecie zatem, żem protestował odrazu przeciw stanowisku, jakie zajął wogóle, a dziś to jeszcze mocniej podkreślam. Wprawdzie Polski Ko-

mitet Wykonawczy na Rusi postawił taką zasadę: „Jako odwieczni, gorąco kraj ten miłujący obywatele, Polacy wespół z innymi narodowościami o losach Rusi decydować mają prawo“ i że: „wchodzić powinni przez swych reprezentantów do wszystkich władz i urzędów w tym kraju działających“, ale wyglądało to raczej na deklarację, niż na uporczywe dobijanie się ziszczenia tych praw właśnie. Wszak kiedy ukraińska Rada Centralna zaznaczyła przy końcu marca zeszłego roku: „Podając rękę Polakom, znajdującym się na naszej ziemi ukraińskiej, przyznaje wszystkie prawa obywatelskie i polityczne wszystkim mniejszościom narodowym, które zaludniają naszą Ukrainę i uznają naród ukraiński gospodarzem ziemi ukraińskiej“ — to Sejm nasz nie zareagował na takie zepchnięcie Polaków miejscowych z roli drugiego gospodarza tego kraju do stanowiska „mniejszości narodowej“! Ale cofnijmy się wstecz. W czasie ukraińskiego pochodu 19 marca Joachim Bartoszewicz, ożeniony z Jełowicką, kochający ten kraj niemniej głęboko jak my wszyscy, przemawiał pod pomnikiem Bohdana Chmielnickiego w imieniu Polskiego Komitetu Wykonawczego, używając takiego przy końcu zwrotu:

— W tym dniu, kiedy poczyna się nowe życie, przyjmijcie, bracia Ukraińcy, nasze szczerze życzenia, aby wasz cudny kraj stał się wolnym, oświeconym, szczęśliwym! — Jakto wasz?! Nie pojmuję. Wasz — powiódł ręką ku dalekiemu horyzontowi, a następnie przyłożył ją do swej piersi: — i nasz! — Wypo-

wiedział te dwa wyrazy takim głosem, jakgdyby one winny były przeżyć jego ziemską powłokę i pozostać na zawsze pod konarami tego dęba-praojca... Po chwili zaś mówił dalej z porywającym zapalem: — I nie dlatego boli mię dekret Rady Centralnej o wyłączeniu większej własności, że jest to ruina dla obszarnika polskiego, ale dlatego poprostu, że taka radykalna reforma rolna — jest krzywdą i zgubą dla mego kraju!

— Cudownie mówisz, stryjcium! My tak samo myślimy, tak samo czujemy! Wszystko to w nas było, tylko jakby w mgławicy. A ty rozpędziłeś tę mgłę dmuchnięciem olbrzyma. Bo ty jesteś olbrzymem, wiesz, stryjcium?! Jak Samuel Korecki, pamiętasz?!

Jur zerwał się z kamienia, na którym siedział, podwinąwszy pod siebie nogi i stanął przed stryjem, ilustrując swe opowiadanie gestami:

— Osaczają go chmary Tatarów i Turków. W ośmset rycerstwa trzyma ich na przystojnej odległości. Braknie wreszcie kul i prochu. Zsiada z konia, rzuca pod nogi baszy swoją szablę, oddaje się sam do niewoli. Prowadzą go w triumfie do Carogrodu. Triumf niedługi. Przekupia straż, ucieka do Polski. We dwa lata później widzą go pola Cecory. Walczy razem z Żółkiewskim i moim przodkiem, Jerzym Rożańskim. Ten przebija pod sobą konia, gdy widzi hańbę porażki! Drogo sprzeda swe życie, choć mu już ono niemiłe! Samuel dostaje się do powtórnej niewoli. Ale cóż może złamać jego tężyznę?! Wchodzi do Stambułu, grając na kobzie marsz

triumfalny. Śmierć jego postanowiona. Do więzienia wpadają oprawcy. Rzuca się na nich jak lew. Wyrzywa im z ręki nóż. Płata jednych po głowach, dźga drugich w piersi. Obdarzony nadludzką siłą, walczy sam przeciw chmarze. Wreszcie pada, uduszony walącym się na niego tłumem. Tak kończy swój żywot bez trwogi! Takimi opowieściami rozwijałeś w nas, stryjciu, umiłowanie prawdziwej tężyzny!

— Pamiętasz, stryjciu, jak ongi, po tem wskrzeszeniu przez ciebie z grobu przeszłości tego rycerza olbrzyma, śnił mi się on w nocy?! Jak i ja zapalałam chęcią bohaterskiego czynu?! Jak przyłożyłam rękę do rozpalonego na czerwono żelaznego piecyka, na dowód, że ciebie kocham! Pamiętasz, jak przybiegłam zaraz do ciebie?!... przypominała Zochna.

— A ja się naprawdę przeląknęłam, bo ręka była ze skóry obdarta i czarnym atramentem zalana! — pomagał jej pan Stefan w tem zbieraniu zasuszonego kwiecia na umajonych łąkach dziecięctwa.

— Tak mi poradziła jedna z kuzynek, które zjechały się do nas na święta. Ona miała dwanaście lat, a ja — dziesięć. Ale coś ty mi wtedy powiedział, niedobry stryju?! — rzuciła na niego z uśmiechem pęczkiem różowych smótek.

— Zagoi się do wesela! — odparł wesoło pan Stefan.

— Czyż tylko wtedy ćwiczyłeś w nas tężyznę ducha?! — zapytał Jurek gorąco. — Od kiedy siebie pamiętam, czyniłeś tak zawsze, na każdym kroku. Mówiłeś: Ten jest istotnym panem, kto nad sobą

w każdej okoliczności zapanować potrafi! Ojciec hodał w nas umysłowość i wolę. Mamusia — serce, dobroć, patriotyzm. Tobie, stryjciu, zawdzięczamy naszą tężyznę, która jest dźwignią w życiu, dowodem woli, prężnością woli! Ja to coraz lepiej rozumiem!

— I nie doznasz z naszej strony zawodu, stryjciu nasz złoty! — zapewniała Zochna, wyciągając do pana Stefana bielutką i smukłą rączkę.

Ten ujął ją w swoje dłonie i do ust podniósł:

— Ty mała kobietko! Przyjmij hołd wdzięczności od starego człowieka!

— Starego?! Stryjciu! To bluźnierstwo! — zabrzmiał duet tak głośny, że gdzieś u góry frunęły wdał spłoszone z gałęzi ptaki.

Pan Stefan poprawił się na swym kamieniu:

— A więc zgoda! Nie starego, ale średniowiecznego! Cóż, dobrze?! Basta! Przechodzę teraz do spraw osobistych. Sporządziłem testament. Nikogo to nie uśmierca — uspokoił ich zatrwożone nagłe wejrzzenia. — Skoro tylko nastąpi ów przewrót, o jakim wasz ojciec napomykał, pojedę natychmiast do miasteczka, do rejenta i zalegalizuję go najformalniej. Zabierzecie go z sobą wraz z naszymi starymi rodowemi dokumentami, gdy jechać będziecie do Polski. Zapisuję wam Szamrajówkę i wogóle wszystko, co na ziemi posiadam. Jesteście moimi dziedzicami.

— Dziedzicami myśli i czynu! — rozrzucił Jurek z dumą ramiona jak młody ptak, zrywający się chyżo do lotu.

Oczyrna tylko wyraził pan Stefan, jak bezgra-

nicznie się czuje szczęśliwym w tej chwili: — Więc skoro tylko można będzie — wróćcie?!

— Tak, stryjciu! Wróćmy! Nowe lemieszce założymy do pługa! Przeorzemy nieufność i pęd do destrukcji! Zsiejemy szeroko ziarna pojednania ukraińsko-polskiego i wspólnych twórczych wysiłków w duszach ludu ruskiego! Pójdziemy temi szlakami, jakie nam ukazałeś, stryjciu, i pociągniemy za sobą wszystkich, którym otworzyć się muszą oczy na jasność i wspólne dobro twojej idei!

— Dobrze. Ja — zostaję. Wszystko, co wasz ojciec twierdzi, może stać się, a może i nie. Mogą Niemcy przegrać i wyjść z Ukrainy. Napłynie tu fala rewolucjonistów, spekulantów idei, awanturników, morderców. Znęcać się będą nad nami! Zniszczą ten kraj cudowny, jedni świadomie, drudzy — gorycz wygięła mu usta — aby lud z niewoli wyzwolić! Tymczasem ten lud pójdzie w stokroć gorszą niewolę. Nie na takich podstawach buduje się wolność i szczęście ludzkości! Pomimo to zostaję i będę walczył do końca, a gdybym padł!... Ha! Kruty ne werty — trzeba umrzeć! Ale wierzę, że myśl moja nie zginie! Nie spopieli jej bowiem nikt ogniem, ani szablą rozpląta! Wam ją oddałem. Umrę ja, przydziecie — wy!

— Przyjdziemy, stryjciu! Przyjdziemy i położymy ręce na sterze historii. A gdybyśmy mieli je po łokcie urobić, gdyby serca pękały nam z wytężenia — będziemy pracowali w pocie czoła dla dobra, dla

prawdziwego szczęścia tego kraju, które widzimy tak jak i ty! Twoja myśl nie zginie!

Przecudną była ta rozmowa. Zdawało się, iż pod tem prastarem drzewem jakiś wielki dzwon uderzał szlachetnym metalem o rozkołysane swe serce, a mniejsze dzwoneczki wtórowały mu srebrzyście i czysto.

— Ja już rozpocząłem tę pracę — wyrzekł pan Stefan z prostotą. Mam zwolenników tej myśli pomiędzy chłopami. Wpływ mój promieniuje dość nawet daleko. Teraz posyłałem moich adeptów hen, aż pod Kaniów. Trwoży mnie położenie II korpusu. Oparli się plecami o rzekę i stoją. Gdyby tak, nie daj Boże! Niemcy wypowiedzieli im wojnę, a chłopci urządzili drugi Niemirów?! Ale nie. Moi wysłannicy twierdzą, że tam nastrój dla żołnierza polskiego najzupełniej przychylny. Chłopi okoliczni już się zorjentowali, że II korpus idzie przeciwko wspólnemu wrogowi, Niemcom, ale nie przeciw miejscowemu włościństwu, a moi współpracownicy, „stefaniuki“, jak siebie przewali — ugruntowali ich jeszcze w tem przekonaniu. Ach, gdyby naprawdę Piłsudski był przeszedł w swoim czasie przez front i stanął na czele naszych formacyj?! Jego autorytet podporządkowałby sobie wszystkich dowódców. On z wszelką pewnością umiałby wywołać ruch przeciw Niemcom na Ukrainie, ruch, któryby szedł płomieniem jak niezachwiana ściana. Samby uderzył na Niemca, dał wolność Ukrainie wzamian za mocny sojusz

z Polakami. Z naszych rąk mieliby wolność! Trudno o lepszy zwrot steru! Pułkownik Bartha, wysłannik P. O. W., trzymał się przecież także ideologii, ale cóż?!

Autorytetu było mu brak! No, dzieci! Rozmowa nasza skończona i czas iść do domu! Odpoczęliśmy i nagadaliśmy się dosyta! Nieprawdaż?! — wstał sprężyć się z kamienia. — Możemy iść dalej!

Młodzi skoczyli na równe nogi. Dwie młode głowy przyłgnęły z dwóch stron do piersi stryja, oczy czarne i siwe przykuły się do jego twarzy z wyrazem błagalnej prośby. Dwa młode, czyste jak rosa poranna na kwiatach, głosy splatały się z sobą w gorących zakłęciach:

— Stryjciu nasz ukochany! Przyjacielu drogi! Zostajesz tu na pracę dla przyszłości, na niebezpieczeństwa być może straszne, okrutne! Ty nasz rycerzu bez trwogi! Nasz bohaterze! Zostajesz?! Dobrze! Ale przyrzeknij nam, przyrzeknij zaraz, że nie będziesz swego życia narażał bez koniecznej potrzeby!... Że będziesz je cenił, ochraniał!... Pomyśl jakieby to było cudowne, gdybyśmy tak razem na ster nalegli!... Co?!... Musiałby nas usłuchać! Prawda?!... Więc przyrzeknij, że skoro już tu nic nie będziesz mógł uczynić, postarasz się przedrzeć do nas, do Polski!... Chwilowo... Potem, da Bóg, jeszcze wrócimy!... Dobrze, złoty nasz stryjciu?!... Mów: — Dobrze! Obiecuję!

— Nie rozczulajcie mnie! — zakrzyknął pan Stefan drgającym głosem. Przygarnął do siebie mocno

synowców, ucałował Zochnę, przycisnął usta do czoła chłopca:

— Obiecuję! — roztworzył ramiona i powiedział zwykłym, energicznym głosem: — Już dość! Powieździeliśmy sobie wszystko, co mieliśmy do powiedzenia! Punkt i kropka. Ruszajmy w drogę, bo dostaniemy od matki lanie za spóźnienie się na kolację. Zresztą — *verbum nobile!* Chodźmy!

Szli przez aleję świerkową. Smukłopienne olbrzymy pochylały leciutko wyniosłe szczyty, jak gdyby chyląc wiekowe głowy przed dostojnością ich myśli. Rozłożyste, nie znające nigdy cięcia świętokradczej siekiery gałęzie od dołu, opadające ciężkimi frendzlami zielonych igieł na szlak murawy — zaczepiały ich w przejściu tysięcznym dotknięciem. Szli jak królowie, których dworzanie sięgali czołem w niebiosy. Okrążyli Leśne Oko i ukazali się przez niedługą chwilę z przeciwnej strony, nawprost samotnego dęba. Wyciągnęli doń wszyscy troje swoje prawice na znak niemego hołdu dla tego, który „nie umarł cały!“ Poszli dalej.

Chwilami falistość gruntu skrywała ich do połowy, chwilami znów wspinali się na łagodną wyniosłość. Wreszcie zniknęli w dalekim futorze polowym, wśród jego wiśniowych sadów.

W zaroślach, nad Leśnem Okiem dzwięknęła po raz ostatni czajka i zmiłkła. Okrągłe jeziorko lśniło jak zwierciadełko, które rzuciła za sobą uciekająca przed złą wróżką królowna.

Słońce wyrzało purpurowym brzeżkiem z poza

szczeciniastej linji świerkowych kolosów — i zgasło. Zmęczony całodziennym polotem wiatr — przemykał się coraz ociężalej przez gąszcz znieruchomiłego boru. Noc i cisza szły bezszelestnie i śpiesznie zdala, rzucając przed sobą, opadający wolno, szal zmroku.

KONIEC II CZĘŚCI.



P R Z Y P I S Y.

Str. 2. Powiatowe miasto Lityn miało w XVII w. zamek na kępie, a władali nim ongi Kmitowie.

Str. 9–10. Stanisław Stempowski — Szlakiem Hunnów.

Str. 10. Tradycja głosi, że Herburtowie de Fulstin władali tym kluczem na mocy donacji królewskiej. W roku 1547 przechodzą Hołozubińce drogą wiana do Lanckorońskich. Wojewoda kijowski Michał Stanisławski przeznacza je na utrzymanie w Kamieńcu szpitala dla inwalidów, lecz wobec zajęcia Podola przez Turków, fundacja ta nie weszła w życie. W 1761 roku nabywa te dobra biskup kamieniecki Adam Krasieński, w celu zaokrąglenia klucza dunajowieckiego. Antonina Krasieńska, babka Zygmunta, prowadząc świetnie administrację dóbr — przyczyniła się do rozwoju dunajowieckich włości; sprowadziła ona kolonistów Niemców, którzy zapoczątkowali tu przemysł sukienniczy, odnowiła kościół, zbudowała pałac. Syn jej, Wincenty, sprzedał Hołozubińce Skibniewskim.

Str. 12. Od strony północnej padły w tym kataklizmie: Sieniawka Rudzkiego, folwark księża Borejki z cenną biblioteką i Krupin Gdowskiego, Iwankowce Głębockiego, Szczerbanie Pogorskiego. Usiłowano dokonać pogromu w Starej Sieniawie Stadnickich, która niegdyś do Sieniawskich, potem do Radziwiłłów należała.

W łyczowskim powiecie już zmiecione Markowce Lidera, Kopytyńce Kolaczewskiego, Hreczyńce Mierzwińskiego, Popowce Morkowa. W Wojtowcach tegoż Morkowa — zniszczony bogaty księgozbiór, wiele historycznych dokumentów z czasów rozbiorów Polski, gdyż jeden z przodków obecnego właściciela,

graf Arkadiusz Morkow był dygnitarzem za Katarzyny II i dostał od niej w darze starostwo latyczowskie i kamienieckie. Podpis jego figuruje na akcie rozbioru Polski.

W Kozaczkach rozwalone dwa folwarki: Sołuńskiego i Szpirkana — rewolucjonisty, człowieka idei, który po powrocie z syberyjskiego wygnania utrzymywał z chłopami sąsiedzkie stosunki. Zamarły, również zniszczone; Monastyrek Kallusa, Krasnosiółka Nebelskiego, Manikowce Kosielskiego, Mazniki i Ihnatowce Stanisława Skibniewskiego, Jaśkowce Bernatowiczów. Czarny szlak posuwając się w górę: przez Ihnatowce ku Wołyniowi minął obojętnie Międzybórz, między Bohem, a Bożkiem wzniesiony, skąd jego nazwa pochodzi — dziś rządowe i żydowskie miasteczko, ongi zaś Adama Czartoryskiego, wojewody podolskiego, senatora i kuratora wileńskiego Uniwersytetu — wraz z czterdziestu okolicznymi wsiami, rozległa posiadłość. Zamek murowany darował książę Adam w 1819 roku na szkoły powiatowe. Mieszkiwali w nim dawniej baszowie tureccy, powiększyli, w guście wschodnim pięknie przyozdabiając, kościół zaś parafjalny w gotyckim stylu fundował w Międzyborzu w 1600 roku Hieronim Sieniawski, opatrując jego potrzeby, legowaną mu wsią Rusanówką.

W winnickim powiecie huńskie zagony posuwają się zwolna na wschód od Zmierzynki. Padła już Aleksiejówka Rokickiego, Działów Stamerowa, Kudijowce Dłuskiego i Krzywoszyńce Skowrońskiej.

Str. 20. Długim był szereg poprzednich właścicieli Skazińce. W 1407 roku Kroat — Chodko, dostał od Wł. Jagiełły wielki obszar ziemi ze wsią Jarmolinki. Już wnuk Chodki nosi nazwisko Jarmolińskiego. Jarmolińscy — dzieląc między siebie nadany obszar — założyli szereg folwarków, między innymi i Skazińce. W XVII wieku Skazińce, jako wiano za jedną z Jarmolińskich otrzymuje baron Schöpinger de Scopingen. Z ich córką Konstancją żeni się Michał Bończa Markowski i odtąd nie wychodzą Skazińce z posiadania tej rodziny.

Str. 65—66. Roszanie część wziętych przez siebie w czasie wojny jeńców z armii austriackiej, przeważnie Czechów i Ru-

sinów, rozlokowali po wsiach i dworach w charakterze najczęściej robotników rolnych.

Str. 71. Po zajęciu Kamieńca i części Podola przez Turków w roku 1672 liczne rzesze szlachty opuściły ten obszar ziemi.

Str. 76. Zamiłowanie do ogrodnictwa i sadownictwa zawdzięczają mieszkańcy powiatu winnickiego i braclawskiego byłemu dziedzicowi Tulczyna — Szczęsnemu Potockiemu. Sprowadzał z Francji, Włoch i Austrii najlepsze gatunki drzew oraz znakomitych ogrodników, a największą było dlań rozkoszą rozdawać sąsiadom i osadnikom szczep owych najlepsze gatunki. W bliskości miast szlachta drobna zakładała wówczas futory, zaścianki, „co jedno jest“, gdzie się rozrastać jeły sady wiśniowe, śliwkowe, jabłeczne, „jak komu możność wystarczała“.

Str. 77. Kalinowscy stali się zastawnymi właścicielami większej części starostwa i dobrodziejami miasta, gdyż oprócz zamku, który w załogę i broń opatrzyli, zbudowali kolegium jezuickie w kształcie twierdzy, tak iż Winnicę „jakoby dwoma zamkami wzmocnili“, ofiarowując ponadto 30 tysięcy złotych polskich, oraz nadając 4 wsie okoliczne na utrzymanie owego kolegium.

Władysław IV pośpiesza z pomocą miastu po strasznym pożarze, jaki je docna zniszczył; ustanowił on radę miejską, przywracając mieszczanom prawo warzenia piwa, sycenia miodu, palenia gorzałki, skasował zaś różne niewłaściwie pobierane daniny.

W roku 1758 sędzia ziemski braclawski Michał Grocholski, wspólnie z żoną, Anną z Luba Radziwińskich, dziedziczką Pietnicznan i okolicznych włości wznosi tu kościół i klasztor dominikanów, zabrany po powstaniach i przerobiony przez Rosjan na sobór.

Tak mówi historia, tak świadczą fakty. A jednak, gdyby zaglądnąć do aktów klasztornych, to powody tych dwóch wspólnych fundacyj nie okazałyby się tak idealnie bogobojnymi, jakby się na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Sędzia Grocholski pokłócił się z jezuitami, następnie poszedł z nimi na

udry, wykupił na złość im grunt obok ich kościoła, sprowadził dominikanów i „fundując“ dla nich kościół i klasztor, posadził ten zakon pod bokiem tamtego, przyczem obydwaj setnie i zdawna się niecierpiący. Starosta Kalinowski natomiast na gładkiej drodze, jak to mówią, znalazł szlachetny motyw przyśłużenia się „chwale Bożej“. Tuż pod Winnicą spotkał się z Potockim. Stały naprzeciw siebie dwie wielokonne karety i liczni w barwy herbowe przyodziani hajducy. Rozmiana się było niepodobna, a cofnąć się żaden nie chciał. Zawrzała mała, ale dotkliwa bitwa, z której Potocki wyszedł zwycięsko. Rozłożył przeto na drodze kobierzec i wyspał na wygranej pamiętkę niezgorsze baty pokonanemu staroście. Ten — jako urzędowa osoba — podał do sądu, uważając znać ową przykrą sprawę za swoisty spór „inter Majestatem et Libertatem“, wygrywa trzysta tysięcy złotych polskich odszkodowania, ale „jako że grosz na własnej skórze zarobiony nie godzi się użyć na nic innego jak na chwałę Bożą“, więc postanawia zbudować kościół i klasztor kapucynów, zalecając budowniczemu, by wznosił takie mury, któreby się wieków nie bały! Po pewnym czasie ów budowniczy zrzeka się roboty, albowiem: „dano mu wapna, które się tylko przez pięćdziesiąt lat lasowało, a on może odpowiadać jeno za takie, co się przez sto lat lasuje“ (akta klasztorne).

Żydzi, zarówno Winnicę jak wszystkie inne miasta i miasteczka na Rusi przepelniający, skarżą się na zdzierstwa starostów, na ucisk wielki, dobijają się sprawiedliwości u króla, który ich w opiekę bierze, dając onym „glejt od przemocy wszelkiej, którym to glejtem wsparci handle bez najmniejszej przeszkody i bojaźni prowadzić mogą, tak jednak, aby dobrodziejstwa naszego na zło nie używali“. Lustracja z roku 1789 jasno wykazuje smutny stan Winnicy, w związku najwidoczniej z owym glejtem pozostający:

„Kościół eks-jezuicki znacznej ruinie podupadły. Na rogu rynku ratusz stary, opadły „per modum“ karczmy zajezdnej. Żydzi mają w rynku 162 domy, chrześcijańskich zaś domów, z których czynsz dla starostów idzie — 78 zaledwo. Mnogość

żydów całe miasto obejmuje. Domy ich nieporządne, zagęszczone, codziennym ogniem grożą. Ulice gnojem zasłane. Rzemieślnicy właściwej nie mają nad sobą władzy. Mieszczanie handlu prowadzić, ani domów dla ozdoby głównego w województwie miasta budować nie są w stanie“.

Str. 79. W gimnazjum winnickiem istniał tajny związek uczniów Polaków imienia Konarskiego, każdy należący doń uczeń miał obowiązek opiekowania się słabszymi kolegami przez pomaganie w lekcjach mniej zdolnym, wyszukiwanie korepetycyj dla niezamożnych, dostarczanie książek czy odzieży zupełnie ubogim. Istniały również polskie biblioteki uczniowskie, mieszczące się oczywiście w prywatnych domach, urządzało się przedstawienia amatorskie — wszystko to zmniejszało niebezpieczeństwo rusyfikacji, wiążąc ze sobą i wyodrębniając młodzież polską.

Drugim z kolei prezesem Towarzystwa Rolniczego był Aleksander hr. Tyszkiewicz z Howor, trzecim zaś i ostatnim Antoni Urbanski z Ryżawki.

Str. 83. Dyrektorem Syndykatu Rolniczego był Wacław Roszkowski, a cały personel wyłącznie polski. W 1910 roku z inicjatywy Z. Grocholskiego, W. Brzozowskiego, J. Jaroszyńskiego, A. Russanowskiego, A. Darowskiego, założono podolskie Przemysłowe Tow. Akcyjne, które uruchomiło fabrykę superfosfatu i kwasów siarczanego i azotowego. Kooperatywa Spożywcza składała się początkowo li tylko z Polaków i świetnie się rozwijała, tak że po kilku latach zbudowała duży gmach własny, potem jednak, gdy się zaczęła agitacja rosyjsko-rusińska, zarząd się zmieniał stopniowo, a składy stały pustką. Wśród licznych odbiorców znany był i ceniony Dom Handlowy „Zdrojewski i Grabowski“ (skład narzędzi rolniczych i nasion), z prywatnych zaś przedsiębiorców — Artur Długolecki, który miał oprócz narzędzi rolniczych stację nadawczo-odbiorczą w śródmieściu i tak się przez długie lata wzbogacił uczciwą i umiejętną pracą, że stał się jednym z najzamożniejszych mieszkańców Winnicy. Syn jego, Lubomir, zdolny adwokat, zajmujący ponadto stanowisko jednego z dyrektorów Banku

Wzajemnego Kredytu, w którym prezesem Rady Banku był adw. Ołtarzewski, a jednym z członków Rady — Wacław Roszkowski, tak był szanowany ogólnie, że każdy rząd (a tyle ich się na Podolu zmieniło!) zaczynał przejawy swej władzy od aresztowania Długołęckiego. Dopiero kiedy go mieli pod kluczem, uważali się nowi zwycięzcy za panów miasta, ale po jakimś czasie wypuszczali na wolność swoją ofiarę. Istniała również w Winnicy drukarnia polska, należąca do panny Niepokojezyckiej, młodej, dzielnej kobiety, która poślubiła Lubomira Długołęckiego — drukarnię zaś nabył później Zdzisław hr. Grocholski.

Str. 84. W pałacyku doktorostwa Topczewskich przy ulicy 19 Lutego, bolszewicy urządzili biura czerezwyczajki i katownię; ściany pokoju były zbryzgane krwią i mózgiem.

Str. 87. Zjechało tego dnia do Winnicy około 50 tysięcy Polaków.

Inorodcami — to znaczy ludźmi obcego pochodzenia — nazywali Rosjanie wszystkich nie-Rosjan.

Str. 96. Czepiele, należące do Jurkowskich, leżały na pograniczu Podola i Wołynia, a dom Jurkowskich nie odznaczał się ugodowym nastrojem w stosunku do Rosji, gdyż ojciec młodych, konarszczyk, skazany na szubienicę, w drodze łaski zesłany jako szeregowiec na Kaukaz, przebył tam kilkanaście lat wojny. Najbliższem sąsiedztwem i parafją Czepiel był W. Ostrózek Pieńkowskich, w powiecie winnickim. Pan marszałek miał kilka wsi, ale że dużo świadczył ludziom, a i marszałkostwo sporo kosztowało, więc pozostał synom tylko Ostrózek, bardzo ładny jeszcze majątek. Ludwik Pieńkowski był kompromisarzem, wykonawcą testamentów, arbitrem na całą okolicę. Niedaleko leżała Wiszenka, dawniej Pieńkowskich, później jakiejś generałowej rosyjskiej, Krzyżanówka, właściciel Grossek, skończył Politechnikę lwowską, żona zaś jego, Marja, znana poetka, — Lulińce Starża-Jakubowskich, Szepijówka Czesława Jakubowskiego, Lemieszówka Spasowiczów (brat głośnego adwokata petersburskiego, dom iście polski, choć nominalnie prawosławny), Radawka Kazimierskich, Niemierzyńce Markowskich.

W stronę Lityna były Rybczyńce Mazarakich z pięknym pałacem i rozległym parkiem, dom otwarty, zawsze pełny, można tam było spotkać ludzi z Podola, Wołynia, Ukrainy, Pagorce Obiedzińskich, gdzie panowała staropolska gościnność i wesoły, pogodny nastrój, Woronińce, ze ślicznym pałacykiem nad wodą. Tu niegdyś Liszt długo przebywał, grywając pięknej pani Iwanowskiej. Drogą małżeństwa przeszły zczasem do ks. Hohenohego, od którego dzierżawił je Podlewski, miał kilku synów, wszyscy dobrzy koledzy, weseli towarzysze polowań, jeden z nich, ożeniony z Obiedzińską rzadziej przyjeżdżał do domu, gdyż był przed rewolucją dyrektorem kopalń belgijskich na Uralu.

— W Chmielniku mieszkali dr-ostwo Miklaszewscy, a w Białym Rękawie — tu pan Stefan uśmiechnął się z rozczuleniem, jakby do miłego, antycznego dagerotypu — w Białym Rękawie rządziła wszechwładnie — pani Łychowska. Zawsze w związanej pod brodą, perkalowej chusteczce, z kluczami przy pasku, weredyczka, prawa, zacna, bogobojna, wymagająca od innych, ale i od siebie — była wyrocznią i opinią okolicy. Ktoś nowy zamieszkał w sąsiedztwie, ktoś inny się żenił — tam wybuchnęło nieporozumienie rodzinne, owdzie — waśń jakaś sąsiedzka, a wszędzie udawano się przedewszystkiem — do pani Łychowskiej. Ona godziła, łajała, błogosławiła, w świat wprowadzała i z tem wszystkiem taka miła, wesoła, jowjalna staruszka. Zczasem usunęła się nieco od spraw domowych, a synowa jej prowadziła w Białym Rękawie tajną szkołę polską i, jako Kuźniczanka brała panienki ze szlachty na naukę gospodarstwa.

W tym zakątku lityńskiego powiatu — gęsto były rozsiane miejscowości zupełnie polskie. Pohoryła i Bogudzięka z ludnością wiejską, czysto polską, a w każdym majątku rodziny czynszowników, zawsze szlachty — dalej zaś nieco ogromny Terespol, jakaś bardzo drobna kolokacja, rodzaj „zaścianku“. Było to dla tej okolicy źródło oficjalistów, gospodyń, nawet drobnych dzierżawców. W miasteczku Ulanowie znnowu ognisko polskie dr-ostwa Radomskich, a w niedalekiem sąsiedztwie — na pańskiej stopie Markusze Szymanowskich i Metyńce Trzeciaka i Mytnik hr. Mostowskiego, siedlisko muz, gdyż on był

trochę pisarzem, a kuzynka jego, Wirginja Wyleżyńska na dobre pióru się poświęciła. W Uładówce fabryka cukru i kilka folwarków, do Romana Potockiego z Łańcuta należących, były nawet w najgorszych czasach ucisku silną narodową placówką. Długie lata rządził tu jako pełnomocnik hrabiego, ożeniony z Kossakówną Romański. Sławni byli z kultury, którą dom ten promieniował dokoła. I jeszcze — Krzywoszyje sędziny Teresy Skowrońskiej, poważnej matrony nowoczesnego już typu, z której zdaniem liczyli się wszyscy, i Trybuchy Szyszkowskich, których syn, Bohdan stał się z zamiłowania profesorem w Kijowie, i Kumanowce Kumanowskich, od stuleci w tym rodzie będące, i Bohem omywane Sandraki Zaleskich, gdzie pozostały ruiny zamczyska, gdzie lochy podziemne, wedle tradycji, popod rzeką aż hen do Chmielnika prowadzą, i Swiczna Gdowskich, Kożuchów Kożuchowskich, Klitenka Hulewiczów — dom nad wyraz pobożny, słynący z dobrych uczynków. Iluż tam bywało rezydentów i sierot na wychowaniu! Dwie córki, bardzo bogate, wyszły za dwóch Chojeckich. Kazimierzowa miała w Hollakach wspaniałą rezydencję. A wszędzie królowała kobieta! Ileż to razy widziano takie wypadki, że pani domu chorowita, bezradna, nie wychodząc z pokoju — zostaje nagle wdową, majątek w długach, dzieci kupa! I co? Budzi się zniecacka w tem słabem sercu lwi duch! Otrząsa się jejmość — długie buty na nóżki, klucze do ręki i jak zacznie się krzątać między spiżarnią a stodołą, to po latach kilkunastu — dzieci wszystkie wykształcone a majątek bez długów.

Str. 107. Priwislinskij kraj — była to urzędowa nazwa Królestwa Kongresowego, którą Rosjanie zaczęli wprowadzać w drugiej połowie XIX w.

Str. 108. Kadetami od początkowych liter nazywano członkowsko-konstytucyjno-demokratycznej partji.

Str. 116. W Hajsyńskim naprzykład, pan Edward Boniecki z Kuźminiec ujął ster silną ręką i postawił odrazu prawidłowo swoje szkoły, a nawet — trochę zbyt despotycznie. W Płoskirowskiem — ks. prałat Kazimierz Nosalewski stworzył też Zarząd Okręgu, który jednak nie był w stanie objąć faktycznie

ogromnej ilości powstałych w nim szkół — były tam bowiem wsie, mające po ośmset dzieci polskich, w wieku szkolnym! W Winnickiem — Tadeusz hr. Grocholski ze Strzyżanki zajął się gorąco szkołami całego powiatu. W Latyczowie — ks. Szymkus, w Litynie — pani dr. Ponińska, w Olgopolskiem — pani Hieronimowa Sobańska z Sumówki, w Braclawskiem — ks. Kwaśniewski, w Uładówce — dyrektor Kokeli i jego żona, w Lułincach — pani Starża-Jakubowska, w powiecie jampolskim — panna Elżbieta Zaleska (Dorożyńska) — opiekowali się gorliwie szkolnictwem swoich powiatów. W innych zaś koła okręgowe funkcjonowały niekiedy tak słabo, że wprost nominalnie.

— Milczałem dość długo! — zakrzyknął Rożański, zrywając się z krzesła i stając przed panią Wandą w zdecydowanej postawie. — Ale, skoro mowa o moich kochanych, najmilszych przyjaciółach, Kazimierzu i Dorze Dorożyńskich, to niechże mi pani pozwoli, okrutna tyranko, wygadać wszystko, co mam na sercu!

— Pozwalam! — skinęła głową łaskawie mówiąca. — Jak na takiego gadułę zachował się pan dotychczas nadspodziewanie wzorowo. Proszę więc opowiadać, a ja chętnie posłucham, bo w Teleżycach nigdy nie byłam, a każdy dom polski na drogiem Podolu posiada odrębną, niepospolitą duszę! A co do mego „tyraństwa“ — nie biorę tego zarzutu na serjo, gdyż widzę dobrze, jak pan pochłania moje słowa. Tak, kochany panie Stefanie! Takie to wartkie prądy przeszywały te nasze strony pod uszczelniającą niby przykrywką caratu. Dla pana to nowe rzeczy (Rożański zakreślił przeczący ruch ręką), nowe, powtarzam, bo tak szczegółowo na pewno się pan w to nie wmyślał. Ot, tak, jakieś ogólnikowe pojęcie, że ktoś, gdzieś, tu i owdzie, nad umocnieniem polskości, nad skleceniem schronów dla ducha polskiego pracował! Więc jakże to było w tych Teleżycach?

— Bajecznie! Pani wie, oczywiście, jaka to chluba dla gospodarza doczekać się pięknego przychówku, wyhodować smacznego konika, wyrobić sobie powoli jednolity typ obory lub chlewni! A tam — wszystko, na co pani okiem rzuciła, było

rasowe, zachwycające, pierwszorzędne. Dość pani powiedzieć, że profesor Malsburg z Dublan tak się o tej hodowli na szpaltach „Rolnika Lwowskiego“ wyraził: — „Istne to eldorado zootechniczne w tych Teleżyńcach. Zwyż 80 wyższych nagród na wszystkich wystawach krajowych zdobyło pracę obojga Kazimierzostwa. A skoro wyszło na pastwisko ośmdziesiąt sztuk oldenburgów, skoro się zaglądnęło do imponującej rozmiarami chlewni rasy angielskiej, albo gdy przewinęły się przed oczyma siwe, średnio-wełniste, o delikatnem mięsie owce romanowskie, lub też zapiąły rozsegregowane w swoich przegrodach, dumne ze wzrostu orpingtony, przysadziste faverolles, nośne langshany i inne, gdy uganiały się po trawniku, łowiąc w podskokach muchy, przemiłe, białe szpice i chodziły majestatycznie za panią domu dobroduszne, olbrzymie psy owczarskie, a nad tem wszystkim podlatywały gruchając synogarlice — każdy musiał odnieść wrażenie, że się znajduje w jakimś raju zwierząt, gdzie tylko najpiękniejsze okazy mają dostęp. Takie to było wszystko szlachetnie wyhodowane“! A ten dwór w Teleżyńcach z lekkimi kolumnkami balkonu, z cokółem, oplecionym zielonym bluszczem, z którego wyzierały niewielkie okna gospodarskiego oddziału! A ci ludzie, którzy tyle lat tej trudnej, nużącej hodowli się oddawali, nie zaśniedziali w tradycyjnej rutynie, ale idąc zawsze z postępem, a zawsze z gorącą chęcią przyczynienia się do podniesienia poziomu ras bydła, koni i inwentarzy w trzech naszych prowincjach. Ci ludzie tak dobrzy, jak „dobry chleb“. Takiego każdy doznawał uczucia, skoro w gościnę do owych „Tu leżyniec“ zjechał. Nie wiem, czy znanem jest pani źródło tej nazwy? Nie? Otóż — niedaleko stamtąd leżą morderczej pamięci Pilawce, pod którymi kwiat rycerstwa polskiego gęsto trupami pole zaścielił. „Tu leżyńci“ (leżą pobici) mawiał wówczas lud ruski, obchodząc ze zgrozą to miejsce nad rzeką Ikawą, a z Tuleżyniec „u“ czasem wypadło i zmieniły się one w znane powszechnie nie tylko Polakom, ale i profesorom Rosjanom z Puław i Kijowskiego Instytutu Agronomicznego Teleżyńce. Tak miejsce śmierci i klęski stało się królestwem życia i postępu.

— Więc i my nie traćmy nadziei — odezwała się z zadumą pani Wanda. — Ładnie pan opisał te „Tuleżyńce“, a i pani Dora miała rzeczywiście ogólną sympatję i opinię niesłychanie uczynnej, zacnej kobiety, gorącej patriotki. Córka pana Zygmunta Luba-Radziwińskiego — dość powiedzieć!

— A te bałagulskie czwórki Kazimierza! — mówił dalej Rożański, chodząc po pokoju z założonemi wtył rękami. Na wspomnienie koni, pięknego bydła, szlachetnej hodowli, wogóle wszystkiego tego, co ma tak ścisły związek z rozrodczą potęgą ziemi, błyszczały mu oczy, grała krew, owa krew rolnika-rycerza, kochającego się zarówno w lemieszu, jak w koniu, towarzyszu śmiertelnych bojów. — Te czwórki, powiadam pani, wkopane w ziemię przed dworem, jakby z brązu wykute, na łbach białe strzałki, pończoszki białe!!... Dalibóg, kubek w kubek jeden do drugiego podobny.

Str. 120. Pradziadem Natalji Trzczińskiej był generał Kamiński.

Str. 173. Opis napadu na Sumówkę autentyczny we wszystkich szczegółach.

Str. 205. Mundury żołnierzy rosyjskich były żółtawozielonej barwy, która najlepiej podobno odpowiadała barwie terenu, co ułatwiało ukrywanie się, stąd nazwa: kolor ochronny.

Str. 222. Lustracja djaka hospodarskiego, Lwa Patejewicza Tyszkiewicza wspomina już o ich istnieniu w 1543 roku. Drogą wysługi dostały się Pietniczany rodzinie Daszkowskich, od nich przeszły do Obodeńskich, następnie zaś jako wiano są we władaniu rodu Łaskich, Radziwińskich, wreszcie Grocholskich, w których rękach znajdowały się do ostatnich czasów. Zamkowe mury przechowały wspomnienia o Michale z Grabowa Grocholskim, niepospolitej postaci z czasów Augusta III, który ga zamianował rotmistrzem królewskiego znaku. Jako żołnierz waleczny, jako obywatel krajowi zasłużony uśmierzał hajdamackie najazdy na kresach, a województwa pograniczne ogłosiły go swym wybawcą i oswobodzicielem. Syn jego Marcin — wojewoda braclawski — podejmował w rozbudowanym przez siebie zamku króla Stanisława Augusta w 1781 roku.

Ale najpiękniejsze wspomnienia hartownej odwagi niezłomnej patrijotki polskiej zostawiła tu babka ostatniego dziedzica, Zdzisława — Ksawera z Brzozowskich Grocholska. Znać przekonania jej musiały promieniować z dalekobiezną mocą, kiedy władze rosyjskie wysłały ją „administracyjnym porządkiem“¹⁾, to znaczy bez wyroku sądowego, na podstawie zarządzenia władz administracyjnych, w głąb Rosji na przymusowe wygnanie. I tu jednak zabrała z sobą treść własnej istoty i, nie poddając się wcale zgnębieniu, otoczyła taką dobrocią i opieką poznaną tam kolonję polską, że skoro wskutek amnestji wyjazd jej został postanowiony — takimi słowy pocieszać musiała zostających rodaków:

— Kto mię kocha — niech nie płacze!

Wygnanie nie zdołało ugiąć silnej duszy kobiety polskiej kresowej. Mikołaj I w czasie manewrów zamieszkał w ciągu dziesięciu dni na zamku pietniczańskim i, pragnąc odwdziżyć się gospodarzom, a może wyobrażając sobie, że uda mu się pozyskać „hardą Polkę“ — postanowił ofiarować jej piękną sznur pereł. Zwierzył nią z tem gen.-guber. kijowskiemu Bibikowowi, który z całą czolobitnością, ale i z ukrytym sarkazmem, uczynił następującą uwagę:

— W krótkim czasie te perły pójdą na rzecz emigrantów polskich do Paryża.

Ostrzeżenie to świadczyło o najtrafniejszem ujęciu psychologii wielkiej patrijotki, gdyż wydała ona córkę swą, Marję, za ks. Witolda Czartoryskiego, syna Adama, co się mocno nie podobalo Mikołajowi, wywołując zakaz przyjazdu młodej księżny do kraju i do rodziny.

Str. 264. „Myśmy sami mieli podejrzenie, Lenin za czub wszystko wziął, panów za mordę chwycił i rzeczywiście daje ziemię. My naprawdę tę ziemię w ręce bierzemy. Lecz cóż z tego!“²⁾, są to autentyczne określenia chłopów.

¹⁾ Bez sądu i motywowania.

²⁾ W mogile na cmentarzu niemirowskim spoczywają braterstwem doli złączeni: z 1 szwad.: ułan Rogoziński Henryk, Prądzyński Stan., mł. pod. Miara Piotr, Przewiędzikowski Wład.,

Str. 268. Rozdział „Niemirów“ opracowany jest na podstawie pisemnych zeznań oficerów i żołnierzy biorących udział w tej bitwie.

Str. 300. Zdania w cudzysłowie są tłumaczeniem słynnej depezy Focha do Joffre'a przed bitwą nad Marną.

Str. 304. Księżna Szczerbatowa była wnuczką Bolesława, a prawnuczką Szczęsnego Potockiego.

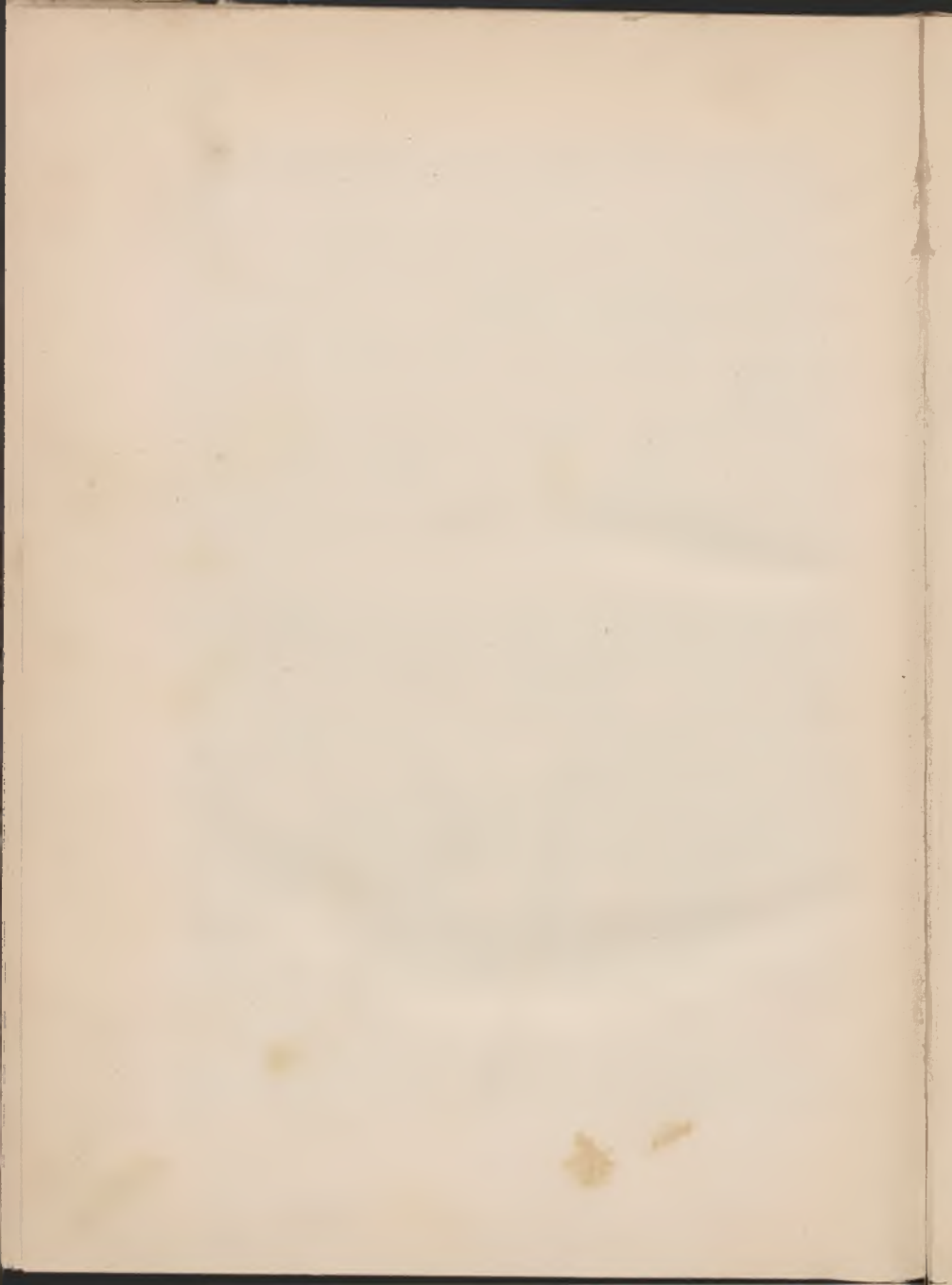
Str. 314. Istotnie 29 kwietnia 1918 r. nastąpił wybór Skoropadskiego na hetmana oraz przywrócenie prawa własności na Ukrainie.

Str. 340. Rozkaz Piłsudskiego, jako naczelnika sił zbrojnych z sierpnia 1914: „Wybiła godzina rozstrzygająca! Polska przestała być niewolnicą i sama chce stanować o swym losie“.

Str. 345. Postać Wacława Lipińskiego została skreślona na podstawie jego żołnierskiego dziennika, wydanego p. t. „Szlakiem I Brygady“.

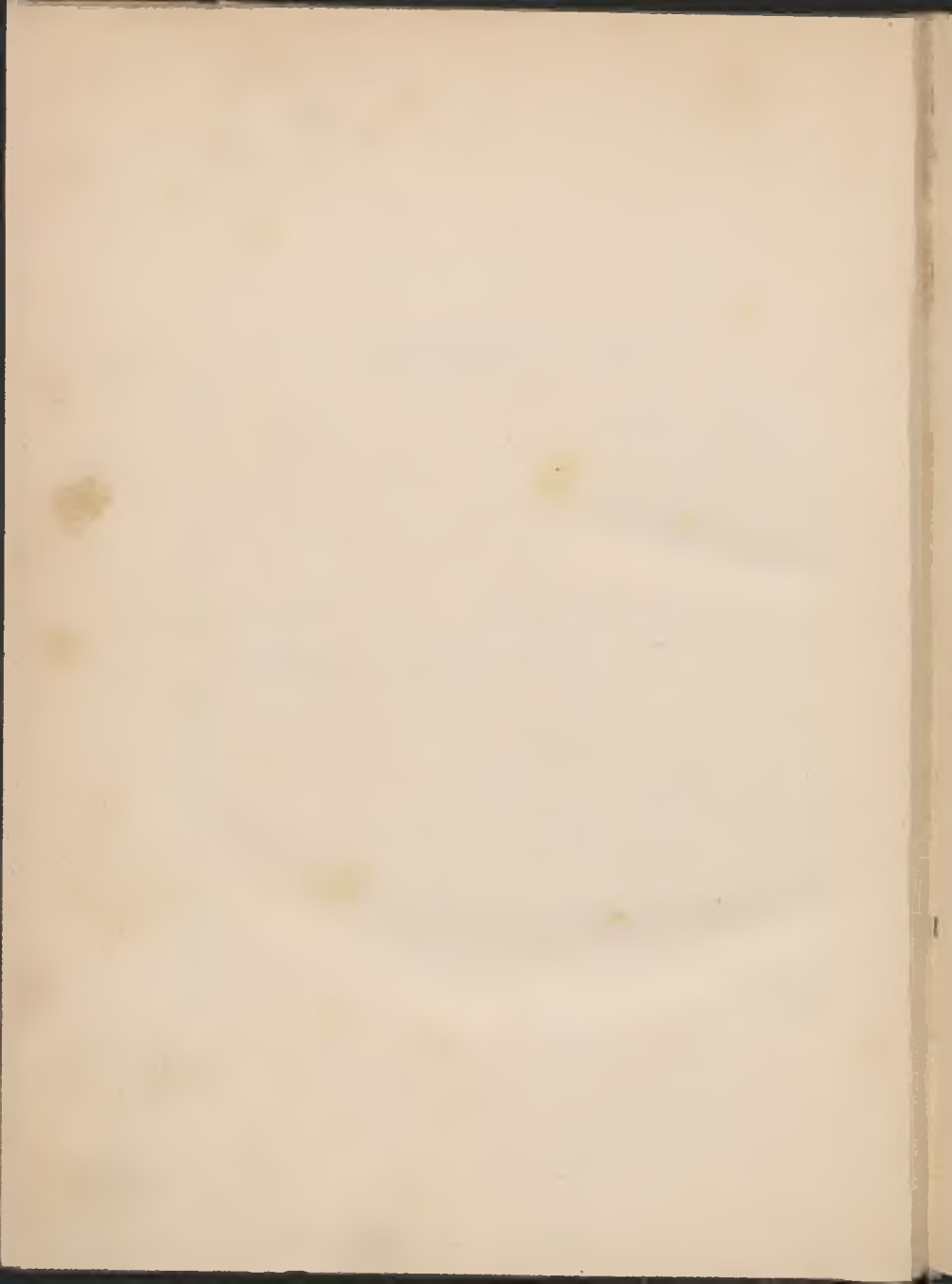
kapral Łuczkiwicz Marjan, Sobiraj Józef, ułan Pachucki Romuald, Skwiarczyński Jul., Borzuch Stan. Z II szwad. : podpor. Węclawowicz Bogdan, kapral Klimaszewski Antoni, ułan Drzewoszewski Stan, kapral Gogolewski Ludwik, ułan Bolszakow Aleksander, kapral Wiatr Miecz., ułan Tarczewski Józef, Łuczycycki Anatol, mł. podof. Babiński Jan, ułan Felakiewicz St., Działowski Andrzej, Pacak Józef, Ładowski Stanisław, Nagrodzki Antoni. Z III szwad. : ułan Gerhardt Antoni, mł. pod. Lecki Wacław, ppor. Jaxa-Chamiec Stan., podrot. Sadowski Konstanty, ułan Lutostański Zygmunt, Wroczyński Antoni, mł. pod. Topczewski Jan, kapral Drecki Włodzimierz, mł. pod. hr. Komorowski Stan., ułan Sikorski Sławomir, chor. Żurkowski Czesław, podch. Rudnicki Mieczysław, ułan Drecki Władysław, ułan Smoliński Roman, mł. podof. Bobowski Franciszek, ułan Cwiluk Jan, Liszult Jan, Linner Kazimierz. Z oddziału karabinów maszynowych: por. Filarski Jan, ułan Skowroński Jan, Z oddziału łączności ułan Salmenson.

Czterech poległych nie rozpoznano i nazwisk nie ustalono.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
1. Z dymem pożarów	1
2. „Egzule“	36
3. Nad wodami Bohu	75
4. Polka na Rusi	91
5. Ukryte perły	103
6. Macierz i lud	128
7. Dwa prądy	145
8. Potomkowie „Duxa i Reduxa“	159
9. Sny młodości	179
10. Żołnierze polscy: Stanisław Wielądek i Franciszek Kozak	204
11. Pogrom Pietniczæn	228
12. Bój o zmartwychwstanie	240
13. Przed wejściem Austro-Niemców	251
14. Powrót do starych kątów	259
15. Niemirów	279
16. Czara cierpienia i chluby	306
17. Wstająca Polska	321
18. A z nami był nasz drogi wódz!	346
19. Wyznanie	383
20. Dziedzice myśli	407
Przypisy	427



SPIS RYCIN

	Str.
Wolnościowy pochód w Winnicy w maju 1917 r.	86
" " " " " "	88
Dwór w Turbijówce Potockich	109
Zygmunt Luba-Radzimiński	153
Wanda, jedyna miłość Stefana Rożańskiego	186
Zofja z Zahorowskich Piotrowa Rożańska	200
Pietniczany po rozbiciu	230
Dwór w Szamrajówce Stefana Rożańskiego	263
Staśko z nową czwórką kasztanów	316
Stary woziwoda Mychałko w Ojczenaszówce	322
Fotografia z ochrony rosyjskiej: Marszałek Piłsudski w wię- zieniu rosyjskiem 1887 r.	382
„Leśne Oko“	410



Biblioteka Główna UMK



300045283615